

MASA KRYTYCZNA

Powieści Steve'a Martiniego

w Wydawnictwie Amber

Formy nacisku

Lista Masa krytyczna Niezbity dowód

Sędzia Świadek koronny

i nnnTITT

MASA KRYTYCZNA

Przekład Grażyna Jagielska

AMBER

Tytuł oryginału CRITICAL MASS

Ilustracja i projekt graficzny okładki KLAUDIUSZ MAJKOWSKI

Redakcja stylistyczna JOANNA ZŁOTNICKA

Redakcja techniczna ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta KRYSTYNA BAI CERZAK

Skład

WYDAWNICTWO AMBER

Informacje o nowościach i pozostałych książkach Wydawnictwa AMBER

oraz możliwość zamówienia możecie Państwo znaleźć na stronie Internetu

<http://www.amber.supermedia.pl>

Copyright © 1998 by Steven Paul Martini, Inc.

For the Polish edition © Copyright by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

1998

ISBN 83-7169-910-7

Książkę tę dedykuję bezinteresownym ludziom nauki, którzy poświęcili się walce z zagrożeniem nuklearnym, zwłaszcza naukowcom rosyjskim,

którzy uczynili wszystko, co w ludzkiej mocy, by zatrzymać śmiercionośnego dzina w jego butelce.

Istnieli ludzie w Hiroszynie, których wybuch nuklearny zamienił w cienie na chodnikach i ścianach budynków. Widać je jeszcze dzisiaj. Ciał tych ludzi nie odnaleziono, jakby nigdy nie istnieli. Dla niektórych są tylko śladami na betonie, ciekawostką historyczną - wyobrażeniem minionych czasów. Jeżeli jest tak rzeczywiście, stali się prawdziwymi aniołami apatii.

## PROLOG

Na zachód od przylądka Flaterry i cieśniny Juana de Fuca

"Tańcząca Dama" nie była piękną. Dwadzieścia metrów spawanej stali, gęsto splamionej rdzą która wyglądała na burtach jak zakrzepła krew.

Wysoki dziób z szybkością siedmiu węzłów orał ciemne wody oceanu na zachód od wyspy Vancouver. Statek wspinał się na grzbiety fal i spadał z nich w otchłań, starając się wbrew coraz to gorszej pogodzie utrzymać kurs. Jego załoga - normalnie pięcioosobowa - została zredukowana do trzech marynarzy: szypra Nordquista, jego syna i pomocnika, niemal członka rodziny, pracującego zresztą teraz jak rodzina - za darmo.

Statek był mocnym trawlerem z dwoma dieslami, przygotowanym do pływania na głębokich wodach. Na jego rufie znajdował się masywny kołowrót, owinięty kilometrową siecią dekoracją specjalnie wyeksponowaną na ten rejs.

„Dama" była dość podłym statkiem rybackim, typem równie częstym na tych wodach jak zła pogoda. Dlatego została wybrana. Nie zwrócono by na nią uwagi nawet podczas poszukiwań lotniczych. Toczyła się przez fale, chwiała, przechylała pod ich naporem. Płyn hydrauliczny wyciekał z napędu masywnego bomu, jeden z silników o tysiąc godzin przekroczył

okres dozwolonej pracy, ale Nord-quist nie miał forsy na takie głupstwa. Harując po osiemnaście godzin na dobę w zimnie wgrzyzającym się do szpiku kości i na sprzęcie ciągle pokrytym lodem, stał na krawędzi bankructwa. Jego żona dokonywała zakupów na talony pomocy społecznej, pożyczki, jakie zaciągnął na łódź, były od dawna niepłacone. Rząd nie robił jednak nic, żeby powstrzymać Kanadyjczyków przed nadmiernym odławianiem wód na zachód od wyspy Vancouver. Już im się udało zredukować do minimum wędrówki łososia, a teraz ciągnęli wszystko, co nie trzymało się dna. Nordquista i jemu podobnych nie było stać na finansowanie kampanii wyborczych, to znaczy na kupowanie sobie przychylności własnego rządu i jego chęci do działania.

9

Spojrzał ze sterówki. Prawy silnik tracił obroty. Nordquist musiał wyęczać wszystkie siły, aby mimo coraz wyższych fal utrzymać statek na kursie. Wyrastały przednim jak góry, w jednej chwili wiszące mu nad głową w drugiej przewalające się pod stopami. „Dama” zaczynała stawać dęba. Pogoda wciąż się pogarszała.

Jego syn wypatrywał przez lornetkę horyzontu.

- O cholera...! - Nie musiał mówić nic więcej.

Nordquist obejrzał się przez ramię i zobaczył ją: dziesięciometrową ścianę wody pędzącą na nich, na prawą burtę. Przerzucił szprychy steru w prawo. Udało mu się przenieść dziób statku jak ostrze noża ku górze wody. Spadła kaskadą na sterówkę i wstrząsnęła stalowymi burtami „Damy” aż do stępki. Statek wrył się w wodę i wychynął z niej na opadającym zboczu pędzącej góry.

Fala rzuciła chłopaka na pokład. Siedział na nim zaskoczony atakiem, w

niemym podziwiew dla starego i jego zdolności koncentracji, odpornej nawet na groźbę śmierci.

„Iswania” była na wskroś przerdzewiałym frachtowcem, mizerną pozostałością z potężnej niegdyś radzieckiej floty rybackiej. W zeszłym roku została przeznaczona na złom, ale - jak wszystko w nowej Rosji - nawet tego nie dało się załatwić w terminie. Kierując się na złomowisko, odbywała teraz ostatni rejs. Przepłynęła Morze Beringa, przecisnęła się między Aleutami i Zatoką Alaskańską potem poszła wzdłuż kanadyjskiego wybrzeża. W jej lukach nie było nic prócz niewielkiej kupy złomu. W kapitańskim sejfie znajdowały się dokumenty przekazujące tytuł własności statku złomowisku pod Bangkokiem. Zredukowaną do niezbędnego minimum załogę stanowiło siedmiu ludzi. Po drodze statek zatrzymał się tylko raz w Port Rupert w Kanadzie, aby zabrać niewielki ładunek tarcicy, widoczny teraz na pokładzie. Można było pokazać go władzom, gdyby zatrzymały statek i rozejrzały się po nim. Dałoby się wytłumaczyć obecność na wodach amerykańskich. List przewozowy informował, iż tarcica ma być dostarczona do Oakland w stanie Kalifornia, ale kapitan statku nie zamierzał odwiedzać tego portu. Gdy tylko „Iswania” odda komu trzeba co trzeba, tarcica powędruje za burłę, a statek popłynie ku Oceanowi Indyjskiemu, miejscu swego wiecznego spoczynku. Sternik zmienił kurs pięć stopni lewo na burt, podczas gdy kapitan, Jurij Walentok wyteżał wzrok, wypatrując czegokolwiek na horyzoncie.

„Iswania” nabierała wody w przedniej ładowni i stawała się ociężała. Pompy na razie dawały sobie radę, ale Walentok nie miał pojęcia, jak długo wytrzymają. Nic nie mógł dostrzec przez lornetkę. Wielkie krople deszczu, miotane wiatrem, tłukły w szyby na mostku jak pociski. Działała

tylko jedna z wycieraczek i oczywiście nie mogła sobie poradzić z nacierającą wodą. Smagane wichurą tumany wodnego pyłu i piany morskiej tworzyły nieprzeniknioną mgłę. Kapitan ledwo dostrzegł dziób swego statku. Na domiar złego radar nie działał. Zepsuł się zaraz za Władystokiem. Dwa razy musieli zatrzymać się na uczęszczanych trasach w oba-

10

wie przed kolizją z innymi statkami. Liczyli na donośną syrenę i na to, że inne statki zauważą ich na swoich radarach. „Iswania”, jak wszystko w ich kraju, psuła się i nie było pieniędzy na naprawę.

Walentok trzymał jeszcze jeden list przewozowy na dodatkowy ładunek. Mógł się nim posłużyć tylko w wyjątkowej sytuacji, gdyby statek został zmuszony do wejścia do jakiegoś portu. Dokument ten był sfalszowany. Gdyby znaleziono towar, kapitan tłumaczyłby, że nie wiedział, co wiezie. Wątpił, aby to poskutkowało wobec władz amerykańskich, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę naturę tego towaru. Tłumaczenie się zabrałoby mu wiele czasu, a pewnie znacznie więcej czasu spędziłby za kratkami. Zastanawiał się, czy amerykańskie więzienia różnią się na korzyść od rosyjskich. Podszedł do map rozłożonych na stole i oparł się o blat. Jeszcze raz sprawdził pozycję statku. Jeśli jego obliczenia były prawidłowe, znajdował się w tej chwili dokładnie sto dwanaście mil morskich na zachód od cieśniny Juana de Fuca, wiodącej do cieśniny Puget, za którą leżało amerykańskie miasto Seat-tle.

Kapitan Walentok nigdy nie był w Stanach Zjednoczonych, ale miał przyjaciół, którzy w ostatnich czasach pływali tu statkami nie różniącymi się niczym od „Iswanii”, płaskodennymi trawlerami dojrzałymi do

złomowania. Dla rosyjskich statków rybackich stawało się to regularną procedurą. Gdy tylko amerykańscy celnicy i urzędnicy imigracyjni, przystawiwszy ostatnie pieczętki opuszczali statek, całe załogi z kapitanami na czele schodziły na ląd i zaczynały nowe życie w nowym kraju. Cały swój złom zostawiali Amerykanom na głowie. Walentok chciałby któregoś dnia pójść ich kursem, może nawet do Seattle, gdy tę sprawę będzie miał z głowy.

Cztery mile na wschód, w zacinającym deszczu i na wzburzonym morzu, Jon Nordquist zaciskał dłonie na kole sterowym „Tańczącej damy”. Nagle potężny grzywacz wślizgnął się pod kadłub i trzasnął w ster. Statek mocno przechylił się na lewą burtę. Przez moment szyper wątpił, czy się podniesie. Po dłuższej chwili trawler posłuchał sterów.

- Cholerna sprawa! Niczego nie widzę! - Ben przyciskał twarz do wziernika starego radaru. - Jak, do diabła, mamy to znaleźć?!

- Szukaj, szukaj! - Nordquist rzucił krótkie spojrzenie na syna, a potem na górującą nad nimi ścianę wody, przy której ich dwudziestometrowiec wyglądał jak łódka z papieru. Fale miały nimi niczym pudełkiem zapalek. Na ekranie radaru tworzyły zielonkawe odbicia, jak wyspy wyrzucane z dna na powierzchnię. Znikały, zanim następny promień radaru zdążył wykonać pełny obrót.

- W tym paskudztwie mogą nas staranować, a my i tak ich nie zobaczymy!

-Ben był przerażony. Nieraz już żeglował po burzliwym morzu, nigdy jednak w tak straszliwych warunkach.

11

Myśl o kolizji od dawna mąciła spokój umysłu Nordquista, ale wolał jej nie wypowiadać. W tej chwili bardziej martwił się, żeby nie ustawić statku

w pół wiatru czy pod nawis fali, wejść w nią dziobem i nie wynurzyć się już nigdy. W czasie sztormu można zginąć na milion sposobów.

- Nic, cholera... - Ben przycisnął czoło do wziernika, aż poczuł ból. - A poza tym, nawet jeśli ich znajdziemy, jak w tym cholerstwie mamy przetransportować ich ładunek na nasz pokład!?

- Będzie czas i na te kłopoty - powiedział ojciec. Spojrzał na zegarek.

Wyjął z kieszeni mały przedmiot z czarnego plastiku, nie większy od kalkulatora. Wyciągnął zębami kilkucentymetrową antenkę, nacisnął kilka guzików i czekał, jednym okiem obserwując morze, a drugim

kieszonkowy aparacik do satelitarnego wyznaczania położenia. Pojawiły się na nim dwa zestawy cyfr: jeden oznaczający długość, drugi szerokość geograficzną. Urządzenie nie dawało tak dokładnych danych, jak jego więksi kuzyni, ale nie myliło się o więcej niż kilkadziesiąt metrów.

Według jego wskazań, rosyjski statek nie powinien znajdować się dalej niż o ćwierć mili, oczywiście jeśli przybył punktualnie i nie zgubił się w tę pogodę.

Nie było mowy o komunikowaniu się przez radio. Z całą pewnością inne statki, może nawet patrolowce Straży Przybrzeżnej, odebrałyby sygnał.

Przeczesywali morze, nawet dwieście mil od brzegu- Mieli satelity i samoloty, za pomocą których przechwytywali statki szmuglujące do Stanów narkotyki i ludzi. Wypatrzyliby dwie jednostki spotykające się na otwartym morzu. Z tego względu została wypracowana przemyślna procedura porzucania i wyławiania ładunków. Ale czy okaże się skuteczna w taką pogodę? Nordaquist nie wiedział. Nikt nie przewidział tego diabelskiego sztormu stulecia.

Skierował statek w nieprzenikniony mrok.

- Cała naprzód! - Walentok nie mógł czekać. Poza tym nie miał ochoty trzymać takiego ładunku ani chwili dłużej, niż to konieczne. Niech go sobie Amerykańcy szukają! Wziął porządny szmal za przetransportowanie towaru, ale teraz uwalniał się od kłopotu.

Rozkazał podnieść płyty przykrywające ładownię rufową i przesunąć ramię dźwigu nad otwór. Posłał bosmana na rufę, aby czuwał nad wyładunkiem, sam zaś wychylony na sterburtę patrzył, jak wielki hak zanurzył się w ładowni i zniknął. Czekał dwie minuty. Wydawały się wiecznością. Wreszcie hak się wynurzył. Walentok zobaczył to. Było przyczepione do ciężkiego metalowego pierścienia, z którego zwisała sieć z trzema wielkimi bojami pływającymi. Wewnątrz sieci znajdował się jakiś przedmiot zawinięty w brezentowe płótno. Nie był większy niż pralka, ale jak na swe rozmiary miał dużą wagę. Dla solidnego okrętowego dźwigu nie stanowił jednak żadnego problemu. Z łatwością został wyniesiony nad pokład i przeniesiony nad rufę, a potem powoli zanurzony w wodzie.

12

Walentok stał jeszcze zwrócony plecami do dziobu, kiedy w sterówce rozległ się krzyk. Odwrócił się i w świetle błyskawicy rozdzierającej poczerńiałe niebo zobaczył pędzący wprost na nich wał wodny, niosący dwudziestometrową łódź rybacką. W świetle błyskawicy załśniły szyby jej sterówki.

- Ster lewo na burtę! - Walentok wydał rozkaz, nie zastanawiając się. Jego statek znajdował się na drodze bałwana.

Sternik bez sprzeciwu zakręcił kołem.

, Jswania" zaczęła się zwracać w lewo, kiedy lśniąca góra wody uderzyła w wygięty bok dziobu jak taran. Przemknęła przez przedni pokład i

trzasnęła w mostek kapitański sześć metrów nad pokładem, wybijając w nim wszystkie szyby. Dziesięciometrowy wał wodny zmiotł ludzi i maszyny na ścianę i zmył z pokładu. Jak Niagara runął ku ziejącemu otworowi ładowni rufowej. W jednej chwili tysiące ton wody wlały się do wnętrza statku.

Walentok, kurczowo trzymając się poręczy, zdołał przetrzymać uderzenie fali. Jego palce wbijały się w drewno, on zaś oddał się nieznanemu, dziwnemu uczuciu, jakiego doznawać może tylko kapitan, który znalazł się pod wodą ciągle jeszcze stojąc na swoim mostku. Czekał, aż woda opadnie, czekał wieczność całą. Zatrzymał powietrze w płucach, póki nie wypełnił ich palący płomień, póki nie zrozumiał, że nie wynurzy się już nigdy, ani on, ani jego statek.

„Iswania” przewróciła się na jego oczach. Błysnęły tylko stępka i dwie gigantyczne brązowe śruby, obracające się jeszcze wtedy, gdy statek leżał. W następnej sekundzie, zanim Nordquist zdążył cokolwiek pomyśleć, rosyjski statek został pochłonięty przez morze.

Stał bez ruchu przy sterze, zdębiały, nie mogąc ruszyć nogami, a zimny pot spływał mu po twarzy.

Stękanie „Damy”, gdy na grzbiecie fali spadała w przepaść, przywołało go do rzeczywistości. Wstrzymał oddech na myśl, że podnosząca się przed nim ściana wody gotuje im śmiertelną niespodziankę: setki ton powyginanej rosyjskiej stali, kryjące się tuż pod powierzchnią.

Zacisnął dłonie na sterze, aż pobieleły kostki jego dłoni, i czekał na zgrzyt metalu rozdzierającego metal. Dźwięk zabrzmiał basem, gdy „Dama” rozpoczęła kolejną wspinaczkę i na pozór bez wysiłku znalazła się na grzbiecie fali.

Coś wystrzeliło z głębin na powierzchnię tuż przed nim. W jednej chwili Nordaquist dostrzegł błysk i poczuł uderzenie w kadłub. Była to sterta tarcicy, ciągle jeszcze spięta metalową taśmą. Wtoczyła się pod dziób „Damy” jak gigantyczna kłoda. Nordaquist wrzucił jałowy bieg, starając się za wszelką cenę ratować śruby. Poczł kolejne uderzenia tarcicy w dno kadłuba i zobaczył, jak drewno wypływa na powierzchnię już za rufą. Gdy spojrzął przed siebie, dostrzegł tylko w ułamku sekundy, na szczycie następnej fali, w białej pianie trzy duże pomarańczowe boje. Natychmiast zniknęły mu sprzed oczu, zasłonięte rosnącą górą wody.

13

Walentok stał jeszcze zwrócony plecami do dziobu, kiedy w sterówce rozległ się krzyk. Odwrócił się i w świetle błyskawicy rozdzierającej poczerńiałe niebo zobaczył pędzący wprost na nich wał wodny, niosący dwudziestometrową łódź rybacką. W świetle błyskawicy zaśniły szyby jej sterówki.

- Ster lewo na burtę! - Walentok wydał rozkaz, nie zastanawiając się. Jego statek znajdował się na drodze bałwana.

Sternik bez sprzeciwu zakręcił kołem.

„Jswania” zaczęła się zwracać w lewo, kiedy lśniąca góra wody uderzyła w wygięty bok dziobu jak taran. Przemknęła przez przedni pokład i trzasnęła w mostek kapitański sześć metrów nad pokładem, wybijając w nim wszystkie szyby. Dziesięciometrowy wał wodny zmiotł ludzi i maszyny na ścianę i zmył z pokładu. Jak Niagara runął ku ziejącemu otworowi ładowni rufowej. W jednej chwili tysiące ton wody wlały się do wnętrza statku.

Walentok, kurczowo trzymając się poręczy, zdołał przetrzymać uderzenie

fali. Jego palce wbijały się w drewno, on zaś oddał się nieznanemu, dziwnemu uczuciu, jakiego doznawać może tylko kapitan, który znalazł się pod wodą ciągle jeszcze stojąc na swoim mostku. Czekał, aż woda opadnie, czekał wieczność całą. Zatrzymał powietrze w płucach, póki nie wypełnił ich palący płomień, póki nie zrozumiał, że nie wynurzy się już nigdy, ani on, ani jego statek.

„Iswania” przewróciła się na jego oczach. Błysnęły tylko stępka i dwie gigantyczne brązowe śruby, obracające się jeszcze wtedy, gdy statek leżał. W następnej sekundzie, zanim Nordquist zdążył cokolwiek pomyśleć, rosyjski statek został pochłonięty przez morze.

Stał bez ruchu przy sterze, zdębiały, nie mogąc ruszyć nogami, a zimny pot spływał mu po twarzy.

Stękanie „Damy”, gdy na grzbiecie fali spadała w przepaść, przywołało go do rzeczywistości. Wstrzymał oddech na myśl, że podnosząca się przed nim ściana wody gotuje im śmiertelną niespodziankę: setki ton powyginanej rosyjskiej stali, kryjące się tuż pod powierzchnią.

Zacisnął dłonie na sterze, aż pobieleły kostki jego dłoni, i czekał na zgrzyt metalu rozdzierającego metal. Dźwięk zabrzmiał basem, gdy „Dama” rozpoczęła kolejną wspinaczkę i na pozór bez wysiłku znalazła się na grzbiecie fali.

Coś wystrzeliło z głębin na powierzchnię tuż przed nim. W jednej chwili Nordquist dostrzegł błysk i poczuł uderzenie w kadłub. Była to sterta tarcicy, ciągle jeszcze spięta metalową taśmą. Wtoczyła się pod dziób „Damy” jak gigantyczna kłoda. Nordquist wrzucił jałowy bieg, starając się za wszelką cenę ratować śruby. Poczul kolejne uderzenia tarcicy w dno kadłuba i zobaczył, jak drewno wypływa na powierzchnię już za rafą. Gdy

spojrzał przed siebie, dostrzegł tylko w ułamku sekundy, na szczycie następnej fali, w białej pianie trzy duże pomarańczowe boje. Natychmiast zniknęły mu sprzed oczu, zasłonięte rosnącą górą wody.

13

- Widziałeś to? - zapytał syna.

Uwaga chłopaka skoncentrowana była na prawej burcie, na miejscu, gdzie przed chwilą morze połknęło rosyjski statek.

- Nie powinniśmy zawrócić? - spojrzał na ojca.

- Po co?!

- Może niektórzy z nich jeszcze żyją?

- Nikt nie przeżył.

- Skąd ta pewność?

- Uszedłbyś z tego z życiem?

Odpowiedz była oczywista. Chłopak miał jednak poczucie obowiązku.

- Moglibyśmy chociaż się rozejrzeć - powiedział.

- Po co?! Żeby mieć czyste sumienie?

- Gdyby się to nam przydarzyło...

- Ale się nie przydarzyło. Wszyscy znali stawkę.

Nordquist nie kochał Rosjan. Dwa razy w ciągu ostatniego roku jego łódź została wypchnięta przez większe rosyjskie trawlerzy, szukające miejsca na lepszych łowiskach. Ciągnęli za sobą ogromne statki-przetwórnice i brali, co chcieli. Przetną cię na pół, jeśli nie zdążysz usunąć im się z kursu.

- Nie kłóć się ze mną. Lepiej włącz to urządzenie - pokazał ruchem głowy zielone metalowe pudło zamontowane na konsoli, sam zaś zajął się kołem sterowym.

Chłopak z trudem pokonał przestrzeń między sterem a radarem i stojącą

obok zieloną skrzynką. Przekreślił włącznik i kłujący pisk niemal rozsadził mu uszy. Znalazł regulator głośności i stłumił sygnał. Odbiornik subsoniczny był rosyjskim sprzętem wojskowym, częścią zapłaty za usługę. Potrafił odebrać sygnał z odległości kilkuset mil. Pisk, który słyszeli, pochodził z nadajnika znajdującego się gdzieś bardzo blisko. Ale nie mógł być słyszany w normalnym paśmie morskim. Nadajnik był zainstalowany na wszelki wypadek, gdyby dwa statki nie spotkały się na oceanie. Boje pływałyby cztery dni, potem, gdyby nikt ich nie zdjął, zatonełyby wraz z ładunkiem. Przez cały ten czas nadajnik emitowałby sygnał, aż do zatonięcia. Potem morze by go zmiażdżyło.

Ten sygnał oznaczał potwierdzenie. W jakiś sposób został nadany, zanim statek poszedł na dno.

- Jakim cudem...? - Chłopak spojrzał na ojca. Nordquist wzruszył ramionami. Nie miał najmniejszego pojęcia.

„Dama” wspięła się na kolejną falę i wtedy Nordquist je ponownie zobaczył. Natychmiast skierował się ku nim. Jeśli nie będzie ostrożny, przepłynie przez nie, uszkodzi śrubę ich linami lub siecią. Bez napędu, na wzburzonym morzu szybko dołączyliby do Rosjan.

- Idź do kołowrotu! - krzyknął do syna. - I powiedz Carlosowi, żeby przyszedł na górę.

- A co z pompami?

- Daj spokój z pompami. W tej chwili musimy wtaszczyć towar na pokład.

14

Młody Nordquist wydostał się z kabiny na otwarty pokład rufowy.

Stary ustawił dziób „Damy” pod wiatr i zredukował obroty silnika do minimum, przy którym statek słuchał steru, i mógł manewrować prawie

stojąc w miejscu. Morze samo przyniesie boje.

Mogli podjąć tylko jedną próbę ich wydostania. Gdyby się nie powiodła, zniknęłyby im z oczu, zanim ponownie zdążyliby się do nich ustawić.

Musieliby zdać się na pomoc poddźwiękowego sygnału. Nordaquistowi przykazano wydobyć boje jak najszybciej i natychmiast wyłączyć lub zniszczyć nadajnik. Wprawdzie Straż Przybrzeżna nie mogła odebrać tego sygnału, ale amerykańskie łodzie podwodne, polujące na swoich rosyjskich partnerów, prowadziły nasłuch na tych częstotliwościach.

Mogliby się zainteresować „Dama”.

Nordaquist widział boje na spienionym grzbiecie fali, skaczące niczym pomarańczowe beczułki. Pod nimi, jakieś pięć metrów pod powierzchnią znajdował się owinięty siecią ładunek. Stary nie miał pojęcia o jego rozmiarach czy wadze. Rosjanin się przewrócił, więc towar musi być cholernie ciężki. Może ta waga, w połączeniu z paskudnym uderzeniem fali w burzę, spowodowała przewrótkę. Jeżeli Rosjanin nie dał sobie rady z cargo, jak on ma to zrobić?!

Manewrował sterem oraz zwiększając lub zmniejszając obroty silników. Podprowadził „Dama” tak, aby podejść do boi prawą burzą. Syreną dał znak dwóm mężczyznom na rufie. Obejrzał się i zobaczył, jak syn wychyla się z łodzi, aby lepiej widzieć przesyłkę. Bom wychylił się za burzę, rybacy skierowali jego hak ku bojom. Fala niosła je wzdłuż kadłuba. Nordaquist usłyszał zgrzyt łańcucha trącego o burzę. Nagle poczuł, że „Dama” gwałtownie przechyla się na prawą burzę. Hak złapał boje. Ciężar zaczął ściągać łódź na prawo właśnie wtedy, gdy znajdowała się w dolinie fali, najpierw dziesięć stopni, potem piętnaście... Tego właśnie bał się najbardziej: że uniknąwszy jednej fali, dostanę tyłu uderzenie innej.

Klasyczne ustawienie się w pół wiatru. A potem przewrotka.

Zwiększył moc prawego silnika, przerzucił koło sterowe kilka stopni w lewo. Dziób „Damy” skierował się ku nowej ścianie wodnej pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Maszyny zawyły ciągnąc statek w górę wraz z obciążającym burtę ładunkiem.

Dwaj mężczyźni zmagali się z kołowrotem. W końcu udało im się przenieść bom nad rufę. Trzymali cargo w wodzie w okolicy śródkręcia, neutralizując w ten sposób jego wagę. Czekali na przerwę między falami, aby dźwignąć ładunek na pokład.

Nordquist spojrzał na rufę, zobaczył dym i parę unoszącą się nad bębniem kołowrotu. Ciężar był ogromny, ale naprężone liny powoli wyciągały boje z wody.

Kolejna fala zmusiła Nordquista do najwyższego wysiłku. Miał nadzieję, że sam ładunek jeszcze się nie wynurzył. Nie spuszczać wzroku z fal toczących się na statek, zręcznie manipulował gazem silników i sterami. Na szczęście dryfujący w wodzie ciężar funkcjonował jak kotwica. W tej chwili był przyjacielem szypra. Sytuacja się zmieniła w chwili, gdy znalazł się nad powierzchnią.

15

Jeżeli dostaną uderzenie fali, ładunek się rozkołysze jak wahadło i wywróci ich do góry stępką.

Statek uspokajał się. Znowu powoli ruszył kołowrót, zgrzytając, dymiąc i parując. Nordquist zobaczył sieć. Wynurzyła się ponad rufą. Brezent owijający ładunek rozchylił się i napełnił wodą zwiększając ciężar przesyłki. Lecz właśnie fala uderzyła w dziób statku i wiszący ciężar zaczął kołysać się w rytm ruchów morza. Chłopak nie czekał ani chwili. W

panice pchnął dźwignię kołowrotu do przodu i cały ładunek runął na pokład rufowy. Rozległ się ogłuszający trzask, gdy pod uderzeniem wygięła się płyta kryjąca ładownie. Kawałki desek i tony morskiej wody wyleciały z rozdartego brezentu. Nieduża srebrzysta kula, wielkości grejpfruta wypadła z rozbitego kontenera i potoczyła się po stalowym pokładzie. Z ogłuszającym hukiem walnęła w okrężnicę i zaczęła się toczyć w przeciwnym kierunku, wraz z przechyłem statku.

Dwaj zaskoczeni mężczyźni stali jak skamieniali, nie mogąc oderwać wzroku od kuli tańczącej po pokładzie.

Nordquist obserwował to ze sterówki.

Rybacy spróbowali przeciąć drogę kuli, byli jednak zbyt wolni. Statek zaczął się zsuwać po grzbiecie fali i kula runęła do przodu, obok nadbudówki, na dziób. Zadudniła na stalowych płytach. Nordquist słyszał, jak uderza w maszyny i metalowe przegrody. Tylko wysokie burty uniemożliwiły jej wypadnięcie do morza. Nordquist domyślił się, że została wykonana z metalu o niezwyklej gęstości i ciężarze. Nie wiedział dokładnie, z czego, ale zaczynał się domyślać. Faceci z De-ming i Sedro-Wooley nie powiedzieli mu wszystkiego, ale wystarczająco wiele, by mieć się na baczności. Gwałtownie machając ręką starał się ostrzec syna. W końcu dotarł do mikrofonu i włączył syrenę.

- Trzymajcie się od niej z daleka. Nie dotykajcie jej!

Chłopak spojrzał ku niemu. W oczach miał rozpacz. Płynęli kilka dni w sztormie, cudem uniknęli zderzenia z Rosjaninem, zdołali wyrwać boje szalejącemu morzu, nie po to przecież, aby teraz stracić towar. Rzucił się na pokład, starając się przytrzymać kulę przy burcie. Złapał ją najpierw palcami, potem całymi dłońmi. Carlos upadł na niego.

- Nie! Nie! - krzyczał Nordquist przez megafon.

Mężczyźni nie pozwolili jej się wymknąć z pułapki przy burcie. Potem we dwóch, wyteżając wszystkie siły, zacisnęli palce i dźwignęli z pokładu gołymi rękami kulę, z której posypało się na ich ręce coś, co przypominało lśniący talk. W powietrzu uniósł się pył, a wiatr przyniósł go na stalową przegrodę pod sterówką. Była to jakaś magiczna substancja, niezmiernie ciężka. Żaden z nich nie widział dotychczas nic podobnego do niej.

Spoglądali na siebie zdziwieni, z trudem utrzymując ciężar nad pokładem. Z góry, ze sterówki, Nordquist patrzył na nich ponuro, zaciskając do bólu szczęki. Nikt niczego nie musiał mu wyjaśniać. Wiedział, że jego syn jest już martwy.

1

Friday Harbor, stan Waszyngton

W wieku trzydziestu dwóch lat była wypalona do cna. Miała dość. Mówią, że L.A. to odjazd, ale nie dla niej. Chodzi o ludzi; jest ich stanowczo za dużo. Lincoln wspominał o lepszych stronach naszej natury, ale nawet aniołowie mają granice wytrzymałości. Wsadźcie parę aniołów w przeludniony, betonowy labirynt, wpompujcie upał i smog, a zaczną drzeć sobie wzajemnie pióra ze skrzydeł. Joselyn Cole nie zamierzała na to czekać.

Przed dwoma laty zwinęła żagle; sprzedała meble, wynajęła mieszkanie przy Marina Del Rey i wyruszyła na poszukiwanie życia. Pojechała na północ, wzdłuż wybrzeża, czytając po drodze tablice z nazwami miejscowości. Po trzech tygodniach i setkach kilometrów bocznych dróg stwierdziła, że dalej jechać nie może, jeżeli nie chce opuścić kraju.

Porzuciła więc ład stały

1 kupiła bilet na prom. W pierwszym porcie wysiadła, rozejrzała się i uznała, że dotarła do domu.

Friday Harbor na wyspach San Juan leżał w odległości dziewięćdziesięciu minut statkiem od Anacortes w stanie Waszyngton, ale równie dobrze mógłby leżeć po drugiej stronie księżyca. Wyspa była mała, a miasteczko jeszcze mniejsze. Są tacy, którzy twierdzą że jest jak miniaturka Martha's Vineyard. Nie znając Martha's Vineyard, Joselyn musiała uwierzyć im na słowo. Wiedziała tylko, że miasteczko jest spokojne, a ludzie na ogół przyjacielscy, zajęci własnymi sprawami. Gdy tylko zrozumieli, że zamierza zostać, stała się miejscowa. Akceptacja nastąpiła w sposób automatyczny. Po tygodniu ekspedienci w sklepiku spożywczym zwracali się do niej po imieniu.

Rejestracja w izbie adwokackiej stanu Waszyngton zabrała kilka tygodni.

Potem Joselyn wywiesiła szyld:

JOSELYN COLE PRAWNIK

2 - Masa krytyczna

17

Ludzie, którzy znali ją dłużej niż tydzień, mówili do niej „Joss”. Interesy szły powolutku. Trafiło się jej kilka spraw o narkotyki, przeważnie o nielegalne plantacje marihuany, uprawiane od pokoleń i zużywające tyle energii elektrycznej co niewielkie miasto. Federalni wykrywali je za pomocą termogramów, odczytujących ciepło lamp przez piętnastocentymetrową ścianę.

Archipelag San Juan składa się z przeszło czterystu wysp, niektóre z nich są zaledwie skupiskiem skał ginących w falach przyływu. Ale położenie, kilka mil od granicy morskiej, między Wiktoria na zachodzie a Vancouver

na północnym wschodzie, czyni z niego przemytniczy raj. Joss dziękowała Panu Bogu za drobne dary. Dochody z drobnych spraw o narkotyki, przekroczenie prędkości czy prowadzenie po alkoholu oraz rozwodowych wystarczały na skromne utrzymanie.

Nauczyła się, że można przetrwać bez komputera, a nawet bez telewizora. Zdarzało się, że spędzała piątkowe wieczory słuchając Jimmy'ego Buffeta na starym hi-fi. Czytywała książki z miejscowej biblioteki. Od czasu do czasu zatracala perspektywę ekonomiczną i kupowała powieść w wydaniu broszurowym.

W zimie robiło się ciemno o czwartej popołudniu i ulice Friday Harbor pustoszały, zwijano letnie interesy. Wzorem niedźwiedzi, rybacy i urzędnicy zaszywali się w jakimś ciepłym kącie, przeważnie w mrocznych barach, i tam przesiadywali zimę. Zimą okazywało się, kto ma kręgosłup. Właśnie teraz Joss wpatrywała się ponad biurkiem w zniszczoną twarz jednego z tych, którzy go mieli. Z wyjątkiem oczu basseta nie było w niej żadnego łagodnego rysu.

- Na pewno możesz coś zrobić. Żeby chociaż oddali za rachunki od doktorów. - George Hummel uśmiechał się do niej, ale wiedziała, że jest przerażony George nie był okazem zdrowia. Krwawiły mu dziąsła. Włosy wypadały jak suche siano. Hummel był rybakiem, a przynajmniej w ten sposób zarabiał na życie w czasach, gdy jeszcze mógł wypływać. Był klientem, jednym z pięciu rybaków próbujących zmusić rząd do przyznania im renty w wyniku utraty zdrowia na skutek zatrucia środowiska odpadami przemysłowymi. Cała piątka miała takie same objawy: czerwone wypryski na skórze, utratę apetytu, krwawienie z dziąseł, wypadanie włosów. George był ich rzecznikiem.

- Mówię ci, że to z przemysłu - stwierdził.
- Mnie nie musisz przekonywać, George.
- Więc zrób coś. Kończą mi się pieniądze. - Jego oszczędności były na wyczerpaniu, a rodzina musiała jeść.

Sądząc z miny jego adwokata, perspektywy nie przedstawiały się dobrze.

- Co mówią lekarze? - Przed sobą miała zawartość teczek George'a.

Niewiele tego było, jeżeli nie liczyć jej własnych listów do lekarzy i agencji rządowych, listów, które w większości pozostały bez odpowiedzi.

- Lekarze! Nie mają o niczym pojęcia. Chcą mnie wysłać na badania do Seattle.

18

- Więc jedź - powiedziała.

- Za co?! Ubezpieczalnia tego nie pokryje. Niby dlatego, że to dla sądu, a nie na leczenie.

Zamknięte koło ubezpieczeń społecznych. Wykaz lekarzy pod kuratelą zakładu ubezpieczeniowego, mówiących „nie” na wszystko, co kosztuje. System dławiony systematycznie, ledwie już dyszał.

George powiedział jej, że zakład ubezpieczeniowy gra na zwłokę, czekając na jego śmierć.

- Wtedy nie będzie ich to kosztowało ani centa.
- Potrzebuję orzeczenia lekarskiego - upierała się Joss. - Bez diagnozy nie ruszę sprawy z miejsca.

Aby uzyskać dla Hummela rentę, musiała wykazać industrialną przyczynę choroby, powiązaną z rodzajem jego pracy. Do tego potrzebny był lekarz, który by jej powiedział, używając terminów medycznych, co właściwie George'owi dolega. Potrzebowała nazwy choroby.

- Wszyscy wiemy, co to jest. To te cholerne dupki żołądne. - George używał tego niepochlebnego określenia w odniesieniu do sąsiadów za północną granicą - Od wieków wylewają ścieki do cieśniny. Wybierają nasze ryby; to co zostało, ma troje oczu. Wyciągnąłem wczoraj taką jedną. Rosły jej już przednie łapy, jak psu.

Spór o kurczące się łowiska łososi coraz bardziej się zaognił. Promy zatrzymujące się we Friday Harbor w drodze do Sydney i Vancouver były blokowane przez floty statków rybackich. Kanadyjczycy odpowiadali blokadą alaskańskiego promu na północ. Indianie wnieśli sprawę do sądu w obronie swoich praw łowieckich, przyznanych im na mocy traktatów „póki trawa rośnie i wiatr wieje”. Łososie nie były w stanie rozmnażać się dostatecznie prędko, by zadowolić wszystkich. Zbyt wiele statków uganiało się za jedną rybą.

- To dobra hipoteza, George - podjęła Joss, nawiązując do teorii o zatruciu zatoki przez Kanadyjczyków. - Ale potrzebuję dowodów, orzeczeń lekarskich, które mogłabym przedstawić rządowi.

- Przyniosę im pieprzoną rybę - powiedział George. - Tę z nogami.

Nie pierwszy raz rozmawiali na ten temat. Prawdę mówiąc, kręcili się w kółko. Dłonie George'a drżały. Był przerażony. Od ich ostatniego spotkania przed dwoma tygodniami choroba poczyniła duże postępy.

- Zrobili mi transfuzję. Wiedziałaś o tym?

- Nie wiedziałam.

- W zeszły czwartek. Powiedzieli, że mam anemię. Za mało czerwonych krwinek.

Joss zanotowała, żeby skonsultować się w tej sprawie z lekarzem. Może wynikło coś nowego?

- Nie powiedzieli, co mogło spowodować tę anemię?
- Nie, pytali tylko, czy mam do czynienia z chemikaliami.

19

- To już coś, na początek.
- Zupełnie jakby coś podejrzewali.

Lekarze nie lubili spraw o odszkodowanie, nawet jeżeli nie były wymierzone bezpośrednio w ich kieszenie. Ich podejrzania rzadko trafiały do kart chorobowych. Nie powiedziała o tym George'owi. Poczulby się jeszcze bardziej osamotniony.

- Muszę zostawić coś rodzinie - powiedział.

Kiedy popatrzyła na niego znad notatek, zrozumiała, że George myśli: „rak”. Przekroczył wielką granicę. Wiedział, że umiera, a Joselyn wiedziała, że George ma rację.

Powiedziała mu, aby nie tracił nadziei, próbowała podtrzymać go na duchu.

- To wcale nie musi być tak poważne, jak się obawiasz. - Oboje wiedzieli, że kłamie. - Porozmawiam z lekarzami. Spróbuję ich nakłonić, żeby podciągnęli badania pod ubezpieczenie. Postraszę ich procesem o brak dobrej woli i opieszałość. To ich może pobudzić do działania.

- Może?

- Nie jest to proste.

- Nie wiem, jak długo jeszcze pociągnę. Powiedziała, żeby się trzymał i przyszedł do niej za tydzień.

- Będę już coś miała do tego czasu - dodała. Ich spotkanie dobiegło końca.

- Zadzwonisz do mnie? - Popatrzył na nią wzrokiem basseta.

- Gdy tylko się czegoś dowiem.

- Zadzwońisz do lekarzy? - George z ociąganiem szedł w stronę drzwi.

Joss wstała z za biurka i odprowadziła klienta do wyjścia.

- Jeszcze dzisiaj. Najpierw zadzwonię, a potem napiszę. - Ujęła go za rękę.

Dłoń trzęsła się jak galareta.

W holu czekała żona George'a. Nie pozwalał jej uczestniczyć w sesjach z adwokatem, bojąc się, że podziałają na nią przygnębiająco.

W poczekalni siedział jeszcze jeden człowiek. Przyglądał się George'owi od chwili, gdy rybak ukazał się w drzwiach. Mężczyzna próbował ukryć swoje zainteresowanie, ale nie mógł nie patrzeć. George przedstawiał sobą widok, od którego nie można oderwać oczu, choćby się tego bardzo chciało, jak od beznogiego kaleki sprzedającego ołówki pod ścianą domu. Mężczyzna w poczekalni był dobrze ubrany: sweter z kaszmiru, skórzane półbuty. Miał szczupłą twarz, włosy w kolorze piasku, głęboko osadzone oczy. Widać było od razu, że jest człowiekiem serio i nie trzymają się go żadne głupstwa. Miał drogi zegarek i opaleniznę o specyficznym połysku, jaki nadaje jedynie słońce tropików. Nawet siedząc nieruchomo na krześle, wyglądał jak milion w gotówce. Nie należał do typowych klientów Joselyn.

Mężczyzna oderwał wzrok od George'a i poczuła na sobie jego spojrzenie.

George nadrabiał miną na użytek żony.

- Pani Cole pomoże nam z doktorami. Załatwi, że ubezpieczalnia zwróci nam za badania.

20

Składał obietnice, z których dotrzymaniem Joselny mogła mieć trudności.

- Wiedziałam, że nam pomoże. - Żona George'a uśmiechnęła się.

- Zadzwoń? - zwrócił się George do Joselyn.

- Nie martw się. Powiedziałam, że zadzwonię, to zadzwonię.

- Dziękuję. - George potrząsnął jej ręką. Żona ujęła go pod ramię, bardziej żeby pomóc mężowi, niż się na nim wesprzeć. Wyszli z biura na parking. Kiedy Joss się odwróciła, mężczyzna nie siedział już, lecz stał, zagradzając jej drogę do gabinetu.

- Joselyn Cole?

- Tak.

- Jestem Dean Belden. - Wyciągnął rękę z taką miną jakby oczekiwał, że ona skojarzy jego nazwisko.

- Czy my się znamy?

- Poleciał mi panią Dick Norman z banku.

Minęła chwila, zanim sobie przypomniała. Spotkała Normana raz, na zebraniu Izby Handlowej.

- Cóż, skoro podsyła mi klientów, może powinnam postawić mu lunch.

- Z pewnością byłby zachwycony. Ma pani to biuro chyba od niedawna. Nowiutkie.

Facet rozglądał się, szacując wzrokiem puste ściany i kącik recepcyjny za matową szybą zamknięty i ciemny.

- Nie miałam czasu zatrudnić recepcjonstki.

- Ciężko znaleźć kogoś odpowiedniego. - Spojrzał na nią z uśmiechem.

Belden był bystrym obserwatorem. Domyślił się, że w tym wypadku problemem jest nie brak czasu, lecz pieniędzy.

- Pani klient wyglądał na bardzo chorego. - Zrobił gest w stronę drzwi, za którymi zniknął Hummel.

- Tak.

- Będzie mu pani w stanie pomóc?

- Mam nadzieję.

- To coś poważnego?

W odpowiedzi wzruszyła ramionami.

- Przepraszam, nie powinienem pytać. Zdarza mi się, niestety, wtykać nos w nie swoje sprawy. Przypuszczam, że pani nawet nie wolno o tym mówić. To byłoby nieetyczne.

- Fakt.

- Mam tylko nadzieję, że to nic zaraźliwego.

Myśl, iż mogłaby zarazić się od George'a, nigdy nie powstała jej w głowie, aż do tej chwili.

- Chyba jesteśmy bezpieczni. Czy mógłby pan powtórzyć swoje nazwisko?

- Belden. Dean Belden. Proszę mówić do mnie Dean.

- A więc, Dean, co mogę dla pana zrobić?

21

- Mam mały interes.

- Więc zapraszam do biura. - Ruszyła w stronę drzwi do gabinetu, a Dean poszedł za nią.

- Zamierzam otworzyć fabryczkę na wyspie - zaczął, zanim jeszcze usiedli. Nie należał do ludzi tracących czas.

- Fabryczkę?

- Właściwie montownię.

- Proszę, niech pan siada.

- Sprzęt elektroniczny. - Usiadł na jednym z krzeseł przeznaczonych dla klientów, jakby upatrzył je sobie z góry. - Przeważnie przełączniki do komputerów przemysłowych. Pewnie zastanawia się pani, dlaczego

wybrałem te wyspy?

- Właściwie nie - powiedziała Joss. - Napije się pan kawy?

- Nie, dzięki. Mamy kontrakt na zaopatrzenie firmy w Kanadzie, więc lokalizacja nam odpowiada. Potrzebne mi pozwolenie na działalność gospodarczą w stanie Waszyngton. Numer identyfikacyjny. Wszystko, co trzeba.

Joss nalała sobie kawy. Zastanawiała się, czy facet z banku nie pomylił jej z innym prawnikiem w mieście. Prawo przemysłowe nie było jej mocną stroną. Kiedy wróciła za swoje biurko, miała wątpliwości wypisane na twarzy.

- Potrafi pani załatwiać takie rzeczy, prawda? Jestem gotowy wypłacić dużą zaliczkę.

Brzęk pieniędzy. Teraz słuchała go dużo uważniej.

- Och, oczywiście, że potrafię zarejestrować małe przedsiębiorstwo. Po prostu jestem... - Szukała sposobu, by ukryć pustkę malującą się na jej twarzy. -W tej chwili mam sporo spraw. Ale prawdopodobnie uda mi się to wcisnąć. -Ujęła teraminarz i otworzyła go, ukrywając puste kartki przed wzrokiem klienta. - Mogłabym przesunąć to na inny dzień, a to na przyszły tydzień. - Podniosła wzrok. - W porządku.

Będzie to kolidowało z jej godzinami w czytelnicy i nocną sesją muzyczną. Uśmiechnął się, jakby umiał się poznać na kłamstwie.

- A ile wynosi pani normalne honorarium? Zanim zdołała otworzyć usta, mówił dalej.

- Przewidywałem dużą zaliczkę, wyliczoną na podstawie stawki godzinowej.

Belden musiał mieć gorączkę. Całą wiedzę Joselyn o prawie

przemysłowym można było spisać ręcznie na płytce małego paznokcia, ale wiedziała, że za rejestrację przedsiębiorstwa obowiązuje stała stawka. Najwyżej kilka tysięcy dolarów, w zależności od stopnia trudności. W niektórych rejonach kraju można to było załatwić pocztą.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć - powiedziała. - Pytam z ciekawości i moje pytanie nie oznacza, że nie wezmę tej sprawy, ale dlaczego nie wynajął pan dużej firmy w Seattle?

- Kosztowałyby mnie to więcej.

- Może - przyznała Joss.

22

- Mam mały interes.

- Więc zapraszam do biura. - Ruszyła w stronę drzwi do gabinetu, a Dean poszedł za nią.

- Zamierzam otworzyć fabryczkę na wyspie - zaczął, zanim jeszcze usiedli. Nie należał do ludzi tracących czas.

- Fabryczkę?

- Właściwie montownię.

- Proszę, niech pan siada.

- Sprzęt elektroniczny. - Usiadł na jednym z krzeseł przeznaczonych dla klientów, jakby upatrzył je sobie z góry. - Przeważnie przełączniki do komputerów przemysłowych. Pewnie zastanawia się pani, dlaczego wybrałem te wyspy?

- Właściwie nie - powiedziała Joss. - Napije się pan kawy?

- Nie, dzięki. Mamy kontrakt na zaopatrzenie firmy w Kanadzie, więc lokalizacja nam odpowiada. Potrzebne mi pozwolenie na działalność gospodarczą w stanie Waszyngton. Numer identyfikacyjny. Wszystko, co

trzeba.

Joss naląła sobie kawy. Zastanawiała się, czy facet z banku nie pomylił jej z innym prawnikiem w mieście. Prawo przemysłowe nie było jej mocną stroną. Kiedy wróciła za swoje biurko, miała wątpliwości wypisane na twarzy.

- Potrafi pani załatwić takie rzeczy, prawda? Jestem gotowy wypłacić dużą zaliczkę.

Brzęk pieniędzy. Teraz słuchała go dużo uważniej.

- Och, oczywiście, że potrafię zarejestrować małe przedsiębiorstwo. Po prostu jestem... - Szukała sposobu, by ukryć pustkę malującą się na jej twarzy. -W tej chwili mam sporo spraw. Ale prawdopodobnie uda mi się to wcisnąć. -Ujęła teraminarz i otworzyła go, ukrywając puste kartki przed wzrokiem klienta. - Mogłabym przesunąć to na inny dzień, a to na przyszły tydzień. - Podniosła wzrok. - W porządku.

Będzie to kolidowało z jej godzinami w czytelnicy i nocną sesją muzyczną. Uśmiechnął się, jakby umiał się poznać na kłamstwie.

- A ile wynosi pani normalne honorarium? Zanim zdołała otworzyć usta, mówił dalej.

- Przewidywałem dużą zaliczkę, wyliczoną na podstawie stawki godzinowej.

Belden musiał mieć gorączkę. Całą wiedzę Joselyn o prawie przemysłowym można było spisać ręcznie na płytce małego paznokcia, ale wiedziała, że za rejestrację przedsiębiorstwa obowiązuje stała stawka. Najwyżej kilka tysięcy dolarów, w zależności od stopnia trudności. W niektórych rejonach kraju można to było załatwić pocztą.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć - powiedziała. - Pytam z ciekawości i

moje pytanie nie oznacza, że nie wezmę tej sprawy, ale dlaczego nie wynajął pan dużej firmy w Seattle?

- Kosztowałyby mnie to więcej.

- Może - przyznała Joss.

22

- Poza tym zamierzam pracować i mieszkać na wyspach, pomyślałem więc, że lepiej wziąć kogoś stąd. Będzie mi potrzebny miejscowy prawnik również do innych spraw.

Joselyn nie chciała zbędną dociekliwością zniechęcić klienta.

- Do jakiego rodzaju spraw? Spojrzał na nią z zadumą

- Potrzebna mi licencja eksportowa. Głównie do handlu z

Kanadyjczykami. Prosta sprawa. Nigdy pani tego nie robiła?

- Nie. - Nie zamierzała kłamać.

- Jestem pewny, że szybko się pani nauczy. To naprawdę proste. Jak pilotowanie samolotu, wystarczy raz zasiąść za sterami.

- Nie latam - oznajmiła.

- A ja tak.

- Dlaczego nie jestem tym zdziwiona?

Popatrzyli na siebie i wybuchnęli śmiechem. To przełamało lody.

Beldena nie można było zaliczyć do mężczyzn nieatrakcyjnych. Gładko przyczesane włosy siwiały na skroniach. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i sylwetkę sportowca. Koszulka polo napinała się we wszystkich właściwych miejscach.

- Jest pani zainteresowana? - zapytał. I to bardzo, pomyślała Joss.

- Myślę, że skompletuję dla pana te dokumenty - powiedziała.

- Nie, nie - zawołał Belden. - Chcę wypłacić zaliczkę za usługi, jakie

będzie pani świadczyła firmie w charakterze stałego doradcy. - Odsłonił w uśmiechu równe, białe zęby, które mogłyby posłużyć jako reklama zakładu stomatologicznego. Jego oczy miały odcień zieleni, jakiego nigdy przedtem nie widziała.

- Może skończyć się na tym, że wykupimy gros pani czasu - powiedział.

- Mój zawodowy czas jest na sprzedaż.

- Ale pani nie. - Było to raczej oświadczenie, niż pytanie, ale odpowiedziała.

- Lubię pracować na własną rękę.

- Niezależna kobieta. Rozumiem. Rzeczywiście, wymagałoby to ograniczenia praktyki. - Spojrzał na nią i uśmiechnął się leciutko, jakby wiedział, że nie cierpi na nadmiar pracy.

- To już mój kłopot.

- Wspaniale! A więc jesteśmy umówieni. - Z kieszeni wyjął książeczkę czekową i pióro. - Jaką zaliczkę pobiera pani zwykle?

- Na wyspie z reguły żadnej. Spojrzał na nią pytająco.

- Moi klienci to miejscowi - wyjaśniła. - Wystawiam im rachunek, a oni płacą. Kiedy mogą.

- A więc dziesięć tysięcy?

Na szczęście jej krzesło dalej się już nie odchylało, inaczej znalazłaby się na podłodze.

23

- Poza tym zamierzam pracować i mieszkać na wyspach, pomyślałem więc, że lepiej wziąć kogoś stąd. Będzie mi potrzebny miejscowy prawnik również do innych spraw.

Joselyn nie chciała zbędną dociekliwością zniechęcić klienta.

- Do jakiego rodzaju spraw? Spojrzał na nią z zadumą.
  - Potrzebna mi licencja eksportowa. Głównie do handlu z Kanadyjczykami. Prosta sprawa. Nigdy pani tego nie robiła?
  - Nie. - Nie zamierzała kłamać.
  - Jestem pewny, że szybko się pani nauczy. To naprawdę proste. Jak pilotowanie samolotu, wystarczy raz zasiąść za sterami.
  - Nie latam - oznajmiła.
  - A ja tak.
  - Dlaczego nie jestem tym zdziwiona?
- Popatrzyli na siebie i wybuchnęli śmiechem. To przełamało lody. Beldena nie można było zaliczyć do mężczyzn nieatrakcyjnych. Gładko przyczesane włosy siwiały na skroniach. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i sylwetkę sportowca. Koszulka polo napinała się we wszystkich właściwych miejscach.
- Jest pani zainteresowana? - zapytał. I to bardzo, pomyślała Joss.
  - Myślę, że skompletuję dla pana te dokumenty - powiedziała.
  - Nie, nie - zawołał Belden. - Chcę wypłacić zaliczkę za usługi, jakie będzie pani świadczyła firmie w charakterze stałego doradcy. - Odsłonił w uśmiechu równe, białe zęby, które mogłyby posłużyć jako reklama zakładu stomatologicznego. Jego oczy miały odcień zieleni, jakiego nigdy przedtem nie widziała.
  - Może skończyć się na tym, że wykupimy gros pani czasu - powiedział.
  - Mój zawodowy czas jest na sprzedaż.
  - Ale pani nie. - Było to raczej oświadczenie, niż pytanie, ale odpowiedziała.
  - Lubię pracować na własną rękę.

- Niezależna kobieta. Rozumiem. Rzeczywiście, wymagałoby to ograniczenia praktyki. - Spojrzał na nią i uśmiechnął się leciutko, jakby wiedział, że nie cierpi na nadmiar pracy.

- To już mój kłopot.

- Wspaniale! A więc jesteśmy umówieni. - Z kieszeni wyjął książeczkę czekową i pióro. - Jaką zaliczkę pobiera pani zwykle?

- Na wyspie z reguły żadnej. Spojrzał na nią pytająco.

- Moi klienci to miejscowi - wyjaśniła. - Wystawiam im rachunek, a oni płacą. Kiedy mogą

- A więc dziesięć tysięcy?

Na szczęście jej krzesło dalej się już nie odchyliło, inaczej znalazłaby się na podłodze.

23

- Za godzinę? - Ponownie podniósł wzrok.

Miała trudności z zaczerpnięciem oddechu, ale nie z myśleniem.

- Dwieście za godzinę. - Suma znacznie przewyższała jej normalną stawkę, ale wyglądało na to, że budżet Beldena na tym nie ucierpi.

- Co pani powie na trzysta? - zaproponował.

- Powinien pan zostać moim menedżerem.

- Chcę się po prostu upewnić, że prawnik odbierze mój telefon, kiedy będę miał problem.

Siadając, położył przy nodze krzesła skórzany folder. Teraz wyciągnął z niego zwykłą brązową kopertę i zaczął wypisywać czek.

- Myślę, że znajdzie tu pani wszystkie potrzebne informacje. - Ruchem głowy wskazał kopertę. - Jeżeli będzie pani miała jakieś pytania, znajduje się tam również moja wizytówka. Proszę dzwonić.

- Dla pełnej jasności - powiedziała - jest coś, o czym powinien pan wiedzieć. Nie podniósł głowy. Był zbyt pochłonięty wpisywaniem zer w odpowiednie kratki na czeku.

- Wiem - powiedział. - Nie ma pani dużej praktyki w prawie przemysłowym.

- Czy to widać?

- Nie.

- Więc jak pan zgadł?

- Bankowiec mi powiedział. - Patrzył na nią teraz, świdrował Joss zielonym spojrzeniem, uśmiechając się jej prosto w twarz.

- Przecież mówił pan, że on mnie polecił.

- Bo polecił. Bardzo gorąco. Zapytałem, czy zna dobrego prawnika w tym mieście. - Gdyby nie leciutki półuśmieszek, można by ulec wrażeniu, że jest śmiertelnie poważny. - Lista okazała się krótka - powiedział Belden w tak rozbijający sposób, że Joss nie mogła się nie roześmiać.

Śmiała się jeszcze, kiedy podał jej czek nad blatem biurka, wraz z teczką dokumentów.

Przyglądała się jej przez chwilę.

- Jak już mówiłem, w Seattle kosztowałoby mnie to co najmniej tyle samo.

Wyglądało na to, że Belden nawykł do przeprowadzania własnej woli.

Było

w nim coś z wojskowego, wydawanie rozkazów przychodziło mu z łatwością. Nie wiedziała, czy to jej się podoba, wiedziała natomiast, że podoba się jej kwota figurująca na czeku. Może to była przyczyna jej niepokoju, świadomość, że się sprzedaje, prehandlowuje niezależność za

okrągłą sumkę.

- Ma pani zaliczkę, wszystkie potrzebne materiały. Możemy uznać sprawę za załatwioną.

Ponownie spojrzała na czek.

- Chyba tak.

- Proszę, niech pani nie będzie taka smutna - powiedział. - Fakt posiadania pieniędzy nie powinien wywoływać depresji.

24

- Och, nie wywołuje! - Przybrała pogodny wyraz twarzy.

- To dobrze. A teraz proszę mi powiedzieć, co panią przywiodło na wyspy?

-Zabrzmiało to tak, jakby zakończył rozmowę o interesach i uznał, że czas na przyjemności. Joss wydawał się aż nazbyt konkretny i prędki.

- Skąd pan wie, że się tu nie urodziłam?

- Nie wygląda pani na wyspiarkę.

- A więc wyspiarze mają specyficzne cechy zewnętrzne?

- Lekkie omszenie od strony północnej - powiedział. - Wygląda pani...

-zastanowił się przez moment - na rodowitą Kalifornijkę.

- Czy to aż tak oczywiste? Widocznie mech nie zdążył się jeszcze uformować.

- Pewną wskazówką jest również licencja na ścianie. -Skinął głową stronę oprawionego certyfikatu izby kalifornijskiej i waszyngtońskiej.

- Ma pan bystry wzrok.

- I ostre zęby - powiedział. Tego się właśnie obawiała.

- Może wybralibyśmy się wieczorem na kolację? - zapytał.

- Przykro mi. Mam inne plany. - Po zrealizowaniu czeku solidny stek i

Jim-my Buffet, pomyślała Joselyn. Facet był o wiele za prędki. Zamierzała

popytać o niego w mieście. Sprawdzi, czy ktoś go zna.

- Może innym razem?

- Może. Na kiedy chce pan mieć to gotowe? - Próbowała wrócić do interesu, poklepała kopertę na biurku.

- Och, nie wiem. Ile to może zająć, bez specjalnego pośpiechu?

- Tydzień, może dziesięć dni, jeżeli nie napotkam żadnych problemów.

- A więc zobaczymy się za tydzień. Wstał z krzesła.

- Nie musi mnie pani odprowadzać, trafię do wyjścia. Do zobaczenia za tydzień.

2

Santa Crista, stan Kalifornia

Gideon van Ry huśtał się leniwie na starym biurowym krześle. Było koślawe i zbyt małe na jego wysoką chudą postać. Przed nim na wysłużonym biurku leżał stos papierów: trzytygodniowy zbiór korespondencji i raportów. Van Ry był inspektorem ONZ i właśnie wrócił z Bliskiego Wschodu.

Urodził się pod Rotterdamem i spędził większość dzieciństwa w Hadze. Jego ojciec był emerytowanym urzędnikiem państwowym. Gideon nie widział rodziców od dwóch lat, chociaż rozmawiał z nimi przez telefon przynajmniej raz w miesiącu, częściej, jeżeli pozwalały na to okoliczności.

25

Jak wielu jego rodaków, Gideon nauczył się angielskiego nie w Holandii, lecz w Wielkiej Brytanii. Ukończył oksfordzki wydział fizyki, ale wiedzę praktyczną zdobył później. Specjalizował się w magnetycznym rezonansie nuklearnym. Spędził dwa lata w CalTech w południowej Kalifornii, gdzie nauczył się wszystkiego, co można wiedzieć o budowie broni nuklearnej.

Od dzieciństwa wykazywał uzdolnienia manualne. Kiedy miał osiem lat, rozebrał na części rodzinny zegar po dziadku. Zegar już nigdy nie pokazywał właściwej godziny, ale rodzice Gideona nie oddali czasomierza do naprawy. Matka zatrzymała go jako pamiątkę dzieciństwa swego jedynaka.

Ktoś obserwujący teraz Gideona mógłby się obawiać, że Holender lada chwila wyląduje na podłodze, ale jego długie nogi służyły jako przeciwwaga. Odwrócił się lekko ku oknu, z dokumentem w dłoni, i przeciągnął palcami przez długie, kręcone blond włosy. Miał niebieskie oczy, piegowate policzki i jasną cerę.

- Czytałaś to? - Mówił z lekkim holenderskim akcentem. Zwracał się do kobiety stojącej w drzwiach jego gabinetu.

- Tak. - Caroline Clark była Brytyjką studentką ostatniego roku Uniwersytetu Princeton, gdzie robiła dyplom z fizyki. Była jedną z czterech stażystów przypisanych do zespołu van Ry'a.

Przez instytut przewijała się spora liczba studentów, niektórzy odbywali tylko wymagane sześć miesięcy stażu, inni zostawali na dwa lata. Wielu z nich po powrocie do swoich krajów współtworzyło programy kontroli zbrojeń i politykę zagraniczną. Był to jeden z głównych celów instytutu: zasiać ziarno w urodzajnej międzynarodowej glebie.

- Pokazałaś raport jeszcze komuś?

- Na razie nie. Zrobiłabym to, gdybyś dzisiaj nie wrócił. Uznałam, że to nie powinno czekać.

- Masz rację.

Notatki były enigmatyczne, wystukane byle jak na małym laptopie i wydrukowane na przenośnej drukarce. Autor wysłał raport ekspresem, ale

i tak upłynęły trzy dni zanim dokument dotarł z miasteczka Salla na granicy fińsko-rosyj-skiej, do Santa Crista na wybrzeżu kalifornijskim. Materiały zostały zebrane przez obserwatora, który przyjechał do Salla z Murmańska. Wystukał swój raport dopiero po przekroczeniu granicy fińskiej.

Instytut Zapobiegania Rozprzestrzenianiu Broni Masowej Zagłady (w skrócie IAMAD), miał umowę z rządem rosyjskim o współpracy, przyświecał im bowiem wspólny cel - monitorowanie, a zwłaszcza zapobieganie kradzieżom broni nuklearnej i materiałów rozszczepialnych na terenie byłego Związku Radzieckiego.

Mimo to ludzie zbierający informacje dla instytutu spisywali swoje spostrzeżenia dopiero po przekroczeniu granicy. Państwa tamtego regionu stosowały dość szeroką interpretację terminu „szpiegostwo”.

IAMAD robił wszystko, by uniknąć oskarżeń o popieranie takiego czy innego rządu. Jego informacje były ogólnie dostępne. Każdy, kto chciał, mógł się

26

wlogować do bazy danych Instytutu i uzyskać wgląd w najbardziej wyczerpującą listę nuklearnej, biologicznej i chemicznej broni na świecie. IAMAD miał jeden cel: rzucić promień światła w ciemną szczelinę współczesności, śmiertelnie niebezpieczny handel bronią masowej zagłady.

Instytut, założony pod koniec lat osiemdziesiątych rozrastał się i obecnie zajmował potężny hiszpański bungalow w zabytkowej części Santa Crista. Była to zwodniczo sielankowa lokalizacja dla instytucji, której działalność wymagała od stałych pracowników i studentów podróży w najbardziej

zagrożone rejony świata: na Bliski Wschód, do republik byłego Związku Radzieckiego, do poszat-kowanej byłej Jugosławii, zarzewia konfliktów etnicznych.

- Co o tym sądzisz? - zapytał Gideon.

Wzruszyła ramionami na znak, że nie można mieć pewności.

- Zwyczajny błąd w zapisie? - Zabrzmiało to jak pobożne życzenie.

- Znam tamtejsze problemy. Brak ludzi, brak pieniędzy. Ciągły bałagan w dokumentach.

- To prawda. - Gideon wiedział, że należy to sprawdzić. - Mamy kogoś w tamtym rejonie?

- Dick Gergen był w Moskwie, ale wyjechał wczoraj rano. Nie udało mi się go złapać. Jest już pewnie w drodze powrotnej.

- Cholera! Trzeba tam będzie kogoś wysłać. Sprawdziłaś ostatni raport?

- I jeszcze poprzedni - powiedziała Caroline. -W dwóch ostatnich wszystko się zgadza. Niedobory wykazuje tylko ostami.

Gideon sięgnął po dokumenty. Wpatrywał się w raport, jakby odpowiedź mogła wzlecieć ku niemu z kartki papieru. Wiedział, że tak się nie stanie.

- Sprawdziłam cztery razy - powiedziała Caroline. - Albo je przeoczyli, albo zniknęły.

- Mogły zostać rozmontowane? - zapytał. Potrząsnęła głową.

- Gdyby tak było, P-2-30-5 znalazłoby się w wykazie surowców. Nie figuruje tam.

Po koniec każdego miesiąca w Instytucie przeprowadzano coś w rodzaju inwentaryzacji materiałów rozszczepialnych. Jeżeli brakowało kilku kilogramów plutonu lub wzbogaconego uranu, ogłaszano alarm i wiadomość szła w świat.

Gideon zerknął na zegarek. Różnica czasu wynosiła jedenaście godzin.

- To nie może czekać. Jeżeli nie ma tam nikogo od nas, będę musiał zadzwonić do dyrektora, żeby uzyskać pozwolenie na podróż.

- Pojedziesz do Swierdłowska?

- Należałoby założyć, że my pierwsi weszliśmy w posiadanie informacji.

- Możemy powiadomić Międzynarodową Agencję Energii Atomowej.

- Tak. Za miesiąc, dwa wyślą tam kogoś, żeby to sprawdził.

- Nie można wykluczyć, że to pomyłka - powiedziała Caroline. - Wiesz, jacy są przepracowani. - Mówiła o rosyjskich technikach nuklearnych, naukowcach i wojskowych, nieopłacanych od miesięcy. \*

27

- Jeżeli tak, to skompromitujemy się wysyłając w świat błędne dane.

Popatrzyła na niego bezradnie.

- A jeżeli to nie jest błąd? - Gideon wiedział, że im bardziej dramatyczna staje się sytuacja w Rosji, tym większe ryzyko, że za odpowiednią opłatą strażnik spojrzy w inną stronę, technik wyniesie z fabryki kilka kilogramów uranu. - Musimy mieć pewność.

Caroline skinęła głową.

- Wiadomo już, czy Rosjanie odkryli brak? - spytał.

- To mało prawdopodobne - odparła. - Zebranie tych informacji zajęło naszemu człowiekowi tydzień. Do tego trzeba dodać dwa dni na podróż do Finlandii. I trzy, może cztery dni na przesłanie raportu.

- Kiedy go dostałaś?

- Dwa dni temu.

- Co daje nam w sumie dwa tygodnie - podsumował Gideon. Jeżeli rzeczywiście skradziono bombę, kiedy to się stało?, zastanawiał się.

Przyjąwszy najgorszy z możliwych wariantów, obliczał już, ile czasu mieli złodzieje, by wywieźć ładunek w świat.

- Są dwie możliwości. - powiedział. - Albo popełniono błąd w ewidencji, i to dosyć poważny...

Caroline skinęła głową.

- ... albo jest to przypadek zagubienia broni nuklearnej lub zagubienia rozmontowanej broni z materiałami do produkcji broni nuklearnej. Tak czy inaczej, jeżeli my odkryliśmy niedobór, władze rosyjskie mogły to również zrobić. Sprawdź, czy nie ma śladu dochodzenia w tej sprawie.

Językoznawcy w Instytucie lub w Wojskowej Agencji Języków Obcych prześledzą gazety i wiadomości radiowe z regionu. Sprawdź, czy rosyjskie media nie donoszą o czymś niezwykłym.

- Więc nie chcesz zwrócić się bezpośrednio do władz rosyjskich?

- Jeszcze nie.

Caroline zanotowała polecenie. Poznała kilku rosyjskich naukowców i techników podczas zeszłorocznego objazdu szkoleniowego. Byli to ludzie oddani swej pracy i nie mogła uwierzyć, by któryś z nich sprzedał broń nuklearną na czarnym rynku.

Gideon podrapał się po policzku.

- Niepokoi mnie to, że skradziono dwie sztuki. Po co im dwie? - Popatrzył na Caroline.

- Skoro się powiedziało A, trzeba powiedzieć B? Zakładając, że to była kradzież.

Potrząsnął głową.

- Tak, ale to powoduje, że wzrasta ryzyko wykrycia.

Zdarzały się już kradzieże w celu sprzedaży na czarnym rynku, głównie

nisko-wartościowych materiałów rozszczepialnych, które przemycano z byłych państw -satelitów do Afganistanu. Kradzież odbywała się zwykle według tego samego schematu: ktoś wynosił z fabryki uran, po kilka gramów za każdym razem, dopóki nie

28

•i

uzbierał, dajmy na to, kilograma. Można było z tego skonstruować tak zwaną brudną bombę, która nie osiągała masy krytycznej niezbędnej do wywołania reakcji łańcuchowej, była jednak radioaktywna i posiadała duży zasięg rażenia.

Raport, który Gideon miał przed sobą, donosił o zniknięciu dwóch bomb nuklearnych z detonatorami. Było to wręcz niewiarygodne i dlatego Caroline miała wątpliwości. Gideon wiedział, że musi zdobyć więcej informacji, jeżeli chce przekonać przełożonych o swojej racji. Instynkt mówił mu, że deficyt nie jest wynikiem błędu inwentaryzacyjnego.

- Co wiemy o tych bombach?

Caroline miała w ręku notatki zawierające informacje, których nie wprowadzano zwykle do bazy danych instytutu. Nie była to wiedza przeznaczona dla szerokiej publiczności. Ze względów bezpieczeństwa Instytut nie podawał dokładnej lokalizacji zakładów zbrojeniowych, magazynów i rodzaju broni w nich składowanych. Byłoby to równoznaczne z wystawieniem ich na cel terrorystów i rosyjskiej mafii.

Caroline przebiegła wzrokiem odręczne notatki.

- Brakująca broń pochodzi ze Swierdłowska-45. To główny zakład rozbijający głowice jądrowe w południowo-centralnej części kraju.

Przemianowany rok temu. Teraz nazywa się Lesnoj.

Wyciągnęła z teczki mapę, podeszła do biurka i położyła ją przed Gideonem.

- Tutaj. - Wskazała punkt na mapie. - Przechowują tam pluton i uran do produkcji broni. Według naszych danych, jest to jeden z największych zakładów w Rosji. Rozbrajają około tysiąca pięciuset głowic rocznie.

- Idealne miejsce, jeżeli komuś zależało na tym, żeby coś zgubić - powiedział Gideon. - Są pewnie zawalieni robotą.

Przytaknęła.

- Niewłaściwe warunki składowania. Może upłynąć sporo czasu, zanim odkryją, że czegoś im brakuje. Znamy ich status?

Caroline przewróciła kilka kartek. Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej sklasyfikowała według kryterium bezpieczeństwa wszystkie zakłady produkujące lub przechowujące materiały rozszczepialne.

Caroline westchnęła ciężko.

- Status: „źle zabezpieczone”.

- Mogłem zgadnąć.

Rosjanie nie mieli pieniędzy, żeby sprostać międzynarodowym wymogom bezpieczeństwa. Zdarzało się, że dzieci wchodziły na teren zakładów zbrojeniowych przez dziury w ogrodzeniach z łańcuchów ogniowych i bawiły się o kilka kroków od bunkrów ziemnych, gdzie za przerdzewiałymi drzwiami przechowywano kanistry z plutonem. Był to niezawodny przepis na katastrofę.

- Nasi analitycy twierdzą że te dwie pozycje były przeznaczone do demontażu.

- Wiemy dokładnie, co to było?

- Doszliśmy drogą eliminacji. Wygląda na to, że były to stosunkowo

niewielkie formy w rdzeniach wyposażone w detonatory, dla dwóch pocisków

29

artyleryjskich. Sto pięćdziesiąt trzy milimetry. Zmontowane w latach sześćdziesiątych.

- Bez PALS, co?

- Bez.

PALS - skrót od „permissive action links” - to mechanizm bezpieczeństwa dla urządzeń nuklearnych uniemożliwiający ich detonację bez zezwolenia kolejnych komórek kontroli rządowej. Broń z początku lat sześćdziesiątych, wyprodukowana tak w Stanach, jak i w Związku Radzieckim, nie została wyposażona w takie zabezpieczenia, stając się towarem poszukiwanym przez terrorystów.

Wyraz twarzy Gideona mówił sam za siebie. Bomby, które można łatwo ukryć i zdetonować bez większych trudności. Marzenie terrorysty.

- Znamy ich moc? Caroline wzruszyła ramionami.

- Osiem dziesiątych kiloton, ale wiadomo, że to wartości zaniżone. -

Podczas zimnej wojny obie strony kłamały notorycznie, określając potencjał swojej broni.

- Jeżeli odpowiadają w przybliżeniu broni amerykańskiej tego typu, mają moc od dwóch do pięciu kiloton.

Czyli bomby lekkie, niekłopotliwe w transporcie i potężniejsze niż te, które zniszczyły Hiroszimę i Nagasaki. Jedna wystarczała, by zmieść z powierzchni ziemi centrum sporego miasta. Zdetonowane razem, mogły zniszczyć Manhattan i zabić w ułamku sekundy pół miliona ludzi, drugie pół pozostawiając na powolną śmierć.

Gideon ujął słuchawkę telefonu i wystukał dwucyfrowy numer linii wewnętrznej.

- Sally! - Sally była jego sekretarką. - Postaraj się umówić mnie na dzisiaj z dyrektorem. Powiedz mu, że to bardzo ważne. Odwołaj wszystkie moje popołudniowe spotkania. Jeżeli będziesz czegoś potrzebowała, jestem w domu.

Musiał się spakować. Nie wiedział, na jak długo wyjeżdża. Odłożył słuchawkę na widełki, podniósł aktówkę i sprawdził, czy paszport jest nadal w środku.

- Zamów mi lot, możliwie bezpośredni - zwrócił się do Caroline. - Z San Francisco do Moskwy. - Wiedział, że będzie musiał poczekać w Moskwie na połączenie na Syberię. Nigdy nie był w tym osławionym rejonie świata i na samą myśl o nim przeszły go ciarki.

Deer Harbor, wyspy Orkas

Stary ford pickup rocznik 1979 piał się piaszczystą drogą przechylony na bok niby pies z przetrąconym zadem. Był tak spryskany błotem, że brud

już się go nie imał. Na tylnej szybie widniała plakietka wielkości tablicy rejestracyjnej :

Jeżdżę, bo lubię

Dzwoń 1-800- pocałuj się - w d...

Furgonetka zjechała na zakurzony parking przed metalowym barakiem.

Cha-ney wysiadł z wozu i zatrzasnął za sobą drzwiczki.

- Spóźniłeś się - powiedział mężczyzna stojący przed budynkiem, pośród rozgniecionych petów.

Chaney rzucił mu ostre spojrzenie.

- Wystaw mi rachunek za swój stracony czas.

- Po co bawimy się w gierki z tymi oszołomami? Nie rozumiem. Dlaczego pułkownik używa kodu? Jakbyśmy mieli do czynienia z legalnym rządem.

- Właśnie dlatego, że to oszołomy - powiedział Chaney. - Prędzej czy później popełnią błąd. Pułkownik nie chce, żeby to się odbiło na nas. Dlatego nie wolno ci się z nimi kontaktować, zrozumiałeś?

Mężczyzna skinął głową.

- Nie ma sprawy. Skąd wytrzasnąłeś furgonetkę? - Współpracownik Chaneya przyjrzał się obojętnie niesamowitemu fordowi, który wyglądał, jakby przeszedł test wytrzymałości metalu.

- Wtapiam się w lokalny koloryt - powiedział Chaney. - Ta bryka upodabnia mnie do miejscowych, nie uważasz?

- Pieprzyć lokalny koloryt. Chcę odwalić robotę i wrócić do domu.

- Cierpliwości, Henry. Za forszę, jaką dostaniemy za tę robotę, zrobisz sobie długie, miłe wakacje.

Współpracowali już pięć lat. Poznali się podczas służby w siłach pokojowych ONZ i od tamtego czasu trzymali się razem. Siły pokojowe! Śmiechu warte! Byli zawodowymi żołnierzami, a nie dano im nawet ostrej amunicji z obawy, że wywołają incydent międzynarodowy. Szybko się zwolnili: Niemiec Fritz, Amerykanin Oscar, Anglik Henry i pułkownik, który szkolił się w Afryce Południowej, ale używał brytyjskiego paszportu. Teraz mieli własną firmę. W ciągu ostatnich dwóch lat zbili małą fortunę, wynajmując swoje usługi.

- Co jest w środku? - Chaney kciukiem wskazał budynek.

- Cztery ściany i sufit.

Chaney postąpił kilka kroków i pchnął na wpół uchylone drzwi. Dokonał

szybkich oględzin baraku.

Betonowa podłoga upstrzona była plamami po oleju i smarach. W kącie poniewierały się kawałki pogiętego metalu, pod przeciwległą ścianą stał stół warsztatowy. Na blacie leżały ściernica i imadło, na podłodze parę zmiętych szmat oraz garść narzędzi: klucz maszynowy, śrubokręty i obcęgi.

Promienie światła przebiły się przez metalowy dach w miejscu, gdzie ktoś wywiercił niepotrzebne otwory.

31

- Jest tu dość mocy na spawalnicą? Będzie mi potrzebna.

- Tak. Do tego woda bieżąca i światło.

Jedną stronę budynku stanowiły drzwi, zawieszane na metalowej prowadnicy. Chaney zbliżył się do ściany, wsunął dłonie w szparę i pchnął mocno. Drzwi rozsunęły się z łoskotem po zewnętrznej stronie budynku. Powstały w ten sposób otwór, szeroki na cztery metry i wysoki na trzy, zyskał pełną aprobatę Chaneya.

- Kto jest właścicielem?

- Kobieta z Kirkland. To miasteczko na lądzie. Jej mąż wykorzystywał budę do „rozbiórki samochodów”, jak to nazwał. Rozmontowywał kradzione samochody i sprzedawał na części.

- Aha.

- Dopóki jeden z nich nie spadł z podnośnika - dokończył Henry.

-Zmiażdżył mu nogi.

- Pech - orzekł Chaney. - Miejsce w sam raz dla nas. Na uboczu. Ten interes samochodowy. Interesowała się nim policja?

- Nie. Sprawdziłem. Wywieźli stąd faceta i dopiero wtedy wezwali

ambulans. Wóz odstawili na cmentarz samochodów przy autostradzie, a potem uprzątnęli to wszystko, co się znajdowało na miejscu. Policja nie widziała tej budy na oczy.

- Bardzo dobrze. Co wiesz o właścicielach?

- Facet chodzi o lasce. Kobieta trzyma kasę.

- Duże prawdopodobieństwo, że przylecą sprawdzić, co i jak? Henry potrząsnął głową.

- Praktycznie żadne. Zrobiłem, jak pułkownik kazał. Powiedziałem, że będziemy płacić pod koniec każdego miesiąca. Dwa razy więcej niż wynosi normalna stawka za wynajem. Powiedziałem, że będziemy mieli duże zużycie prądu. Dałem do zrozumienia, że chodzi o narkotyki. Że zakładamy dużą plantację marychy i instalujemy lampy. Potem już o nic nie pytali. Stary wykombinował sobie, że im mniej będzie wiedział, tym lepiej. Jakby co, zawsze może powiedzieć, że nie miał o niczym pojęcia. Wtedy nie mogą skonfiskować własności.

- W porządku. Trzeba zagrozić drogę łańcuchem. Rozstawcie tablice „Wstęp wzbroniony” i sprowadźcie złe psy. Mówię o naprawdę złych psach, które rozerwą na strzępy wszystko, co się rusza. Przywiąż je na zewnątrz budynku, ale na długim łańcuchu. I ktoś musi tu być przez cały czas. Musi tu nocować.

Henry słuchał uważnie.

- Ile mamy czasu?

- Wystarczająco dużo. Ale nie tyle, żeby go marnować. Pułkownik powiedział mi dzisiaj, że rządowi zaczęli węszyć, szukają organizacji. - Roześmiał się krótko. - Na szczęście dla nas zabrnęli w ślepą uliczkę. Jeszcze raz rozejrzał się po wnętrzu budynku.

- Możemy uznać, że przez dziesięć dni jesteśmy tu bezpieczni.

- Zdążymy w dziesięć dni? - zapytał Henry.

32

- Zdążę zrobić ciężarówkę. Na farmie z drugiej strony wyspy stoi stara cysterna. Znalazłem ją w zeszłym tygodniu, rozmawiałem z właścicielem. Mogę ją kupić i przerobić na kontener. Problem w czym innym. Jak się z tym obchodzić, żeby nie skończyć w charakterze świetlików.

- Wiem - powiedział Henry. - Dlatego nie lubię mieć z tym do czynienia.

- To zmartwienie Thorna. I tego Rosjanina. W końcu jest specjalistą. Wie, co robi.

- Szkoda tylko, że siedzi w więzieniu okręgowym.

- Rosjanin to mój problem - powiedział Oscar.

- Twój?

- Thorn wie, jak go wyciągnąć.

- Lepiej niech się pośpieszy. Ja nie dotknę tego świństwa.

- Nie martw się na zapas.

- Tak samo mówili w Czarnobylu. Teraz wydają na świat dzieci z czterema nogami i jednym okiem na środku czoła. A ja chciałbym mieć przynajmniej jeszcze jedno dziecko. I nie strzelać w żonę pustymi nabojami.

- Wyświadczylibyśmy potomności przysługę - powiedział Oscar.

Roześmieli się. Henry śmiały się głośniejsze, gdyby nie martwiło go ryzyko związane z robotą.

- A tymczasem sprowadź mi tu dwa pieprzone psy, jasne? - Oscar parodiował sposób mówienia oszołomów, którym wydawało się, że go wynajęli.

Henry skinął głową. Spotkanie dobiegło końca. Oscar ruszył w stronę furgonetki.

- Aha! - odwrócił się. - Prawie bym zapomniał. Będzie nam potrzebny nawóz. Niech ktoś przywiezie tu przenośną latrynę. Wiesz, jak to wygląda? Zainstaluj ją gdzieś w pobliżu i dopilnuj, żeby z niej korzystali.

- Dlaczego?

- Nieważne. Po prostu zrób to.

Oscar Chaney wiedział, że coś mu podłożyli: bombę z farbą albo niesławny elektroniczny detektor. Kiedy przejechał z piętnaście przecznic i nic nie wybuchło, uznał, że to musi być detektor.

Istnieje wiele głupich przestępstw, a napad na bank należy do najgłupszych z nich i Chaney o tym wiedział. Nie miał jednak wyboru. Był to najlepszy sposób, by dać się złapać FBI, ponieważ napad na bank zaliczał się do przestępstw federalnych. Na mocy umowy między rządem federalnym a stanowym FBI przetrzymywało swoich przestępców w Kent do czasu procesu. W Kent przebywał Rosjanin i Chaney musiał go wydostać, zanim federalni się zorientują kogo złapali.

Tukwila, stan Waszyngton

3 - Masa krytyczna

33

Zamiast siedzieć spokojnie w domu, jak doradzał Chaney, Rosjanin wybrał się do dzielnicy rozpusty. Trzy dni temu próbował zapłacić rublami prostytutce, za dużo wypił, zrobił się agresywny. Dziewczyna urządziła scenę, co sprowadziło alfonsa. Czenko zainkasował cios w szczękę, a alfons zobaczył przed sobą otwór lufy taurusa kaliber czterdzieści pięć. Na szczęście skończyło się na wymianie ostrych słów. Zjawili się gliniarze i

Czenko powędrował do aresztu wraz z alfonsem. Jeden telefon do biura imigracyjnego i okazało się, że Rosjanin jest w kraju nielegalnie, co wraz z nielegalnym posiadaniem broni załatwiło mu miejscówkę w Kent.

Chaney spoglądał co chwila na brązową papierową torbę spoczywającą na siedzeniu pasażera. Zostawił kasjerce pełną swobodę ruchów. Wiedział, że dała mu trefną paczkę, plik studolarówek, coś, czemu złodziej nie jest w stanie się oprzeć. Mógł to być eksplodujący pojemnik niezmywalnej farby w jaskrawym kolorze, z domieszką gazu obezwładniającego. Gdyby wybuchło, Chaney miałby to na sobie, suficie i siedzeniach wozu.

Prokuratorzy uwielbiali tego rodzaju dowody. Prawdę mówiąc, nie sposób wytłumaczyć się z tego przed ławą przysięgłych.

Farba miała jedną wadę. Jeżeli wybuchła za szybko, w banku, przestraszony bandyta mógł wpaść w panikę i wziąć zakładników lub, co gorsza, zacząć strzelać.

Dużo większym wzięciem w kręgach policyjnych cieszył się elektroniczny detektor. Nadajnik, wsunięty między dwa studolarowe banknoty, uruchamiał się automatycznie przy otwarciu szufladki w kasie.

Chaney uznał, że już go namierzyli. Sznur nieoznakowanych samochodów sunął za nim niespiesznie na niemal pustej ulicy. Po co urządzać pościg, kiedy można podjechać z podejrzanym aż pod drzwi jego domu?

Chaney nie miał przy sobie broni. Zakładał, że kasjerka nie poprosi o pokazanie spluwy, wystarczy więc, jeżeli włoży rękę do kieszeni i postraszy ją palcem. Chodziło o to, by dać się złapać, nie zastrzelić.

Miał tylko dwa dni, żeby znaleźć Rosjanina i wydostać go na wolność.

Bez Czenki akcję trzeba będzie odwołać. Tylko on potrafi złożyć bombę i zagwarantować, że wybuchnie.

Chaney skręcił za róg i ujrzał niebieskie, czerwone i białe światła pięciu wozów policyjnych u wylotu ulicy. Droga była zabarykadowana, karabiny gotowe do strzału.

Trzy kolejne samochody zahamowały za nim z piskiem, odcinając odwrót przez skrzyżowanie. Wskoczyli z nich policjanci, wykorzystując otwarte drzwi jako osłonę.

- Wyjdź z samochodu z rękami w górze - odezwał się głos z megafonu.

-Tak, żeby je było widać.

Chaney wytknął za okno wszystkie dziesięć palców.

34

4

Friday Harbor, stan Waszyngton

Kiedy Joselyn przyjechała rano do biura, samochód Sam stał już w garażu. Sam przyszła do pracy wcześniej. Samatha Hawthorne. Jej gospodyni i najlepsza przyjaciółka na wyspie.

Sam była z gatunku twardzieli. Należała do tych niezniszczalnych ludzi, którzy w razie potrzeby potrafią się zaaklimatyzować nawet w piekle.

Mieszkała we Friday Harbor od piętnastu lat, była więc niemal rodowitą wyspiarką

Samantha miała czterdzieści pięć lat, a wyglądała na trzydzieści; hoża brunetka, zbyt nieznośna, by ktoś wytrzymał z nią w małżeństwie, kobieta, z którą trzeba się liczyć. Na drzwiach jej gabinetu wisiała drewniana tabliczka. Pod nazwiskiem widniał napis:

**DORADCA IHIPNOTERAPEUTA**

Idąc do swojego biura, Joselyn zerknęła przez uchylone drzwi gabinetu Sam. Przyjaciółka siedziała za biurkiem i wielkim stosem papierów.

- Cieszę się, że udało ci się tu dotrzeć - powiedziała Sam. - Zaspaliśmy troszkę, co?

Joselyn spojrzała na zegarek.

- Jest dopiero dziewiąta.

- I niektórzy z nas już pracują. Miałaś ciężką randkę?

- Właśnie! - Z formularzem rejestracji przedsiębiorstwa. Joselyn do późnej nocy pracowała nad dokumentacją firmy Beldena.

- Twój telefon się urywa od samego rana - powiedziała Sam.

Miały wspólną centralkę, którą Sam zainstalowała wraz ze swoim biurem. Zamierzała zdobyć jeszcze kilku lokatorów, żeby mogły podzielić koszty zatrudnienia recepcjonistki.

- Odebrałam w końcu, w samoobronie - ciągnęła Sam. - Nie mogłam pracować. - Przesunęła w stronę Joselyn różową karteczkę z wiadomością. Joss podeszła i wzięła ją z biurka.

- Kawy?-zapytałaSam.

Wiadomość pochodziła od Deana Beldena.

- Nie. Już piłam. Coś pilnego?

- Hmm?

- Ta wiadomość? - Tydzień, który sobie wyznaczyci, jeszcze nie minął.

- Średnio pilne - powiedziała Sam. - Sądząc po głosie, nie jest to ktoś, kto łatwo wpada w panikę.

35

Sam potrafiła wiele wydedukować nawet z tonu głosu w słuchawce.

Nalała sobie kawy z dzbanka na komodzie.

- To prawda. Ale czy powiedział, czego chce?

- Nie osiągnęliśmy takiego poziomu zażyłości. - Sam popatrzyła na Jose-

lyn ponad brzegiem kubka. - Co to za sprawa? Domowa? Kryminalna?

- Nie byłabyś zainteresowana.

- Skąd wiesz? Ma miły głos.

- Klient-przedsiębiorca. I płaci z góry. - Joss rzuciła Sam złośliwy uśmiech.

- Tym bardziej jestem zainteresowana. Interesy zawsze wiążą się ze stresem. - Sam puściła oko do przyjaciółki. - Może trzeba mu porady i pociechy.

- Nie licz na zbyt wiele. Dean Belden nie wygląda na faceta, któremu przeszkadza odrobina stresu. Wybierasz się gdzieś na lunch?

- Zadzwoń do mnie.

Joselyn poszła dalej korytarzem, otworzyła drzwi swojego gabinetu i położyła aktówkę na krześle. Wykręciła numer Beldena. Odebrał po pierwszym sygnale.

- Tak! - Jego ton wydał się Joselyn bardziej szorstki niż przy ich ostatnim spotkaniu.

- Pan Belden? Tu Joselyn Cole.

- A, pani Cole - powiedział o wiele łagodniej. - Mam problem. Muszę się z panią dzisiaj zobaczyć. - Brzmiało to bardziej jak rozkaz niż prośba.

Belden był nawykły do rozkazywania.

- Najchętniej zaraz - dodał.

Chce zwrotu pieniędzy, pomyślała Joselyn. Znalazł innego prawnika.

- Zabrałam się już za te dokumenty - powiedziała.

- Znakomicie.

- Wystąpiłam o zarejestrowanie i numer identyfikacyjny. Zastrzegłam nazwę.

- Wspaniale.
- Myślałam, że spotkamy się w przyszłym tygodniu. Do tego czasu miałabym już wszystko gotowe.
- Chodzi o coś zupełnie innego, nie związanego z rejestracją firmy.
- Rozumiem. Kiedy chce się pan ze mną spotkać?
- Zaraz. Będę u pani za dwadzieścia minut.

Odwiesił słuchawkę, zanim zdołała cokolwiek powiedzieć. Piętnaście minut później usłyszała kroki na podeście przed budynkiem. Drzwi do recepcji otworzyły się i zamknęły.

- Tutaj jestem! - zawołała przez zamknięte drzwi swojego gabinetu. Po kilku sekundach drzwi się uchyliły i w szparze ukazała się głowa Beldena.

- Mam nadzieję, że nie zburzyłem pani rozkładu dnia. Dziękuję, że zgodziła się pani mnie przyjąć.
- W porządku. Proszę wejść. W czym problem?

36

Sam potrafiła wiele wydedukować nawet z tonu głosu w słuchawce. Nalała sobie kawy z dzbanka na komodzie.

- To prawda. Ale czy powiedział, czego chce?
- Nie osiągnęliśmy takiego poziomu zażyłości. - Sam popatrzyła na Joselyn ponad brzegiem kubka. - Co to za sprawa? Domowa? Kryminalna?
- Nie byłabyś zainteresowana.
- Skąd wiesz? Ma miły głos.
- Klient-przedsiębiorca. I płaci z góry. - Joss rzuciła Sam złośliwy uśmiech.
- Tym bardziej jestem zainteresowana. Interesy zawsze wiążą się ze

stresem. - Sam puściła oko do przyjaciółki. - Może trzeba mu porady i pociechy.

- Nie licz na zbyt wiele. Dean Belden nie wygląda na faceta, któremu przeszkadza odrobina stresu. Wybierasz się gdzieś na lunch?

- Zadzwoń do mnie.

Joselyn poszła dalej korytarzem, otworzyła drzwi swojego gabinetu i położyła aktówkę na krześle. Wykręciła numer Beldena. Odebrał po pierwszym sygnale.

- Tak! - Jego ton wydał się Joselyn bardziej szorstki niż przy ich ostatnim spotkaniu.

- Pan Belden? Tu Joselyn Cole.

- A, pani Cole - powiedział o wiele łagodniej. - Mam problem. Muszę się z panią dzisiaj zobaczyć. - Brzmiało to bardziej jak rozkaz niż prośba. Belden był nawykły do rozkazywania.

- Najchętniej zaraz - dodał.

Chce zwrotu pieniędzy, pomyślała Joselyn. Znalazł innego prawnika.

- Zabrałam się już za te dokumenty - powiedziała.

- Znakomicie.

- Wystąpiłam o zarejestrowanie i numer identyfikacyjny. Zastrzegłam nazwę.

- Wspaniale.

- Myślałam, że spotkamy się w przyszłym tygodniu. Do tego czasu miałabym już wszystko gotowe.

- Chodzi o coś zupełnie innego, nie związanego z rejestracją firmy

- Rozumiem. Kiedy chce się pan ze mną spotkać?

- Zaraz. Będę u pani za dwadzieścia minut. Odwiesił słuchawkę, zanim

zdołała cokolwiek powiedzieć. Piętnaście minut później usłyszała kroki na podeście przed budynkiem. Drzwi do recepcji otworzyły się i zamknęły.

- Tutaj jestem! - zawołała przez zamknięte drzwi swojego gabinetu. Po kilku sekundach drzwi się uchyliły i w szparze ukazała się głowa Beldena.

- Mam nadzieję, że nie zburzyłem pani rozkładu dnia. Dziękuję, że zgodziła się pani mnie przyjąć.

- W porządku. Proszę wejść. W czym problem?

36

- Nie wiem, jak to wyjaśnić - powiedział. - Czuję się trochę zażenowany. Coś takiego przytrafia mi się po raz pierwszy w życiu. Od dziesięciu lat nie otrzymałem nawet mandatu.

- O co chodzi?

Usiadł na krześle dla klienta, po drugiej stronie biurka.

- Byłem wczoraj w biurze, kończyłem papierkową robotę. Wchodzi facet. Ubrany w niebieski garnitur i czarne kowbojskie buty. Wielki, czarny wąs. Wymięte ubranie. Pyta, czy to ja jestem Dean Belden. Patrząc na niego, przez chwilę się wahałem, czy powiedzieć tak czy nie. Rozumie mnie pani?

Skinęła głową.

- Potężny facet. Niespecjalnie uprzejmy, dosyć tęgi, zwłaszcza w środkowych partiach. Z wyglądu - były policjant. Powiedziałem mu, że jestem Belden. Co miałem robić?

- No i?

- Wręczył mi to. - Belden sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wydobył kopertę. - A potem odwrócił się na pięcie i wyszedł bez słowa.

Podał jej kopertę. Była już otwarta. Joselyn wyciągnęła ze środka pojedynczą kartkę papieru i rozłożyła ją na biurku.

Była pomięta i widniało na niej kilka plam po kawie oraz okrągły ślad w miejscu, gdzie postawiono kubek. Część drukowanych liter została zamazana.

- Wycierał pan tym podłogę?!

- Rozlałem trochę kawy.

- Trochę? Nie mogę odczytać daty stawienia się!

- Środa - powiedział. - Zakładam, że jest pani wolna? Spojrzała w kalendarz, ale nie odpowiedziała.

- Facet był pewnie urzędnikiem sądowym - odezwał się Belden. - Skąd mogłem wiedzieć?

- Albo szeryfem. - Próbowała czytać między wierszami wezwania, dopatrzeć się prawdy w twarzy, w oczach Beldena. Dokument był krótki, a twarz klienta nieprzenikniona.

- O co tu chodzi? - zapytała.

- Nie mam pojęcia.

- Powinien pan chyba wiedzieć, o czym chcą rozmawiać?

- Ale nie wiem.

Nie była pewna, czy mu wierzy.

Uniósł dwa palce, jak harcerz do przysięgi.

- Przysięgam.

Wezwanie nakazujące Beldenowi stawić się przed sądem federalnym w Se-attle nie zawierało żadnej informacji odnośnie natury sprawy.

- Czy w kopercie nie było nic więcej? - zapytała.

- Na przykład?

- Listu? Informacji?

- Nie, tylko to, co pani widzi.

37

- I to jest ta dobra wiadomość - pocieszyła go.

- Dlaczego?

- Nie ma listu wyszczególniającego pana prawa.

- Nie rozumiem?

- Gdyby prowadzono śledztwo przeciwko panu, otrzymałby pan list informujący o tym, jakie prawa panu przysługują. Głównie prawo zachowania milczenia. Fakt, że nie otrzymał pan tego listu, oznacza prawdopodobnie, że występuje pan w charakterze świadka, nie oskarżonego.

- Co powinienem zrobić?

- Przede wszystkim nie rozmawiać z nikim na ten temat. Nie rozmawiał pan, prawda?

- Nie.

- To dobrze. Gdyby śledztwo toczyło się przeciwko panu, radziłabym skorzystać z Piątej Poprawki. Stawić się w sądzie, żeby uniknąć aresztowania, ale zachować milczenie. Nadal może pan to zrobić.

- A nie pomyślą że jestem winny, skoro odmawiam współpracy?

- Zaszkozić może panu nie to, co pomyślą lecz to, co panu udowodnią. Wiedziała jednak, czym się może skończyć dochodzenie prowadzone na taką

skale. Sąd federalny mógł wywrócić życie obywatela do góry nogami, pozwać na świadków wszystkich jego sąsiadów i współpracowników, poświęcić rok na szkalowanie niewinnego człowieka i w rezultacie

wyprodukować jedynie brzydką tłustą plamę na jego dobrym imieniu.

- Grzebiąc w cudzej przeszłości, mogą dokopać się czegoś w pańskiej -powiedziała.

- Nigdy nie zrobiłem nic złego.

- Święty Belden, rozumiem! - Zwarła się z nim wzrokiem ponad blatem biurka. - A pańskie zeznania podatkowe? - spytała. - Przypuszczam, że są czyste jak łza. Nigdy nie skorzystał pan z ulgi, która panu nie przysługiwała?

Belden zmarszczył brwi i podniósł wzrok na sufit udając, że się namyśla.

- Zastanówmy się - powiedział, przykładając palec wskazujący do warg. - Chyba nie. Nigdy, jestem pewny. Moją jedyną zbrodnią jest nieokiełznana chęć, ale wszelkie czyny nierządne popełniam jedynie w wyobraźni.

Joss zmusiła się do zachowania powagi.

- Proszę! - powiedziała. - To nie są żarty.

- Wiem.

- Jeżeli nie chce pan z nimi współpracować, w porządku. Ale ja spróbowałabym uzyskać coś w zamian.

- Próbuję - powiedział.

- Proszę, panie Belden!

- Mów mi Dean.

- Dean! Możesz wpakować się w poważne kłopoty. Dobry prawnik doradziłby ci wystąpienie o status nietykalności, na wszelki wypadek.

38

- Skoro uważasz, że tak będzie najlepiej.

- Jeżeli nie jesteś przedmiotem śledztwa, władze nie powinny mieć nic przeciwko przyznaniu ci nietykalności.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że nie mogą wykorzystać przeciwko tobie nic, co powiesz przed sądem, o ile, oczywiście, będziesz mówił prawdę.

- W ten sposób można się wpakować w nieliczne kłopoty. Czego oni szukają?

- Naprawdę nie wiesz? Beiden potrząsnął głową.

- Sądzą widocznie, że jesteś w posiadaniu informacji, które są im potrzebne.

- Jakich informacji?

- Pomyśl! Może ma to związek z twoją pracą? Potrząsnął wolno głową jakby szukał w pamięci wskazówki.

- Czym się zajmowałeś przed przybyciem na wyspę?

- Elektroniką. Zawsze zajmowałem się elektroniką. To mój zawód.

- A może chodzi o kogoś, z kim robiłeś interesy?

W zielonych oczach pojawił się błysk zrozumienia. Beiden trzepnął się otwartą dłonią w czoło.

- Oczywiście! Że też nie pomyślałem o tym wcześniej!

- Nie pomyślałeś o czym?

- O Maksie Sperlingu. To musi być to!

- Kim jest Max Sperling?

- Robiłem z nim interesy jakieś dwa lata temu. Może trzy? - Zastanowił się przez chwilę. - Tak, będzie ze trzy lata temu. Dostarczał części elektroniczne z Silicon Valley. Słyszałem, że miał jakieś kłopoty z prawem, bo handlował kradzionymi chipami czy czymś takim. To było jakiś rok temu. Nie interesowałem się tym specjalnie. Wtedy już z nim nie współpracowałem.

- Co od niego kupowałeś?

- Chipy.

W głowie Joselyn odezwały się dzwoneczki alarmowe.

- Ile?

- Och, nie wiem. Za kilkaset tysięcy dolarów. To było niewielkie zamówienie. Był drobnym zaopatrzeniowcem. Jeździł po wybrzeżu.

Wyobraziła sobie tego faceta sprzedającego towar z budy ciężarówki i zastanawiała się, ile Beiden naprawdę wie.

- Podróżował. Magazyn miał w Bay Area, a przynajmniej tak twierdził. Ciężko było wtedy o chipy, zwłaszcza o te pozycje, które on miał.

- Dlaczego były takie wyjątkowe?

- Były niezbędne do produkcji przełączników, zaprojektowane specjalnie na potrzeby elektroniki.

Następne pytanie sformułowała z największą ostrożnością.

39

- Skoro uważasz, że tak będzie najlepiej.

- Jeżeli nie jesteś przedmiotem śledztwa, władze nie powinny mieć nic przeciwko przyznaniu ci nietykalności.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że nie mogą wykorzystać przeciwko tobie nic, co powiesz przed sądem, o ile, oczywiście, będziesz mówił prawdę.

- W ten sposób można się wpakować w nieliczne kłopoty. Czego oni szukają?

- Naprawdę nie wiesz? Beiden potrząsnął głową.

- Sądzą widocznie, że jesteś w posiadaniu informacji, które są im potrzebne.

- Jakich informacji?
- Pomyśl! Może ma to związek z twoją pracą? Potrząsnął wolno głową jakby szukał w pamięci wskazówki.
- Czym się zajmowałeś przed przybyciem na wyspę?
- Elektroniką. Zawsze zajmowałem się elektroniką. To mój zawód.
- A może chodzi o kogoś, z kim robiłeś interesy?

W zielonych oczach pojawił się błysk zrozumienia. Beiden trzepnął się otwartą dłonią w czoło.

- Oczywiście! Że też nie pomyślałem o tym wcześniej!
- Nie pomyślałeś o czym?
- O Maksie Sperlingu. To musi być to!
- Kim jest Max Sperling?
- Robiłem z nim interesy jakieś dwa lata temu. Może trzy? - Zastanowił się przez chwilę. - Tak, będzie ze trzy lata temu. Dostarczał części elektroniczne z Silicon Valley. Słyszałem, że miał jakieś kłopoty z prawem, bo handlował kradzionymi chipami czy czymś takim. To było jakiś rok temu. Nie interesowałem się tym specjalnie. Wtedy już z nim nie współpracowałem.
- Co od niego kupowałeś?
- Chipy.

W głowie Joselyn odezwały się dzwoneczki alarmowe.

- Ile?
- Och, nie wiem. Za kilkaset tysięcy dolarów. To było niewielkie zamówienie. Był drobnym zaopatrzeniowcem. Jeździł po wybrzeżu. Wyobraziła sobie tego faceta sprzedającego towar z budy ciężarówki i zastanawiała się, ile Beiden naprawdę wie.

- Podróżował. Magazyn miał w Bay Area, a przynajmniej tak twierdził. Ciężko było wtedy o chipy, zwłaszcza o te pozycje, które on miał.

- Dlaczego były takie wyjątkowe?

- Były niezbędne do produkcji przełączników, zaprojektowane specjalnie na potrzeby elektroniki.

Następne pytanie sformułowała z największą ostrożnością.

39

- Czy w czasie, gdy kupowałeś te chipy od pana Sperlinga, miałeś jakieś powody, by podejrzewać, że są kradzione?

Mówiąc to, mrugnęła znacząco. Żaden prawnik nie chce wiedzieć z absolutną pewnością że jego klient popełnił przestępstwo. Belden potrząsnął uroczyście głową.

- Nie, nigdy! Nie miałem najmniejszego powodu.

- Porozmawiajmy o cenie, jaką zapłaciłeś za ten towar. - To, co myślał Belden a co pomyśli ława przysięgłych, to dwie różne sprawy. - Zapłaciłeś normalną cenę?

- Kupiłem je po dobrej cenie - przyznał z ociąganiem. - Nie nazwałbym jej niesłychanie niską. Raczej wyjątkowo konkurencyjną.

- Jak wyjątkowo?

- W granicach rozsądku.

Westchnęła. Może rzeczywiście należało wystąpić o status nietykalności.

- Czy pan Sperling sprzedawał chipy jeszcze komuś prócz ciebie?

- Jasne. Wszystkim w mieście.

- Czy określiłbyś siebie jako jednego z głównych odbiorców?

- Nie wiem. Nie wydaje mi się. Byli inni.

- Kto?

- Nie potrafię wymieni nazwisk.
- Wic moge by jednym z gwnych odbiorcw?
- Mogem - powiedzia Belden.
- Ale utrzymujesz, e nie miae powodu podejrzewa, e co byo nie w porzdku? e w gr wchodziy kradzione materiay?
- Absolutnie nie. Robiem po prostu interesy. On sprzedawa, ja kupowaem.
- To typowa procedura przy kradzionej wasnoci - wyjania. - Wane s twoje odczucia.
- Byem przekonany, e to legalne.
- Masz jakie rachunki? Formularze zamowie?
- Moliwe. Musiabym poszuka.

Zapada chwila ciszy, podczas ktrej Joselyn poddaa wezwanie kolejnym ogldzinom.

- Co ci si nie podoba? - zapyta.
  - Nie podoba mi si to, czego brakuje.
  - Czego?
  - Gdyby chodzio im o transakcje ze Sperlingiem, kazaliby ci dostarczy dokumenty z tych operacji.
- Spojrza na ni i wzruszy ramionami.
- Chyba tak.
  - Ale nie zrobili tego.
  - Jeeli nie chodzi im o Sperlinga, to ju naprawd nie wiem o co. Nic innego nie przychodzi mi do gowy.

40

- Wic nie masz si czym przejmowa. Przypuszczam, e ch si

dowiedzieć tego, co ty wiesz. Ale na wszelki wypadek wystąpiłabym jednak o przyznanie nietykalności.

Z drugiej strony biurka dobiegło ją westchnienie ulgi.

- Na twoim miejscu stawiałabym się w sądzie i odpowiedziała zgodnie z prawdą na wszystkie pytania, ale tylko wtedy, gdy dadzą ci nietykalność.

W innym wypadku zachowaj milczenie i powołaj się na Piątkę.

- To znaczy, że nie pojedziesz ze mną?

- Nie sądzę, aby to było konieczne.

- Uważam, że wręcz przeciwnie.

- To cię będzie kosztowało mnóstwo pieniędzy.

- Nie szkodzi. Jesteś moim prawnikiem.

- Najprawdopodobniej twoje nazwisko figurowało na jakimś dokumencie lub zostało wymienione przez innego świadka.

- Najprawdopodobniej - powiedział. - Tak czy inaczej, chcę, żebyś tam była.

- Skoro nalegasz.

- Nalegam. Podaj mi tylko sumę. - Sięgnął już po książeczkę czekową

- Będę ci musiała policzyć za podróż.

- W porządku. - Zaczął pisać, zanim miała okazję coś jeszcze dodać.

-Robiłaś to już kiedyś?

- Nie przed sądem federalnym. Ale miałam klientów oskarżonych przez stan.

- Nie wiem, czy można uznać to za rekomendację. - Podniósł wzrok i roześmieli się oboje.

- Nie musisz płacić mi teraz.

- Nonsens. - Nie przerwał pisanania.

- Zadzwoń do biura prokuratora generalnego. Wątpię, czy powiedzą mi coś przez telefon, ale warto spróbować.

- Oczywiście. Próbuj.

- Naprawdę nie musisz wypłacać mi kolejnej zaliczki. Przedstawię ci rachunek.

Uśmiechnął się, nie odrywając pióra od papieru.

- Jesteś dla mnie taka miła, nie chcę, żebyś była stratna.

- Nie jestem stratna.

- Zaufaj mi. - Wyrwał czek z książeczki i położył przed nią na biurku.

Kiedy spytał, czy wie, gdzie jest Roche Harbor, wpatrywała się w liczbę 5000

figurującą w rubryce „kwota”.

- Spotkamy się na przystani w środę o siódmej rano.

- Zaczekaj chwileczkę! - zawołała. - Myślisz, że to wystarczy, żeby dotrzeć do Seattle?

- Bez obawy - powiedział. - Do środy. I już go nie było.

41

5

Jekaterinburg, na wschód od Uralu

Lot trwał sześć godzin, ale Gideon nie mógł spać. Podróż nad Uralem przypominała zjazd na sankach po zboczu usianym kamieniami. Aero-flot nie używał swoich europejskich airbusów na wewnętrznych trasach. Były zarezerwowane na loty zagraniczne, do Paryża, Londynu lub do Ameryki, tam, gdzie trzeba się było godnie zaprezentować.

Na trasie syberyjskiej używano starej floty tupolewów, niezdarnych maszyn, wyglądających tak, jakby zamierzały zanegować prawa

aerodynamiki. I czasami negowały. Nie było masek tlenowych nad głową i tylko niepoprawny optymista zastanawiałby się, czy poduszka fotela będzie się unosiła na wodzie.

Gideon był do tego przyzwyczajony. Włóczył się po Europie niemal zawodowo. Z Amsterdamu objechał większą część Europy, Azji, a także subkonty-nentu. Przywykł do sypiania w niewygodnych łóżkach i do dzielenia toalet z hordą innych gości hotelowych, nierzadko w podwórku. Ale nigdy nie odwiedził wschodniej części byłego Związku Radzieckiego, za Uralem. Była to ziemia bogata w minerały, pokryta tysiącami hektarów dziewiczego lasu, gdzie Stalin zbudował swoje gułagi, a kolejni przywódcy sowieccy chowali arsenał nuklearny. Ziemia, która mogła połączyć zachodnią Europę w całości i nawet nie czknać.

Kiedy samolot obniżył lot, Gideon ujrzał dziwny, surrealistyczny krajobraz, zielony dywan sosen i brzoź, ciągnący się ku wschodowi, aż po horyzont. Pasma bitych dróg wyłaniały się gdzieś z dziewiczego lasu niby brunatne wstążki, by po chwili zniknąć w morzu drzew. Nie dostrzegł żadnego samochodu, nawet tam, gdzie drogi były widoczne na dłuższych odcinkach, jakby samolot sunął nad niezamieszkaną planetą. Gideon wiedział, że to tylko złudzenie. Jekaterinburg był dwumilionowym miastem, jedną z najszybciej rozwijających się i najbogatszych aglomeracji Federacji Rosyjskiej. Nazwany na cześć Katarzyny Wielkiej, był faktorią futer w czasach, gdy Jefferson pisał Deklarację Niepodległości. Gideon widział zdjęcia pałaców zbudowanych przez futrzanych carów, masywne georgiańskie budowle, które nadal urozmaicały architekturę śródmieścia chociaż ich mury szerniały od sadzy.

Za władzy sowieckiej miasto nazwano imieniem Jakowa Swierdłowa, sekretarza Komitetu Centralnego partii komunistycznej. Istniał powód, dla którego bolszewicy pragnęli wymazać słowo „Jekaterinburg” z mapy świata. Rankiem 16 sierpnia 1918 roku w piwnicy jednego z największych domów w mieście popełniono morderstwo, które splamiło historię Rosji. Car Mikołaj i caryca Aleksandra, wraz ze wszystkimi swoimi dziećmi, ostatnimi z Romanowów, zostali rozstrzelani, a ich ciała zawleczono do lasu i tam pogrzebano.

42

Jekateńburg, na wschód od Uralu

Lot trwał sześć godzin, ale Gideon nie mógł spać. Podróż nad Uralem przypominała zjazd na sankach po zboczu usianym kamieniami. Aero-flot nie używał swoich europejskich airbusów na wewnętrznych trasach. Były zarezerwowane na loty zagraniczne, do Paryża, Londynu lub do Ameryki, tam, gdzie trzeba się było godnie zaprezentować.

Na trasie syberyjskiej używano starej floty tupolewów, niezdarnych maszyn, wyglądających tak, jakby zamierzały zanegować prawa aerodynamiki. I czasami negowały. Nie było masek tlenowych nad głową i tylko niepoprawny optymista zastanawiałby się, czy poduszka fotela będzie się unosiła na wodzie.

Gideon był do tego przyzwyczajony. Włóczył się po Europie niemal zawodowo. Z Amsterdamu objechał większą część Europy, Azji, a także subkonty-nentu. Przywykł do sypiania w niewygodnych łóżkach i do dzielenia toalet z hordą innych gości hotelowych, nierzadko w podwórku. Ale nigdy nie odwiedził wschodniej części byłego Związku Radzieckiego, za Uralem. Była to ziemia bogata w minerały, pokryta tysiącami hektarów

dziewiczego lasu, gdzie Stalin zbudował swoje gułagi, a kolejni przywódcy sowieccy chowali arsenał nuklearny. Ziemia, która mogła połączyć zachodnią Europę w całości i nawet nie czknać.

Kiedy samolot obniżył lot, Gideon ujrzał dziwny, surrealistyczny krajobraz, zielony dywan sosen i brzóz, ciągnący się ku wschodowi, aż po horyzont. Pasma bitych dróg wyłaniały się gdzieś z dziewiczego lasu niby brunatne wstążki, by po chwili zniknąć w morzu drzew. Nie dostrzegł żadnego samochodu, nawet tam, gdzie drogi były widoczne na dłuższych odcinkach, jakby samolot sunął nad niezamieszkaną planetą. Gideon wiedział, że to tylko złudzenie. Jekaterinburg był dwumilionowym miastem, jedną z najszybciej rozwijających się i najbogatszych aglomeracji Federacji Rosyjskiej. Nazwany na cześć Katarzyny Wielkiej, był faktorią futer w czasach, gdy Jefferson pisał Deklarację Niepodległości. Gideon widział zdjęcia pałaców zbudowanych przez futrzanych carów, masywne georgiańskie budowle, które nadal urozmaicały architekturę śródmieścia chociaż ich mury szerniały od sadzy.

Za władzy sowieckiej miasto nazwano imieniem Jakowa Swierdłowa, sekretarza Komitetu Centralnego partii komunistycznej. Istniał powód, dla którego bolszewicy pragnęli wymazać słowo „Jekaterinburg” z mapy świata. Rankiem 16 sierpnia 1918 roku w piwnicy jednego z największych domów w mieście popełniono morderstwo, które splamiło historię Rosji. Car Mikołaj i caryca Aleksandra, wraz ze wszystkimi swoimi dziećmi, ostatnimi z Romanowów, zostali rozstrzelani, a ich ciała zawleczono do lasu i tam pogrzebano.

Jakby przedać tajemną nić historii, blisko siedemdziesiąt lat później miasto wydało jeszcze jednego obywatela, który miał przejąć rządy nad krajem. Zanim został premierem Federacji Rosyjskiej, Borys Jelcyn pełnił urząd burmistrza Jekaterinburga i jako burmistrz rozkazał wyburzyć dom, gdzie odbyła się dynastyczna egzekucja, czego przyszło mu potem żałować. Na początku lat dziewięćdziesiątych, wraz z upadkiem komunizmu, miasto odzyskało swoje dziedzictwo i teraz ponownie nosiło miano Katarzyny Wielkiej.

Gideon wyglądał z zainteresowaniem miasta, w którym rozegrało się tyle aktów rosyjskiej historii. Kiedy samolot podszedł do lądowania, ujrzał na horyzoncie zbiorowisko posepnych białych budowli, kompleks przemysłowy, znany mu dotychczas jedynie ze zdjęć satelitarnych.

Swierdłowsk-45. Kiedyś teren wokół zakładów był pilnie strzeżony i obywatele radzieccy musieli mieć specjalne przepustki, żeby się po nim poruszać.

Samolot zszedł poniżej linii sosen, jego koła zadudniły na asfalcie i stary, rozklekotany tupolew zaczął hamować.

Odebranie bagażu i znalezienie taksówki przed dworcem lotniczym zajęło Gideonowi przeszło godzinę. Piętnaście minut później przechodził już przez bramy Swierdłowska-45.

Był to ogromny kompleks odrapanych budynków, w rodzaju tych, jakie widuje się w każdym rozwiniętym kraju, w którym kryzys gospodarczy zaczyna podgryzać społeczeństwo. W tym wypadku żarł je żywcem.

Dominowały sypiące się tynki i powybijane okna, brakowało tylko graffiti zdobiących podobne budowle na Zachodzie.

Ku zaskoczeniu Gideona, przy wjeździe nie było strażnika, nie wiedział

więc, dokąd ma się udać. Większość budynków sprawiała wrażenie opuszczonych, tylko przed jednym stały dwie mocno sfatygowane łady, a obok nowiutki mercedes lśniący niebieskim lakierem.

Na parkingu pełno było przerdzewiałych kontenerów, zbyt wielkich, by je wywieźć, oraz stalowych obręczy po skrzyniach kratowych, zużytych prawdopodobnie na opał przez jakiegoś przedsiębiorczego robotnika.

Gideon uznał, że budynek przylegający do parkingu musi być centrum administracyjnym. Zakłady wyglądały dokładnie na to, czym w istocie były - miastem-widmem dwudziestego pierwszego wieku.

Gideon zapłacił taksówkarzowi i przeniósł bagaż na skraj platformy przeładunkowej przy budynku administracyjnym. Nie zamierzał tu nocować, o ile nie okaże się to absolutnie konieczne. Nie poczynił żadnych kroków w celu zapewnienia sobie noclegu, zakładając że prześpi się na lotnisku i złapie najwcześniejszy samolot do Moskwy. Spędzał w podróży przeciętnie sześć miesięcy w roku i nauczył się spać tam, gdzie wypadło.

Chociaż zakłady wydawały się wyludnione, Gideon wiedział, że budynki i podziemne bunkry w zboczach łagodnych wzgórz na pewno puste nie są.

Na terenie Federacji Rosyjskiej znajdowało się trzydzieści tysięcy ładunków nuklearnych oraz przeszło tysiąc ton wzbogaconego uranu i setki ton radio-

43

aktywnego plutonu. To właśnie one spędzały sen z powiek zachodnim ekspertom nuklearnym.

Zdarzały się przypadki przemytu w Niemczech, we Włoszech, a także w krajach Europy Wschodniej. W sumie około pięćdziesięciu

udokumentowanych przypadków. Większość dotyczyła niskogatunkowych surowców, szmuglowanych w niewielkich ilościach.

Nie po raz pierwszy raporty Instytutu wykazały brak ładunków czy materiałów nuklearnych. Niemal zawsze niedobory były wynikiem błędu w inwentaryzacji. Tym razem jednak niepokój budziła już sama natura bomb. Małe, łatwe w transporcie ładunki były atrakcyjnym towarem dla terrorystów.

Gideon znał się na nuklearnych pociskach artyleryjskich. Były przedmiotem negocjacji w traktatach o redukcji zbrojeń.

Stany Zjednoczone wyprodukowały nuklearny pocisk artyleryjski na początku lat pięćdziesiątych. Na przestrzeni lat udoskonalono go, zwiększając zasięg i moc rażenia oraz dodając reflektory berylu i potężniejsze materiały wybuchowe, które wywoływały reakcję łańcuchową. W ostatecznej formie pociski te miały nie więcej niż metr długości, dwadzieścia centymetrów średnicy i ważyły niespełna sto dwadzieścia pięć kilogramów. Mimo iż niepozorne, osiągały moc dziesięciu kiloton.

Aby liczby te zyskały znaczenie, należało odnieść je do rzeczywistych sytuacji. Gdyby w Oklahoma City zamiast nawozów sztucznych i oleju napędowego zdetonowano jeden z tych pocisków, powstałaby wyrwa o powierzchni trzech mil kwadratowych, a ofiar byłoby nie sto sześćdziesiąt dwie, lecz setki tysięcy.

Gdyby w World Trade Center zamiast bomby konwencjonalnej zdetonowano artyleryjski pocisk nuklearny, zniknąłby cały górny Manhattan.

Rosjanie skonstruowali podobne pociski i dwóch z nich szukał teraz

Gideon.

Pchnął drzwi. Okazały się otwarte, więc wszedł do środka.

Znalazł się w długim betonowym korytarzu z mnóstwem drzwi po obu stronach. Część jarzeniówek na suficie była przepalona, pozostałe rzucały jeszcze migotliwe światło.

- Jest tu ktoś? - zawołał bardzo głośno po rosyjsku. Odpowiedziało mu echo. Odczekał chwilę i krzyknął jeszcze raz.

W głębi korytarza zadudniły powolne kroki. Gideon nie potrafił rozpoznać sylwetki mającej w niepewnym świetle. Stwierdził tylko, że jest to mężczyzna w białej koszuli i ciemnych spodniach.

Zaczął mówić łamanym rosyjskim, pomagając sobie gestami. Miał nadzieję, że mężczyzna go zrozumie.

- Przyjechałem ze Stanów Zjednoczonych. Jestem Holendrem.

Przyjechałem tu służbowo. Rozumie pan? - Wmieszał kilka słów angielskich.

- Tak - powiedział mężczyzna po angielsku, z silnym obcym akcentem.

Fakt, że były wróg mógł wejść na teren obiektu strategicznego bez żadnych

przeszkód, praktycznie niezatrzymywany, wstrząsnął Gideonem. Słyszał rozmaite historie o zaniedbaniach, ale na to nie był przygotowany.

44

- Czym mogę panu służyć? - zapytał mężczyzna.

Gideon ruszył ku niemu przez mroczny korytarz i spotkali się w pół drogi.

- Nazywam się Gideon van Ry. - Podał mężczyźnie wizytówkę, którą wyjął z portfela, wchodząc do budynku. Figurował na nim jego tytuł naukowy, numer telefonu i adres. Rosjanin poddał wizytówkę dokładnym

ogłędzinom, zsunawszy na nos okulary, które spoczywały dotąd na czubku jego głowy.

- Reprezentuję Instytut Zapobiegania Rozprzestrzenianiu Broni Masowej Zagłady. Zapewne słyszał pan o nas?

Rosjanin nie odpowiedział, spoglądając na niego nieruchomym wzrokiem.

- Wasze zakłady współpracują z Instytutem. Poproszono mnie, żebym tu przyjechał i sprawdził pewne pozycje w księdze inwentarzowej.

Rosjanin popatrzył jeszcze raz na wizytówkę, ale się nie odezwał.

- Może pan mógłby mi pomóc - ciągnął niezrażony Gideon. - Do kogo mam się zwrócić w tej sprawie?

- Czy jest pan umówiony? -zapytał Rosjanin.

- Niestety nie. Nie miałem okazji zadzwonić.

- Hmm. - Rosjanin nie wydawał się przekonany.

- Sprawa wyniknęła dość nagle - powiedział Gideon. Rosjanin miał taką minę, jakby nie zrozumiał.

- Skąd pan przyjechał?

- Z Moskwy.

- A! - W końcu coś, co dokonało wyłomu w zbroi Rosjanina.

- To rutynowa kontrola.

- Kawał drogi pan przejechał dla tej rutynowej kontroli - zauważył Rosjanin.

- Byłem akurat w Rosji, w zupełnie innej sprawie - skłamał.

- Ach tak! A czego właściwie pan szuka?

- Jeden z naszych ludzi popełnił błąd, zbierając dane do comiesięcznego raportu Instytutu. To się, niestety, często zdarza - wyjaśnił Gideon.

Wyczucie dyplomatyczne podpowiedziało mu, że lepiej obwinie Instytut

niż personel rosyjski.

- Rozumiem.

- Musimy dokonać poprawki. Nie chcemy puścić w świat raportu opartego na błędzie. Wywołałby znaczne zamieszanie.

Słowo „zamieszanie” trafiło Rosjaninowi do przekonania.

- Tego byśmy sobie nie życzyli - powiedział.

- Oczywiście, że nie. Mógłby mi pan pomóc? Mężczyzna spojrzał na niego zakłopotany.

- Nie wiem. Dyrektor jest w tej chwili zajęty. Zapytam go...

- Jeżeli udostępnicie mi swoje księgi inwentarzowe, za pięć minut już mnie tu nie będzie.

Gideon postanowił, że zacznie od rejestrów rosyjskich, a dopiero potem poprosi o dodatkowe informacje, może o pozwolenie odwiedzenia bunkra, w którym przechowywano ładunki. Jeżeli przekona się naocznie, że ich nie ma, powiadomi niezwłocznie Instytut. Wszystkie agencje wywiadowcze na świecie zosta-

45

na postawione w stan gotowości, rozpocznie się lustracja czarnego rynku, który wyłonił się jak feniks z popiołów Związku Radzieckiego. Istniała szansa, że Zachód wykupi pociski i je rozbroi, o ile broń nie trafiła już w ręce jakiegoś nielegalnego rządu czy grupy terrorystycznej.

Nie byłby to pierwszy taki przypadek. Na początku lat dziewięćdziesiątych rząd Stanów Zjednoczonych kupił od Kazachstanu tysiąc funtów wzbogaconego uranu, wystarczającego do konstrukcji dwudziestu bomb nuklearnych. Amerykanie zapłacili za uran dwadzieścia milionów dolarów, usuwając go z czarnego rynku na kilka godzin przed przybyciem agentów

irańskich z walizkami pieniędzy. Strach, że broń nuklearna wpadnie w ręce terrorystów, miał realne podstawy.

- Proszę chwilę poczekać - powiedział Rosjanin. Odwrócił się, przeszedł kawałek korytarzem i zniknął w jakichś drzwiach.

Gideon czekał. Najpierw stał pod mrugającą jarzeniówką, potem zaczął spacerować po betonowym korytarzu, zerkając na zegarek. Nie chciał się spóźnić na ostatni samolot do Moskwy. Raptem drzwi otworzyły się i ukazał się w nich Rosjanin. Skinieniem palca przywołał Gideona, który ruszył ochoczo za swoim przewodnikiem.

- Zostawiłem bagaż na platformie rozładunkowej - powiedział.

- Proszę się nie martwić. Przypilnuję go.

Szli teraz innym korytarzem, a potem wzdłuż ciągu drucianych boksów przypominających królikarnię. Większość z nich była pusta i sprawiała wrażenie, jakby nie sprzątano tam od wieków. Podłogi pokrywała jednolita warstwa kurzu.

Dudnienie kroków na betonie ucichło nagle i Gideon stwierdził, że stąpają po wykładzinie podłogowej. Kilkanaście metrów dalej jego przewodnik zatrzymał się przed podwójnymi drewnianymi drzwiami. Rosjanin otworzył jedno skrzydło i odsunął się, przepuszczając Gideona.

Wchodząc do pokoju, Holender ujrzał mężczyznę za masywnym, mahoniowym biurkiem. Na ścianach gabinetu wisiały obrazy i kilka dzieł sztuki afrykańskiej, sprawiających dziwne wrażenie na tle gąbczastych kasetonów dźwięko-szczelnych.

Mężczyzna podniósł się z fotela. Na pierwszy rzut oka widać było, że jego garnitur i krawat nie są produktem rodzimego przemysłu odzieżowego.

- Dimitrij powiedział mi, że jest pan z Instytutu w Santa Crista. -

Uśmiechał się, trzymając wizytówkę Gideona w ręku.

- Zgadza się - Gideon odwzajemnił uśmiech, podszedł do biurka i wyciągnął rękę, którą mężczyzna mocno uściskał.

- Zawsze z przyjemnością współpracujemy z Instytutem - rzekł Rosjanin. - Proszę siadać. Musi być pan zmęczony. Dimitrij powiedział, że przyjechał pan aż z Moskwy. Jaka pogoda w stolicy?

Gideon usiadł i Dimitrij zamknął drzwi, zostawiając ich samych.

- Bardzo przyjemna.

- A u nas co? Zachmurzenie. Wieczne zachmurzenie - powiedział Rosjanin. - W Kalifornii jest zapewne piękna pogoda?

46

- Nie można narzekać.

- Zawsze chciałem odwiedzić wasz Instytut. Znajduje się na środkowym wybrzeżu, prawda?

- Niedaleko Hollywood? - Mężczyzna posługiwał się biegle angielskim.

- Nie.

Rosjanin wydawał się rozczarowany.

- Musi mi pan wybaczyć - powiedział. - Gdzie moje dobre maniery?

Jestem Jurij Mirnow, dyrektor Swierdłowska. A raczej tego, co z niego zostało. - Wzniósł oczy do sufitu. - Poznał pan już dwadzieścia procent mojego personelu. - Miał na myśli Dimitra. - Ale wie pan, w jakiej sytuacji się znajdujemy.

- Zdaję sobie sprawę z trudności. Musi być wam bardzo ciężko.

- Nie wyobraża pan sobie - ciągnął Mirnow. - Dimitrij nie otrzymał pensji od dwóch miesięcy. Moje pobory spadły o jedną trzecią w ciągu ostatniego roku. A pracy coraz więcej. - Wskazał stosy papierów piętrzące się w

kątach gabinetu.

Gideon zastanawiał się, kto wobec tego jest właścicielem niebieskiego mercedesa na parkingu. Ale uznał, że nie wypada o to pytać.

Po upadku komunizmu Rosję ogarnęła fala przestępstw. Przypisywano to na ogół niestabilności politycznej kraju szukającego swojej drogi. W rzeczywistości przestępczość kwitła już w czasach reżimu sowieckiego, zwłaszcza od początku lat sześćdziesiątych. Sztucznie wytwarzany brak towarów, wszystkiego, od cukru po mydło, doprowadził do powstania czarnego rynku, kontrolowanego z kolei przez biurokratów i wyższych funkcjonariuszy partyjnych. Utrzymywali oni ścisłe kontakty z podziemiem, będącym stałym elementem kultury rosyjskiej. Trzysta lat prześladowań nauczyło dzieci Matki Rosji, jak omijać prawo. Pod pomnikiem Lenina i flagą socjalizmu stworzyli szarą strefę kapitalizmu, która pozwalała zadbać o własne portfele.

Po upadku komunizmu rozpoczęła się era szefów mafijnych, popieranych przez Zachód. W Moskwie miały miejsce dziesiątki zabójstw dziennie; „biznesmeni” wystrzeliliwali konkurencję. Gorzej było tylko w Swierdłowsku.

Był to rejon ogromnych możliwości, pod warunkiem, że ktoś dysponował prywatną armią i chciało mu się codziennie rano, przed wyjazdem do pracy, zaglądać z lusterkiem pod własny samochód. Sytuację pogarszał fakt, że teren naszpikowany był bronią chemiczną nuklearną i biologiczną istny bazar narzędzi masowej destrukcji.

Mirnow okręcił się na obrotowym krześle w stronę barku.

- Mogę zaproponować panu wodę mineralną? Gideon był spragniony i zmęczony po długim locie.

- Tak, poproszę.

Rosjanin wyjął dwa czyste plastikowe kubeczki z paczki leżącej na barku i sięgnął gdzieś niżej. Wydobył litrową butelkę, ale nie była to tania woda z rosyjskich rozlewni, lecz Monteforte z Włoch, z nienaruszonym kapslem.

- Tak.

47

Gideon stwierdził ze zdumieniem, że butelka jest schłodzona, a w ślad za nią ukazała się tacka z lodem.

Rosjanin zauważył jego zdziwienie.

- Nawet na tym końcu świata korzystamy z udogodnień cywilizacji - powiedział z zadowoleniem.

Gideon rozciągnął usta w uśmiechu i wziął szklanekę. Rosjanin wydobył kolejną butelkę z przezroczystą zawartością i uniósł ją bez słowa, jakby nie trzeba było mówić co zawiera.

- Ja dziękuję - powiedział Gideon.

Mirnow nalał sobie trochę wódki do kubeczka z wodą i zamieszał mieszadełkiem do koktajli.

- A więc, w czym mogę panu pomóc? - zapytał.

- Prosta sprawa - powiedział Gideon. - Nasi ludzie byli tu przed paroma tygodniami.

- Pamiętam.

- Wszystko wskazuje na to, że popełnili drobny błąd, zbierając informacje, błąd polegający prawdopodobnie na zwykłym przesunięciu cyfr.

Poproszono mnie, bym tu przyjechał i wyjaśnił tę sprawę.

- Rozumiem. - Mirnow powoli sączył drinka.

- Jedno spojrzenie w wasze rejestry powinno załatwić sprawę.

- Z przyjemnością spełnię pana życzenie, chociaż brakuje mi personelu.

Mógłby pan zawężyć teren poszukiwań?

- Dwa nuklearne pociski artyleryjskie - powiedział Gideon.

- Rozumiem. - Mirnow wyprostował się na krześle i odstawił kubek. - Nie chcielibyśmy, żeby taki błąd został opublikowany.

- Jesteśmy tego samego zdania.

- Doceniam pańską troskę o akuratność - zapewnił Mirnow. - Zakładam, że informacja nie została rozpowszechniona? - Bez wątplenia miał na myśli amerykańskie agencje wywiadowcze.

- Nie wydostała się poza Instytut - zapewnił Gideon. - Jest jeszcze czas, by naprawić błąd.

- To dobrze - Mirnow odetchnął z widoczną ulgą. - Oczywiście udzielimy panu wszelkiej pomocy. Od czego chciałby pan zacząć?

- Od naszego spisu - powiedział Gideon. - Przesłano mi go faksem przed dwoma dniami. - Wyciągnął kartki z kieszeni płaszcza i rozpostarł na biurku Rosjanina. Już przedtem zakreślił dwie interesujące go pozycje i teraz pokazał je dyrektorowi.

- Sprawdzenie tego nie powinno nastęrczać żadnych trudności - zauważył Gideon.

- Znakomicie. - Mirnow wcisnął interkom i podniósł słuchawkę. - Dimitrij, możemy cię prosić?

W chwilę później ukazał się jego asystent.

- Dimitrij, chciałbym, żebyś udostępnił panu te akta. - Mirnow podał mu listę, wskazując zakreślone pozycje. Asystent posłusznie wziął papiery i opuścił biuro.

- Znalazienie ich nie zajmie dużo czasu.
- To świetnie - powiedział Gideon. - Muszą złapać samolot do Moskwy.
- O której?
- Za mniej więcej trzy godziny.
- Będzie pan miał mnóstwo czasu na dojazd na lotnisko. Któryś z moich ludzi pana odwiezie. Jestem pewien, że Dimitrij zrobi to z przyjemnością. Ma wielkiego nowego mercedesa.

Gideon popatrzył na niego, zastanawiając się, w jaki sposób człowiek, który od dwóch miesięcy nie otrzymał pensji może sobie pozwolić na taki wóz.

Mirnow czytał w jego myślach.

- Dimitrij jest także przedsiębiorcą. Ma jakiś mały interes. W Rosji terminem „mały interes” określało się wiele spraw.

- A co robi?

Mirnow wzruszył ramionami, jakby nie był pewny.

- W nowej Rosji istnieje wiele możliwości dla biznesu. Sam będę musiał się za czymś rozejrzeć.

Gideon uśmiechnął się, ale poczuł nieprzyjemne łaskotanie w żołądku. Sączył powoli swoją wodę.

- Ufam, że pracownicy Instytutu nie wzięli sobie zbyt do serca tej pomyłki. Takie rzeczy się zdarzają - powiedział Mirnow. - Bywało, że i w naszych zakładach przepracowani ludzie wprowadzali do ksiąg złe dane.
- Jestem pewien, że uspokoją się, jak tylko do nich zadzwonię - powiedział Gideon.

- Jeżeli błąd jest po naszej stronie, wystawi to złe świadectwo naszym zakładom - ciągnął Rosjanin. - Jako dyrektor poczuwam się do

odpowiedzialności. Nie chcielibyśmy, żeby Instytut powziął o nas złe mniemanie. Robimy, co w naszej mocy. - W jego głosie znać było napięcie. Obaj panowie zdawali sobie sprawę z przedłużającej się nieobecności Dimitra.

- Oczywiście - powiedział Gideon.

- Tak czy inaczej - ciągnął Mirnow - błąd zostanie szybko naprawiony.

Wczoraj skończyliśmy inwentaryzację. Nasze dane są więc aktualne.

Czekali. Rosjanin bębnił palcami po biurku, Gideon sączył swoją wodę. W końcu cierpliwość Mirnowa się wyczerpała.

- Pozwoli pan, że sprawdzę, co się dzieje. - Podniósł słuchawkę i wykręcił numer wewnętrzny. Nikt się nie zgłosił i dyrektor wykręcił inny numer.

Tym razem odebrano telefon.

- Jest tam Dimirtrij? - zapytał Mirnow po rosyjsku.

- Jak to wyszedł?

- Rozumiem.

- Rozumiem. - Odłożył słuchawkę.

- Przepraszę pana na parę minut - zwrócił się do Gideona. Wstał i pośpiesznie opuścił gabinet, zamykając za sobą drzwi. Gideon słyszał podniesione

4 - Masa krytyczna

49

głosy na korytarzu, ale nie mógł rozpoznać słów. Chwilę potem wrócił Mirnow. Twarz miał popielatą, na czole kropelki potu.

- Będzie mi pan musiał wybaczyć - powiedział. - Mamy mały problem.

- Problem?

- Dimitrij opuścił budynek. Moi ludzie właśnie go szukają. - Otarł usta

chusteczką i jednym haustem dopił drinka.

- Znaleźli akta?

- Nie. To jest część problemu. Chodzi o akta dwóch interesujących nas pozycji. Wygląda na to, że zniknęły.

- A Dimitrij pojechał ich szukać?

Rosjanin spojrzał na niego pustym wzrokiem, potem wzruszył ramionami. Gideon wstał i ruszył w stronę drzwi. Za nim podążał dyrektor. Szli długim korytarzem, minęli druczane boksy urzędników, jeszcze jeden korytarz. Szli coraz szybciej, potem zaczęli biec w stronę wyjścia na parking.

Gideon pchnął drzwi. Mercedes zniknął. Zniknął również bagaż Gideona.

6

Wyspa Padget, stan Waszyngton

Był niskim szatynem, o włosach rzadziejących na czubku głowy. W swoim czterdziestodwuletnim życiu Scott Taggart robił rozmaite rzeczy. W młodości, pokłóciwszy się z ojcem, kansaskim bankierem, opuścił dom i zatrudnił się jako kierowca ciężarówki w firmie przewozowej. Zarabiał w ten sposób na chesne w college'u. Pracował wieczorami jako kelner, żeby skończyć uniwersytet.

Zrobił dyplom z historii Ameryki, chciał uczyć. Trudno było znaleźć pracę, ale Scott Taggart, mimo iż nie posiadał dyplomu znanej uczelni, miał coś o wiele cenniejszego - upór. Znalazł pracę w małym college'u w zachodniej części stanu Waszyngton, najpierw jako asystent, potem jako wykładowca. Wtedy poznał Kirsten.

Była klasycznym typem norweskiej piękności. Ujrzał ją na sali wykładowej i nie mógł oderwać wzroku. Wszystko wskazywało na to, że

wrażenie było obustronne.

Według niepisanego prawa college'u, wykładowcy nie mogli się umawiać ze studentkami i Scott przez cały rok walczył z pokusą by poprosić Kirsten o randkę.

Wczesną wiosną szkoła rozwiązała ten problem za Scotta, nie przedłużając z nim umowy o pracę. Chcieli zatrudnić na jego miejsce rodowitego hardvard-czyka. Taggarta poproszono o opuszczenie college'u. Latem nawiązał romans z Kirsten i opuścił szkołę, ale nie sam.

50

Mieszkali razem przez pięć miesięcy, a w listopadzie wzięli ślub. Przenieśli się na wschód, gdzie Scott otrzymał posadę w college'u publicznym. Był to szczebel w dół w karierze, ale lubił swoją pracę i swoich studentów, chociaż większość z nich nie traktowała nauki tak poważnie, jakby sobie tego życzył.

Żeby związać koniec z końcem, Kristen założyła małą firmę księgową. Rok później urodziło się im pierwsze dziecko, chłopiec, któremu nadali imię Adam, po jej ojcu. Firma rozwijała się szybko. Kirsten była uprzejma i otwarta, równie dobrze radziła sobie z ludźmi, jak z liczbami. Po trzech latach firma rozrosła się tak bardzo, że Kirsten musiała zatrudnić dwóch pracowników.

Kłopoty zaczęły się mniej więcej w tym czasie. Pierwszym zwiastunem była koperta z adresem zwrotnym urzędu podatkowego w Ogdenie, w stanie Utah. Firma została poddana lustracji. Kirsten nie miała pojęcia, dlaczego. Zarabiała sporo, ale nie tyle, by mogło to wzbudzić podejrzenia. Przyjrząwszy się zawiadomieniu, stwierdziła, że popełniono błąd.

Nazwisko i nazwa firmy były właściwe, nie zgadzał się natomiast numer

identyfikacyjny pracodawcy. Wyglądało na to, że urząd podatkowy pomieszał zeznania podatkowe Kirsten z zeznaniami kogoś innego. Zadzwoiła pod numer podany w zawiadomieniu, ale poradzono jej, żeby przedstawiła sprawę rewidentowi, kiedy ten się do niej zgłosi. Nie wiedziała, czy skompletować rachunki i szykować księgi do kontroli, czy czekać na rozwój wypadków. W końcu uznała, że kiedy urząd podatkowy odkryje swój błąd, zostawi ją w spokoju. Pomyliła się.

Miesiąc później odbyło się pierwsze spotkanie z rewidentem. Nie wypadło dobrze. Agentką okazała się czterdziestoletnia kobieta, którą lata urzędowania pozbawiły nie tylko poczucia humoru, ale i wszelkich ludzkich uczuć. Kiedy Kirsten zasugerowała, że zaszła pomyłka, rewidentka oznamiła, iż „system nigdy nie popełnia omyłek”.

Kirsten pokazała jej błędny numer identyfikacyjny na zawiadomieniu. Agentka zabrała dokument, mówiąc, że to sprawdzi, po czym zażądała wglądu w księgi Kirsten.

Kontrola ciągnęła się miesiącami. Żądano coraz to nowych rachunków, dokumentów. Prośba Kirsten o wyjaśnienie pomyłki z numerem identyfikacyjnym wywołała wściekłość rewidentki. Oznajmiła, że skoro Kirsten robi trudności, jej firma nie będzie lustrowana przez rok, lecz przez dwa lata. Po kilku dniach nadeszło oficjalne zawiadomienie o poszerzeniu kontroli na kolejny rok. To powinno oduczyć podatnika kwestionowania autorytetu rewidenta.

Scott próbował pocieszyć żonę. Powiedział jej, żeby się nie martwiła. Wcześniej czy później wszystko się wyjaśni. Urząd podatkowy odkryje swój błąd i zostawią ich w spokoju.

Ale dla Kirsten nie było spokoju. Dano jej trzydzieści dni na zebranie

dokumentów za cały dodatkowy rok kontroli. Spełnianie chimerycznych, a nawet sprzecznych żądań rewidentki stało się pełnoetatowym zajęciem.

Kirsten nie miała już czasu ani dla firmy, ani dla rodziny. Musiała zwolnić jednego z pracowników. Interes na tym ucierpiał, dochody spadły.

Kontrola ciągnęła się jeszcze

51

przez siedem miesięcy, bez żadnej nadziei na bliski koniec. Kirsten nadal nie wiedziała, czego szuka urząd podatkowy, czy ma do zapłacenia zaległe podatki, procenty czy kary. Z każdym spotkaniem rewidentka stawała się coraz bardziej nieprzyjemna. Skrupulatnie zapisywała wszystkie pytania zapewniając, że wkrótce udzieli odpowiedzi, ale Kirsten nie doczekała się wyjaśnień. Jej pytania spotykały się z otwartą wrogością albo ginęły w czarnej dziurze biurokracji.

Teraz urząd poszerzył zakres poszukiwań o prywatne dochody Scotta i Kirsten. Kirsten odnosiła wrażenie, że niemożność znalezienia niedopatrzenia tylko podsycza wrogość rewidentki, która musiała znaleźć jakieś uzasadnienie kontroli ciągnącej się już piętnaście miesięcy.

Wystąpiła więc o uchylenie trzyletniego limitu, aby mogła wejrzeć w starsze księgi, ostrzegając Kirsten, że jeżeli nie wyrazi zgody, urząd podatkowy wyda wniosek o skierowanie sprawy do sądu. W pewnym momencie zagroziła jej nawet odpowiedzialnością karną Kirsten chciała wiedzieć, na czym polega jej przestępstwo, ale nikt nie potrafił jej tego wyjaśnić.

Chudła w oczach. Wydawało się, nie ma dnia bez telefonu od rewidentki dopominającej się o taki czy inny dokument. Kirsten nie spała po nocach. Scott zaczął się o nią poważnie niepokoić. Próbował interweniować w

urzędzie podatkowym. Zadzwoił do rewidentki i usiłował z nią porozmawiać. Powiedziała, że skoro kontrola dotyczy firmy jego żony, w tym wypadku nie on jest podatnikiem, po czym odwiesiła słuchawkę. Za każdym razem, gdy dzwonił telefon, Kirsten drętwiała ze strachu, że to rewidentka z kolejnym żądaniem lub, co gorsza, z zawiadomieniem o poszerzeniu kontroli o kolejny rok. Życie stało się nie do zniesienia. Irytowała się, kiedy Adam płakał w nocy. Słowa pociechy zupełnie do niej nie trafiały. Żyła w ciągłym napięciu.

Mimo to Scott starał się uspokoić żonę i natchnąć otuchą aż do pewnego piątkowego popołudnia, kiedy wrócił z pracy wcześniej niż zwykle z wiadomością że uczelnia nie odnowiła z nim umowy na następny rok. Bez uprzedzenia urząd podatkowy zaczął potrącać zaległości podatkowe z jego pensji. College korzystał z kredytów państwowych, a studenci starali się o pożyczki gwarantowane przez rząd, toteż uczelnia nie mogła sobie pozwolić na wykładowcę mającego kłopoty z urzędem podatkowym. Rząd federalny niszczył życie Scotta i Kirsten Taggartów.

Męka lustracji trwała jeszcze dwa miesiące i nic nie wskazywało na to, by się miała wkrótce zakończyć. Scott i Kirsten otrzymali ostrzeżenie o zajęciu domu. Bez dochodów Kirsten nie byli w stanie spłacać hipoteki. Pewnego czerwcowego poranka, tuż po zakończeniu roku akademickiego, Scott zabrał Adama na spacer do parku, podczas gdy Kirsten likwidowała swoje biuro. Wieść o jej problemach rozeszła się po okolicy. Ostatni klient zrezygnował z usług firmy przed dwoma tygodniami, w obawie, że kłopoty Kirsten mogą się okazać zaraźliwe.

Scott wrócił do domu o wpół do trzeciej i zadzwonił do żony do biura. Nikt nie odpowiedział. Przewidując, że może potrzebować jego pomocy

przy wyno-

52

szeniu kartonów do samochodu, a może wsparcia duchowego w tak trudnej chwili, zostawił Adama z sąsiadką i pojechał do firmy. Znalazł żonę przy biurku, z głową na księdze bieżącej, jakby się zdrzemnęła.

Dopiero kiedy zobaczył cienką, mlecz-nobiałą smużkę śliny wyciekającą z kącika jej ust, zrozumiał, że coś jest nie w porządku. Kirsten połknęła całą zawartość fiołki środków nasennych.

Przeżyła pod wentylatorem szesnaście dni, potem lekarze orzekli, że nie ma nadziei. Mózg Kirsten był martwy.

Na jej pogrzebie Scott pragnął wczłgać się do grobu żony, zakopać się z nią razem. Był zdruzgotany. Z Kirstem przetrwałby wszystko, stawiał czoło każdemu problemowi, każdej kontroli podatkowej. Znalazłby nową pracę, zaczęliby od początku. Bez niej nie potrafił znaleźć dość sił i woli, żeby wstać rano z łóżka. Nie wiedział, co zrobić z Adamem. W końcu odwiózł dziecko do rodziców Kirsten w Seattle, a sam usiłował odzyskać siły, znaleźć jakiś powód do życia. Co dziwne, dostarczył mu go właśnie urząd podatkowy.

Trzy miesiące po śmierci Kirsten otrzymał pismo, w którym urząd podatkowy zawiadamiał Kirsten Taggart, że agencja popełniła błąd.

Zeznanie podatkowe Kirsten opatrzone złym numerem identyfikacyjnym.

Karta Kirsten była czysta, firma nie zalegała z podatkami, procentami ani karami. Rząd, zamiast sprawdzić informację Kirsten o zaistniałej pomyłce, założył z góry, że podatnik kłamie, pragnąc zataić dochody. To dlatego Kirsten była inwigilowana, prześladowana, aż targnęła się na własne życie. Scott utracił rodzinę, pracę i dom, a jego malutki synek - matkę.

Scott nie poinformował rządu o cenie, jaką rodzina Taggartów zapłaciła za biurokratyczną arogancję. Przekaze mu tę wiadomość w stosownym czasie, na swój własny sposób.

Kent, stan Waszyngton

Spawalnica przenośna Victor to było prawdziwe cacko. Chaney kupił ją w sklepie z narzędziami w Everett za pięćset dolarów. W cenie znajdował się poręczny futerał wielkości niedużej aktówki oraz dwa zapasowe dzioby.

Chaney kupił również dwie dodatkowe butelki acetylenu, na wypadek gdyby mu zabrakło.

Spawalnica była przeznaczona do pracy w miejscach, gdzie typowy palnik nie sięga. Przecinała trzycentymetrową stal w ciągu kilku minut.

Chaney spędził dwa dni z grupą doborowych bojówkarzy, planując misję i przeprowadzając rozpoznanie terenu. W końcu udało mu się ustalić, gdzie przebywa Rosjanin Grigorij Czenko.

Więzienie w Kent był to dwupiętrowy budynek z cegły, usytuowany w dzielnicy przemysłowej, na obrzeżach miasta. Z zewnątrz niczym nie przypominał więzienia. Architekci zrobili wszystko, by ukryć jego przeznaczenie i w ten sposób uniknąć kontrowersji, jaką wzbudzała lokalizacja więzienia. Szczęśliwie dla

53

Chaneya, musieli również zrezygnować z wielu zabezpieczeń stosowanych w budownictwie więziennym.

Nie było tam ogrodzenia z ogniw łańcuchowych, najeżonych zwojami kolczastego drutu. Skrzydło, w którym trzymano Czenkę, przylegało do bocznej ulicy. Korzystały z niej niemal wyłącznie ciężarówki obsługujące pobliskie magazyny, nocą zaś nie było tam żywego ducha. Więzienie

otaczał trzymetrowy pas dobrze utrzymanego trawnika, a krzewy posadzone tuż przy zewnętrznych murach odbierały budynkowi surowy charakter. Wtapiał się znakomicie w krajobraz dzielnicy przemysłowej. W środku natomiast przypominał klub wiejski. Więźniowie przebywali tu krótko, oczekując na proces. Po wyroku byli przewożeni do więzienia stanowego lub federalnego.

Na parterze mieścił się przestronny pokój dzienny, wyposażony w stół do ping ponga i trzydziestocalowy telewizor przytwierdzony do podpór galerii pierwszego piętra. Przy sześciu metalowych stołach z ławkami przybitymi do podłogi spożywano posiłki i grano w karty. Znajdował się tam również nowoczesny sprzęt do ćwiczeń: atlas i ruchoma bieżnia.

Już parę minut po aresztowaniu Chaney odebrał pomarańczowy mundurek więzienny, gumowe klapki i koc i przemaszerował przez pokój dzienny, udając się do swojej celi na drugim piętrze.

Rosjanin grał w ping ponga. Dostrzegł Chaneya w chwili, gdy ten wszedł do pokoju dziennego, poprzedzany przez strażnika.

Chaney wkroczył do celi tanecznym krokiem.

- Bierzesz górną pryczę. - Siwy, przegrany facet z brzuchem jak pękaty wór wody leżał na dolnym łóżku i łypał okiem ku Chaneyowi.

- W porządku, twardzielu. Do wieczora mnie tu nie będzie.

- Jasne! Tak naprawdę to jesteś z wywiadu. Wsadzili cię tu na szkolenie.

Chaney zignorował współlokatora, rzucił koc na pustą pryczę, po czym opuścił celę. Zszedł na parter, do pokoju dziennego, i wzrokiem porozumiał się z Rosjaninem. Czenko odłożył raketkę i odszedł od stołu. Znaleźli z Chaneyem spokojny kąt.

- Kto zajmuje celę na końcu korytarza? - spytał Chaney. - Ostatnią na

lewo. - Ruchem głowy wskazał krótki korytarz z celami po obu stronach. Każda wyposażona była w solidne metalowe drzwi z okienkiem do obserwacji więźniów.

- Tatuaż i Homer - odparł Czenko. Sam mieszkał na piętrze, podobnie jak Chaney.

- Sprowadź ich do mnie.

- Kogo?

- Homera i Tatuaza.

- Po co?

- Po prostu przyprowadź ich tutaj. Rosjanin zawahał się.

54

- Tatuaż to nieprzyjemny facet.

- Świetnie. Powiedz mu, że chcę skopać mu tyłek. Może potraktuje to jako zachętę.

Rosjanin wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „sam się o to prosiłeś”, i podszedł nonszalancko do dwóch mężczyzn ćwiczących w pocie czoła na atlasie. Jeden z nich był rozebrany do szortów i wytatuowany po szyję. Rosjanin szepnął mu coś do ucha i mężczyzna wbił w Chaneya gniewny wzrok. Owinął się w pasie ręcznikiem, napiął mięśnie niby Rocky Balboa, po czym podszedł do Chaneya w towarzystwie kolegi, Homera, jak należało przypuszczać.

- Gość mówi, że chcesz skopać mi tyłek.

- Jak tylko odróżnię go od twojej gęby - powiedział Chaney.

Trochę trwało, zanim Tatuaż zrozumiał sens tych słów. Twarz mu stężała.

- W porządku, szukasz śmierci, to ją znajdziesz. Powiedz mi tylko, czegoś się przyczepił?

- Brzydota mnie mierzi - powiedział Chaney. - Zgniatam ją w zarodku, kiedy tylko mogę.

Rosjanin patrzył na niego jak na wariata.

- Gdzie chcesz to zrobić? - Tatuaz podszedł bliźniutko, napierając na Chaneya bicepsami. Na twarzy Chaneya nie drgnął żaden mięsień, kiedy jego kolano wystrzeliło, trafiając w krocze przeciwnika. Oczy Tatuaza zasnuła mgła. Miał zmiażdżone jądra. Prawa ręka Chaneya wykonała ruch tak szybki, że Rosjanin nie był pewny, czy go widział. Pewne było tylko to, że Tatuaz nie może już mówić i sprawdza obiema dłońmi, czy jabłko Adama nie wyszło mu gardłem.

Osunął się na kolana w paroksyzmie kaszlu.

Homer nie spuszczał z Chaneya wzroku, trudno powiedzieć - przerażony czy zafascynowany. Nawet nie przypuszczał, że można obezwładnić kogoś tak błyskawicznie, zwłaszcza kogoś postury Tatuaza.

Chaney klepnął swoją ofiarę kilka razy w plecy, podczas gdy Tatuaz wykrztuszał żołądek, klęcząc na podłodze.

- Co się tu dzieje? - Jeden ze strażników zobaczył skulonego więźnia i ruszył w jego stronę.

- Coś mu poszło w złą dziurkę - powiedział Chaney. Klepnął Tatuaza jeszcze kilka razy w plecy, chwycił pod pachy i postawił na nogi, szepcząc mu coś do ucha.

Tatuaz uniósł z trudem rękę, pokazując strażnikowi, że wszystko w porządku.

- Zrozumiałeś? - zapytał Chaney.

Tatuaz nie mógł mówić, ale gorliwie pokiwał głową.

- Grzeczny chłopiec. - Chaney klepnął go w plecy po raz ostatni. - Zrób to

zaraz. Twarz Tatuaza była w kolorze sinofioletowym, łzy spływały po policzkach.

Zostawił w spokoju krtań i trzymał się teraz za genitalia. Odwrócił się i pobiegł truchtem do swojej celi na końcu korytarza. Homer nie był pewien, czy powinien za nim podążyć.

- Wyprowadzacie się - poinformował go Chaney. - Będzie z tym jakiś problem?

55

Homer był bystry. Nie wiedział, dlaczego ci panowie chcą jego celę, i nic go to nie obchodziło. Uśmiechnął się i pobiegł za swoim kolegą.

- Nie lepiej było dać im kilka papierosów albo parę dolarów? - zapytał Rosjanin.

- Nie odczepiliby się przez całą noc.

- Za to teraz wydadzą nas strażnikom.

- Zanim Tatuaz odnajdzie swoje jądra, nas już tu nie będzie. Zbieraj rzeczy. Koce i co tam masz. Lokujemy się w ostatniej po lewo.

Strażnicy nie zgłaszali zastrzeżeń, o ile w chwili gaszenia świateł w każdej celi znajdowały się po dwa ciepłe ciała. Więźniowie mogli zmieniać lokum według własnego uznania. W okresach przepełnienia sypiali nawet w pokoju dziennym.

Pięć minut później Chaney i Rosjanin przenieśli swoje koce, mydła i szczoteczki do zębów do celi na parterze.

Był to zasadniczy element ich planu. Każda cela miała okno, niewielkie, ale wystarczająco duże, by mógł się przez nie przecisnąć szczupły mężczyzna.

Od wewnątrz okno osłonięte było półtoracentymetrowym ekranem z

akrylu, przytwierdzonym sześcioma śrubami do ściany. Śruby zostały umocowane w specjalnych żłobkach, pozwalających je zacieśnić, lecz nie odkręcić.

Za akrylową barierą odsunięte od okna na tyle, by nie rzucały się w oczy z zewnątrz, znajdowały się stalowe pręty o grubości dwu centymetrów. Mając nieograniczoną ilość czasu i ostrzy, można je było przepiłować zwykłą piłką do metalu.

Dla Chaneya liczył się każdy dzień, nie tylko dlatego, że Czenko musiał złożyć bombę w terminie. Wiedział, że im dłużej potrwał przygotowania do ucieczki, tym większe ryzyko, iż zostaną odkryci.

Natychmiast przystąpił do pracy. Czenko zakrył kocem otwór w drzwiach celi i postawił na czatach zaprzyjaźnionego współwięźnia.

Największą przeszkodę stanowił akrylowy ekran. Trzeba go było zdjąć, żeby się dostać do krat.

Chaney był na to przygotowany. Podeszedł do sedesu w kącie celi, zdjął pokrywę spłuczki i wsunął rękę do środka. Po chwili wyciągnął gumową torebkę zaklejoną z jednej strony taśmą. Zerwał izolację i wytrząsnął z torebki kawałek metalu wielkości wiecznego pióra. Przedmiot upadł z brzękiem na betonową podłogę.

Rosjanin złapał go, zanim ponownie dotknął podłogi. Mężczyźni wstrzymali oddech i przez kilkanaście sekund spoglądali nerwowo na drzwi. Wyglądało na to, że nikt nic nie słyszał.

W dłoni Czenki spoczywało małe dłuto z węglika wolframu, spłaszczone na jednym końcu.

- Młotek też tam masz? - zapytał Rosjanin.

- Użyję twojego pieprzonego łba - powiedział Chaney. Nie był wdzięczny

Czenie za to, że wpakował go w taką sytuację. Powinien być teraz na wyspie,

56

wykończyć ciężarówką, osadzić na łożu stalowy kontener. Przez wybryki tego Rosjanina będzie musiał pracować trzy noce, żeby nadrobić stracony czas. O ile, oczywiście, zdołają się stąd wydostać.

Wyszedł na minutą z celi, a kiedy wrócił, miał w rąku dwukilową sztangę z zestawu do ćwiczeń w pokoju dziennym. Owinął ją kawałkiem pledu z łóżka i zaczął pracować dłutem.

Błyskawicznie uporał się z sześcioma główkami śrub przytrzymujących akrylowy ekran. Odeszły łatwo i upadły z cichym brząkiem na podłogę.

Oстрыm końcem dłuta Chaney podważył ekran, tak by wsunąć palce pod grubą płytę. Zdjął ją z wkrętów, nadal sterczących z betonowej ściany.

Podniósł ramiona i chwycił za kraty. Tkwiły mocno w betonowych ścianach.

Ostrożnie umieścił akrylowy ekran na miejscu. Podniósł ucięte główki śrub z podłogi i za pomocą gumy do żucia przykleił je do płyty. Na pierwszy, a nawet drugi rzut oka wydawało się, że ekran jest nadal przytwierdzony do ściany.

- I co teraz? - zapytał Czenko.

- Teraz sobie poczekamy.

7

Jekaterinburg

Gideon spędził trzy dni w obskurnym pokoju hotelowym, pilnowany przez tajną policję. Nie pozwolili mu zadzwonić ani wysłać e-maila do Instytutu w Santa Crista. Wiedział, że jeżeli wkrótce nie da znaku życia, Caroline

zawiadomi Departament Stanu. Jego twarz, porośnięta dwudniową szczecina upodobniała się z wolna do krajobrazu, przybierając wygląd kielkującego lasu. Białka oczu były przekrwione z braku snu.

Ktoś, kto tak długo jak on zajmował się kontrolowaniem broni nuklearnej, nie mógł mieć złudzeń. Czasem czuł się jak prorok wołający na pustyni.

Zimna wojna się skończyła. Starannie wypracowaną równowagę sił, która stanowiła o istnieniu planety przez ostatnie pięćdziesiąt lat, diabli wzięli.

Obie strony były zawałone przerażającą bronią która mogła w kilka sekund zgładzić milion istnień ludzkich. A teraz jednemu z mocarstw zabrakło środków, by zabezpieczyć swoje narzędzia śmierci.

O ósmej rano trzeciego dnia Gideon został wyprowadzony z pokoju przez dwóch ponurych strażników z kałasznikowami. Przez chwilę, siedząc między nimi na tylnym siedzeniu samochodu, obawiał się, że wiozą go do lasu na egzekucję. Lasy wokół Jekaterinburga kryły niejedną posępny sekret.

Ale po dziesięciu minutach samochód zatrzymał się na parkingu przed biurem Mirnowa i Gideona poprowadzono znanym mu długim korytarzem. Mirnow czekał na Holendra w gabinecie. Wyglądał jak cień człowieka.

57

wykończyć ciężarówką, osadzić na łożu stalowy kontener. Przez wybryki tego Rosjanina będzie musiał pracować trzy noce, żeby nadrobić stracony czas. O ile, oczywiście, zdołają się stąd wydostać.

Wyszedł na minutę z celi, a kiedy wrócił, miał w ręku dwukilową sztangę z zestawu do ćwiczeń w pokoju dziennym. Owinął ją kawałkiem pledu z łóżka i zaczął pracować dłutem.

Błyskawicznie uporał się z sześcioma główkami śrub przytrzymujących akrylowy ekran. Odeszły łatwo i upadły z cichym brzękiem na podłogę. Oстрыm końcem dłuta Chaney podważył ekran, tak by wsunąć palce pod grubą płytę. Zdjął ją z wkrętów, nadal sterczących z betonowej ściany. Podniósł ramiona i chwycił za kraty. Tkwiły mocno w betonowych ścianach.

Ostrożnie umieścił akrylowy ekran na miejscu. Podniósł ucięte główki śrub z podłogi i za pomocą gumy do żucia przykleił je do płyty. Na pierwszy, a nawet drugi rzut oka wydawało się, że ekran jest nadal przytwierdzony do ściany.

- I co teraz? - zapytał Czenko.

- Teraz sobie poczekamy.

7

Jekaterinburg

Gideon spędził trzy dni w obskurnym pokoju hotelowym, pilnowany przez tajną policję. Nie pozwolili mu zadzwonić ani wysłać e-maila do Instytutu w Santa Crista. Wiedział, że jeżeli wkrótce nie da znaku życia, Caroline zawiadomi Departament Stanu. Jego twarz, porośnięta dwudniową szczecina upodobniała się z wolna do krajobrazu, przybierając wygląd kielkującego lasu. Białka oczu były przekrwione z braku snu.

Ktoś, kto tak długo jak on zajmował się kontrolowaniem broni nuklearnej, nie mógł mieć złudzeń. Czasem czuł się jak prorok wołający na pustyni.

Zimna wojna się skończyła. Starannie wypracowaną równowagę sił, która stanowiła o istnieniu planety przez ostatnie pięćdziesiąt lat, diabli wzięli.

Obie strony były zawałone przerażającą bronią, która mogła w kilka sekund zgładzić milion istnień ludzkich. A teraz jednemu z mocarstw

zabrakło środków, by zabezpieczyć swoje narzędzia śmierci.

O ósmej rano trzeciego dnia Gideon został wyprowadzony z pokoju przez dwóch ponurych strażników z kałasznikowami. Przez chwilę, siedząc między nimi na tylnym siedzeniu samochodu, obawiał się, że wiozą go do lasu na egzekucję. Lasy wokół Jekaterinburga kryły niejedną posępną sekret.

Ale po dziesięciu minutach samochód zatrzymał się na parkingu przed biurem Mirnowa i Gideona poprowadzono znanym mu długim korytarzem. Mirnow czekał na Holendra w gabinecie. Wyglądał jak cień człowieka.

57

Nie spał całą noc. Dopiero tego ranka zawiadomił swoich przełożonych w Moskwie o zaginięciu broni nuklearnej z zakładów. Zwlekał, jak długo się dało, licząc na to, że jego pracownicy znajdą dwa feralne pociski artyleryjskie. Jednakże odkrycia, jakie poczyniono w trakcie poszukiwań, były jeszcze bardziej złowieszcze.

W Rosji nieraz zgłaszano zaginięcie takiej czy innej broni nuklearnej, ale żaden z informatorów nie miał pozycji Mirnowa i jego dostępu do źródeł. Władze potraktowały doniesienie poważnie. Szef Mirnowa jechał już do Jekaterinburga wraz z ekipą ekspertów. Będą potrzebowali kozła ofiarnego, na którego zwali się winę, jeżeli incydent zyska rangę międzynarodową. Dyrektor Swierdłowska dobrze wiedział, komu przypadnie ta rola. Od dawna błagał Moskwę o zwiększenie personelu i środki na bezpieczeństwo. Moskwa wymawiała się brakiem pieniędzy.

- Kiepsko pan wygląda - zauważył Mirnow.

- Szkoda, że pan siebie nie widzi.

- Cóż, istnieje powód, dlaczego tak wyglądam. Ostatnio pracuję na okrągło. Dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Tak. Ja za to źle sypiam. Od wielu godzin proszę o udostępnienie mi telefonu. Bezskutecznie - powiedział Gideon.

- Wszystko w swoim czasie, przyjacielu. - Mirnow wskazał jeden z foteli przed biurkiem i Gideon usiadł.

- Cóż za ironia losu, prawda? - zagadnął Mirnow.

- Co mianowicie?

- Przez pięćdziesiąt lat skakaliśmy sobie do gardeł i jedynie strach przed wzajemnym unicestwieniem powstrzymywał nas przed zniszczeniem wroga. Jak wyście to nazwali? - Przyłożył palce do czubka nosa, jakby sprawdzał swoją zdolność ruchową po nadużyciu alkoholu. - Doktryna...

- Doktryna obopólnej destrukcji - podpowiedział mu Gideon.

- Otóż to! Jedno trzeba przyznać wam, Amerykanom, w nazewnictwie nie macie sobie równych. Jesteście mistrzami w operowaniu słowem. To dlatego wasza kultura zdominowała świat. Nie podbiliście go armią lecz słowami, filmami i gwiazdami ekranu, McDonald'sem i Disneylandem. Ale pan nie jest Amerykaninem, prawda?

- Jestem Holendrem.

- Ach, Holendrzy! Wspaniali ludzie. Odwiedziłem kiedyś Holandię. Tak! Byłem w Hadze.

- Jeżeli był pan w Hadze, powinien pan wiedzieć, że słyniemy z dyplomacji - powiedział Gideon.

- W rzeczy samej.

- Więc sugerowałbym, żeby pozwolił mi pan zadzwonić do mojego biura. Inaczej będzie miał pan do czynienia z ambasadą holenderską w Moskwie

- zagroził Gideon.

- Nie mogę panu na to pozwolić. Przynajmniej nie w tej chwili.

- Jestem więźniem?

58

- Ależ skąd! - Mimów rozciągnął usta w dobrodusznym uśmiechu. - Jest pan naszym gościem. Moi przełożeni wkrótce tu będą i z pewnością odpowiedzą na wszystkie pana pytania.

- Albo powie mi pan, co się tu dzieje, albo umożliwi mi skontaktowanie się z konsulatem holenderskim w Jekaterinbugu - powiedział Gideon. Mirnow uniósł rękę, jakby chciał go powstrzymać.

- Ambasada Holandii nie przejdzie do porządku dziennego nad przetrzymywaniem siłą jednego ze swoich obywateli.

Mimów nie pragnął ściągnąć na siebie gniewu zachodnich rządów. Z faktu przetrzymywania van Ry'a mogły wyniknąć same nieprzyjemności, głównie dla Mimowa.

- Proszę - powiedział. - Niech się pan nie denerwuje. Zatrzymam pana jeszcze tylko parę minut. Chciałbym się czegoś dowiedzieć.

Gideon usiadł wygodnie w fotelu. Nie miał wyboru.

- Ta wasza dokryna.. .Czy istnieje strategia odzyskania broni, czy materiałów, które wpadły w niepowołane ręce?

- To zależy.

- Od czego?

- Od tego, co złodziej chce osiągnąć. Zachód może wykupić ładunki z czarnego rynku, o ile złodziejowi przyświeca cel ekonomiczny - uzyskanie możliwie najwyższej ceny. Jeżeli jednak ma cel polityczny...

- Zachód podjąłby taki krok? - spytał Mimów. - Wykupiłby broń, chociaż

nie on przyczynił się do jej zgubienia?

- Nie mogę wypowiadać się w imieniu żadnego rządu. Ale jestem przekonany, że Zachód zrobi wszystko, by wycofać te pociski z rynku. Jestem pewny, że pański rząd również. Leży to w jego własnym dobrze pojętym interesie.

- A jeżeli złodziejom chodzi wyłącznie o to, by użyć broni? Jak to wygląda w teorii?

- Znajdujemy ich, zanim mają po temu okazję. I w tym momencie wykraczamy poza teorię.

Rosjanin spoważniał, spoglądając na Gideona ponad biurkiem, jakby rozważał w duchu poważny problem. Milczenie się przeciągało.

- Trochę mogę panu powiedzieć - odezwał się w końcu dyrektor. Gideon nadstawił uszu.

- Wiem, że te dwa ładunki nie figurują w ewidencji. Pański kolega nie popełnił błędu.

- Z takim założeniem tu przyjechałem - powiedział Gideon. Mimów uniósł lekko brwi.

- A więc pańscy ludzie w Kalifornii mają powody przypuszczać, że nie był to błąd inwentaryzacyjny?

- Jeżeli się z nimi wkrótce nie skontaktuję, zdobędą pewność.

- Tych dwóch pocisków nie ma w bunkrze, gdzie były przechowywane

- przyznał Mimów. Pociągnął łyk kawy, jakby musiał się wzmocnić przed tym, co za chwilę powie.

59

- Mogę prosić o kartkę i ołówek? - zapytał Gideon.

Mirnow zawahał się, ale po chwili namysłu uznał, że lepiej nie zawierzać

sprawy ludzkiej pamięci. Podsunął gościowi kartkę i ołówek i patrzył, jak Gideon notuje. Przynajmniej przestał domagać się natychmiastowego uwolnienia, przestał straszyć ambasadą. Mimów wiedział, że jeżeli nie załatwi się sprawy po cichu, ani się obejrzy, jak w jego biurze zamiast Gideona będzie siedział pracownik Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej. Tego sobie nie życzył. Przynajmniej do czasu, gdy odzyska pociski.

- Jest przecież możliwe - odezwał się Gideon - że te dwie pozycje zostały przełożone, lecz nadal znajdują się na terenie zakładów.

- To mało prawdopodobne - zaprzeczył Mimów.

- Dlaczego?

- Ponieważ ich zniknięcie nie jest wynikiem niedopatrzenia.

- Mógłby pan wyrażać się jaśniej?

- Po pierwsze, kwestia ich zniknięcia z naszej księgi inwentarzowej - powiedział Mimów.

- Może to być przecież wynik błędu w liczeniu. - Smutne doświadczenia nauczyły go, że rosyjski system inwentaryzowania broni nuklearnej jest bardzo prymitywny. Nie istniał skomputeryzowany kod kreskowy stosowany w Stanach Zjednoczonych, nie można więc było zlokalizować broni poprzez komputer nadrzędny. Tutaj używano staroświeckich metod. Liczono na palcach, jeżeli w ogóle. Od przeszło dwóch lat zachodni eksperci do spraw bezpieczeństwa obawiali się najgorszego. Rosjanie nie potrafili określić nawet w przybliżeniu, ile materiałów rozszczepialnych posiadają. Skąd więc mogli wiedzieć, czy im czegoś brakuje? Gideon uświadomił sobie właśnie, że ich metoda inwentaryzowania broni taktycznej może być równie zawodna. Po co terrorysta ma kraść materiały

rozszczepialne, skoro może sobie przywłaszczyć gotową bombę?

- Gdyby to był tylko błąd inwentaryzacyjny, miałby pan rację - powiedział Mimów. - Ale pojawiła się jeszcze bardziej niepokojąca kwestia dwóch imitacji.

- Jakich imitacji?

- Znaleźliśmy dwie atrapy w bunkrze, puste pociski, które miały uchodzić za prawdziwe. Nie wiem, od jak dawna tam leżą. Dlatego nie wykryliśmy błędu podczas inwentaryzacji w tym bunkrze. - Rosjanin westchnął ciężko.

- Nie rozumiem - powiedział Gideon. - Po co ktoś zadałby sobie trud, żeby podłożyć atrapę w miejsce prawdziwych pocisków, a potem zwyczajnie nie uwzględnił ich w księdze inwentaryzacyjnej? - To na jej podstawie pracownik Instytutu wykrył niedobór; w ogóle nie był w bunkrze.

- Potrafię podać tylko jeden powód - powiedział Mimów. - Nie było potrzeby ukrywać dalej niedoboru, ponieważ pociski znajdują się poza naszym zasięgiem, bezpieczne u celu przeznaczenia.

Chłodna logika tego rozumowania sprawiła, że Gideona przeszły ciarki.

- Przyjmijmy na razie, że ktoś zadał sobie trud fałszowania księgi inwentaryzacyjnej i robił to do czasu, gdy nie musiał już zacierać śladów.

60

- Na to wygląda - przyznał Mirnow.

- Kto miał dostęp do księgi?

- W tym właśnie problem. Tylko dwóch ludzi. Ja i Dimitrij.

- Nikt więcej?

- Nikt.

- Gdzie jest Dimitrij?

- Szukamy go od chwili, gdy opuścił zakłady. W jego mieszkaniu, w

miejskach, gdzie zwykle bywa. Zniknął bez śladu. Niestety, wszystko wskazuje na to, że Dimitrij jest w to zamieszany.

- To oczywiste - powiedział Gideon.

- Zadzwoiłem do siostry, ale ona również nic nie wie.

- Dlaczego do siostry?

- Dimitrij jest moim szwagrem. - Ton Mirnowa sugerował, że Gideon powinien o tym wiedzieć.

Holender spojrzał na niego ze współczuciem. Nic dziwnego, że facet złapał wódkę. Jedno było pewne, Gideon musi wydobyć z Mirnowa, ile się da przed przyjazdem jego przełożonych. Potem Rosjanin zostanie prawdopodobnie odsunięty od sprawy, zabiorą go gdzieś na konferencję i przepadnie jak kamień w wodę.

- Mamy niewiele czasu. Zdaje pan sobie z tego sprawę, prawda?

- Tak.

- Musi mi pan powiedzieć wszystko, co pan wie.

Mimów patrzył na niego przez chwilę z namysłem. Od blisko pięciu lat pracował za pensję, która ledwo pozwalała mu związać koniec z końcem. Od miesięcy nie otrzymywał jej w ogóle. Jego rodzina jadła byle co, dzieci miały dziury w podeszwach butów. Mimów pracował z poczucia obowiązku wobec ojczyzny, z przekonania, że Rosja jest odpowiedzialna za swój arsenał. Stworzyła go i powinna go kontrolować, tak podpowiadała mu duma narodowa. Mógł pójść za przykładem Dimitra i wziąć pieniądze. Wielu ludzi zapłaciłoby sowicie za materiały nuklearne i chemiczne przemycone ze Swierdłowska. Ale Mimów nigdy nie wziął nawet rubla.

Patrząc na Gideona, zastanawiał się, czy rządy zachodnie są lepsze niż

jego własny. Słyszał w CNN o polityce Białego Domu, o rządzie stworzonym przez Amerykanów ku udreće Amerykanów, o niekończących się skandalach finansowych. A jednak instyktownie czuł jakieś duchowe pokrewieństwo z człowiekiem siedzącym po drugiej stronie biurka. Gideon nie reprezentował żadnego rządu. I nie musiał jechać z Kalifornii do Moskwy i jeszcze dalej do Swierdłowska, żeby sprawdzić błąd w inwentaryzacji. Ludzie w Instytucie mogli po prostu opublikować informację i znaleźć się na czołówkach gazet, ale nie zrobili tego. Było coś w tym akcie ostrożności, szacunek dla prawdy, który zaimponował Rosjaninowi.

- Jeżeli zdradzę panu nasze informacje, zachowa je pan dla siebie? - zapytał.

- Będę musiał przekazać je Instytutowi.

- Oczywiście! Ale czy nie wyjdą poza Instytut?

61

- To będzie zależało. W przypadku zagrożenia publicznego będziemy musieli powiadomić władze.

- Rozumiem - powiedział Mimów. - Ale nie poinformujecie prasy? Nie podacie mnie jako źródła informacji?

- Nie.

- Nie ujawnicie tego publicznie? Informacja zostanie potraktowana jako poufna?

- Mogę pana zapewnić, że informacja będzie traktowana jako poufna tak długo, jak długo nie zaistnieje zagrożenie bezpieczeństwa publicznego.

Nikt nie chce wywołać niepotrzebnej paniki. Jedno mogę obiecać - pana nazwisko nie zostanie wymienione. - Gideon nie miał wpływu na to, co się

stanie, jeżeli informacja zostanie przekazana władzom. Ale mógł chronić swoje źródło.

- Odkryliśmy dwa listy przewozowe - powiedział Mimów. - Oba dokumenty wystawił Grigorij Czenko, technik, który pracował w Swierdłowsku. Pierwszy list z datą sprzed czterech tygodni, drugi - sprzed dwóch. Oba wystawione na części maszynowe. Zostały zapakowane w dwie skrzynie i wysłane do Władywostoku.

- Skąd wiecie, że to były bomby?

- Nie wiemy. A przynajmniej nie mamy pewności. Jednak przed wysłaniem zważono skrzynie. Ich waga była identyczna, nieco powyżej stu czterech kilogramów, co po odjęciu drewnianej skrzyni daje nam niemal dokładną wagę dwóch pocisków artyleryjskich.

- Powiedział pan, że pierwsza skrzynia została wysłana przed miesiącem?

- Tak.

Gideon dokonał poprawki w notatkach i jeszcze raz przebiegł wzrokiem zapiski.

- Ten Czenko? Gdzie on teraz jest?

- To nas najbardziej niepokoi. Nie wiemy. Zniknął wkrótce po tym, jak wysłano te części. Po prostu przestał przychodzić do pracy.

- I nie sprawdził pan, co się z nim dzieje?

- Zakładaliśmy, że znalazł lepszą robotę. Nic w tym niezwykłego. W ciągu ostatniego roku straciłem w ten sposób przeszło połowę personelu. Kiedy się ludziom nie płaci, przestają przychodzić do pracy. Gdybym sprawdzał, co się stało z każdym z nich, musiałbym zarzucić inne zajęcia. Czy pan wie, od ilu miesięcy wojskowi nie otrzymują żołdu? Żołnierze i marynarze, którzy byli kiedyś bogami, teraz traktowani są jak szmelc.

Rząd, który tak postępuje, prosi się o kłopoty.

Miał, oczywiście, rację. Co więcej, Gideon wiedział, że nie tylko Rosjanie są winni grzechu zaniedbania. Jeszcze groźniejszy w skutkach mógł okazać się fakt, że martwienie się bombą przestało być politycznie modne. Nuklearne zimy i atomowy holokaust były fobiami lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, nie należało wspominać o nich w czasach Internetu i gospodarki globalnej. Dlaczego politycy mieliby uświadamiać swoim wyborcom, że groźba uni-

62

cestwienia nuklearnego jest nadal realna? Po co dostarczać im powodu do zmartwień? Przecież zimna wojna się skończyła. Na Zachodzie zamykano bazy wojskowe, rozkoszowano się gwarancją pokoju, szacowano z istic kapitalistycznym wigorem nowe światowe rynki. Prezydent Stanów Zjednoczonych i premier Rosji byli przyjaciółmi. Po co straszyć ludzi doniesieniami, że ich miasta mogą zostać unicestwione przez przypadkową bombę nuklearną nawet jeżeli wywiad donosi niemal codziennie, że Rosja traci panowanie nad swoim arsenałem atomowym? A jeżeli stanie się to, co niewyobrażalne? Gideon nie miał złudzeń.

Amerykański prezydent ogłosi stan wyjątkowy i powie tym, którzy przeżyli, że boleje wraz z nimi. To wystarczało, by zostać mężem stanu pod koniec drugiego tysiąclecia, stanąć w jednym rzędzie z Rooseveltem i Churchillem.

- Jaki rodzaj pracy wykonywał Czenko? - zapytał Gideon.

- Tak jak wspomniałem, był technikiem. Pracował przy rozmontowywaniu broni.

- Również głowic?

- Tak.

- A więc potrafiłby je złożyć?

- Oczywiście - odpowiedział Mimów obojętnie, choć musiał sobie zdawać sprawę z wagi tego faktu. Człowiek o takich umiejętnościach był cennym nabytkiem dla rządów spoza klubu nuklearnego i dla organizacji terrorystycznych.

Gideon przeczytał swoje notatki, podkreślił niektóre fragmenty i nauczył się ich na pamięć. Potem położył kartkę na dużej popielniczce na biurku Mirno-wa, potarł zapałkę i podpalił jeden róg. Patrzył, jak papier się pali, dopóki nie pozostały z niego dymiące strzępki.

- Ostatnie pytanie - powiedział. - Jakie było miejsce przeznaczenia tych dwóch przesyłek?

Mimów przełknął z wyraźnym trudem. Zwierzchnicy obedną go ze skóry i poćwiartują.

- Tej rozmowy nie było - upewnił się jeszcze raz.

- Nie było.

- Nie mamy pewności co do drugiej skrzyni. Wiemy tylko, że nie ma jej już w magazynach portu we Władywostoku. Natomiast pierwsza pozostawiła ślad. Dzisiaj rano przefaksowano mi dokumentację przeładunku morskiego.

Z kieszeni koszuli wyciągnął złożoną kartkę papieru i zaczął ją rozwijać.

- Nie widział tego nikt poza mną i zarządcą portu we Władywostoku, a on nie ma pojęcia o znaczeniu tego dokumentu.

- Rozumiem - powiedział Gideon.

Rosjanin podsunął kartkę Gideonowi. Miejscem docelowym przesyłki, przynajmniej na papierze, były Stany Zjednoczone, przedsiębiorstwo o

nazwie Bel-den Electronics.

63

8

Roche Harbor, stan Waszyngton

Leciutka mgła unosiła się jak dym nad tafią wody, tak gładką i spokojną że przypominała szybę z ciemnego, matowego szkła. Można było zobaczyć smużki dymu unoszące się z kominów domów na Henry Island, milę od doków.

Joselyn spojrzała na zegarek. Do siódmej pozostało pięć minut. Miała nadzieję, że zdążą na rozprawę. Sędziowie federalni wydawali zwykle nakazy aresztowania świadków, którzy nie stawili się na wezwanie, a zdarzało się, że te nakazy obejmowały również adwokatów. To jej podpis, pod nagłówkiem jej firmy, figurował na liście, który przefaksowała do sądu, potwierdzając przyjazd Beldena.

Obejrzała się na parking przy przystani. Ani śladu Deana. Również na drodze wijącej się z boczem ponad hotelem nie dostrzegła żadnego samochodu.

Biały „Hotel de Haro”, z balkonami drugiego piętra oplecionymi winoroślą przypominał tort weselny. Został zbudowany na początku XIX wieku przez przemysłowca i właściciela miejscowych kamieniołomów. Kamieniołomy zamknięto czterdzieści lat temu, natomiast hotel przeżywał dni drugiej świetności. Należał do najbardziej uroczych zakątków na wyspach. Choć położony z dala od światła San Tropez i Costa del Sol, doczekał się uznania moźnych tego świata. Mówiono, że sułtan Brunei i król microsoftu Bill Gates cumują tu czasem swoje jachty, by przekąsić coś w hotelowej restauracji.

Zamierzała właśnie sprawdzić po raz kolejny godzinę, kiedy usłyszała monotony szum silników nad głową. Z zachodu nadlatywał samolot. Był to prawdopodobnie poranny wodolot z Wictorii. Obsługiwał wyspę dwa razy dziennie.

Pilot zszedł jeszcze niżej, celując w kanał między Henry Island a portem, usiadł na wodzie i przemknął po roziskrzanej tafli. Zatoczył duże koło i skierował się w stronę przystani, wzbijając płozami fontanny wody.

Wycie wiekiego silnika zburzyło sielankowy spokój portu. Stado kanadyjskich gęsi poderwało się do ucieczki, a w ślad za nim poszła para dzikich kaczek.

Joselyn po raz pierwszy w życiu widziała wodolot z tak bliska. Kiedy pilot wyłączył silnik, dzieliło ich nie więcej niż trzydzieści metrów. Widziała tylko ciemny zarys postaci w kokpicie. Samolot dryfował w ciszy, niby jakieś mityczne ptaszysko, coraz bliżej pomostu.

W ostatniej chwili drzwi pod skrzydłem otworzyły się i pilot opuścił się zręcznie na ponton. Płynnym ruchem wskoczył na pomost. Wodolot zatrzymał się posłusznie, jakby ulegając nakazowi, nie dotknąwszy nawet drewnianych pali.

Potwierdziły się najgorsze obawy Joselyn. Pilotem był Belden. Nie przepadała za powietrznymi podróżami, nawet wielkimi samolotami pasażerskimi. A tu proszę! Facet był pełen niespodzianek.

64

- Czekasz na mnie? - zapytał.

- Tym polecimy do Seattle?

- Chyba że to ty masz skrzydła. - Uśmiechał się niczym Robert Redford w Wielkim Waldo Pepperze.

Stała jak przyrośnięta do desek pomostu, gapiąc się na Beldena.

- Chodź! To tylko czterdzieści minut lotu, na pewno ci się spodoba.

Ten głos, który przemawia cichutko do każdego z nas, poinformował Joselyn, że jest idiotką nie potrafiącą przeciwstawić się Beldenowi.

- Nie wsiadam do małych samolotów z nieznanymi mężczyznami. W zasadzie w ogóle nie wsiadam do małych samolotów.

- Boisz się?

- Nie. - Nie była pewna, dlaczego skłamała.

- To dobrze, wskakuj!

Wyjął jej aktówkę z ręki i odstawił na pomost, potem pomógł Joselyn przejść na ponton.

- Skorzystaj ze schodków - powiedział.

Postawiła lewą stopę na metalowym stopniu wbudowanym w kadłub. Oczami duszy widziała już, jak wpada w dziurę między pontonem a pomostem. Flesz! „Kobieta spada z samolotu i ginie na miejscu”. To nagłówek, a pod nim wszystkie żenujące szczegóły.

Wdrapała się na siedzenie pilota. W pantoflach na wysokich obcasach i wąskiej spódnicy, która zadarła się wysoko na uda, wcale nie było to łatwe. Kiedy spojrzała w dół, Belden gapił się na jej nogi i sądząc z wyrazu twarzy, przeżywał miłe chwile.

- Zamieńmy się ubraniami i zobaczymy, co zdasz - zaproponowała. Roześmiał się.

- Nie, dziękuję. Jestem pewien, że widok nie byłby nawet w połowie tak nęcący.

Joselyn wstała, obciągnęła spódnicę i obeszła drążki przy tablicy rozdzielczej, zamierzając zająć jeden z sześciu foteli dla pasażerów.

- Usiądź na miejscu drugiego pilota - powiedział Belden.  
- Jesteś pewien?  
- Jasne. W ten sposób będziesz widziała, dokąd lecimy.  
- Może nie będę chciała.  
- Spodoba ci się. - Nie dał Joselyn czasu do namysłu. Zamiast dyskutować, rzucił jej aktówkę. Chwyciła ją w locie i opadła na fotel drugiego pilota. Odepchnął samolot, zanim miała czas się rozmyślić, i odbili od pomostu. Belden wdrapał się szybko do kabiny i zamknął drzwi. Zmienił położenie kilku przełączników nad głową drugą ręką mocując na uszach hełmofon. Wcisnął jeszcze parę guziczków, włączył tarczę. Nagle ruszyło śmigło i silnik zaskoczył.

Belden spojrzał w boczne okienko, sprawdzając, czy nie zawadzi o nic skrzydłem.

- Leciałaś już kiedyś wodolotem? - zapytał.

65

5 - Masa krytyczna

- Czekasz na mnie? - zapytał.

- Tym polecimy do Seattle?

- Chyba że to ty masz skrzydła. - Uśmiechał się niczym Robert Redford w Wielkim Waldo Pepperze.

Stała jak przyrośnięta do desek pomostu, gapiąc się na Beldena.

- Chodź! To tylko czterdzieści minut lotu, na pewno ci się spodoba.

Ten głos, który przemawia cichutko do każdego z nas, poinformował Joselyn, że jest idiotką nie potrafiącą przeciwstawić się Beldenowi.

- Nie wsiadam do małych samolotów z nieznanymi mężczyznami. W zasadzie w ogóle nie wsiadam do małych samolotów.

- Boisz się?

- Nie. - Nie była pewna, dlaczego skłamała.

- To dobrze, wskakuj!

Wyjął jej aktówkę z ręki i odstawił na pomost, potem pomógł Joselyn przejść na ponton.

- Skorzystaj ze schodków - powiedział.

Postawiła lewą stopę na metalowym stopniu wbudowanym w kadłub.

Oczami duszy widziała już, jak wpada w dziurę między pontonem a pomostem. Flesz! „Kobieta spada z samolotu i ginie na miejscu”. To nagłówek, a pod nim wszystkie żenujące szczegóły.

Wdrapała się na siedzenie pilota. W pantoflach na wysokich obcasach i wąskiej spódnicy, która zadarła się wysoko na uda, wcale nie było to łatwe. Kiedy spojrzała w dół, Belden gapił się na jej nogi i sądząc z wyrazu twarzy, przeżywał miłe chwile.

- Zamieńmy się ubraniami i zobaczymy, co zdziałasz - zaproponowała.

Roześmiał się.

- Nie, dziękuję. Jestem pewien, że widok nie byłby nawet w połowie tak nęcący.

Joselyn wstała, obciągnęła spódnice i obeszała drążki przy tablicy rozdzielczej, zamierzając zająć jeden z sześciu foteli dla pasażerów.

- Usiądź na miejscu drugiego pilota - powiedział Belden.

- Jesteś pewien?

- Jasne. W ten sposób będziesz widziała, dokąd lecimy.

- Może nie będę chciała.

- Spodoba ci się. - Nie dał Joselyn czasu do namysłu. Zamiast dyskutować, rzucił jej aktówkę. Chwyciła ją w locie i opadła na fotel drugiego pilota.

Odepchnął samolot, zanim miała czas się rozmyślić, i odbili od pomostu. Belden wdrapał się szybko do kabiny i zamknął drzwi. Zmienił położenie kilku przełączników nad głową drugą ręką mocując na uszach hełmofon. Wcisnął jeszcze parę guziczków, włączył tarczę. Nagle ruszyło śmigło i silnik zaskoczył.

Belden spojrział w boczne okienko, sprawdzając, czy nie zawadzi o nic skrzydłem.

- Leciałaś już kiedyś wodolotem? - zapytał.

65

5 - Masa krytyczna

- Nigdy.

- A małym samolotem?

Potrząsnęła głową podczas gdy Belden spoglądał na nią kątem oka, nie przestając pstrykać i przełączać.

- A więc powinno ci to dostarczyć trochę wrażeń. - Spojrział na jej spódnicę. - Mogłabyś jednak zapiąć pas, żeby tych wrażeń nie było za dużo.

Odszukała dwa boczne pasy, przez chwilę mocowała się z klamrą potem zacisnęła pasek tak mocno, że przygwoździł ją do oparcia fotela.

- Nie masz się czego obawiać - Strach bił od niej falami. - Pilotuję od lat.

- Nie boję się - skłamała.

- A więc nie boi się przynajmniej jedno z nas. - Posłał jej kolejny uśmiech Redforda. Zanim zdołała odpowiedzieć, Belden pchnął wajchę i silnik dosłownie buchnął mocą. Samolot skoczył do przodu, wykonał zwrot i zaczął się oddalać od przystani w stronę kanału.

Ruch maszyny na wodzie nabrał pewnego rytmu, więc Joselyn odprężyła

się trochę, usiadła wygodniej. Samolot sunął gładko po kanale, potem napotkał falę, prawdopodobnie wytworzoną przy lądowaniu, i zakołysał się lekko.

Belden wykonał jeszcze jeden zwrot i wyprowadził maszynę na środek kanału, między Henry Island a port. Bez wahania ujął rączkę steru. Pchnął ją naprzód i samolot przyspieszył, podskakując na krótkiej fali. Hałas i wibracje narastały, po chwili nie było już słycać nic poza grzechotaniem metalu i uderzeniami pontonu o wodę. Huk wypełnił wszystkie zmysły Joselyn, wibracje przenikały mózg.

Belden nie odrywał wzroku od powierzchni kanału, wyczekując odpowiedniej chwili. Wreszcie płynnym ruchem przyciągnął ku sobie dźwignię. Oderwali się od połyskliwej powierzchni morza i pomknęli w górę.

Dla Joselyn było to zupełnie nowe doświadczenie. Wpadali w dziury powietrzne, opierali się prądom, czego nie czuło się w potężnych samolotach odrzutowych. Wrażenie mozolnego wspinania się było dziwne, jakby walczyli z tajemniczą siłą która w każdej chwili mogła ich ściągnąć do morza.

Joss ujrzała pod sobą wyspy archipelagu San Juan, góry wyrastające z dywanu niebieskiej wody, połyskującej w porannym słońcu.

- Pięknie! - zawołała.

- To jeden z powodów, dla których lubię latać. Tego nie zobaczysz z odrzutowca. Zbyt szybko wznosi się ponad chmury. Poza tym mam bzika na punkcie kontroli. Muszę trzymać ręce na kierownicy.

Skinęła głową na znak, że go rozumie.

Wspinali się jeszcze przez kilkanaście minut, zataczając wielkie koło nad

wypami, potem skierowali się na południe. Osiągnęli już swój pułap i silnik odpoczywał.

- Może przejmiesz na chwilę? - zaproponował Belden.

- Co?

- Stery - powiedział. Zdjął ręce z drążka, zanim Joselyn zdążyła zaprotestować. Odruchowo chwyciła wolant i samolot natychmiast przechylił się w prawo.

66

- Uważaj na stery pionowe. - Wskazał dwa pedały na podłodze. - Utrzymuj je na jednym poziomie. Dziób na linii horyzontu i wszystko będzie w porządku.

Joselyn prowadziła samolot oniemiała, z dreszczem zgrozy. Na jej czole ukazały się krople potu.

- Jak ci się podoba?

- Bardzo. Ale chcę już przestać. - Znajdowała się w okowach strachu.

- Świetnie sobie radzisz. - Z kieszeni w drzwiach wyjął jakieś papiery i zaczął je przeglądać, nie zwracając najmniejszej uwagi na jej poczynania przy sterach.

- Nić boisz się, że wpakuję nas na jakąś górę?

- Nie. - Nie podniósł wzroku. - Jedyne góry w okolicy została za nami.

- Dobrze wiedzieć, że masz do mnie pełne zaufanie.

- Chyba się zdrzemnę.

- Ani się waż!

Jej oczy skakały od tarcz i przełączników na tablicy rozdzielczej do linii horyzontu i z powrotem. Po chwili jednak przerażenie przeszło w zwyczajne uczucie dyskomfortu i zaczęła wyczuwać stery.

- Jeszcze dwadzieścia minut - powiedział Belden - i znajdziesz się nad północnym Seattle.

- Tak się nie traktuje własnego adwokata - powiedziała.

- Myślałem, że dobrze się bawisz.

Nie chciała się do tego przyznać, ale faktycznie zaczynała się dobrze bawić.

- To jak jazda na rowerze - zapewnił ją Belden.

- Z rowem krócej się spada.

- Ale ten samolocik nie zamierza spaść. Nurkujesz.

- Co mam robić?

- Widzisz wskaźnik prędkości? - Wskazał jedną z tarcz. - Bardzo łagodnie pociągnij wolant ku sobie. Tylko odrobinę. Znakomicie. Podnieś trochę nos.

Zamilkła, koncentrując się na sterach. Horyzont zrównał się wiatrochronem, a wskaźnik prędkości spadł o trzydzieści mil na godzinę.

- Bardzo dobrze. A teraz porozmawiajmy o tym, czego się mogę spodziewać w sądzie. - Rozłożył papiery na kolanach, jakby zamierzał robić notatki.

- Nic ci nie powiem, dopóki nie przejmiesz sterów. Roześmiał się i przejął wolant.

- Możesz się odprężyć.

Joselyn wzięła głęboki oddech i opadła na oparcie fotela, próbując rozluźnić obolałe mięśnie karku. Przymknęła na chwilę oczy, potem sięgnęła po aktówkę i notatnik. Przerzuciła kilka stron, a kiedy podniosła wzrok, dłonie Belde-na nie spoczywały już na sterach.

- Kto prowadzi?

- Autopilot. Ja będę uważał na inne samoloty, a ty mi powiedz, jak mam się zachować w sądzie.

- Po pierwsze, spróbujemy się zorientować, o co im właściwie chodzi. Porozmawiamy sobie z innymi świadkami. Może kogoś rozpoznasz i to będzie

67

dla nas wskazówką. Jeszcze jest czas, żeby powołać się na Piątkę, odmówić zeznań, jeżeli masz po temu powody.

- Rozumiem.

- Kiedy już znajdziemy się na sali, zostaniesz zaprzysiężony. Prokurator prowadzący sprawę, najprawdopodobniej zastępca prokuratora generalnego, poinformuje cię o przysługujących ci prawach. Masz prawo do porady prawnej, do zachowania milczenia i tak dalej. Otrzymasz prawdopodobnie ostrzeżenie, że zeznajesz pod przysięgą a więc grozi ci proces o krzywoprzysięstwo, jeżeli skłamiesz.

- To wiem.

- Potem prokurator poinformuje cię o przedmiocie śledztwa. Będzie to moment krytyczny. Jeżeli sprawa nie będzie dotyczyła tego faceta, o którym mi mówiłeś, poproś o czas na skonsultowanie się z adwokatem. Muszą ci na to pozwolić. Nie odpowiadaj na żadne pytania, dopóki nie będziemy mieli okazji porozmawiać. Czy to jasne?

- Kaszka z mleczkiem - powiedział Belden.

- Miejmy nadzieję.

- Co będzie dalej?

- Prokurator zacznie zadawać pytania. Dobrze się namyśl, zanim cokolwiek powiesz. Odpowiadaj na temat, tak zwięźle, jak to możliwe, nie

wyrywaj się. Jeżeli się rozgadasz, wszystko się przeciągnie, a im dłużej to będzie trwało, tym większe niebezpieczeństwo, że coś chlapniesz. Bądź zwięzły i uprzejmy.

- Jasne.

- Kiedy zaczniesz zeznawać, mów prawdę. Niczego nie ukrywaj.

- Przed chwilą powiedziałaś, że mam się nie wyrywać.

- Masz odpowiadać wyczerpująco na ich pytania, ale trzymaj się twardo tematu. Nie podsuwaj im nowych pomysłów. Im mniej powiesz, tym szybciej stamtąd wyjdiesz. Kiedy to tylko możliwe odpowiadaj „tak” lub „nie”.

- Rozumiem. Jedną chwileczkę... - Przekręcił gałkę urządzenia, które przypominało radio.

- Wzywam wieżę kontrolną I.L.S. - powiedział do hełmofonu. - Tu J-N osiem-dwa-cztery-sześć. Podchodzę... - Spojrzał na kompas i podał kurs. Wieża odpowiedziała, ale Joselyn nie rozróżniła słów w serii trzasków.

- Jezioro Union. Dziękuję - powiedział Belden i wyłączył radio.

- Przepraszam, musiałem uzyskać pozwolenie na lądowanie. OK, a więc odpowiadam zwięzle na zadawane pytania.

- Właśnie.

- W przypadku niespodzianek proszę o rozmowę z tobą.

- Tak jest.

- Co jeszcze?

- Właściwie nie wiem. Procedura różni się między dystryktami. Niektórzy prokuratorzy pozwalają sędziom przysięgłym zadawać pytania świadkowi. Nie wiem, czy tak jest w Seattle. Postaram się zorientować, zanim wejdziemy na salę. Ale jeżeli tak się sprawy mają musisz uważać.

dla nas wskazówką. Jeszcze jest czas, żeby powołać się na Piątkę, odmówić zeznań, jeżeli masz po temu powody.

- Rozumiem.

- Kiedy już znajdziemy się na sali, zostaniesz zaprzysiężony. Prokurator prowadzący sprawę, najprawdopodobniej zastępca prokuratora generalnego, poinformuje cię o przysługujących ci prawach. Masz prawo do porady prawnej, do zachowania milczenia i tak dalej. Otrzymasz prawdopodobnie ostrzeżenie, że zeznajesz pod przysięgą a więc grozi ci proces o krzywoprzysięstwo, jeżeli skłamiesz.

- To wiem.

- Potem prokurator poinformuje cię o przedmiocie śledztwa. Będzie to moment krytyczny. Jeżeli sprawa nie będzie dotyczyła tego faceta, o którym mi mówiłeś, poproś o czas na skonsultowanie się z adwokatem. Muszą ci na to pozwolić. Nie odpowiadaj na żadne pytania, dopóki nie będziemy mieli okazji porozmawiać. Czy to jasne?

- Kaszka z mleczkiem - powiedział Belden.

- Miejmy nadzieję.

- Co będzie dalej?

- Prokurator zacznie zadawać pytania. Dobrze się namyśl, zanim cokolwiek powiesz. Odpowiadaj na temat, tak zwięźle, jak to możliwe, nie wrywaj się. Jeżeli się rozgadasz, wszystko się przeciągnie, a im dłużej to będzie trwało, tym większe niebezpieczeństwo, że coś chlapniesz. Bądź zwięzły i uprzejmy.

- Jasne.

- Kiedy zaczniesz zeznawać, mów prawdę. Niczego nie ukrywaj.

- Przed chwilą powiedziałaś, że mam się nie wyrywać.
- Masz odpowiadać wyczerpująco na ich pytania, ale trzymaj się twardo tematu. Nie podsuwaj im nowych pomysłów. Im mniej powiesz, tym szybciej stamtąd wyjdiesz. Kiedy to tylko możliwe odpowiadaj „tak” lub „nie”.
- Rozumiem. Jedną chwileczkę... - Przekręcił gałkę urządzenia, które przypominało radio.
- Wzywam wieżę kontrolną I.L.S. - powiedział do hełmofonu. - Tu J-N osiem-dwa-cztery-sześć. Podchodzę... - Spojrzał na kompas i podał kurs. Wieża odpowiedziała, ale Joselyn nie rozróżniła słów w serii trzasków.
- Jezioro Union. Dziękuję - powiedział Belden i wyłączył radio.
- Przepraszam, musiałem uzyskać pozwolenie na lądowanie. OK, a więc odpowiadam zwięźle na zadawane pytania.
- Właśnie.
- W przypadku niespodzianek proszę o rozmowę z tobą.
- Tak jest.
- Co jeszcze?
- Właściwie nie wiem. Procedura różni się między dystryktami. Niektórzy prokuratorzy pozwalają sędziom przysięgłym zadawać pytania świadkowi. Nie wiem, czy tak jest w Seattle. Postaram się zorientować, zanim wejdziemy na salę. Ale jeżeli tak się sprawy mają musisz uważać.

68

- Dlaczego?
- Ponieważ przysięgli wyglądają jak zwyczajni ludzie. Są zwyczajnymi ludźmi, na ogół przyjacielscy, uśmiechnięci. Nie używają prawniczego żargonu. Fakt, że wyglądają jak twoi sąsiedzi, sprawi, iż potraktujesz ich

inaczej, opuścisz gardę i wdasz się w rozmowę. Nie wolno tego robić! Prokurator będzie słyszał każde słowo, wślizgnie się w każde drzwi, które przed nim uchylisz. Przysięgli nie są twoimi przyjaciółmi. Nie zaprosili cię tam na spotkanie towarzyskie.

- Rozumiem. Są wrogami - powiedział Belden.

- Nie bądź wrogi, po prostu miej się na baczności.

- Dobrze. Czy to wszystko?

- Mniej więcej. Jeżeli czegoś nie zrozumiesz, proś o powtórzenie. Możesz również poprosić o inne sformułowanie pytania. Jeżeli czujesz, że powinieneś się skonsultować ze mną powiedz im, że prosisz o przerwę, żeby poradzić się adwokata.

- OK.

Obniżyli lot nad północnymi przedmieściami i Joselyn ujrzała miasteczko uniwersyteckie ciągnące się pasem wzdłuż brzegu jeziora Waszyngton.

- Powiedz mi coś więcej o swoim przedsiębiorstwie - poprosiła Joselyn.

Pytanie padło zniemacka i zaskoczyło Beldena.

- Co mam ci powiedzieć?

- Co właściwie produkujesz?

- Przełączniki.

- To wiem. Ale jaki rodzaj przełączników?

- Taki, który włącza i wyłącza różne rzeczy. Popatrzyła na niego z politowaniem.

- Obecnie pracujemy nad chipami komputerowymi do systemu identyfikowania głosu - wyjaśnił Belden. - Obowiązuje ta sama zasada, co przy odciskach palców, tylko że w tym wypadku sprawdza się zapis głosowy. Ktoś mówi do telefonu albo do mikrofonu, a komputer

porównuje głos z zapisem na płycie. Jeżeli zapis się zgadza, drzwi się otwierają albo zapala się światło, albo włącza się alarm, albo następuje jakaś inna reakcja.

- Fascynujące - powiedziała Joselyn. -1 to naprawdę działa?

- W dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto. System jest praktycznie nieomylny.

- A jeżeli mam czyjś głos nagrany na taśmę?

- Nawet w przypadku nagrania właściwego głosu płytka wyłapie dźwięki w tle i zakwalifikuje zapis jako niewłaściwy. Najlepsze systemy używają słów-kodów. Użyj właściwych słów, a zdobędziesz kontrolę nad światem. Zatoczył szeroki łuk ku wschodowi i zaczął podchodzić do lądowania, odcinając moc i chowając klapy na skrzydłach. Samolot opadał szybko i Joselyn miała uczucie, że żołądek podjeżdża jej do gardła. Silnik wygasł niemal, kiedy nurkowali w stronę jeziora Union, ponad mostem 1-5, gdzie ruch uliczny zdawał się trwać w miejscu.

69

Obniżywszy lot, Belden pchnął manetką odrobinę do przodu, żeby uzyskać większą moc, i w odpowiedzi dziób samolotu uniósł się momentalnie.

Zetknięcie z wodą było łagodne i ledwo wyczuwalne, jeżeli nie liczyć fontanny, która wyprysnęła spod płóz, i lekkiego drżenia maszyny, kiedy sunęli po jeziorze.

- Dostarczyłem cię na miejsce - oznajmił Belden. - Całą i zdrową.

- Nigdy w to nie wątpiłam.

Skierował samolot w stronę jednego z doków. Wielka tablica na zielonym budynku informowała, że jest to „Przystań wodolotów w Seattle”. Wzdłuż

pomostu stały drewniane skrzynki z barwnymi kwiatami i cumowały wodoloty. Jedna z maszyn została wciągnięta na pływający dok, który zanurzył się częściowo pod jej ciężarem.

- Wolno mi tutaj cumować tylko przez parę godzin. Za rzadko tu bywam, by mi się opłacało wykupywać stałe miejsce. Wezwiemy taksówkę. Joselyn zerknęła na zegarek. Belden nie pomylił się. Mieli mnóstwo czasu. Dziesięć minut później siedzieli już w taksówce, która przebijała się przez centrum miasta w stronę Madison i budynku sądu Stanów Zjednoczonych w Seattle.

Gulver, stan Kalifornia

Numer był przebojowy, lepszy niż obrobienie banku czy wyrwanie ze ściany bankomatu za pomocą łańcucha przymocowanego do furgonetki.

Nikt do człowieka nie strzelał, a kasa nieporównywalnie większa.

Poza tym tyłeczek Bucka wyglądał tak seksownie w obcisłych szortach koloru khaki. Filigranowa recepcjonistka obrzuciła go uważnym spojrzeniem, kiedy czekał grzecznie, aż skończy rozmawiać przez telefon. Gdyby wiedziała, że ta wizyta będzie kosztowała jej szefa przeszło tysiąc dolarów, przyjrzałaby mu się jeszcze uważniej.

Buck Thompson mieszkał w małym miasteczku SedroWooley, na północnym skraju stanu Waszyngton. Z zawodu był drwalem, ale nie pracował od trzech lat. Nie było pracy. On i jego przyjaciele imali się przeróżnych zajęć, żeby utrzymać rodziny. Od czasu do czasu odwalał jakąś robotkę w innym stanie. Jak choćby teraz.

Przez dziesięć lat zarabiał godziwie na życie, aż do ostatniego kompromisu między ekologami a Białym Domem, w wyniku którego zamknięto większość tartaków. Od tamtego czasu Buck był bezrobotny.

Jego czternastoletni syn rzucił szkołę, żeby pójść do pracy. Żona pracowała na dwóch posadach; nocami sprzątała biura, w dzień odbierała telefony w zakładzie napraw samochodów.

70

Do pasji doprowadzało go nieustanne gędzenie w CNN o rozkwicie gospodarczym. Środki masowego przekazu, czy jak ich tam zwał, stały się instrumentem rządu federalnego, recytując bezmyślnie oświadczenia prasowe Białego Domu. Kiedy prezydent dał publicznie plamę, donosili, że sra złotymi cegłami.

Gdy Buck i jego przyjaciele chcieli się dowiedzieć, co słyhać w polityce, korzystali z Internetu, łącząc się ze Wspólnotą Aryjską lub Braterstwem, ze wszystkimi ludźmi o bojówkarskich koneksjach. Rozmawiali szyfrem, używając pseudonimów, bo federalni byli wszędzie.

Buck wiedział, że amerykańskie miejsca pracy są towarem eksportowym. Amerykański przemysł transportowy wzdłuż granicy z Meksykiem praktycznie uległ likwidacji. W Internecie mówiło się wyłącznie o bezrobotnych kierowcach ciężarówek. Przedsiębiorstwa prosperujące od pokoleń zbankrutowały w ciągu paru miesięcy po tym, jak Stany Zjednoczone podpisały porozumienie o wolnym handlu. Było to sprzysiężenie partii politycznych i wielkiego biznesu przeciwko pracującym ludziom. Jeżeli ktoś spytałby Bucka o zdanie, odparłyby, że politycy są bandą cwaniaczków gotowych sprzedać kraj każdemu, kto podrzuci im trochę grosza na kampanię wyborczą. W połowie przypadków były to obce rządy lub ich obywatele.

Buck uważał, że Departament Sprawiedliwości to dobry żart. Jego głównym zadaniem było tuszowanie machlojek „góry”, FBI zaś z zasady

prześladowało ludzi takich jak Buck, ludzi, którzy mieli niewłaściwe poglądy polityczne. Każdy, kto był przeciwny podatkom, wypowiedział się krytycznie o IRS albo o prezydencie, trafiał się na czarną listę.

Ameryka zniszczyła Związek Radziecki tylko po to, by zastąpić go w roli największego totalitarnego rządu, w którym zasiadają przekupni politycy, ich przyjaciele z mediów i skorumpowani biurokraci.

Z tych właśnie powodów Buck czerpał ogromną przyjemność z obecnego zajęcia. Polegało na dojeniu pieniędzy z przedsiębiorstw telefonicznych. Wystarczyło wykręcić odpowiedni numer i pieniądze sypały się niby manna z nieba. Była to szybka metoda zrobienia dużego szmalu. A Buck czuł, że szykuje się coś wielkiego.

Zastanawiał się, kto na to wpadł. Powiedziano mu, że jakiś Rosjanin, mafioso z Moskwy, który wyemigrował do Stanów. Rosjanie nie obrabiali banków i sklepów monopolowych. Wierzyli w nowoczesne metody zarabiania pieniędzy, na przykład przez wykręcenie numeru telefonicznego. Rosyjska mafia, która przetrwała siedemdziesiąt pięć lat w cieniu Kremla, stanowiła godnego przeciwnika dla amerykańskich organów ścigania. Za pięć lat rząd federalny pożałuje, że zdjął żelazną kurtynę; zacznie odbudowywać mur berliński. Ameryka chciała wyzwolić Europę Wschodnią. Teraz ma, o co prosiła.

Tego popołudnia było ich na mieście czternastu bojówkarzy, każdy w uniformie innej firmy przesyłkowej, każdy wyposażony w paczkę i plik fałszywych pokwitowań. Choć większość pochodziła z Północnego Zachodu, pracowali w Culver City w południowej Kalifornii, w dzielnicy przedsiębiorstw i hurtow-

ni. Wybierali duże firmy, dla których dodatkowy tysiąc czy dwa na miesięcznym rachunku telefonicznym nie stanowił różnicy.

Filigranowa blondynka za ladą recepcji była sympatyczna. Przypominała Buckowi jedną z jego siostrzenic. Na głowie miała hełmofon niby pilot samolotu i wprawnie wciskała guziczki na pulpicie centralki. Spojrzała z uśmiechem na Bucka.

- Czym mogę służyć?

- Mam przesyłkę dla pana Zinsky'ego - powiedział.

Dziewczyna popatrzyła na niego pustym wzrokiem, jakby nie kojarzyła nazwiska. Nic dziwnego. Pan Zinsky nie istniał.

- Na pewno ma pan właściwy adres? Buck odczytał nazwę firmy wraz z adresem.

- Może jest nowy - powiedziała recepcjonistka. Spojrzała na listę pracowników, którą miała przed sobą, przerzuciła kilka kartek. - Tutaj go nie ma. Może wezmę tę paczkę a jak go nie znajdę, zadzwonię do pana firmy - zaproponowała.

- Nie mogę tego zrobić - powiedział Buck. - Musi podpisać.

- Ja podpiszę.

- Do rąk własnych. Muszę mieć podpis pana Zinsky'ego. Dziewczyna nie wiedziała, co robić.

- Mogłabym zadzwonić do szefa. - Jeszcze raz przekartkowała wykaz pracowników firmy. Ani śladu Zinsky'ego.

- To pilne. - Buck puknął palcem w paczkę. - Musi być coś ważnego.

Dziewczyna spojrzała na niego bezradnie. Nie chciała narobić sobie kłopotów.

- Może pan przeliterować nazwisko?

- Harold Zinsky. Z-I-N-S-K-Y.

Sprawdziła listę pracowników po raz trzeci. Nie figurował na niej nikt o podobnym nazwisku. A tymczasem na centralce zapalały się kolejne czerwone światełka, dzwoniły wszystkie telefony.

- Chwileczkę. - Chwyła pierwszą z brzegu słuchawkę. - Proszę poczekać. - Przycisnęła guzik. - Proszę poczekać. - Powtórzyła ten zabieg sześciokrotnie. Światełka nadal mrugały, ale już nic nie dzwoniło.

- Adres się zgadza, nazwa firmy też - powiedziała. - Ale nie pracuje tu żaden Zinsky.

Buck przybrał zatroskany wyraz twarzy.

- Mogę skorzystać z telefonu? Zadzwoń do dystrybutora. Na miejscowy numer.

- Jasne! Niech pan dzwoni z tamtego, na końcu lady. Trzeba wcisnąć dziewiątkę, żeby wyjść na miasto. - Dziewczyna wróciła do pracy, szczęśliwa, że może odłożyć podjęcie decyzji chociaż na parę minut.

Buck przesunął się na koniec lady. Znajdował się teraz półtora metra od stanowiska recepcjonistki. Podniósł słuchawkę, wystukał dziewięć, a następnie numer zaczynający się od cyfr dziewięć, zero, zero. Był to jeden z numerów kojarzonych niemal wyłącznie z firmami świadczącymi usługi towarzyskie. „Za-

72

dzwoń do mnie. Mam na imię Sherie. Obciągnę ci drucika na odległość, za trzy dolary za minutę".

Przeciętny użytkownik telefonu nie wiedział, że niektóre przedsiębiorstwa telefoniczne liczyły firmom dwieście pięćdziesiąt dolarów za rozmowę z numerem zaczynającym się od cyfr dziewięć, zero, zero.

Usługodawca, zazwyczaj jeden z molochów telekomunikacyjnych, brał niewielki procent, a resztę zarobionych pieniędzy przysyłał klientowi posiadającemu ten właśnie numer. W przypadku Bucka była do Bojówka Stanów Zachodnich, konsorcjum dobrze uzbrojonych i zorganizowanych patriotów. Rzecz prosta, nie używali nazwy bojówki w kontaktach z telekomunikacją. Występowali jako bardzo szacowna firma Rock Island Finance and Investment. Zmieniają nazwę w przyszłym tygodniu, kiedy przeniosą się w inny rejon kraju, by powtórzyć operację z innym numerem i z inną firmą

Buck stał ze słuchawką w ręku, czekając aż automatyczna sekretarka wypowie swoją kwestię. Była bardzo krótka, zaledwie dziesięć słów na temat planowania finansowego.

Rozłączył się, nie powiedziawszy słowa. Recepcjonistka spojrzała na niego pytająco. Rozmawiała z kimś przez telefon.

- Zajęte - szepnął Buch.

Dziewczyna skinęła głową przełączyła rozmowę i przyjęła następny telefon.

Buck powtórzył manewr jeszcze pięciokrotnie, dopisując do rachunku telefonicznego firmy tysiąc dwieście pięćdziesiąt dolarów. Pod koniec miesiąca rachunek zostanie przesłany szefowi recepcjonistki i o ile księgowym firmy nie jest Ebenezer Scrooge, nie zostanie zakwestionowany. Z kolei przedsiębiorstwo telekomunikacji prześle pieniądze bojówce kryjącej się pod korporacyjnym pseudonimem.

Buck mógłby zadzwonić jeszcze cztery razy, ale się ulitował. Poza tym nie należało doić tylko jednej krowy. Na tej samej ulicy znajdowało się co najmniej tuzin firm, które nie zauważą podwyżki w opłatach przez dwa,

trzy miesiące, jeżeli w ogóle. Buck odwiedzi je wszystkie w ciągu następnych dwóch godzin. Jutro przeniosą akcję do Orange, a potem do San Diego. Witamy w elektronicznym Eldorado.

Buck podszedł do recepcjonistki. Właśnie przełączała rozmowę, a na linii miała już następnego rozmówcę.

- Proszę poczekać - Wcisnęła pauzę.

- Cały czas zajęte - powiedział Buck. - Zadzwonię do firmy z komórki, z samochodu. Niech sprawdzą nadawcy. Pewnie pomylili adresy i nazwiska. Wyjaśnię to i wrócę z paczką popołudniu.

- Wspaniale! - Dziewczyna błysnęła w uśmiechu perłowymi zębami, jakby właśnie rozwiązał problem, z którym borykał się od lat.

Odwrócił się i ruszył do wyjścia. W ciemnej szybie drzwi widział, jak dziewczyna szacuje go wzrokiem.

Idąc ulicą dokonał szybkich obliczeń. Jeżeli każdy z czternastu wysłańców obskoczy w godzinę pięć firm i natnie każdą z nich na tysiąc dolarów, zarobią

73

siedemdziesiąt tysięcy, co przy ośmiogodzinnym dniu pracy daje pięćset sześćdziesiąt tysięcy. Bojówka zabierze dziewięćdziesiąt procent, a reszta zostanie rozdzielona między czternastu wykonawców. Buck nie miał więcej pytań. Jak by na to nie spojrzeł, zajęcie było bardziej dochodowe niż wchodzenie na drzewa i ścinanie gałęzi.

Kent, stan Waszyngton

Pasta do zębów i papier toaletowy załatwiły wykrywacz dymu, zawieszony pod sufitem celi. Wykrywacze zostały zainstalowane, żeby pensjonariusze nie rozpalali się po nocach i nie spalili więzienia.

Chaney przygotował tampon z kilkunastu kawałków papieru toaletowego, sklejonych pastą i wodą. Dokładnie owinał nimi wykrywacz i uszczelnił to wszystko resztką pasty. Podeszedł potem do okna i usunął główki śrub mocujących akrylowy ekran. Ostrożnie postawił go na podłodze, pod ścianą. Trzymając w palcach płonąca zapałkę uniósł ramię jak najbliżej otworu okiennego i czekał kilka sekund, aż się wypali do końca.

- Co robisz? - zapytał Czenko.

- Zamknij się!

Czekali dwie minuty, a zdawało się to całą wiecznością! Chaney miał już potrzebę drugą zapałkę, kiedy usłyszał szelest gałęzi na zewnątrz. Podniósł głowę i zobaczył w oknie twarz mężczyzny.

- Czemu, do cholery, trwało to tak długo?! - syknął Chaney.

- Jakiś samochód przejeżdżał. Weź to. - Facet nie mógł złapać tchu. Podał Chaneyowi małe walkie-talkie ze słuchawkami i mikrofonem. - Mamy samochody na obu końcach ulicy. Oba są nastrojone na kanał siódmy. Jak zobaczą jakiś ruch na zewnątrz, nadjeżdżające wozy czy strażników, dadzą ci znać. Wtedy masz zakryć płomień. Jasne?

- Jasne - potwierdził Chaney.

- Masz to. Nie upuść! - Facet z zewnątrz ostrożnie przesunął między kratami walizkę z palnikiem Victora. Rączka walizki przewiązana była linką przy której pomocy mógłby wyciągnąć sprzęt z powrotem, gdyby z jakiegoś powodu nie mogli wyjść tej nocy.

- Jak będziesz czegoś potrzebował, daj głos do mikrofonu. Będę w aucie na rogu. - Facet zniknął, nie czekając na odpowiedź Chaneya. Zostawił dragi koniec sznura zwinięty pod murem i poszedł do kumpli w samochodzie. Kroczył starannie opracowaną marszrutą wytyczoną przed

kilkoma dniami.

Więzienie dysponowało systemem obserwacji otoczenia. U okapu budynku zainstalowano obracające się kamery. W budynku znajdowały się monitory, przy których dyżurowali strażnicy.

System miał jedną słabość: nie obejmował skrawka terenu na zewnątrz celi na parterze, którą Chaney zdobył od Tatuaza i Homera. Może i było to dość nowe

74

więzienie, nie umywało się jednak do Pelican Bay czy więzienia federalnego w Atlancie.

Chaney wyjął sprzęt z walizeczki, dopilnował, aby tlen i acetylen mieszały się we właściwych proporcjach i zapalił gaz. Pokręcił jeszcze regulatorem, aż płomień stał się niebieski.

W walizeczce były też okulary. Chaney założył je i przystąpił do pracy. Dojście do okna było paskudne, dodatkowo utrudnione przez półmetrową odległość od krawędzi wnęki do krat. Stał na brzegu komody, z trudem utrzymując równowagę, raz po raz ześlizgując się i niemal wpadając do otwartej muszli klozetowej.

Czenko zasłaniał kocem okienko w drzwiach, żeby odbłask iskier z przecinanej stali nie rozjaśniał mrocznego korytarza. Od czasu do czasu zaglądał pod koc i upewniał się, że w pobliżu nie ma klawisza.

Dym zaczął powoli wypełniać celę, krążyć pod sufitem. Czenko spoglądał nerwowo na wykrywacz i modlił się, żeby otulina z papieru nie zawiodła.

- Skończyłeś? - zapytał.

- Zamknij się i pilnuj judasza! - rzucił Chaney. Uporał się już z jednym prętem i przeciął drągi w połowie, kiedy usłyszał głos w słuchawkach

walkie-talkie.

- Zrób sobie przerwę. Jakiś facet idzie ulicą.

Chaney usunął palnik z wnęki okiennej i skierował go ku podłodze, żeby żaden błysk nie był widoczny z zewnątrz. Czekał parę minut, dopóki nie usłyszał:

- Wszystko w porządku!

Chaney miał nadzieję, że faceci na zewnątrz przywlekli ze sobą łom. Plan zakładał, że Chaney przetnie każdy pręt kraty jeden raz, u dołu.

Pomocnicy z zewnątrz mieli je następnie odgiąć, żeby Chaney i Rosjanin mogli przecisnąć się przez otwór.

Nie skończył jeszcze drugiego prętu, gdy płomień stał się żółty i zaczął się krztusić. Pierwsza butla acetyleny została wyczerpana. Zaniepokoił się, czy nie zabraknie mu gazu. Gdyby nie zdążył przeciąć całej kraty, musiałby wypchnąć wszystkie narzędzia na zewnątrz, kazać chłopcom z samochodów zebrać je, nałożyć z powrotem akrylową zasłonę i czekać z dokończeniem roboty do jutra. Gdyby strażnicy sprawdzili okno i zobaczyli opaloną kratę, lub zbadali ekran, wszystko byłoby stracone.

Podłączył dragą butlę i wrócił do pracy. Kończył już trzeci pręt, gdy Czenko strzelił palcami:

- Strażnik!

Chaney ściągnął palnik z okna i zdusił płomień. Wsadził sprzęt do walizki, którą kopnął pod pryczę. Rosjanin z kocem wskoczył na górne łóżko.

Chaney wsunął akrylowy ekran na miejsce. Nie miał czasu, żeby bawić się z główkami śrub. Padł na materac w tej samej chwili, gdy światło latarki błysnęło w judaszu. Leżał zmartwiały przez całą chwilę, podczas której światło wędrowało po celi. Modlił się, żeby strażnik nie zauważył

brakujących śrub w ekranie. Przymkniętymi oczami zdołał dostrzec coś na podłodze. Była to pętla gumowego węża od palnika, wystająca spod pryczy.

75

Snop światła omiatał ściany. Chaney przewrócił się na łóżku, jakby zmieniając pozycję przez sen, bezwładnie opuścił rękę na podłogę, jednocześnie zamiatając palcami podłogę i wpychając wąż pod pryczę. Snop światła podążył za jego ruchem o pół sekundy za późno, aby znaleźć wąż, ukryty już za zwisającym rogiem koca. Chaney wstrzymał oddech, gdy światło obmacywało ściany nad łózkami, a potem przesuwalo się po papierowym kokonie otaczającym wykrywacz dymu. Strażnik nie zauważył go. Nie dostrzegł też chmury dymu, leniwie krążącej pod sufitem, jak mgły nad Blue Ridge Mountains. Facet musiał być albo ślepy, albo odprawiać rutynowe czynności, podczas gdy jego umysł już zszedł ze służby i zajął się pieprzeniem swojej żony, albo kochanki, albo cudzej żony.

Światło zniknęło z judasza. Chaney i Rosjanin czekali kilka sekund, póki nie usłyszeli oddalających się kroków.

Chaney zerwał się i sprawdził okienko.

- Polazł sobie!

Rosjanin złapał koc, zeskoczył z łóżka i wrócił na swoje stanowisko przy drzwiach. Tym razem to jego oko czujnie wyglądało przez judasz. Chaney wznowił pracę.

- Jeszcze tylko jeden...

Oszczędnie używał gazu. Po osiemnastu minutach krata była przecięta.

- Zrobione! - wyszeptał do mikrofonu. Po chwili usłyszał odległe

trzaśnięcie drzwi samochodu, potem odgłos przedzierania się przez zarośla pod oknem. Ktoś na zewnątrz łomem odginał pręty.

- Pora na nas! - powiedział Chaney.

Czenko poszedł pierwszy. Nie martwił się o ubranie. W samych kalesonach wszedł na komodę, potem podciągnął się na kratkach i prześlizgnął przez otwór.

Chaney ruszył za nim, ale obejrzał się za siebie. Cofnął się z komody, rozłączył węże od butli z tlenem i acetylenem i wyrzucił je przez okno.

Następnie umieścił palnik w walizeczce, którą postawił na szafie. Dopiero wtedy wydostał się na zewnątrz. Podciągnął linę z uwiązaną do niej walizeczką. Po co zostawiać ją glinom?! Sprzedawca w sklepie z narzędziami łatwo przypomniałby sobie, kogo uszczęśliwił walizkowym palnikiem acetylenowym marki Victor. Mógł zapamiętać twarz Chaneya. Po licha mieć wystawę swojego portretu w każdym urzędzie pocztowym?!

10

Jekaterinburg

Wygląda na to, że mamy podwójny problem! - Gideon van Ry krzyczał w słuchawkę telefonu. - Nie, powiedziałem „podwójny”! - Martwił się,

76

że jego holenderski akcent i zakłócenia na linii uniemożliwią Caroline zrozumienie tego, co mówi.

Na dodatek posługiwał się niemal szyfrem. Był pewien, że rozmowa jest podsłuchiwana.

- Tak, tak! To właśnie powiedziałem. - Miał nadzieję, iż Caroline domyśli się, co chce jej przekazać w tak enigmatyczny sposób: że ukradziono dwie bomby, niejedną. Bał się, że jeżeli będzie zbyt dosłowny, Rosjanie przerwą

połączenie. Zdarzyło się to już dwukrotnie. Teraz też czekał na charakterystyczny trzask oznaczający koniec rozmowy, ale nic takiego nie nastąpiło.

Mimów spoglądał na niego zza biurka. Gideon uśmiechnął się niewinnie, wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć „złe połączenie”.

- Och, rosyjskie władze robią co w ich mocy. Są bardzo pomocne. - Miał nadzieję, że w ten sposób kupi sobie jeszcze parę chwil na linii. Zresztą, była to prawda. Problem polegał na tym, że w nowej Rosji nikt właściwie nie wiedział, jak zabezpieczyć arsenał nuklearny.

- Tutejsze zakłady spełniły wszelkie nasze oczekiwania - powiedział Gideon.

Przed jego wyjazdem do Moskwy przejrzeni z Caroline informacje, jakie Instytut posiadał na temat Swierdłowska. Nie wyglądało to dobrze.

- Tak, możesz uwzględnić to w raporcie - powiedział.

Mimów uśmiechnął się do niego i Gideon odzwajemnił uśmiech.

Zadzwoń do Caroline natychmiast po wyjeździe z Rosji i przeredaguj sprawozdanie, zanim zostanie opublikowane, inaczej nigdy już nie

wjechałby do tego kraju. Odrobina dyplomacji była niezbędna, jeżeli człowiek chciał zapewnić sobie stały dostęp do informacji. Celem

Instytutu nie było ośmieszenie rosyjskiego rządu, lecz uczulenie świata na problem przechowywania broni masowej zagłady. Rosjanie nie dowiedzą się z tego raportu nic, o czym by już nie wiedzieli. Ich systemy

magazynowania i rozmontowywania broni nuklearnej były wadliwe.

Problem polegał na tym, że ani rosyjski, ani amerykański rząd nie mówiły tego swoim obywatelom.

- Jeszcze jedno - ciągnął Gideon. - Interesujące nas pozycje nie zagięły w

tym samym czasie. - Nasłuchiwał. Nie rozłączono go.

- Zgadza się. Obie zostały wysłane przez Władystok. Tak. Mogłabyś powtórzyć? Nie, nie. Różne listy przewozowe. Oba wysłane jako części maszyn. To samo miejsce dostawy. Tak.

Caroline próbowała dyskretnie wyciągnąć z niego jak najwięcej informacji. Za godzinę informacje te znajdą się już w bazie danych Instytutu, za parę dni powstanie z nich szczegółowy raport przeznaczony do publikacji. Rządowe służby bezpieczeństwa na całym świecie zostaną postawione w stan alarmu. Będą domagały się informacji, coraz więcej informacji, będą nękały Instytut przez telefon, faks i pocztę elektroniczną.

- Uwaga, przeliterowuję adresata: Belden Electronics. B-E-L-D-E-N. W stanie Waszyngton. W papierach figuruje jako korporacja, o ile w ogóle istnieje.

77

Friday Harbor. Prawdopodobnie adres wzięty z powietrza. Nie sądzę, żeby wysyłali towar pod właściwy adres. - Przyłożył dłoń do drugiego ucha, próbując wyłapać z trzasków głos Caroline.

- Co? Powtórz!

- Wie pan, kiedy skradziono drugą bombę? - Gideon zwrócił się do Mirnowa, któremu przełożeni nakazali daleko idącą współpracę. Rosjanin wzruszył ramionami. Nie wiedział albo był w szoku. Bez wątplenia zostanie wyprawiony nocnym samolotem do Moskwy, gdzie odpowie na mnóstwo pytań.

- Nie jesteśmy pewni - powiedział Gideon do słuchawki.

- Specyfikacja?

Caroline pytała o rodzaj broni.

- Pociski artyleryjskie. Sto pięćdziesiąt trzy milimetry. Halo?! Caroline?  
Jesteś tam?

Nasłuchiwał przez chwilę.

- Halo! Halo!

Najwyraźniej powiedział za dużo. Odcięli go.

Odsunął słuchawkę i spoglądał na nią przez chwilę, jakby Caroline mogła wychylić się z membrany. Potem odłożył słuchawkę na widełki.

- Ach, te centrale międzynarodowe! Cóż mogę powiedzieć? - Mimów uśmiechnął się smutno. - Jak wszystko w nowej Rosji. Tylko biznesmani mają dobre telefony.

Gestem zdradzającym frustrację Gideon przeciągnął dłońmi przez długie włosy. Zwykle puszyste, z przedziałkiem pośrodku, tego popołudnia były imponująco rozczochrane. Nie golił się i nie kąpał od dwóch dni. Zamknął się z Mir-nowem w jego gabinecie, próbując zebrać jak najwięcej informacji. Mimów był nieustannie wzywany na rozmowy ze swoimi szefami. Gideon zastanawiał się, czy mówią mu wszystko.

Bał się, że Rosjanie mogą go zatrzymać, jeżeli nie tutaj, to w Moskwie, przy czym zatrzymanie przez rosyjski rząd było najmniejszym z jego problemów. W nowej Rosji działały o wiele mroczniejsze siły niż służby specjalne. Tutejsza mafia była groźniejsza i bardziej brutalna niż gdziekolwiek na świecie. I nie wahała się mordować cudzoziemców, zwłaszcza tych, którzy zagrażali jej interesom.

Gideon odsunął się od biurka Mimowa, przy którym siedział, rozmawiając z Caroline.

- Musimy poczekać, aż nasi ludzie wznowią połączenie - zauważył Mimów.

- Dwie bomby - powiedział Gideon.

- Tak. - Mimów zapalił kubańskie cygaro i podsunął Gideonowi otwartą paczkę.

Holender podziękował ruchem głowy.

- Dwa pociski artyleryjskie - ciągnął. - Rozumiem, dlaczego wzięli dwa. Można je sprzedać na czarnym rynku, w Libii, Iranie, Iraku. Potencjalnych nabywców nie brakuje. Ale dlaczego wysyłać je w to samo miejsce? To nie ma sensu.

78

Gideon był przekonany, że złodzieje nie wysłaliby drugiej bomby trasą pierwszej. Zwiększało to ryzyko wykrycia.

- Wysłałbym je do dwóch różnych miejsc, licząc na to, że jeżeli jedna zostanie odkryta, dotrze do mnie druga.

- Chyba że... - wtrącił Mimów.

- Chyba że...?

- To stara broń. Niektóre z tych pocisków zostały wyprodukowane w połowie lat sześćdziesiątych. Mają stare rdzenie; przeterminowane materiały wybuchowe; detonatory niesprawdzone od lat. Były przechowywane przez dwadzieścia, trzydzieści lat. Bez konserwacji, sprawdziłem. Dimitrij zapewne też.

- O czym pan mówi? - zapytał Gideon.

- O dopuszczalnym okresie magazynowania - powiedział Mimów. - Gdyby zamierzał pan kupić broń nuklearną na czarnym rynku, po wygórowanej cenie, nie chciałby się pan upewnić, że zadziała?

- Chciałbym - przyznał Gideon.

- Czy może być lepsza gwarancja niż dragi egzemplarz? Proszę pamiętać,

że mają Czenkę.

Grigorij Czenko był rosyjskim technikiem nuklearnym, który zniknął mniej więcej w tym samym czasie, co pierwszy pocisk.

- Gdyby pierwsza głowica była wadliwa, wiedziałby o tym. Być może odkrył problem dopiero później. To by wyjaśniało, dlaczego pociski nie zostały wysłane razem. Dragi ładunek daje zapasowe części. Gdyby oba były wadliwe, Czenko mógłby skonstruować z nich jedną dobrą bombę a nawet zwiększyć jej zasięg rażenia.

Sytuację pogarszał fakt, że dwa zaginione pociski ze Swierłowska należały do tak zwanej broni implozyjnej. Bomba tego typu była bardziej wyszukana. Umieszczano w niej mechanizm działający na zasadzie implozji. Ładunek tworzył kulę złożoną z trzydziestu dwóch części. W środku plutonowej kuli znajdował się rdzeń z berylu lub polonu. Kulę otaczała powłoka z konwencjonalnych materiałów wybuchowych i jednocześnie uruchamianych detonatorów. Wybuch, zsynchronizowany do monosekundy, wbijał pluton w berylowy rdzeń, uruchamiając reakcję jądrową.

Broń implozyjna była potężniejsza, miała większy zasięg rażenia, jednakże skomplikowany charakter implozji sprawiał, że detonacja była trudniejsza i wymagała wyjątkowej precyzji. Bez tego pocisk był jedynie „brudną bombą”, radioaktywnym odpadem. Wybuch rozniósłby go w promieniu kilku kilometrów, zabijając najwyżej kilka tysięcy ludzi. Jeżeli natomiast dałoby się uzyskać masę krytyczną wywołać reakcję łańcuchową i bomba zadziałałaby zgodnie z intencją konstruktora, setki tysięcy, może miliony ludzi zostałyby unicestwione w ciągu kilku sekund.

- Nie myślę się, zakładając, że pociski nie były wyposażone w urządzenie

zabezpieczające? - zapytał Gideon.

- Nie myli się pan.

79

tralnych obywateli zasiadających na ławie przysięgłych po tym, jak zapoznali się z wszystkimi dowodami, a nie tylko z pomówieniami czy donosami znajdującymi się w posiadaniu rządu federalnego. Ale wybronienie się nawet niewinnego mogło kosztować pół miliona dolarów i dwa lata zachodów.

Na końcu korytarza, za ścianką z matowego szkła majaczył niebieski mundur strażnika siedzącego za biurkiem. W małej poczekalni stały twarde, drewniane krzesła.

Joselyn miała nadzieję zobaczyć tu innych świadków, kogoś, kto mógłby potwierdzić, że powodem, dla którego się tu znaleźli, jest Max Sperling i jego lukratywne interesy. Rozczarowała się. Poczekalnia była pusta.

Z miłym uśmiechem podeszła do strażnika i wręczyła mu swoją wizytówkę.

- Nazywam się Joselyn Cole. Jestem z klientem, panem Beldenem. Miał się tu dzisiaj stawić.

Strażnik odwzajemnił uśmiech, ale jego gesty były automatyczne, jak u robota. Spojrzał na wizytówkę, wysunął szufladę i wyjął z niej kartkę papieru. Trzymał ją tak, że Joselyn nie mogła przeczytać ani słowa.

Odhaczył coś na liście, prawdopodobnie nazwisko Beldena.

Joselyn przypuszczała, że była to lista świadków. Miała też nadzieję, że w jej sprawie wezwano więcej osób. Z tego, co wiedziała o trybie działania sądu federalnego, zajmowali się oni najróżniejszymi sprawami. W ciągu jednego dnia pracy ława zapoznawała się ze strzępami dowodów do

kilkunastu różnych spraw. Najczęściej były to donosy rządowych świadków: FBI, kontroli wyrobów alkoholowych, tytoniowych i broni, Urzędu Celnego i Imigracyjnego, Urzędu Skarbowego, Agencji do Walki z Narkotykami.

Niektóre ze spraw, kompleksowe śledztwa w sprawach kryminalnych, ciągnęły się latami. Część z nich nigdy nie kończyła się pozwem, gdy prokuratorzy dochodzili do wniosku, że oskarżenia nie miały żadnych podstaw. Zbyt często jednak następowało to po ciężkich przesłuchaniach przyjaciół czy partnerów biznesowych obwinionego. Podejrzany nie zostawał skazany, lecz reputację tracił bezpowrotnie.

Były też sprawy oczywiste: napad na bank potwierdzony przez kilkunastu świadków. Wtedy starczało pół godziny zeznań dwóch świadków. Joselyn nie miała pojęcia, do jakiej kategorii mogła należeć sprawa Sperlinga.

- Chciałabym porozmawiać z zastępcą prokuratora generalnego, zanim mój klient zacznie zeznawać - powiedziała Joselyn.

Strażnik spojrział ponownie na rozpiskę.

- Pan McCally. Przekażę mu wiadomość. - Zapisał coś na odwrocie wizytówki Joselyn.

Usiedli na twardych krzesłach w poczekalni i zabijali czas, licząc rysy w przeciwległej ścianie wąskiego korytarzyka. Przeszło koło nich kilka osób. Każdy z przybyłych spoglądał na parę pod ścianą, mijał szklane przepierzenie, witając się ze strażnikiem, i znikał za drzwiami. Belden rzucił Joss pytające spojrzenie.

- Członkowie ławy przysięgłych - powiedziała.

6 - Masa krytyczna

tralnych obywateli zasiadających na ławie przysięgłych po tym, jak zapoznali się z wszystkimi dowodami, a nie tylko z pomówieniami czy donosami znajdującymi się w posiadaniu rządu federalnego. Ale wybronięcie się nawet niewinnego mogło kosztować pół miliona dolarów i dwa lata zachodów.

Na końcu korytarza, za ścianką z matowego szkła majaczył niebieski mundur strażnika siedzącego za biurkiem. W małej poczekalni stały twarde, drewniane krzesła.

Joselyn miała nadzieję zobaczyć tu innych świadków, kogoś, kto mógłby potwierdzić, że powodem, dla którego się tu znaleźli, jest Max Sperling i jego lukratywne interesy. Rozczarowała się. Poczekalnia była pusta.

Z miłym uśmiechem podeszła do strażnika i wręczyła mu swoją wizytówkę.

- Nazywam się Joselyn Cole. Jestem z klientem, panem Beldenem. Miał się tu dzisiaj stawić.

Strażnik odwzajemnił uśmiech, ale jego gesty były automatyczne, jak u robota. Spojrzał na wizytówkę, wysunął szufladę i wyjął z niej kartkę papieru. Trzymał ją tak, że Joselyn nie mogła przeczytać ani słowa.

Odhaczył coś na liście, prawdopodobnie nazwisko Beldena.

Joselyn przypuszczała, że była to lista świadków. Miała też nadzieję, że w jej sprawie wezwano więcej osób. Z tego, co wiedziała o trybie działania sądu federalnego, zajmowali się oni najróżniejszymi sprawami. W ciągu jednego dnia pracy ława zapoznawała się ze strzępami dowodów do kilkunastu różnych spraw. Najczęściej były to donosy rządowych świadków: FBI, kontroli wyrobów alkoholowych, tytoniowych i broni, Urzędu Celnego i Imigracyjnego, Urzędu Skarbowego, Agencji do Walki z

Narkotykami.

Niektóre ze spraw, kompleksowe śledztwa w sprawach kryminalnych, ciągnęły się latami. Część z nich nigdy nie kończyła się pozwem, gdy prokuratorzy dochodzili do wniosku, że oskarżenia nie miały żadnych podstaw. Zbyt często jednak następowało to po ciężkich przesłuchaniach przyjaciół czy partnerów biznesowych obwinionego. Podejrzany nie zostawał skazany, lecz reputację tracił bezpowrotnie.

Były też sprawy oczywiste: napad na bank potwierdzony przez kilkunastu świadków. Wtedy starczało pół godziny zeznań dwóch świadków. Joselyn nie miała pojęcia, do jakiej kategorii mogła należeć sprawa Sperlinga.

- Chciałabym porozmawiać z zastępcą prokuratora generalnego, zanim mój klient zacznie zeznawać - powiedziała Joselyn.

Strażnik spojrział ponownie na rozpiskę.

- Pan McCally. Przekażę mu wiadomość. - Zapisał coś na odwrocie wizytówki Joselyn.

Usiedli na twardych krzesłach w poczekalni i zabijali czas, licząc rysy w przeciwległej ścianie wąskiego korytarzyka. Przeszło koło nich kilka osób. Każdy z przybyłych spoglądał na parę pod ścianą, mijał szklane przepierzenie, witając się ze strażnikiem, i znikał za drzwiami. Belden rzucił Joss pytające spojrzenie.

- Członkowie ławy przysięgłych - powiedziała.

6 - Masa krytyczna

81

tralnych obywateli zasiadających na ławie przysięgłych po tym, jak zapoznali się z wszystkimi dowodami, a nie tylko z pomówieniami czy donosami znajdującymi się w posiadaniu rządu federalnego. Ale

wybronięnie się nawet niewinnego mogło kosztować pół miliona dolarów i dwa lata zachodów.

Na końcu korytarza, za ścianką z matowego szkła majaczył niebieski mundur strażnika siedzącego za biurkiem. W małej poczekalni stały twarde, drewniane krzesła.

Joselyn miała nadzieję zobaczyć tu innych świadków, kogoś, kto mógłby potwierdzić, że powodem, dla którego się tu znaleźli, jest Max Sperling i jego lukratywne interesy. Rozczarowała się. Poczekalnia była pusta.

Z miłym uśmiechem podeszła do strażnika i wręczyła mu swoją wizytówkę.

- Nazywam się Joselyn Cole. Jestem z klientem, panem Beldenem. Miał się tu dzisiaj stawić.

Strażnik odwzajemnił uśmiech, ale jego gesty były automatyczne, jak u robota. Spojrzał na wizytówkę, wysunął szufladę i wyjął z niej kartkę papieru. Trzymał ją tak, że Joselyn nie mogła przeczytać ani słowa.

Odhaczył coś na liście, prawdopodobnie nazwisko Beldena.

Joselyn przypuszczała, że była to lista świadków. Miała też nadzieję, że w jej sprawie wezwano więcej osób. Z tego, co wiedziała o trybie działania sądu federalnego, zajmowali się oni najróżniejszymi sprawami. W ciągu jednego dnia pracy ława zapoznawała się ze strzępami dowodów do kilkunastu różnych spraw. Najczęściej były to donosy rządowych świadków: FBI, kontroli wyrobów alkoholowych, tytoniowych i broni, Urzędu Celnego i Imigracyjnego, Urzędu Skarbowego, Agencji do Walki z Narkotykami.

Niektóre ze spraw, kompleksowe śledztwa w sprawach kryminalnych, ciągnęły się latami. Część z nich nigdy nie kończyła się pozwem, gdy

prokuratorzy dochodzili do wniosku, że oskarżenia nie miały żadnych podstaw. Zbyt często jednak następowało to po ciężkich przesłuchaniach przyjaciół czy partnerów biznesowych obwinionego. Podejrzany nie zostawał skazany, lecz reputację tracił bezpowrotnie.

Były też sprawy oczywiste: napad na bank potwierdzony przez kilkunastu świadków. Wtedy starczało pół godziny zeznań dwóch świadków. Joselyn nie miała pojęcia, do jakiej kategorii mogła należeć sprawa Sperlinga.

- Chciałabym porozmawiać z zastępcą prokuratora generalnego, zanim mój klient zacznie zeznawać - powiedziała Joselyn.

Strażnik spojrzał ponownie na rozpiskę.

- Pan McCally. Przekażę mu wiadomość. - Zapisał coś na odwrocie wizytówki Joselyn.

Usiedli na twardych krzesłach w poczekalni i zabijali czas, licząc rysy w przeciwległej ścianie wąskiego korytarzyka. Przeszło koło nich kilka osób. Każdy z przybyłych spoglądał na parę pod ścianą, mijał szklane przepierzenie, witając się ze strażnikiem, i znikał za drzwiami. Belden rzucił Joss pytające spojrzenie.

- Członkowie ławy przysięgłych - powiedziała.

6 - Masa krytyczna

81

Minęło jeszcze dziesięć minut, zanim zeszli się wszyscy przysięgli.

Wreszcie drzwi się otworzyły i za szklanym panelem zamajaczył cień.

Męski głos zapytał o Beldena.

Dean odruchowo wstał.

- Siadaj - nakazała Joselyn. Weszła za szklaną ściankę i znalazła się twarzą w twarz z wysokim mężczyzną w szarym prążkowanym garniturze.

Ciemnobrązowe włosy zaczynały siwieć nad uszami, głęboko osadzone oczy połyskiwały chłodem za okularami w prostokątnych drucianych oprawkach. Cerę miał bladą jak ktoś, kto spędza życie w klitkach oświetlonych jarzeniówkami.

- Pan McCally?

- Tak.

Mężczyzna nie wyglądał na sympatycznego. Typowy prokurator.

Kamienna twarz, lodowaty sposób bycia.

- Nazywam się Joselyn Cole. Jestem adwokatem pana Beldena. -

Wyciągnęła z uśmiechem rękę, próbując skruszyć lodową powłokę.

Poniosła fiasko.

- Bardzo mi miło.

- Czy możemy porozmawiać chwilę, zanim mój klient wejdzie na salę?

- Oczywiście - powiedział prokurator, ale nie ruszył się sprzed biurka strażnika, który spoglądał to na jedno, to na drugie, najwyraźniej zamierzając wziąć udział w rozmowie.

- W cztery oczy - dodała.

- Jak pani sobie życzy. - McCally trzymał pod pachą grubą teczkę, z której wystawały rogi dokumentów, ale Joselyn nie zdołała przeczytać ani słowa. Prokurator poprowadził ją korytarzykiem biegnącym za biurkiem strażnika. Otworzył jakieś drzwi, przekreślił kontakt i błysnęły jarzeniówki.

Znajdował się tam mały metalowy stół konferencyjny i cztery krzesła, po dwa z każdej strony. Na stole stał telefon. Nagie ściany pomalowano na groszkowy kolor. Weszli do środka i McCally zamknął drzwi.

- Słucham panią? - Nie poprosił, żeby usiadła.

Joselyn zaczęła się poważnie niepokoić. Obserwując zachowanie prokuratora, nikt by się nie domyślił, że Belden jest niewinnym świadkiem. Może McCally okazywał w ten sposób swoją federalną wyższość, ucierając jednocześnie nosa prowincjonalnej prawniczce, ale na wszelki wypadek Joselyn uruchomiła system alarmowy.

- Mój klient otrzymał wezwanie do sądu. Nie ma pojęcia, czego może dotyczyć.

- Doprawdy? - McCally zdradzał objawy rozbawienia.

- Bylibyśmy wdzięczni, gdyby poinformował nas pan o przedmiocie śledztwa.

- O przedmiocie śledztwa?! Reprezentowała już pani świadka przed sądem federalnym?

Joselyn spojrzała na niego krzywo.

- Reprezentowałam klientów przed sądem stanowym - powiedziała.

82

- Tak właśnie myślałem - powiedział McCally. - Pozwoli pani, że udzielię jej pewnej informacji. Nie jestem upoważniony do rozmów na temat przedmiotu i zakresu śledztwa.

- Prowadzicie dochodzenie przeciwko mojemu klientowi?

- Jak dotąd nie.

- To niewiele mówi.

- Przykro mi, ale więcej się pani nie dowie.

- Może mi pan przynajmniej powie, ilu świadków powołano poza moim klientem?

- Nie.

- Czy wysunięto wobec kogoś oskarżenia w związku z tym śledztwem?

- Pani chyba nie rozumie po angielsku?
- Reprezentuję klienta, który został wezwany do stawienia się przed sądem, bez określenia przedmiotu sprawy. Oczekuje pan, że pozwolę mu wejść na salę, nie udzieliwszy porady prawnej, że wydam go na pastwę Bóg wie ilu prokuratorów federalnych i armii przysięgłych, nie wiedząc, czego dotyczy śledztwo?
- Witam w rzeczywistym świecie - powiedział McCally.
- Mój klient nie musi zeznawać. Może powołać się na Piątkę. - Zapuściła sondę, próbując wywnioskować, jak bardzo im zależy na zeznaniach Beldena. Może dałoby się wciągnąć McCally'ego w dyskusję o nietykalności.
- Niech się powoła! To jego prawo. Sądzę jednak, że na dłuższą metę będzie lepiej dla pani klienta, jeżeli przedstawi nam swoją wersję wydarzeń, uprzedzając innych świadków. Inaczej może skończyć z ręką w nocniku.
- Chce pan przez to powiedzieć, że prowadzicie przeciwko niemu dochodzenie?
- Nic podobnego.
- Zagroził mu pan.
- Nikomu nie grozę. Wyjaśniam tylko zasady działania systemu.
- Innymi słowy, jeżeli zjawi się tu świadek i będzie wam kłamał w żywe oczy, skupicie podejrzenia na moim kliencie, ponieważ skorzystał ze swego konstytucyjnego prawa zachowania milczenia.
- Ma szansę rozproszyć moje podejrzenia zeznając.
- A jeżeli tego nie zrobi?
- To jego decyzja, prawda?

Joselyn czuła, jak krew gotuje się w jej żyłach, ciężka niby roztopiony ołów.

- Pan już uważa go za podejrzanego.

- Nie. - Uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć: „udowodnij mi to”.

- Jeżeli chce pan, żeby zeznawał, proszę przyznać mu status nietykalności.

- Mowy nie ma. - Zrobił w tył zwrot, jakby zamierzał odejść, potem odwrócił się do niej ponownie.

- Niech pani powie swojemu klientowi, że może oczekiwać dalszej korespondencji.

- Proszę poczekać! Czy to oznacza, że jeżeli nie będzie zeznawał, zostanie postawiony w stan oskarżenia?

83

- Powiedziałem tylko, że może sobie sam pomóc albo zaszkodzić. Decyzja należy do niego.

- Co tu jest grane?! Najpierw nie chce mi pan powiedzieć, czego dotyczy śledztwo, teraz ostrzega mnie pan, że jeżeli mój klient nie zrezygnuje z prawa do milczenia, postawicie go w stan oskarżenia.

- Nie mam nic więcej do dodania. Proszę powiedzieć klientowi, żeby się dobrze zastanowił.

- Jedną sekundę! Naprawdę nie możemy tego przedyskutować?

- Taka jest sytuacja. Wybór należy do pani klienta.

- Muszę z nim porozmawiać.

- Myślałem, że zrobiła to pani przed przyjściem tutaj.

Najwyraźniej był przekonany, że cokolwiek Belden przeszkrobał, ona o tym wie. Zacisnęła wargi, bojąc się, że jeżeli się teraz odezwie, zaszkodzi klientowi. Wyglądało na to, że i bez jej pomocy Belden tkwi w kłopotach

po uszy. Zamierzała poradzić mu, żeby powołał się na Piątą Poprawkę, ale chciała utrzymać otwartą linię komunikacji z prokuratorem.

- Muszę porozmawiać z klientem.

- A więc proszę to zrobić. - Spojrzał na zegarek. - Ile czasu pani potrzeba?

- Nie wiem. Dziesięć minut?

McCally wyszedł z pokoju, nie zamykając za sobą drzwi. Joselyn została sama. Wiedziała, że Belden ma kłopoty, nie znała tylko ich natury. Nie byłby to pierwszy wypadek, kiedy klient ją okłamał.

Odczekała chwilę, żeby McCally nie kręcił się po korytarzu podczas jej rozmowy z Beldenem. Usłyszała, jak drzwi na salę otwierają się i zamykają. Dopiero wtedy opuściła pokój, minęła stanowisko strażnika, szklane przepierzenie i wyszła na korytarzyk z rzędem krzeseł pod ścianą. Były puste. Ani śladu Beldena. Spojrzała w głąb korytarza. Pusto.

Przez moment stała jak wrośnięta w podłogę, zastanawiając się, czy McCally nie zrobił jej brzydkiego kawału i nie kazał wezwać jej klienta na salę podczas ich rozmowy. Neeee... Nawet federalni nie zrobiliby czegoś takiego, pomyślała. Uznała jednak, że strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Podeszła do biurka strażnika.

- Czy pan Belden wszedł na salę?

- Nie.

- Nie wie pan, dokąd poszedł?

- Nie ma go tam? - Strażnik wyszedł zza przepierzenia, żeby przekonać się o tym osobiście. - Może jest w ubikacji?

Joselyn odwróciła się i spojrzała w stronę, w którą wskazał strażnik. Miała przed sobą długi korytarz zakończony potężnymi dębowymi drzwiami sali rozpraw.

- Niestety, ja tego nie sprawdzę - powiedziała.

Rzucił jej spojrzenie mówiące „naprawdę nie powinienem opuszczać posterunku”, ale ruszył szybko korytarzem, a Joselyn podążyła za nim. Strażnik wszedł do męskiej toalety, zamykając za sobą drzwi.

84

- Powiedziałem tylko, że może sobie sam pomóc albo zaszkodzić. Decyzja należy do niego.

- Co tu jest grane?! Najpierw nie chce mi pan powiedzieć, czego dotyczy śledztwo, teraz ostrzega mnie pan, że jeżeli mój klient nie zrezygnuje z prawa do milczenia, postawicie go w stan oskarżenia.

- Nie mam nic więcej do dodania. Proszę powiedzieć klientowi, żeby się dobrze zastanowił.

- Jedną sekundę! Naprawdę nie możemy tego przedyskutować?

- Taka jest sytuacja. Wybór należy do pani klienta.

- Muszę z nim porozmawiać.

- Myślałem, że zrobiła to pani przed przyjściem tutaj.

Najwyraźniej był przekonany, że cokolwiek Belden przeskrobał, ona o tym wie. Zacisnęła wargi, bojąc się, że jeżeli się teraz odezwie, zaszkodzi klientowi. Wyglądało na to, że i bez jej pomocy Belden tkwi w kłopotach po uszy. Zamierzała poradzić mu, żeby powołał się na Piątą Poprawkę, ale chciała utrzymać otwartą linię komunikacji z prokuratorem.

- Muszę porozmawiać z klientem.

- A więc proszę to zrobić. - Spojrzał na zegarek. - Ile czasu pani potrzeba?

- Nie wiem. Dziesięć minut?

McCally wyszedł z pokoju, nie zamykając za sobą drzwi. Joselyn została sama. Wiedziała, że Belden ma kłopoty, nie znała tylko ich natury. Nie

byłby to pierwszy wypadek, kiedy klient ją okłamał.

Odczekała chwilę, żeby McCally nie kręcił się po korytarzu podczas jej rozmowy z Beldenem. Usłyszała, jak drzwi na salę otwierają się i zamykają. Dopiero wtedy opuściła pokój, minęła stanowisko strażnika, szklane przepierzenie i wyszła na korytarzyk z rzędem krzeseł pod ścianą. Były puste. Ani śladu Beldena. Spojrzała w głąb korytarza. Pusto.

Przez moment stała jak wrośnięta w podłogę, zastanawiając się, czy McCally nie zrobił jej brzydkiego kawału i nie kazał wezwać jej klienta na salę podczas ich rozmowy. Nieee... Nawet federalni nie zrobiliby czegoś takiego, pomyślała. Uznała jednak, że strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Podeszła do biurka strażnika.

- Czy pan Belden wszedł na salę?

- Nie.

- Nie wie pan, dokąd poszedł?

- Nie ma go tam? - Strażnik wyszedł zza przepierzenia, żeby przekonać się o tym osobiście. - Może jest w ubikacji?

Joselyn odwróciła się i spojrzała w stronę, w którą wskazał strażnik. Miała przed sobą długi korytarz zakończony potężnymi dębowymi drzwiami sali rozpraw.

- Niestety, ja tego nie sprawdzę - powiedziała.

Rzucił jej spojrzenie mówiące „naprawdę nie powinienem opuszczać posterunku”, ale ruszył szybko korytarzem, a Joselyn podążyła za nim.

Strażnik wszedł do męskiej toalety, zamykając za sobą drzwi.

84

Czekała, spacerując tam i z powrotem, nerwowo przeciągając pakami przez włosy. Spojrzała na zegarek. Sekundy wydawały się minutami. W

końcu drzwi się otworzyły. Zrobiła w tył zwrot, pewna, że ujrzy Beldena, ale strażnik był sam.

- Nikogo tu nie ma.

- Dokąd on mógł pójść?

- Naprawdę nie wiem, proszę pani.

- Jest pan pewny, że nie wszedł na salę?

- Wszedł tam tylko pan McCally. Chce pani, żebym go zapytał?

- Nie. - Była to ostatnia rzecz, jakiej sobie życzyła. Nie zamierzała jeszcze bardziej narazić się prokuratorowi. I tak był rozeźlony i aż się palił do działania. Jeżeli odkryje, że Belden prysnął, utwierdzi się w swoich podejrzeniach, obojętnie czego dotyczyły.

- Może po prostu wyszedł zaczerpnąć świeżego powietrza - powiedziała. - Sprawdzę.

Przepełniło ją mdlące uczucie, jakiego zwykle doznawała, gdy okłamał ją klient. Zaczęła się zastanawiać, czy Max Sperling nie istnieje przypadkiem tylko w wyobraźni Beldena. Z drugiej strony, czy Belden jechałby taki kawał drogi, ciągnąc ze sobą prawnika, żeby potem uciec? To nie miało sensu.

- Na pewno nie chce pani, żebym wywołał pana McCally'ego? - Głos strażnika wyrwał ją zamyślenia.

- Nie. Wszystko w porządku. - Ruszyła szybko korytarzem w stronę wind, zostawiając strażnika przed drzwiami męskiej toalety. Idąc, zastanawiała się, jak powinna postąpić. Mogła się wycofać. W końcu nie wystąpiła oficjalnie, zresztą to nie był proces. Będzie musiała oddać Beldenowi pieniądze, przynajmniej tę część, której nie zarobiła. Jeżeli nie powie jej prawdy, nie będzie go reprezentowała.

Mogła również zagrać na czas, powiedzieć McCally'emu, że jej klient zmienił zdanie i postanowił skorzystać z prawa do milczenia. Może McCally nie będzie chciał go zobaczyć. A jeżeli wyrazi takie życzenie, powie mu po prostu, że Belden już opuścił budynek. Tak czy inaczej, rozwścieczy prokuratora. McCally wyglądał na choleryka. Kto wie, czy nie wystąpi o nakaz aresztowania Beldena. A tymczasem ona będzie świecić oczami przed ławą przysięgłych, opowiadać niestworzone historie. Ciekawe, czy zostanie oskarżona o utrudnianie wymiaru sprawiedliwości. Tysiące myśli kłębiły się w jej głowie, podczas gdy winda zjeżdżała powoli w dół zatrzymując się niemal na każdym piętrze. W końcu Joselyn dotarła na parter i rozejrzała się po holu. Nie dostrzegła nigdzie Beldena. Weszli do budynku od strony Fifth Street, instynktownie więc skierowała się w tamtą stronę. Może Belden wyszedł na papierosa. Czy w ogóle palił? Nie mogła sobie przypomnieć. Żuł gumę. Poczęstował ją, kiedy czekali przed salą. Zaświtało jej w głowie, że wie o tym człowieku niezmiernie mało. Zapłacił jej piętnaście tysięcy dolarów tytułem zaliczki, a pozostawił jedynie numer skrzynki pocztowej i telefonu gdzieś w Kent. Zabawne, co człowiek jest w stanie zrobić dla pieniędzy - przestać myśleć, na przykład. Joselyn założyła, że Belden

85

jest uczciwy. Dlaczego? Bo pomachał jej przed nosem pieniędzmi? To samo mógł zrobić pierwszy lepszy handlarz narkotyków.

Gorączkowo rozważała kolejne możliwości. A jeżeli Belden zniknie, przepadnie jak kamień w wodę? Wtedy ona napisze do sądu, wyjaśni, że nie może znaleźć swojego klienta. McCally na pewno w to uwierzy!

Spojrzała na zegarek. Powiedziała McCally'emu - dziesięć minut. Dotarcie

do wyjścia na Fifth Street zabrało jej połowę tego czasu.

W przedsionku odbywało się coś w rodzaju zebrania upadłych aniołów z klubu anonimowych palaczy. Dym z papierosów wisiał w powietrzu. Z rękami w kieszeniach, przestępując z nogi na nogę, palacze spoglądali na pety pod nogami i pośpiesznie zatruwali sobie płuca. Deana Beldena wśród nich nie było.

Joselyn wybiegła na schody prowadzące na Fifth Street, rozglądając się na wszystkie strony. Ani śladu Beldena. Złapanie taksówki zabrało jej następne pięć minut. Wsiadając spojrzała jeszcze raz na zegarek i podała kierowcy adres.

- Dostanie pan pięćdziesiąt dolców ekstra, jeżeli dowiedzie mnie pan tam w dziesięć minut - powiedziała. McCally już jej pewnie szukał. Pytał strażnika, gdzie się podziała.

Taksówka wystartowała i pęd wbił Joselyn w oparcie fotela. Nie odrywając wzroku od przedniej szyby, namacała pasy bezpieczeństwa. Pięćdziesiąt dolarów to była rozrzutność, ale Joselyn aż gotowała się ze złości. Belden zrobił ją w konia. Nie wiedziała, dlaczego ją tu ściągnął, ale wiedziała, gdzie może go znaleźć. Musiał wrócić nad jezioro, do samolotu. Joselyn miała nadzieję, że dopadnie go, zanim wystartuje.

Taksówka przemykała zygzakiem między autami. Kierowca obrał inną drogę, niż ta, którą przyjechali tu z Beldenem. Minął 1-5 dołem i podjechał na wzgórze od wschodniej strony. Skręcił w lewo, w dzielnicę willową, po czym dodał gazu. Pędzili teraz co najmniej setką. Kierowca zwalniał na skrzyżowaniach do osiemdziesięciu, rzucając krótkie spojrzenia w boczne ulice.

Joselyn bała się patrzeć. Gdyby ktoś otworzył drzwi jednego z

zaparkowanych samochodów, wylądowałby razem z nimi w sąsiednim powiecie. Zamierzała już zrezygnować, powiedzieć taksówkarzowi, żeby zwolnił, kiedy wykonał jeszcze jeden karkołomny skręt na dwóch kołach, rzucając Joselyn na drzwi.

Wtedy zobaczyła przed sobą jezioro Union. Dzielilo ją od niego dziesięć przecznic i autostrada.

Zjechali na łeb na szyję ze zbocza. Joselyn grzebała w torebce, szukając pieniędzy. Wyciągnęła trzy banknoty dwudziestodolarowe, spojrzała na licznik i chwyciła czwarty. Kierowca będzie miał swój wielki dzień.

Joselyn nie mogła czekać, aż wyda jej resztę.

Nie wiedziała, ile czasu trzeba, żeby przygotować samolot do startu. Może Belden będzie musiał zatankować paliwo? To była jej szansa. Rozmowa z McCal-lym nie trwała długo. Nawet jeżeli Belden opuścił sąd natychmiast po jej odejściu, nie mógł mieć nad nią więcej niż dziesięć minut przewagi. Nie dotarłaby do jeziora szybciej, nawet gdyby taksówkarz posiadał prywatny pas autostrady.

86

Przejechali skrzyżowanie na czerwonym świetle i pognali wzdłuż wschodniego brzegu.

- Już prawie jesteśmy. Została może z mila.

Joselyn odpięła pasy i pochyliła się do przodu, uczepona z całej siły oparcia siedzenia. W oknie mignęła chińska restauracja z wielkim neonem „Kamon on the Lake”. Przystań wodolotów znajdowała się tuż za nią.

- Jest!

Samolot Beldena stał w doku, ktoś z obsługi przystani właśnie go obracał. Widziała drobne fale wzbijane przez śmigło. Nie dostrzegła nigdzie

Beldena, ale musiał być w pobliżu.

- Proszę się zatrzymać! Wysiadam! - Niemal rzuciła pieniędzmi w taksówkarza. Otworzyła drzwi, nie czekając, aż samochód się zatrzyma. Zarył się kołami w żwirową nawierzchnię parkingu i Joselyn wyskoczyła. Przekładając aktówkę z ręki do ręki, potknęła się o własne nogi i omal nie upadła.

- Chce pani rachunek? -zawołał za nią taksówkarz.

Nawet się nie obejrzała. Wszystkie jej myśli skoncentrowane były na samolocie, który stał na końcu pomostu, bucząc silnikiem. Przemknęła obok dużej drewnianej skrzynki z kwiatami i minęła białą bramę.

Wtedy go zobaczyła. Wkładał portfel do tylnej kieszeni spodni. Miała rację. Musiał zatankować paliwo. Szedł w stronę samolotu jak człowiek, którego nie nęka żadna troska. Wystawił ją rufą do wiatru, porzucił w sądzie na pastwę rozwścieczonego prokuratora, a teraz leciał z powrotem do domu, jakby nigdy nic.

Gniew zapłonął w jej żyłach.

- Hej! - wrzasnęła, ale jej głos utonął w szumie silnika. Belden zszedł z pomostu na ponton.

Krzyknęła jeszcze raz, ale Belden się nie obejrzał.

Upuściła aktówkę, torebkę i zaczęła biec. Obcas pantofla utkwiał w szparze między deskami i tam pozostał.

- Cholera! - Najlepsze pantofle do garsonki. Zdjęła zniszczony but i pokuśtykała dalej. Jej szanse malały z każdą sekundą. Rzuciła pantoflem w stronę Beldena i biegła w pończochach, wykrzykując nazwisko Deana wraz z najgorszymi epitetami, jakie знаła.

Huk silnika narastał, w miarę jak się zbliżała. Wiedziała, że Belden jej nie

słyszcy. Odcumował samolot od pomostu, po czym z jakiegoś niewiadomego powodu odwrócił się, spoglądając wprost na nią. Joselyn zatrzymała się, zdyszana, w podartych rajstopach. Stojący na pontonie, bezpośrednio pod otwartymi drzwiami Belden wpatrywał się w nią z uwagą, jakby w pierwszej chwili jej nie poznał. Potem uśmiechnął się i pomachał jej ręką. Skurwiel naprawdę jej pomachał! Nie mogła w to uwierzyć. Żadnej skruchy, ani śladu wstydu!

Pochyliła się, wsparła dłońmi o uda i próbowała złapać oddech. Była wściekła. Chciała go zabić. Spojrzała na strzępy jedwabnych pończoch.

87

Przejechali skrzyżowanie na czerwonym świetle i pognali wzdłuż wschodniego brzegu.

- Już prawie jesteśmy. Została może z mila.

Joselyn odpięła pasy i pochyliła się do przodu, uczepona z całej siły oparcia siedzenia. W oknie mignęła chińska restauracja z wielkim neonem „Kamon on the Lake”. Przystań wodolotów znajdowała się tuż za nią. Samolot Beldena stał w doku, ktoś z obsługi przystani właśnie go obracał. Widziała drobne fale wzbijane przez śmigło. Nie dostrzegła nigdzie Beldena, ale musiał być w pobliżu.

- Proszę się zatrzymać! Wysiadam! - Niemal rzuciła pieniędzmi w taksówkarza. Otworzyła drzwi, nie czekając, aż samochód się zatrzyma. Zarył się kołami w żwirową nawierzchnię parkingu i Joselyn wyskoczyła. Przekładając aktówkę z ręki do ręki, potknęła się o własne nogi i omal nie upadła.

- Chce pani rachunek? -zawołał za nią taksówkarz.

Nawet się nie obejrzała. Wszystkie jej myśli skoncentrowane były na

samolocie, który stał na końcu pomostu, bucząc silnikiem. Przemknęła obok dużej drewnianej skrzynki z kwiatami i minęła białą bramę.

Wtedy go zobaczyła. Wkładał portfel do tylnej kieszeni spodni. Miała rację. Musiał zatankować paliwo. Szedł w stronę samolotu jak człowiek, którego nie nęka żadna troska. Wystawił ją rufą do wiatru, porzucił w sądzie na pastwę rozwścieczonego prokuratora, a teraz leciał z powrotem do domu, jakby nigdy nic.

Gniew zapłonął w jej żyłach.

- Hej! - wrzasnęła, ale jej głos utonął w szumie silnika. Belden zszedł z pomostu na ponton.

Krzyknęła jeszcze raz, ale Belden się nie obejrzał.

Upuściła aktówkę, torebkę i zaczęła biec. Obcas pantofla utkwił w szparze między deskami i tam pozostał.

- Cholera! - Najlepsze pantofle do garsonki. Zdjęła zniszczony but i pokuśtykała dalej. Jej szanse malały z każdą sekundą. Rzuciła pantoflem w stronę Beldena i biegła w pończochach, wykrzykując nazwisko Deana wraz z najgorszymi epitetami, jakie знаła.

Huk silnika narastał, w miarę jak się zbliżała. Wiedziała, że Belden jej nie słyszy. Odcumował samolot od pomostu, po czym z jakiegoś niewiadomego powodu odwrócił się, spoglądając wprost na nią.

Joselyn zatrzymała się, zdyszana, w podartych rajstopach. Stojący na pontonie, bezpośrednio pod otwartymi drzwiami Belden wpatrywał się w nią z uwagą, jakby w pierwszej chwili jej nie poznał. Potem uśmiechnął się i pomachał jej ręką. Skurwiel naprawdę jej pomachał! Nie mogła w to uwierzyć. Żadnej skruchy, ani śladu wstydu!

Pochyliła się, wsparła dłońmi o uda i próbowała złapać oddech. Była

wściekła. Chciała go zabić. Spojrzała na strzępy jedwabnych pończoch.

- Jest!

87

Po chwili podniosła głowę. Belden odcumował, wdrapał się do kabiny i odepchnął samolot. Po tym wszystkim zamierzał ją tu zostawić. Po jej trupie! Chwyliła pierwszą rzecz, jaka jej wpadła w ręce, własny pantofel, który doleciał aż tutaj. Dobiegła do końca pomostu i cisnęła pantoflem z całej siły. Uderzył w ogon samolotu, odbił się i spadł do wody.

Stała na krawędzi pomostu, z twarzą ociekającą potem, sfrustrowana do ostatnich granic. Stopa pulsowała i krwawiła w miejscu, gdzie utkwiała drzazga. Patrzyła, jak wodolot zatacza szeroki łuk i znika za budynkiem przystani. Ryk silnika trochę przycichł, stłumiony przez drewnianą fasadę budynku, ale słyszała, jak nabiera mocy przed startem, i nie mogła nic na to poradzić.

Poszła wolno w stronę końca pomostu, miotana wściekłością. Dotarła do rogu przystani, kiedy zza budynku wyłonił się wodolot. Z opuszczonym ogonem mknął po wodzie.

Stała zahipnotyzowana, patrząc, jak rozpadają się cząsteczki kalejdoskopu. Śmigło wystrzeliło do przodu i pomknęło po wodzie jak kamyk. Skrzydła odpadły w jednym kawałku, oddzielone od kadłuba pomarańczowym błyskiem, który poraził do bólu oczy. Sekundę później siła wybuchu posłała Joselyn na deski pomostu. Jej ostatnim doznaniem była fala ciepła omiatająca ciało. Wybuch zbiornika z paliwem rozsadził kadłub i szczątki samolotu wzbiły się w powietrze niby jesienne liście targnięte wiatrem.

Grupa Operacyjna Białego Domu miała dojścia w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego, oczy i uczy w CIA, FBI, Departamencie Sprawiedliwości i

w tuzinie innych agencji rządowych. Była izbą rozrachunkową informacji na temat krajowego terroryzmu. Została powołana do życia po wysadzeniu w powietrze budynku sądu federalnego w Oklahoma City i od tamtego czasu spotykała się raz w tygodniu, a w przypadkach nadzwyczajnych zbierała się w pół godziny. Miało to miejsce właśnie tego dnia.

Prokurator generalny wolał się upewnić, że departament stanu nie wtykał nosa w sprawy śledztwa kryminalnego. Ministerstwo było wiecznie lekceważone przez Radę Bezpieczeństwa Narodowego, jako odpowiedzialne za politykę zagraniczną. FBI i CIA prowadziły między sobą nieustającą wojnę, a Departament Obrony martwił się tylko o jedno: aby nikt, z prezydentem i Kongresem włącznie, nie obciął mu budżetu. Rzucenie forsy w to grono było równoznaczne z ciśnięciem krwawej przynęty do basenu pełnego rekinów.

Waszyngton Dystrykt Kolumbii

88

- O co chodzi? - Stuart Bowlyn był przewodniczącym Grupy Organizacyjnej, której pełna nazwa brzmiała Grupa Koordynacyjna Operacji Antyterrorystycznych.

Bowlyn był asystentem doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego i znajdował się bliżej ogniska władzy niż ktokolwiek w zespole. Wraz z nim siedzieli przy stole zastępca dyrektora CIA, wysoki urzędnik FBI i zastępca prokuratora generalnego. Pozostali członkowie pochodzili z wywiadu wojskowego, Urzędu do Spraw Alkoholu, Nikotyny i Broni Palnej oraz z Security Service. Wszyscy zostali poddani lustracji. Zastępca dyrektora CIA podał Bowlynowi teczkę oznakowaną „ściśle tajne”. Bowlyn otworzył ją, przeczytał raport, potem zamknął akta i

podniósł wzrok.

- Kto się tym zajmuje?

Człowiek z CIA wskazał mężczyznę z dystynkcjami kapitana na naramiennikach białego munduru marynarki wojennej.

Bowlyn skinął głową. Oficer wstał, obszedł stół i zbliżył się do wielkiej mapy świata zawieszanej na tablicy. Ujął wskaźnik.

- Mniej więcej tydzień temu wywiad morski odnotował wzmożony ruch radiowy między rosyjskimi zakładami wojskowymi na Syberii w Swierdłowsku -wskazał punkt w środkowej Rosji - a komandorem ich floty na Pacyfiku. Nie wzbudziło to naszego szczególnego zainteresowania, prowadziliśmy jednak nasłuch. Większość komunikatów była zaszyfrowana. Ale nie wszystkie. Niektóre rozmowy prowadzono przez telefon.

- Rozmawiali otwarcie? - Bowlyn nie krył zdumienia.

- Tak. To również zwróciło naszą uwagę. Zupełnie jakby chcieli, żebyśmy zrozumieli.

Bowlyn skinął głową na znak, że kapitan może mówić dalej.

- W szyfrówkach i rozmowach powtarzało się jedno słowo - „Iswania”.

Nie wiedzieliśmy, co to takiego. Dwa dni temu otrzymaliśmy informacje z wywiadu wojskowego. „Iswania” była rosyjskim trawlerem-przetwórną. Według naszych źródeł, na początku miesiąca poszła na dno u Zachodniego Wybrzeża. Zatonęła w odległości sześćdziesięciu mil morskich od cieśniny Juan de Fuca. Dziesięć dni temu straż przybrzeżna zauważyła plamę oleju. Helikopter odkrył szczątki wraka: boję znakową, nietonący worek i częściowo spaloną łódź ratunkową.

- Nikt nie przeżył?

- Nie. - Kapitan otworzył teczkę, wyszukał fotografie i puścił je w obieg.
- Na łodzi ratunkowej była nazwa: „Iswania”. Rosjanie twierdzą, że statek poszedł na złom.
- Co robił na Zachodnim Wybrzeżu? - zapytał Bowlyn.
- Nie wiemy. Rosjanie też nie.
- A przynajmniej tak mówią. - W tonie zastępcy dyrektora CIA zabrzmiało powątpiewanie.

Kapitan zignorował tę uwagę.

- Była wtedy silna fala, ale żaden statek na tych wodach nie nadał sygnału SOS. Rosjanie przyznają, że „Iswania” mogła być zamieszana w przemyt.

89

- Przemyt czego? - zapytał Bowlyn.

- Tego nam nie powiedzieli.

- Odzyskane szczątki świadczą wyraźnie, że załoga nie życzyła sobie, byśmy odnaleźli ładunek. Boja znakowa zawierała urządzenie odzewowe. Wysyłało sygnał na rosyjskiej częstotliwości wojskowej. Stary system. Zasięg nie większy niż sto mil. Pływający worek był wypełniony stoma galonami oleju napędowego. Urządzenie samozanuzalne, towarzyszące bojom. Boje pływały na powierzchni, jedna z nich wysyłała sygnały. Ładunek zwisał na linie z worka z olejem napędowym. Na powierzchni nie było widać ani worka, ani ładunku. Całość miała pójść na dno, jeżeli adresat nie zgłosi się w ciągu paru dni. W worku był mały zawór i regulator czasowy otwierający klapę. Po wycieknięciu oleju ładunek pociągnąłby boję na dno. Udało się nam ją odzyskać tylko dlatego, że usunięto ładunek. Boje trzymały worek tuż pod powierzchnią wody.

- Co wiadomo o ładunku?

- Ważył mniej więcej sto kilogramów. - Odpowiedzi udzielił urzędnik FBI.  
- Worek i boja zostały zbadane w naszym laboratorium. Zakładamy, że istniały jeszcze dwie boje, ponieważ znaleziono trzy przecięte liny. Na podstawie rozmiarów worka oszacowaliśmy ciężar ładunku. Jest tam jednak coś jeszcze, o czym powinniście wiedzieć.

Podał Bowlynowi kopię raportu laboratoryjnego. Bowlyn przebiegł wzrokiem pierwszą stronę, przewrócił kartkę i zatrzymał się w połowie drugiej.

- Jesteście tego pewni?

- Testowane dwukrotnie.

- Co jeszcze wiadomo? - Bowlyn spojrzał po twarzach ludzi siedzących za stołem.

- Kontynuowaliśmy nasłuch komunikatów rosyjskich ze Swierdłowska

- powiedział zastępca dyrektora CIA. - Nie mogliśmy odszyfrować wszystkich, ale daje się wyczuć ogromne zaniepokojenie na wysokim szczeblu rządowym.

- To może pochodzić z tego Swer...

- Swierdłowska Tak. Są tam podziemne bunkry. Mamy zdjęcia satelitarne, jeżeli chce je pan zobaczyć.

Bowlyn potrząsnął głową.

- Uważa pan, że ten ładunek pochodzi od nich?

- Na to wygląda.

- Co wiemy o Swiedłowsku?

- Najbliższe miasto to Jekaterinburg. W ostatnich latach zanotowano tam gwałtowny wzrost przestępczości, akty przemocy głównie ze strony zorganizowanych gangów. Kilku miejscowych urzędników padło ofiarą

zamachów. Frakcje podziemia walczą głównie o kontrolę nad zakładami wojskowymi w Swierdłowsku. Sytuację pogarsza niski poziom zabezpieczenia zakładów. Z tego, co wiemy, tamtejsze gangi uznają się za głównych dostawców na światowym rynku bronią. Z ich punktu widzenia rząd rosyjski po prostu przechowuje dla nich broń nuklearną do czasu, gdy znajdą na nią kupców.

90

- Wiemy, że próbowali robić tam zakupy Irańczycy i Irakijczycy - powiedział oficer marynarki.
- Może im się udało - zauważyło CIA.
- Czy coś wskazuje na to, że transport na „Iswanii” był zamówieniem rządowym? - zapytał Bowlyn.
- Jak dotąd nic - odparł kapitan. - Ale nadal bierzemy to pod uwagę. Z piersi Bowlyna wyrwało się westchnienie.
- Jest jeszcze gorzej - powiedział przedstawiciel CIA.
- Co pan ma na myśli?
- Część komunikatów między Swierdłowskiem a Władywostokiem została rozszyfrowana. Pojawiła się nazwa.
- Jaka nazwa?
- Istnieje list przewozowy wystawiony przez rosyjską firmę przewozową o nazwie „Blue Star Enterprises”. Trawler „Iswania” opuścił Władywostok cztery dni przed tym, jak zaczęto nadawać komunikaty.
- No pięknie! - powiedział Bowlyn.
- Dyrektorem „Blue Star Enterprises” jest Wiktor Kolikow.

Oczy Bowlyna zrobiły się chłodne jak stal. Bez słowa patrzył na zastępcę dyrektora CIA. To wykraczało poza kategorię „ściśle tajne”. Będą musieli

wyprosić resztę zespołu, żeby kontynuować tę rozmowę.

13

Jezioro Union, Seattle, stan Waszyngton

Joselyn skrzywiła się, kiedy sanitariusz wyciągnął pęsetą kolejną drzazgę z jej ramienia. Przy eksplozji odruchowo osłoniła głowę i to ocaliło jej życie, chociaż miała teraz w ramieniu okruchy drewnianej barierki roztrzaskanej wybuchem.

Na szczęście podmuch towarzyszący eksplozji obalił Joselyn na pomost i większość odłamków i szczątków samolotu Beldena przeleciała nad nią, wbijając się w drewnianą ścianę przystani.

- Ale miała pani szczęście! - Sanitariusz robił swoje, nie podnosząc wzroku.

- Szczęście? Tak.

- Niech się pani trzyma. Zostało jeszcze kilka. - Chwycił szczypcami drewnienko i wyjął je jak pióro z ptaka.

- Au!

- Spokojnie. Zaraz będzie po wszystkim. - Sanitariusz pokazał jej drzazgę wielkości połowy wykałaczki. - Mogę je zostawić, żeby wyszły z ropą, ale ostrzegam, że to nie będzie przyjemne.

91

- Niech pan je wyjmie. Tylko trochę delikatniej!

- Chyba możemy jednocześnie rozmawiać? - McCally był niezadowolony. Przybył na przystań zaledwie czterdzieści pięć minut po katastrofie. Teraz stał w otwartych drzwiach karetki, w towarzystwie agenta w firmowej wiatrówce FBI i jeszcze jednego faceta w dżinsach i butach ociekających wodą.

- Jakim cudem przyjechaliście tak szybko? - zaciekawiała się Joselyn.

- Mieliśmy pani klienta pod obserwacją - wyrwał się facet w wiatrówce, zanim McCally mógł go uciszyć.

- Dziękuję, panie Larkin - powiedział. - Może przejdzie się pan po plaży i poszuka szczątków pana Beldena, zanim znajdują mewy?

Mężczyzna uciekł wzrokiem w bok, zawstydzony, ale się nie ruszył.

Joselyn doszła do przekonania, że gość w mokrych butach również jest agentem FBI. Był prawie łysy, potężnie, niemal atletycznie zbudowany, a jego czujny wzrok nie spoczywał długo na jednym przedmiocie, jakby nieustannie czegoś szukał. Widywała takich ludzi w Kalifornii, często ich nawet reprezentowała.

- Czy to znaczy, że mieliście mojego klienta pod obserwacją od czasu, gdy otrzymał wezwanie?

- To bez znaczenia - powiedział McCally. - Widziała pani, jak wchodził do samolotu, zgadza się?

- Wszystko powiedziałam policji. Może pan uzyskać od nich informacje, jakich panu potrzeba.

Joselyn zidentyfikowała Beldena jako pilota samolotu. O ile zdołała stwierdzić, był sam.

- Wolimy usłyszeć to od pani. Rozmawialiśmy już z policją - powiedział McCally. - Podobno przyleciała tu pani samolotem z Beldenem. Dlaczego pani z nim nie wracała?

- Ma pan o to do mnie pretensje?

McCally nie odezwał się. Patrzył na nią, czekając na odpowiedź.

- Tak się składa, że nie poinformował mnie, iż opuszcza budynek sądu. Kiedy odkryłam, że go nie ma, wzięłam taksówkę i przyjechałam tutaj

akurat w chwili, gdy odbijał od pomostu. Możecie odszukać taksówkarza, jeżeli mi nie wierzycie.

- Zrobimy to - zapewnił ją McCally. - Dlaczego pani klient przejechał taki kawał drogi, wszedł do budynku sądu, a potem uciekł bez słowa wyjaśnienia?

- Może obleciał go strach?

- Hmm. - Prokurator nie wydawał się przekonany. - Skąd wziął samolot?

- Skąd mam wiedzieć?

- Była pani jego prawnikiem.

- Przypuszczam, że go kupił.

- Nie - odparł McCally. - Nie kupił. Mamy listę tego, co posiadał. Samolot na niej nie figuruje.

- Wie pan o nim o wiele więcej niż ja. Skoro mieliście go pod tak ścisłą obserwacją, jak to się stało, że wyleciał w powietrze?

92

McCally spojrział na mężczyznę w swetrze. Wyglądało na to, że żaden z nich nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie.

- Jeżeli tak was interesował, to dlaczego nie otrzymał listu z wyszczególnieniem praw obywatelskich?

- Jest pani tutaj, żeby odpowiadać, nie zadawać pytania.

- Doprawdy? A mnie się wydawało, że jestem tutaj, żeby otrzymać pomoc lekarską. Jeżeli mieliście go pod obserwacją, powinien dostać list z prawami obywatelskimi.

- Może tak, może nie - powiedział McCally.

- Co to ma znaczyć?

- Że może tak, a może nie - powtórzył agent w swetrze.

- Czy mówi coś pani nazwisko Harold McAvoy? - McCally zmienił temat.  
Namyślała się przez chwilę.

- Nie.

- A James Regal?

- Nie.

- Może Liam Walker? - Tym razem pytanie zadał agent w swetrze.

- Co to jest, teleturniej „dwadzieścia pytań”?

- Proszę odpowiedzieć.

- Nigdy tych nazwisk nie słyszałam.

Agenci wymienili spojrzenia. Odeszli parę kroków i omawiali coś szeptem.

- Powiedzcie mi, o co chodzi - zażądała Joselyn.

McCally spojrzył na nią, jakby podejrzewał prawniczkę o niedorozwój umysłowy. Dobięły ją słowa agenta: „Szefie, od jej klienta już się niczego nie dowiemy. Została nam tylko ona”.

McCally namyślał się jeszcze przez chwilę, potem podjął decyzję.

- Te trzy nazwiska to pseudonimy - powiedział. - Podobnie jak Dean Belden.

- O czym pan mówi?

- Pani klient używał tych nazwisk w różnych krajach w ciągu ostatnich dwóch lat. Miał paszporty wystawione na każde z nich.

- Nie nazywał się Belden?

- Nie.

- I nie zajmował się elektroniką - dodał mężczyzna w swetrze.

- Czym więc się zajmował?

- Był swego rodzaju specjalistą - powiedział McCally.

- Można powiedzieć, że jego głównym polem działania był transport, chociaż robił też inne rzeczy w swojej karierze. Zazwyczaj tam, gdzie się pojawił, umierali ludzie.

Joselyn słuchała w milczeniu.

- Wynajmował swoje usługi. Biznesmenom, czasem rządowi, a czasem ugrupowaniom, które straciły władzę i chciały ją odzyskać. W tym kraju pracował po raz pierwszy.

93

- Chcecie powiedzieć, że był zawodowym zabójcą?

- Nie docenia go pani - powiedział agent. - Pan Belden, czy jak się naprawdę nazywał, działał na większą skalę. Dlaczego mordować jedną osobę, kiedy można zabić kilkaset, a nawet kilka tysięcy?

- Nie rozumiem.

- Kurdowie w północnym Iraku. Pani klient użył swoich umiejętności.

- Niektóre wsie w Chorwacji - dodał McCally. - Nie stosował kul czy karabinów. Żadnych materiałów wybuchowych. Była to czysta robota, jeżeli nie liczyć uwędzonych ciał na ulicach.

- Jego specjalnością - ciągnął agent - było przewożenie niebezpiecznych ładunków, zwłaszcza broni chemicznej. Obawiamy się jednak, że mógł rozszerzyć zakres działania.

- Wystarczy - powiedział McCally.

Joselyn odgadła, że dalsze wynurzenia na ten temat zahaczałyby o przedmiot śledztwa.

- Nadal jest pani ciekawa, dlaczego nie wysłaliśmy mu listu z wyszczególnieniem praw obywatelskich? - zapytał McCally.

- Zważywszy rezultat, zaoszczędziliśmy na znaczku pocztowym - zauważył agent.
- Przypuszczam, że ja również byłam pod obserwacją? - zapytała Joselyn. McCally nie odpowiedział, ale wyraz twarzy drugiego agenta mówił sam za siebie.
- Nadal nie rozumiem, jak to się stało, że komuś udało się podłożyć bombę w jego samolocie.
- A udało się?
- Tak mi się zdaje. - Joselyn spojrzała na szczątki unoszące się na wodzie.
- Kto to mógł być? - zapytał McCally. - Ten człowiek, który podłożył bombę?
- Mnie pan pyta?
- Pracowała pani z Beldenem.
- Byłam tylko jego adwokatem.
- A ponieważ on nie żyje, powie nam pani wszystko, co pani wiadomo o jego interesach.
- Nie wiem nic ponad to, co on sam mi powiedział. A z tego, co pan mówi, wynika, że można to między bajki włożyć.
- Pozwoli pani, że sami to ocenimy - powiedział McCally. Joselyn popatrzyła na nich bez słowa.
- Może sprowadzić adwokata? Przeczytać pani jej prawa?
- Jestem aresztowana?
- Nie - powiedział McCally. - Przynajmniej chwilowo.
- A więc odpowiem bardzo krótko i zwięźle. Nie wiem nic o przestępczej działalności Beldena. Nie wiem, czy Belden to jego prawdziwe nazwisko i

jak zarabiał na życie. Wiem tylko to, co sam mi powiedział. Jeżeli to, co mówicie

94

jest prawdą... - Zawiesiła głos na znak, że ma co do tego wątpliwości - wszystkie te informacje są funta kłaków niewarte.

- Mimo wszystko proszę je nam udostępnić.

- Powiedział, że chce założyć interes na wyspie. Jakąś firmę elektroniczną. Chciał, żebym przeprowadziła rejestrację przedsiębiorstwa. Tylko tyle wiem.

- I o nic więcej go pani nie pytała?

- A o co miałam pytać?

- Jak pani zapłacił?

- Czekałem.

- Spytała go pani, skąd przyjechał?

- Powiedział, że z okolic Seattle. Z Kent, zdaje się. Ale to pewnie też kłamstwo.

Mężczyźni popatrzyli na siebie i z wyrazu ich twarzy Joselyn poznała, że jej informacje nie wniosły wiele do sprawy.

- Dlaczego wybrał panią do tej prawniczej roboty? - zapytał McCally.

- Powiedział mi, że zostałam zarekomendowana. Przez miejscowego bankowca.

- Jak brzmi jego nazwisko?

- Nie pamiętam. Możliwe, że gdzieś je zapisałam.

- Będzie nam potrzebne.

- Poszukam w papierach.

- Ile pani zapłacił? - zapytał McCally.

Joselyn najchętniej nie odpowiedziałaby na to pytanie, ale wiedziała, że z łatwością uzyskają pozwolenie na wgląd w jej konto.

- Dziesięć tysięcy dolarów zaliczki za rejestrację firmy. I kolejne pięć tysięcy za przyjazd do Seattle.

Agent przewrócił oczami.

- To normalna stawka? - zapytał.

- Marzenie - odpowiedział za nią McCally. - I to nie nasunęło pani podejrzania, że Belden może mieć kłopoty? Kiedy zgłosił się do pani z wezwaniem do sądu? - Zadał następne pytanie, zanim mogła odpowiedzieć na poprzednie.

- W zeszłym tygodniu.

- I jak to wyjaśnił?

Powiedziała mu o Maksie Sperlingu, chociaż teraz była pewna, że Belden zmyślił tę historię.

- I wzięła to pani za dobrą monetę? - zapytał McCally.

- A czemużby nie? Przychodzi do mnie klient, mówi, że potrzebuje porady...

- I płaci z góry piętnaście kawałków - dopowiedział agent. - Proszę o tym nie zapominać.

- Jakie jeszcze akta może nam pani udostępnić? - zapytał McCally.

- Zaraz, chwileczkę! Myślicie, że udostępnię wam akta mojego klienta?

- Pani klient nie żyje - przypomniał jej McCally.

- Nie jestem pewna, czy jego przywileje umarły razem z nim.

95

- Możemy to rozstrzygnąć przed sędzią federalnym.

- Nadal pan twierdzi, że nie jestem aresztowana?

- Może pani współpracować - powiedział agent.
- Przecież współpracuję! Powiedziałam wam wszystko, co wiem.
- Może Belden lubił po prostu adwokatów w spódnicy - rzucił przypuszczenie agent.
- Dla większości mężczyzn jest to aspekt rozstrzygający - powiedziała Joselyn. - Bez obrazy.
- Nie obraziłem się - zapewnił ją agent. - Poszłście do łóżka?
- Proszę spytać waszych agentów z lornetką.
- Mówią, że nie. Wzbierała w niej złość.
- Czy zdaje sobie pani sprawę - spytał McCally - że zasada ochrony klienta przestaje obowiązywać, jeżeli adwokat jest zamieszany w nielegalną działalność klienta?
- To nie moje zmartwienie. Mam przecież najlepsze alibi na świecie. Niech pan spyta Piotrusia Podglądacza.
- Hej! Nie pilnowałem pani przez sześćdziesiąt minut na godzinę - zaprotestował agent o rozbieganym spojrzeniu.
- Rozumiem, tylko w sypialni i w łazience - powiedziała Joselyn.
- Dość tego - wtrącił się McCally, rzucając agentowi ostre spojrzenie. -A więc nie powie nam pani nic więcej?
- Nic więcej nie mogę wam powiedzieć. Reprezentuję firmę Belden Electronics. Chociaż pan Belden, czy jak mu tam, nie żyje, przedsiębiorstwo, którego jest założycielem, nadal istnieje. Mam obowiązki przede wszystkim wobec tej korporacji.
- Sprawdziliśmy listę zatrudnionych - powiedział McCally. Wiedzieli już o przedsiębiorstwie. - Figuruje na niej nazwisko Beldena, pani i Samantha Haw-thorne. - Kim ona jest?

- Moją gospodynią - powiedziała Joselyn. Na etapie rejestracji prawnicy często wpisywali własne nazwiska w miejsce przyszłych urzędników firmy. Samantha, jej gospodyni, wyraziła na to zgodę. - Podałyśmy się za urzędników uczestniczących w pierwszym zebraniu akcjonariuszy. To powszechnie praktykowany zwyczaj.

- Zakładam, że to zebranie się nie odbyło?

- Nie.

- Czy byli inni akcjonariusze poza Beldenem?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

Zanim McCally zdążył zadać następne pytanie, zbliżył się do niego agent w służbowej wiatrówce, szepnął mu coś do ucha, po czym podsunął jakiś przedmiot na otwartej dłoni. Joselyn nie dostrzegła, co to jest.

McCally rozmawiał teraz z mężczyzną w cywilnym ubraniu. Cała trójka oddaliła się kilka kroków, żeby Joselyn nie mogła ich słyszeć. Sanitariusz skończył bandażowanie jej ramienia.

96

- Zachowam sobie te drzazgi na pamiątkę - powiedziała, opuszczając rękaw bluzki. Był podarty i zakrwawiony.

Mogła sobie teraz pogawędzić z agentem w niebieskiej wiatrówce. Jego dwaj współpracownicy pogrążeni byli w zażartej dyskusji. Mężczyzna w swetrze wymachiwał gniewnie ramionami, wyraźnie przegrywając pojedynek na argumenty. Joselyn zgadywała, że domaga się jej aresztowania.

- No więc, jak długo chodziliście za panem Beldenem? - zagadnęła agenta.

- Aha. Już się rozpędziłem i mówię. Podszedł do nich McCally.

- Skończył pan ze mną? - zapytała Joselyn.

- Ostatnie pytanie. Co pani wiadomo o tym?

Otworzył dłoń, ukazując kawałek białego plastiku o powierzchni trzech centymetrów kwadratowych. Wyglądał jak malutka ramka do zdjęć, wypełniona szarą tekturką.

- Co to jest? - zapytała.

- Agenci znaleźli to w wodzie. Nigdy przedtem pani tego nie widziała?

- Nie.

Dopiero gdy McCally przyłożył ramkę do klapy swojego płaszcza, doznała olśnienia. Widywała takie ramki przypięte do fartuchów techników pracujących w szpitalach, ludzi mających na co dzień do czynienia z radiologią.

- To się nazywa dozymetr - wyjaśnił McCally. - Pokazuje poziom promieniowania, żeby ludzie, którzy są na nie narażeni, nie otrzymali zbyt dużej dawki. Dlaczego pani klient miał to przy sobie?

- Nie wiem.

McCally popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- A więc nie wie pani, dlaczego Belden został zamordowany?

- Nie mam pojęcia.

- Gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że zginął, ponieważ go namierzyliśmy. Pani klient, Belden oraz jego współpracownicy to ludzie, którzy lubią się trzymać w cieniu. Wezwanie do sądu oznaczało, że Belden znalazł się nagle w świetle reflektorów. Jego przyjaciele uznali, że stanowi zagrożenie, słabe ogniwo.

- Co to ma wspólnego ze mną?

- Więcej niż się pani zdaje. Może mówi nam pani prawdę. Może faktycznie nic pani nie wie o działalności swojego klienta. Z drugiej

strony, może pani zginąć nie dlatego, że pani coś wie, lecz dlatego, że inni przypisują pani wiedzę, której pani nie posiada.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że gdyby podłożyli tę bombę, zanim wsiadła pani do samolotu, nie rozmawiałaby pani teraz ze mną. Chcę powiedzieć, że jeżeli coś pani wie, teraz jest najlepsza pora, by się tą wiedzą podzielić.

7 - Masa krytyczna

97

14

Wyspa Padget, stan Waszyngton

Scott Taggart stał na pomoście i patrzył, jak mały stateczek przecina kanał San Juan i zmierza w stronę wyspy. Nikt tu nie przy pływał bez specjalnego zaproszenia. Nie kursował prom i nie dochodziła poczta. Listy odbierano we Friday Harbor, cztery godziny statkiem przez burzliwe wody.

Wyspa miała niewiele ponad półtora kilometra długości i sześćset metrów w najszerszym punkcie. Na przełomie wieków należała do hodowcy owiec, który wypasał tu swoje stada bez obawy, że zostaną rozkradzione. W 1927 roku wyschła jedyna studnia. Ponieważ poza sezonowymi strumieniami nie było innego źródła słodkiej wody, hodowca musiał sprzedać wyspę.

Następnym właścicielom brak wody nie przeszkadzał. Przywozili zapasy statkiem i zbijali fortunę, szmuglując whiskey w czasach prohibicji. Od granicy kanadyjskiej dzieliło wyspę dwadzieścia mil morskich. To właśnie położenie czyniło Padget tak cenną dla Scotta i jego grupy.

Ulokowali się w chacie zbudowanej przez bimbrowego barona na

początku lat trzydziestych. Dom, wzniesiony z kamienia i grubych bali, stał na wzgórzu zwrócony frontem ku przystani.

Teraz strzegli go mężczyźni z półautomatycznymi barretami, kaliber pięćdziesiąt. Była to legalna broń, o ile nie została przerobiona na automatyczną, poręczna i precyzyjna. Kule pokonywały barierę dźwięku z charakterystycznym trzaskiem i uderzały z siłą małego pocisku armatniego. Mogły przebić stalowy pancerz lub bardziej nowoczesne panele z metalu ceramicznego, jakich używano do konstrukcji wojskowych łodzi patrolowych.

Karabiny rozmieszczono w bunkrach wyposażonych w otwory strzelnicze, które pozwalały wziąć w krzyżowy ogień każdego, kto próbowałby wylądować na wyspie.

Grupa Scotta przebywała tu już od miesiąca. Był to jeden z warunków postawionych przez człowieka, który kazał nazywać się Thornem.

Żywność przywozili własnym statkiem, wodę zaś czerpali z wielkiego zbiornika, zbudowanego w latach osiemdziesiątych przez bogatego Belga, który zajmował się przetrzuciem narkotyków.

Scott patrzył, jak statek wpływa na spokojne wody zatoki, a potem cumuje przy pływającym doku. Na pomost wyskoczył tylko jeden człowiek.

Odebrał torbę z rąk członka załogi i ruszył w stronę Taggarta.

Spotkali się trzykrotnie, w tym dwa razy w górskiej chacie w Idaho, prawie sześć miesięcy temu. Scott rozpoznał charakterystyczną sylwetkę i sprężysty krok przybysza. Wszystko w Thornie przywodziło na myśl wojskowego.

98

- Pan Taggart, prawda? - Musiał mieć sokoli wzrok, żeby rozpoznać Scotta

w zapadającym zmierzchu. Taggart widział jedynie zarys twarzy Thorna i aureolę włosów w kolorze piasku.

Thom miał na sobie stój płetwonurka. Kiedy podszedł bliżej, Scott rozpoznał rysy niezaprzeczalnie przystojnej twarzy, w której połyskiwały przenikliwe oczy o dziwnym zielonym odcieniu. Thorn używał wielu nazwisk, ostatnio zaś posługiwał się pseudonimem Dean Belden.

- Nie spodziewałem się, że wyjdzie pan po mnie osobiście. Trzeba było wysłać kogoś z załogi. - Thorn wspiął się po rampie, zarzuciwszy na ramię ciężką torbę.

- Chciałem pierwszy usłyszeć złą wiadomość - powiedział Scott.

- Kiedy ja nie przywożę złych wiadomości. Niepotrzebnie się pan martwi. Trzeba myśleć pozytywnie. Ilu ludzi dałoby nam pięćdziesiąt szans na sto, że posuniemy sprawę tak daleko? A FBI nie ma nawet pojęcia, co się święci, zapewniam pana. Kiedy my tu sobie rozmawiamy, oni wyławiają z jeziora kawałeczki metalu, o, takiej wielkości - Tu rozstawił kciuk i palec wskazujący na odległość trzech centymetrów. Oto, co potrafił zdziałać C-4, ulokowany umiejętnie przy zbiorniku z wysokooktanowym paliwem lotniczym.

- Jeżeli chodzi o ciało - ciągnął Thorn - mogą go sobie szukać do dnia Sądu Ostatecznego.

- To dobrze.

- Musi się pan nauczyć relaksować. Jest pan zbyt spięty, co może pana pozbawić całej przyjemności. Trzeba się rozkoszować zwycięstwem.

- Będę się nim rozkoszował po zakończeniu akcji - powiedział Scott.

- Nie, nie! - zaprotestował żywo Thorn. - Trzeba czerpać przyjemność z pomyślnego zakończenia każdego etapu. Na pociechę powiem panu, że z

dwojga złego wolę już, żeby ten rząd mnie ścigał, niż zatrudniał.

Scott spojrział na niego pytająco. Ruszyli w stronę domu.

- W tej chwili cała armia rządowych agentów brodzi po kolana w lodowatej wodzie, szukając czegoś, co ryby zjadły przed dwoma godzinami.

Scott nie mógł powstrzymać uśmiechu. Było coś w Thornie, jakiś łagodny, sympatyczny rys w śmiertelnie niebezpiecznej osobowości.

- A teraz proszę mi opowiedzieć o tej wyspie. Mam nadzieję, że jest tu przyzwoita łaźienka. Przydałby mi się prysznic.

- Tak, oczywiście. Ale chyba nie pozostaniemy tu długo?

- Cierpliwości! - Thorn rozprostował plecy. - Robię się za stary na tę robotę. Na morzu rzucało nami jak piłką.

- Wysłałbym większy statek, ale nie chciałem zwracać na nas uwagi.

- Bardzo słusznie. - Thorn zatrzymał się, wyjął paczkę papierosów i poczęstował Scotta.

- Nie, dziękuję.

Thorn zaciągnął się i rozejrzał po okolicy na tyle, na ile pozwalał zapadający mrok.

- Ilu ma pan tu ludzi?

99

- Dwudziestu ośmiu. Wystarczy na całodobową wartę. Wody i żywności starczy na osiemnaście dni. Tak pan powiedział, prawda? Osiemnaście dni?

- Zgadza się. Niczego pan nie wyjaśniał swoim ludziom?

- Wiedzą, że coś się szykuje, ale nie wiedzą co.

- Nie należy tego zmieniać.

- Zostali specjalnie dobrani - powiedział Taggart. - Aż do momentu wylądowania na wyspie nie mieli pojęcia, dokąd się udają. Dzięki temu ich rodziny nie znają ich miejsca pobytu. Tylko dwóch ludzi ma zezwolenie na opuszczanie wyspy. Ręczę za obu.

- Proszę o tym nie zapominać. - Thorn spojrzał na Taggarta - Pomyłkę przypłaci pan życiem.

- Trzymaliśmy się ściśle pańskich instrukcji. Moi ludzie pochodzą z różnych jednostek na terenie kraju. Doborowi żołnierze. Połowa uczestniczyła w wojnie w Zatoce, dwóch w Panamie. Jeden służył w piechocie morskiej. Wszystkich sprawdziliśmy. Żaden nie był członkiem bojówki dłużej niż dwa lata. Są oddani sprawie. Będą walczyć. W razie potrzeby poświęcą życie.

- Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Scott miał wrażenie, że Thorn lekceważy tych ludzi. Był zawodowym żołnierzem, najemnikiem z rozległym doświadczeniem bojowym.

Moskiewskim łącznikiem. Taggart otrzymał go wraz z zamówieniem.

Mógł kupić bombę, ale po warunkiem, że wraz z nią przybędzie Thorn.

Sprzedający nie życzyli sobie, by jakiś obcy rząd dotarł do nich tropem ładunku. Koszty byłyby zbyt duże. Scott oczekiwał kogoś z chropawym rosyjskim akcentem. Angielski Thorn był bez zarzutu, płynny i precyzyjny.

Używał kilku pseudonimów i można się było z nim skontaktować tylko przez skrzynkę pocztową w Ontario, w Kanadzie. Nikt nie wiedział, gdzie mieszka, chociaż powodziło mu się nieźle, sądząc po wysokości honorarium.

- Będą walczyć.

- Hmm. Z pewnością, jeżeli okaże się to konieczne. - Nie wydawał się przekonany. Zresztą, to nie odwaga najemników budziła jego wątpliwości, lecz przekonanie Taggarta, że organizacja nie została spenetrowana przez rząd. FBI było ekspertem w dziedzinie infiltracji. Posługując się zasadą „omerta” - milczenie albo śmierć - przeniknęło do mafii. Instytucja stara jak świat, oparta na zasadzie pokrewieństwa, została w ciągu dziesięciu lat nafaszerowana agentami jak świąteczna babka bakaliami. Nastąpiłoby to dużo wcześniej, gdyby J. Edgar Hoover nie był tak serdecznie zaprzyjaźniony z mafijnymi bosami. Thom wyszedł z założenia, że organizacja Scotta już ma tajniaków w swoich szeregach, i do tego dostosował swoje postępowanie.

- Nic pan nie powiedział tym ludziom? - zapytał jeszcze raz.

- Ani słowa.

- Nie sporządził pan żadnych notatek?

- Nie.

- Dobrze. Nie ma potrzeby informować grupy o naszych planach.

Obowiązuje ścisły podział obowiązków. Oni zapewniają nam bezpieczeństwo na wyspie,

100

pan dostarcza określone sumy na konta w określonych terminach. Reszta należy do mnie. Jeżeli da się pan złapać rządowym, zastrzegam sobie prawo zakończenia naszej współpracy. Podobnie, jeżeli pieniądze nie wpłyną w odpowiednim terminie, nasza umowa zostaje automatycznie unieważniona, bomba znika, a ja razem z nią. Czy to jasne?

- Już to omawialiśmy.

- Zgadza się. - Thorn jeszcze raz rozejrzył się po okolicy. - Wyspa wydaje

się dobrze zabezpieczona. Ale na pana miejscu zastosowałbym jakiś kamuflaż. Tamten człowiek - Ręką z papierosem wskazał mężczyznę na urwisku, które osłaniało naturalny port. - Jego karabin widać na milę. Nie ma potrzeby się reklamować. Nie chcemy ściągnąć sobie na głowę łodzi straży przybrzeżnej, prawda?

- Natychmiast się tym zajmę.

- Świetnie. - Thorn znów się uśmiechał. Poklepał Scotta po ramieniu.

Przejął dowództwo i obaj o tym wiedzieli. Scott był ideologiem, człowiekiem, za którym podążali inni. Po śmierci Kirsten mieszkał trzy lata w górach Idaho, nawiązując kontakty z ludźmi, których łączyło jedno - nienawiść do rządu federalnego Stanów Zjednoczonych. Wielu okazało się rasistami i chociaż Scott nie podzielał ich uprzedzeń, wstydził się często, że milczy, podczas gdy oni rozsiewają swoją truciznę.

Ale w miarę jak upływały miesiące, milczał coraz rzadziej, coraz częściej zabierał głos. Podróżował po kraju i przemawiał w stodółach i metalowych barakach do mężczyzn ubranych w brudne kombinezony lub we flanelowe koszule z podwiniętymi rękawami. Ci, którym się poszczęściło, mieli ręce i twarze brudne po pracy, inni stracili zajęcie, kiedy rząd zamknął zakłady obróbki drewna.

Z szeroko otwartymi oczami słuchali opowieści Scotta o Jeffersonie i prawach człowieka. To przecież on powiedział, że „drzewo wolności musi być odświeżane krwią patriotów i tyranów”. Scott mówił im, że mają prawo do realizacji swoich marzeń, wolni od tyranii rządu.

Słowa Scotta zawierały moralne przesłanie, a sposób, w jaki je przekazywał, nie pozwalał wątpić w słuszność sprawy. Z czasem ludzie nauczyli się mu ufać i traktować jako swojego przywódcę nie dlatego, że

dzierzył karabin w dłoni, lecz dlatego, iż znał ich potrzeby i rozumiał ich obawy o przyszłość. Postrzegali siebie jako ofiary politycznej arystokracji, klasy rządzącej, która zapomniała o obywatelach. Biurokraci rządili swoimi agencjami jak udziałni książe, nie odpowiadając przed nikim za swe poczynania. Obojętne, czy byli republikanami czy demokratami, wszyscy grali na tę samą nutę. Scott Taggart znał melodię i potrafił objaśnić słowa.

Ci dwaj ludzie, Taggart i Thorn, byli teraz nierozdzielnie ze sobą związani.

Thorn zdusił butem niedopałek i poszli dalej, w stronę domu na wzgórzu. Okna chaty zasłonięto kocami, by uniknąć ciekawskich oczu, grubych szkieł lornetek i obiektywów aparatów fotograficznych.

101

- Gdzie jest ładunek? - zapytał Scott.

- W bezpiecznym miejscu.

- Myślałem, że działamy razem.

- Bo działamy.

- Po co więc te tajemnice?

- Ponieważ nasz sukces nie zależy od tego, czy będzie pan znał miejsce ukrycia ładunku. Wystarczy, że ja je znam. I że dostarczę go do miejsca przeznaczenia w określonym terminie. Więcej nie musi pan wiedzieć.

- Pozostaje kwestia detonacji. Jak zdoła pan to zrobić w tak krótkim czasie?

- Kolejny szczegół, którym nie powinien pan sobie zaprzętać głowy.

- Zawsze martwię się niezalutwionymi sprawami.

- Zauważyłem.

- Na przykład Belden Electronics.

- FBI może grzebać w interesach pana Beldena, jak długo zechce. Niczego nie znajdzie.

- A ta kobieta? Prawniczka?

- Nic nie wie. Ale na wszelki wypadek ta sprawa zostanie załatwiona.

Scott popatrzył uważnie na swojego rozmówcę.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- Nie ma sensu ryzykować - stwierdził Thorn.

- Czy to konieczne?

- Ma w biurze papiery, które lepiej usunąć. Zauważy jeżeli je po prostu zabierzemy. Zacznie się zastanawiać, skojarzy to i owo. - Thorn stanął i spojrzał Scottowi prosto w twarz. - Niech pan sam powie: czy to konieczne?

Taggart wahał się tylko przez chwilę.

- Chyba tak.

- Nie jest pan przekonany?

- Zabijanie niewinnych ludzi nie sprawia mi przyjemności. Dlatego wybrałem takie a nie inne miejsce.

- Szkoda, że amerykański rząd nie podziela pańskich przekonań - powiedział Thorn.

Scott popatrzył na niego uważnie. Czy to możliwe, żeby Thorn wiedział, jak umarła Kirsten? Nigdy mu o niej nie wspominał. Thorn nie należał do ludzi, którym można się zwierzać. Było coś w jego twarzy, w mrocznych zielonych oczach, co nie pozostawiało wątpliwości, że wykorzysta każdą informację dla własnych celów. Scott zastanawiał się, czy jego wspólnik wie o Adamie i rodzicach Kirsten w Seattle. Po raz pierwszy, odkąd

wkroczył na krętą ścieżkę zemsty, zwątpił, czy postępuje słusznie.

- Ta kobieta to nie pana zmartwienie - powiedział Thorn. - Załatwimy tę sprawę.

- Kiedy?

Thorn spojrział na zegarek.

- Już wkrótce.

102

Szli w milczeniu w stronę domu. Scotta dręczyła myśl, że zginie niewinny człowiek. Nie miał jednak wyboru. Nie był żołnierzem, ale znał zasady walki. Być może rząd federalny jeszcze o tym nie wiedział, ale Scott Taggart wypowiedział mu wojnę.

15

Cieśnina Rosario

Joselyn nie mogła współpracować z McCallym i policją federalną z tego prostego powodu, że nic nie wiedziała. Szukała w pamięci jakiejś wskazówki, strzępu informacji, czegoś, z czym Belden się zdradził podczas rozmowy w biurze lub podczas lotu do Seattle. Joselyn nie była naiwna. W ciągu lat praktyki prawniczej wysłuchała dość kłamstw, by wiedzieć, że często tkwi w nich źdźbło prawdy. Może w kłamstwa Beldena zaplątała się jakaś informacja, coś, czego mogłaby się ucześcić.

Zajmował się elektroniką, a przynajmniej tak twierdził. Może Max Sperling istniał naprawdę, nawet jeżeli historia o nim była zmyślona. Po powrocie do biura przejrzy papiery. Może znajdzie coś w notatkach. Zanim McCally i agenci skończyli przesłuchanie, zapadł zmrok. Była zmęczona i brudna. Stała przez wiele godzin na chłodzie, wystawiona na podmuchy wiatru. Zabandażowane ramię pulsowało z bólu. Wiedziała, że

o tej godzinie nie złapie już połączenia z Seattle na wyspy San Juan. Jedyny prom odchodził z Ana-cortes, półtorej godziny jazdy na północ. Wezwała taksówkę i kazała się zawieźć do najbliższego supermarketu, gdzie kupiła kaptcie i rajstopy. Potem udała się do agencji wynajmu samochodów. Nie miała wyboru. Doliczy to wszystko do rachunku Beldena.

Jadąc na północ, zastanawiała się, co zrobić z resztą zaliczki. Jak zwrócić część, której nie zarobiła? Tylko prawnik mógł stworzyć sobie podobny problem. Ale ona musiała dbać o reputację firmy. Znajdzie sposób, by zlikwidować przedsiębiorstwo Beldena, wycofać swoje nazwisko z dokumentów Belden Electronics. Może opublikuje zawiadomienie w prasie, spróbuje odnaleźć spadkobierców. Jeżeli informacje McCally'ego o przeszłości jej klienta były prawdziwe, istniała niewielka szansa, że ktoś się zgłosi. Z czasem pieniądze przejdą w posiadanie stanu.

Jaselyn zaczynała odczuwać skutki upadku na deski pomostu. Dzwoniło jej w uszach, mięśnie były boleśnie tkliwe. Doświadczyła podobnego uczucia tylko raz, po drobnym wypadku samochodowym.

Piętnaście minut po zjeździe z autostrady znalazła się na głównej ulicy Ana-cortes i na światłach skręciła w lewo, kierując się w stronę przylądka.

Z trudem

103

Szli w milczeniu w stronę domu. Scotta dręczyła myśl, że zginie niewinny człowiek. Nie miał jednak wyboru. Nie był żołnierzem, ale znał zasady walki. Być może rząd federalny jeszcze o tym nie wiedział, ale Scott Taggart wypowiedział mu wojnę.

15

## Cieśnina Rosario

Joselyn nie mogła współpracować z McCallym i policją federalną z tego prostego powodu, że nic nie wiedziała. Szukała w pamięci jakiejś wskazówki, strzępu informacji, czegoś, z czym Belden się zdradził podczas rozmowy w biurze lub podczas lotu do Seattle. Joselyn nie była naiwna. W ciągu lat praktyki prawniczej wysłuchała dość kłamstw, by wiedzieć, że często tkwi w nich źdźbło prawdy. Może w kłamstwa Beldena zaplątała się jakaś informacja, coś, czego mogłaby się ucześcić.

Zajmował się elektroniką, a przynajmniej tak twierdził. Może Max Sperling istniał naprawdę, nawet jeżeli historia o nim była zmyślona. Po powrocie do biura przejrzy papiery. Może znajdzie coś w notatkach. Zanim McCally i agenci skończyli przesłuchanie, zapadł zmrok. Była zmęczona i brudna. Stała przez wiele godzin na chłodzie, wystawiona na podmuchy wiatru. Zabandażowane ramię pulsowało z bólu. Wiedziała, że o tej godzinie nie złapie już połączenia z Seattle na wyspy San Juan. Jedyny prom odchodził z Ana-cortes, półtorej godziny jazdy na północ. Wezwała taksówkę i kazała się zawieźć do najbliższego supermarketu, gdzie kupiła kapcie i rajstopy. Potem udała się do agencji wynajmu samochodów. Nie miała wyboru. Doliczy to wszystko do rachunku Beldena.

Jadąc na północ, zastanawiała się, co zrobić z resztą zaliczki. Jak zwrócić część, której nie zarobiła? Tylko prawnik mógł stworzyć sobie podobny problem. Ale ona musiała dbać o reputację firmy. Znajdzie sposób, by zlikwidować przedsiębiorstwo Beldena, wycofać swoje nazwisko z dokumentów Belden Electronics. Może opublikuje zawiadomienie w prasie, spróbuje odnaleźć spadkobierców. Jeżeli informacje McCally'ego o

przeszłości jej klienta były prawdziwe, istniała niewielka szansa, że ktoś się zgłosi. Z czasem pieniądze przejdą w posiadanie stanu.

Jaselyn zaczynała odczuwać skutki upadku na deski pomostu. Dzwoniło jej w uszach, mięśnie były boleśnie tkliwe. Doświadczyła podobnego uczucia tylko raz, po drobnym wypadku samochodowym.

Piętnaście minut po zjeździe z autostrady znalazła się na głównej ulicy Ana-cortes i na światłach skręciła w lewo, kierując się w stronę przylądka.

Z trudem

103

odganiała senność. Przemknęła przez willową część miasta. Między drzewami, od strony morza, migotały światła dworca promów, zwielokrotnione odbiciem w wodzie.

Prom z otwartym pokładem dla samochodów, płonący światłami jak bożonarodzeniowa choinka, podchodził do przystani szerokim łukiem.

Miała nadzieję, że jest to prom do Friday Harbor.

Zjechała po stromej rampie do portu i stwierdziła, że parking jest prawie pusty. W kolejce czekało parę samochodów osobowych, dwie ciężarówki i wóz campingowy. Godziny szczytu w ruchu promowym już minęły, a do sezonu turystycznego pozostało kilka miesięcy.

Zapłaciła za bilet na rogatec.

- Kiedy jest następny na wyspę San Juan?

- Właśnie wpływa.

Wóz campingowy ustawił się za nią. Widziała jego światła we wstecznym lusterku wynajętego auta. Za wozem stanęła wielka ciężarówka. Ludzie na wyspach żyli i umierali według rozkładu promu. Samochody dostawcze często kursowały nocą, żeby uniknąć tłoku.

Kobieta w budce wręczyła Joselyn bilet, wydała jej resztę i rzuciła okiem na parking.

- Pas czwarty. Załadunek za kilka minut.

W ciągu dnia promy traciły po parę minut przy każdym okrążeniu i o tej porze bywały zwykle spóźnione. Joselyn wiedziała, że nie będą marnować czasu na przystani. Wjechała na pas czwarty, zgasiła silnik i czekała. Obok niej ustawiono może z tuzin samochodów. Prom będzie niemal pusty. Patrzyła na strumień aut wylewający się ze statku. Samochody mijają ją, kierując się na drogę wyjazdową, ku wzgórzom. O tej porze dnia ruch między wyspami a lądem był praktycznie jednostronny; ostatni maruderzy wracali do domu.

Pięć minut później otwarto bramkę na pokład. Joselyn przejechała przez całą długość promu, aż na dziób. Słyszała pogwizdywanie wiatru na otwartym pokładzie samochodowym. Kiedy przybiją do brzegu, będzie pierwsza w kolejce do zjazdu. Nie mogła się już doczekać, kiedy znajdzie się we własnym łóżku i naciągnie na głowę flanelową kołdrę, ucieknie od koszmarów dnia. Powoli ogarniała ją senność.

Nieliczni pasażerowie opuścili swoje pojazdy i udali się na górny pokład do kafeterii. Joselyn włączyła mechanizm zamykania drzwi i odchyliła do oporu oparcie fotela kierowcy. Ułożyła się wygodnie, żałując, że nie ma koca.

Pogrążyła się w półśnie, tylko niejasno zdając sobie sprawę z ruchu statku. Wibracje potężnego silnika przeszkadzały jej trochę, za to lekkie kołysanie podziało jak środek nasenny.

Mały samochodzik zadrżał od uderzenia wiatru, kiedy prom wypłynął z kanału Guemes na cieśninę Rosario. Od przesmyku Thatcher dzieliło ich

cztery

104

mile otwartego morza. Drobne fale rozbijały się o stalowy dziób promu, kropelki wody osiadały na przedniej szybie samochodu Joselyn.

Jakiś hałas wybił ją ze snu i uchyliła powieki, spoglądając przez przyciemnioną szybę ochronną. Noc była pogodna, jedna z tych, które zdają się przywoływać niebo do życia tysiącami jarzących się światełek.

Joselyn trwała na granicy jawy i snu. Zamglonym wzrokiem spoglądała na pokład pasażerski ponad dziobem. Był pusty. Nieliczni pasażerowie kulili się w środku, grzejąc ręce o gorące kubki z kawą, lub spali wyciągnięci na ławkach pod oknami.

Gdzieś w cieśninie Rosario Joselyn straciła kontakt z rzeczywistością, uśpiona kołysaniem wielkiego statku i pogwizdywaniem wiatru, który przemykał przez otwarty pokład niby gigantyczny duch.

Zatraciła się w monotonnym szumie silników i śniła o Beldenie i jego małym samolocie, o błysku jasnego światła i wybuchu, który nastąpił w sekundę później. Jaskrawe, płonące światło przenikające przez zamknięte powieki. Oczy zaczęły ją boleć, otworzyła je wolno, uświadamiając sobie, że to wcale nie sen. Ktoś w samochodzie za nią zapalił długie reflektory.

Wypełniły wsteczne lusterko jej auta porażającą bielą, jak słońcem. Blask padający z lusterka oślepiał i Joselyn osłoniła oczy.

- Wyłącz to - szepnęła, półprzytomna. Dobiegł ją głęboki, gardłowy pomruk wielkiego dieslowskiego silnika. Nie miała pojęcia, kto za nią stoi, oślepiały ją reflektory. Pomyślała, że poczeka chwilę, może facet je wyłączy. Jeżeli nie, pójdzie na górę do sali, żeby umknąć przed hałasem i tym okropnym światłem.

Wtedy usłyszała zgrzyt skrzyni biegów, a chwilę później syk sprężonego powietrza. Kierowca zwolnił hamulce. Joselyn spojrzała ze zgrozą w lusterko, na zbliżające się światła. Nagle zniknęły z lusterka, były już ponad dachem jej samochodu. Ujrzała masywną metalową kratkę i wielki zderzak. Ciężarówka najechała na nią wolno, Joselyn usłyszała potworny chrzęst miażdżonego metalu.

Zanim zdążyła się zorientować, co się dzieje, jej samochód zgiął się niby pusta puszka po coca-coli. Chwyciła za klamkę, ale drzwi nie ustąpiły. Widocznie wygięła się rama samochodu i drzwi zostały zablokowane. Próbowwała otworzyć drzwi od strony pasażera. Bezskutecznie.

Rozległ się potworny brzęk. To rozprysła się tylna szyba, zasypując Joselyn okruchami szkła. Samochód zaczął z wolna posuwać się naprzód, jego opony ślizgały się po gładkiej powierzchni metalowego pokładu. Pleciona siatka zabezpieczająca naprężyła się, a potem zaczęła pękać, w miarę jak ciężarówka, niby tłok parowy, wciskała w nią chevroleta. Joselyn usłyszała, jak kierowca zmienia bieg. To nie był przypadek. Człowiek w szoferce próbował ją zabić.

Rzuciła rozpaczliwe spojrzenie w boczne okno, z całej siły uderzyła w szybę. Dwa skrzydła pokładu pasażerskiego znajdowały się tuż za nią. Oba były puste. Nikt jej nie widział. Przycisnęła guzik otwierający szyby. Nie działał. Zaczęła walić pięściami w okno. Zrozpaczona, przerzuciła nogi ponad kierownicą i przy-

105

cisnęła stopy do szyby ochronnej. Zaparłszy się plecami o fotel, próbowała ją wyważyć. Na próżno.

Była uwięziona w trumnie z metalu i szkła, miażdżona i spychana do

wodnego grobu.

Mały chevrolet sunął ku przepaści, ciemnozielona, spieniona woda była coraz bliżej. Joselyn bezskutecznie wciskała hamulec, koła nadal ślizgały się po metalu. Nacisnęła klakson. W końcu coś zadziało. Przynajmniej narobi hałasu. Ktoś powinien usłyszeć.

Siatka zabezpieczająca pękła. Ostatnia stalowa lina ześlizgnęła się po masce samochodu, po przedniej szybie. Nic już nie dzieliło Joselyn od zimnej, głębokiej wody cieśniny.

Jeszcze raz sięgnęła do klamki, uderzając ramieniem w drzwi, jeszcze raz próbowała uruchomić elektroniczny mechanizm otwierania szyb. Nagle doznała olśnienia. Przekręciła kluczyk w stacyjce, wcisnęła guzik i szyba zjechała w dół. Wiatr uderzył ją w twarz.

Obiema rękami uczepliła się krawędzi dachu i skrzyła ciało, żeby się wydostać. Przednie koła samochodu minęły krawędź pokładu. Pojazd przechylił się w przód, jeszcze przez chwilę walcząc z siłą przyciągania, po czym runął ku białemu kłębowisku pod potężnym stalowym kadłubem statku.

- Silniki stop! - Kapitan „Tillicuma” położył dłoń na czerwonym guziku na tablicy rozdzielczej i docisnął go z całej mocy. Gwizd syreny przeciął nocną ciszę jak ostrze noża.

Na mostku zawrzało. Pierwszy oficer chwycił cztery dźwignie na konsoli i pchnął je do przodu, wrzucając luz. Wibracje silnika ustały, ale statek posuwał się siłą rozpędu, przecinając ciemne wody.

- Na prawą burtę!

Sternik przekręcił koło, ale bez pomocy silnika pompującego wodę na powierzchnię sterową statek obracał się bardzo wolno.

Kapitan patrzył bezradnie, jak potężna ciężarówka spycha mały samochód osobowy z pokładu.

- Cała wstecz!

Ostatkiem sił Joselyn podciągnęła się na rękach. Połową ciała była już na zewnątrz. Jedną ręką chwyciła szczątki stalowej siatki fruwającej na wietrze. Samochód runął w dół, uderzając z głuchym pluśnięciem o powierzchnię wody. Joselyn, wyrwana potężną siłą przez otwarte okno, zawisała w przestrzeni między morzem a pokładem.

Uczepiona szczątków siatki, usłyszała ryk syreny. W przegubie czuła rozdzierający ból, drętwiały jej palce. Jeszcze kilka sekund i spadnie do morza. Wyrzuciła w górę drugą rękę, próbując zapanować nad wirującym ciałem, i chwy-

106

ciła kłęb siatki. Statek nadal pruł fale, potem zaczął zwalniać, fala dziobowa opadła. Sekundy ciągnęły się w nieskończoność. Zaczepiła się o siatkę również nogą i trwała tak, obracając się na wietrze, a lodowate morze lizało jej stopy.

W normalnych warunkach kapitan zatrzymałby statek, dając całą wstecz, ale wiedział, że jeżeli to zrobi, samochód dostanie się pod dziób i poszatkują go potężne śruby.

Modlił się, żeby w środku nikogo nie było. Słyszał chrobot metalu ocierającego się o metal. Powietrze uwięzione w środku auta utrzyma je jakiś czas na powierzchni, przynajmniej przez parę sekund. Dwaj mężczyźni podbiegli do burty i patrzyli na rozhuśtane ciemnozielone wody.

Kapitan chwycił za reflektor umocowany na barierce, obrócił go w stronę

morza i włączył. Silny strumień światła przeciął ciemność i prześlizgnął się po powierzchni wody.

Pierwszy oficer wrócił biegiem na mostek i dopadł mikrofonu.

- Człowiek za burtą! Cała załoga na pokład. Człowiek za burtą!

Słyszał, jak głośniki powtarzają echem jego słowa. Powtórzył komunikat trzy razy i odwiesił mikrofon. Nie zdążył nawet zejść z mostka, kiedy rozległ się krzyk kogoś z załogi:

- Tutaj! Na rufie!

Kapitan skierował w tamtą stronę snop światła, przeszukując powierzchnię morza. Ktoś rzucił koło ratunkowe. Kapitan uchwycił je w snop reflektora i podążał za nim, dopóki nie uderzyło w wodę. Potem zaczął omiatać światłem okolice rufy.

- Jest! - Próbował utrzymać promień na przedmiocie podskakującym na fali, ale przy kołysaniu statku nie było to łatwe.

Zgnieciony, niemal nierozpoznawalny kształt wystawał kilkanaście centymetrów nad poziom wody. Widać było tylko powyginany, zmięty w harmonijkę dach tańczący na falach, gdy woda podchodziła łakomie pod jego krawędź. Silniejszy podmuch wiatru wzbił falę większą niż inne i z otwartego okna po stronie kierowcy wydobyły się bąbelki. Jeszcze sekunda i samochód zniknął.

Już trzy reflektory omiatały powierzchnię morza, ale w wodzie nie było nikogo.

Poszarpana siatka bezpieczeństwa zwisała z dziobu promu niby pajęczyna, a Joselyn trwała uczepiona tej wątlej sieci. Spojrzała w górę spodziewając się, że lada chwila siatka się rozerwie, a ona spadnie razem z nią do morza. Statek zwolnił, ale nadal płynął dość szybko, by wciągnąć ją pod dziób.

Szansa, że ktoś ją dostrzeże pośród bezmiaru wód, były niewielkie.

Joselyn skostniała z zimna w podmuchach wiatru. Powoli traciła czucie w rękach, oczka siatki wyslizgiwały się z jej palców jedno po drugim.

Zwisała jak

107

szmaciana lalka. Ostatkiem świadomości zmuszała się do myślenia, do tego, by skupić wzrok. Podpierając się nogami, próbowała odwrócić się przodem do dziobu statku i namacać stopą spojenie metalowych płyt. Było to równie beznadziejne jak wspinanie się bosą po nagiej skalnej ścianie.

Rozpaczliwym ruchem wyrzuciła w górę prawą rękę i chwyciła pełną garść siatki. Teraz wisiała jakby na krzyżu. Jakimś cudem udało się jej wsunąć drugą stopę w oko siatki. Trwała tak, czekając na pomoc, ale nikt się nie pojawił. Uświadomiła sobie, że jest niewidoczna z pokładu. Załoga i pasażerowie obserwowali rufę, szukając samochodu. Nikt nie zwracał uwagi na poszarpaną siatkę zabezpieczającą.

Joselyn widziała światła reflektorów, sunące łukiem ponad wodą w stronę rufy. Słyszała krzyki. Statek zwolnił wyraźnie, ucichł szum fal rozcinanych dziobem.

Szukając na oślep oparcia dla nóg, Joselyn zaczęła się mozolnie wspinać po siatce. Na pokładzie samochodowym kręciło się teraz parę osób.

Słyszała ich głosy. Ale nikt nie spojrział w dół.

Stali skupieni przy prawej burcie, kiedy Joselyn wczołgała się na pokład. Leżała plackiem na ziemi, bez sił, tuż przy krawędzi dziobu, z policzkiem przytulonym do zimnego pokładu. Upłynęło kilka chwil, zanim zaczęła rozpoznawać przedmioty, i pierwszą rzeczą, jaką ujrzała, była wielka, czarna opona ciężarówki, która zepchnęła jej samochód do morza. Stała

nie dalej niż półtora metra od niej. Joselyn podniosła się na klęczki i spojrzała na otwarte drzwi ponad swoją głowę. Wstała wolno, nie spuszczać wzroku z otwartej szoferki. W środku nikogo nie było, ani za kierownicą, ani na fotelu pasażera. Ktokolwiek próbował ją zabić, porzucił samochód i wmieszał się w tłumek pasażerów. Kiedy tak stała z zadartą głową, gapiąc się w otwarte drzwi, gdzieś z tyłu rozległy się kroki. Szybko przeszła na drugą stronę ciężarówki i dała nura między samochody.

Dwaj marynarze poddali oględzinom to, co zostało z siatki zabezpieczającej, potem jeden z nich wspiął się do szoferki.

- Nie ma kluczyka. - Spojrzał pod deskę rozdzielczą i pociągnął luźne kable.

- Niczego nie ruszaj. Trzeba cofnąć tego grata, żeby zbalansować ładunek. Czy ktoś zawiadomił straż przybrzeżną?

- Zadzwonili z mostka.

W pobliżu ciężarówki zebrała się już grupka marynarzy. Zastanawiali się, jak ją przesunąć. Nikt nie zwracał na Joselyn uwagi.

Ruszyła wolno rampą w stronę schodów prowadzących na pokład pasażerski. Metalowa podłoga ziębiła jej stopy. Spojrzała w dół. Podczas wspinaczki po siatce zabezpieczającej straciła drugą tego dnia parę obuwia. Jej torebka i aktówka były nadal w samochodzie, w drodze na dno cieśniny.

Otworzyła drzwi na szczycie schodów i zobaczyła damską toaletę po drugiej stronie korytarza. Wślizgnęła się do pomieszczenia, zamykając za sobą drzwi.

Człowiek, który zepchnął jej samochód, był przekonany, że Joselyn nie żyje. Czowała zamęt w głowie. Była nadal w szoku, ale rozsądek podpowiadał jej, że dla własnego dobra powinna pozostać martwa.

Było już po północy. Bowlyn spoglądał na podświetloną kopułę Białego Domu, widoczną z okna gabinetu Sy Hirshberga w zachodnim skrzydle pałacu prezydenckiego. Hirshberg był doradcą prezydenta do spraw bezpieczeństwa. Ubrany w smoking i czarną muchę, siedział w niedbałej pozycji za biurkiem z drzewa czereśniowego. Oczy miał podkrążone ze zmęczenia.

Bowlyn wyciągnął go z przyjęcia w Centrum Kennedy'ego. Uznał, że lepiej przedyskutować zagadnienie z szefem, zanim poruszy je na forum Grupy Operacyjnej. Bez wątplenia to, co za chwilę powie, zepsuje Hirshbergowi nadchodzący dzień.

- Mam nadzieję, że nie zajmiesz mi dużo czasu? O siódmej trzydzieści mam zebranie, a o dziesiątej lecę do Nowego Jorku. - Hirshberg jechał na konferencję szefów bezpieczeństwa w sprawie Bośni i Bliskiego Wschodu. Bowlyn nabrał głęboko powietrza.

- Otrzymaliśmy informacje, że rosyjscy handlarze bronią przesłali ładunek nuklearny do swoich klientów w Stanach Zjednoczonych.

Hirshberg siedział bez ruchu, wpatrując się jak zahipnotyzowany w swojego asystenta. Bowlyn uprzedził następne pytanie szefa.

- Możliwe, że ładunek już dotarł do celu. Hirshberg słuchał go z uwagą.

- Mamy powody przypuszczać, że broń została przewieziona statkiem przez Pacyfik. Statek zatonął, prawdopodobnie podczas sztormu.

- Jeżeli zatonął, skąd wiadomo, że ładunek nie poszedł na dno razem z nim?

Bowlyn otworzył aktówkę i wyciągnął z niej kopię raportu laboratoryjnego FBI. Podał go szefowi.

Zrozumienie tego, co czyta, zajęło Hirshbergowi kilka minut. Raport zawierał dwie informacje o zasadniczym znaczeniu. Po pierwsze, liny, którymi ładunek był połączony z workiem, zostały przecięte, zdaniem specjalistów z laboratorium - najprawdopodobniej za pomocą noża.

Należało więc założyć, że ktoś odciął ładunek, wciągnąwszy go uprzednio na pokład statku, a następnie wyrzucił worek i boje za burzę.

Drugie odkrycie miało jeszcze większe znaczenie.

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

109

- Odśwież moje wiadomości z fizyki. Minęło tyle lat - powiedział Hirshberg. - O ile pamiętam, rad jest podstawową cząsteczką promieniowania wchłanianą przez ludzki organizm.

- Zgadza się.

- A zewnętrzna powłoka tego worka była tak skażona, że mogłaby wywołać raka u tysiąca osób?

- Szczątki „Iswanii” przewieziono natychmiast do Oak Ridge w celu zbadania i likwidacji. Musieli odkazić laboratorium w Quantico. Z tego, co wiemy, ładunek zawiera starzejący się pluton, który przez jakiś czas był wystawiony na działanie powietrza. Zaczął się utleniać. Fizycy twierdzą, że wydziela bardzo duże dawki promieniowania gamma. Istnieje niebezpieczeństwo rozpylenia w powietrzu. Pod tym względem przypomina proch. Kiedy dostanie się do płuc, jest śmiertelny. Próbowali odkazić helikopter, który wyłowił ładunek. Kiedy im się nie udało, zepchnęli go po prostu do morza. Cała załoga przechodzi kwarantannę i

jest pod obserwacją.

Hirshberg wrócił do lektury raportu. Analitycy podejrzewali, że ktokolwiek zabrał ładunek z rosyjskiego bunkra, rozmontował go przed wysyłką. Rdzeń został wystawiony na działanie powietrza, a następnie owinięty workiem nietoną-cym i załadowany do skrzyni. Sam worek wykazywał niesłychanie wysoki poziom napromieniowania. Hirshberg odłożył raport na biurko.

- Mają jakieś wyobrażenie o rozmiarach bomby? - zapytał. - O jej mocy?

- Nie. Wiedzą tylko, że istnieje groźba skażenia. Ktokolwiek to transportował, najwyraźniej nie miał pojęcia, co wiezie.

- Miejmy nadzieję, że nie będzie również wiedział, jak to zdetonować. Co mówią Rosjanie?

- Ludzie Dana Murphy'ego z Departamentu Stanu są w kontakcie z ich ministerstwem obrony. Problem w tym, że nasze informacje pochodzą z podsłuchu. Nie możemy im przecież powiedzieć, że mają nasze pluskwy. Nie wiem, jakie zajmą stanowisko. Mamy nadzieję, że będą współpracować. CIA wysłało swojego człowieka do zakładów na Syberii, żeby się czegoś dowiedział. Pracujemy nad rozszyfrowaniem transmisji, ale jak dotąd nie trafiliśmy na nic ciekawego.

- Więc co mam powiedzieć prezydentowi? - zapytał Hirshberg.

- W tym właśnie sęk.

- Co przez to rozumiesz? Bowlyn zrobił głęboki wdech.

- Mamy powody przypuszczać, że ładunkami zawładnęła rosyjska mafia, grupa działająca w Jekaterinburgu na Syberii. Zostały wysłane jako części maszyn, a w liście przewozowym figuruje nazwa przedsiębiorstwa transportowego. Przedsiębiorstwem tym kieruje Wictor Kolikow.

Hirshberg uniósł twarz ku sufitowi i trwał tak przez chwilę, zanim wybuchnął:

- Sukinsyn! Wiedziałem! - Potrząsnął głową, wstał z fotela i zaczął spacerować wzdłuż okna z widokiem na Kapitol. - Ostrzegaliśmy go.

Mówiliśmy, żeby

110

3

się wystrzegał tego gościa. A on co? Zaprasza go do pieprzonego Gabinetu Ovalnego i ściska mu dłoń przed kamerami telewizyjnymi. Zaprasza go na kolację, sadza go przy sobie na herbatkach. Szkoda, że nie wręczył mu kluczy do frontowych drzwi Białego Domu.

- Zwrócił pieniądze - powiedział Bowlyn, starając się zachować optymizm.

- Tak, po tym jak „Post” obsmarował mu tyłek na pierwszej stronie.

Chodziło o to, że prezydent wziął dwieście czterdzieści tysięcy na kampanię wyborczą i pieniądze te, wypłacone przez marionetkowych donatorów, okazały się po bliższym zbadaniu własnością Kolikowa.

Urzednicy partyjni zwrócili je, kiedy sprawa wyszła na jaw. Kolikow był obcokrajowcem, a świadome przyjęcie dotacji na cele polityczne od obywatela obcego państwa uznawano za przestępstwo. Na szczęście nie sposób było udowodnić prezydentowi i jego ludziom, że wiedzieli skąd pochodzą pieniądze.

- Nikt go o nic nie oskarży - powiedział Bowlyn.

- Na pewno nie ten wieśniak na stanowisku prokuratora generalnego. Poza tym powszechnie wiadomo, że prezydent kieruje się zasadą: „wszystko dobre, co nie jest karalne”. - Hirshberg popatrzył na Bowlyna. - Nie

rozumiesz? Wyborcy dali prezydentowi wolną rękę w kwestiach etycznych, w jego życiu zawodowym i prywatnym. W nagrodę usmażą się teraz w wybuchu nuklearnym.

Bowlyn rozejrzał się nerwowo; gabinet Hirshberga mógł być na podsłuchu. Hirshberg miał ognisty temperament i kiedy tracił panowanie nad sobą, było mu wszystko jedno, kto go słyszy.

- To nie wina prezydenta, tylko jego doradców politycznych - powiedział Bowlyn.

Hirshberg popatrzył na niego kpiąco.

- Jeżeli chcesz zająć mój stołek, musisz mówić głośniejszo do kałamarza na biurku - powiedział.

Bowlyn zaczerwienił się po uszy.

- Musisz przyznać, że Williams to prawdziwy skurwiel. Dać się złapać z prostytutką, kiedy rozmawiał z prezydentem, i wykręcić się z tego sianem, jakby był niezastąpiony...

- Dam ci w prezencie Williamsa i resztę tych gnid. - Hirshberg uniósł szklankę z wodą jakby chciał wygłosić toast. - Ale powiedz mi, kto ma w ręku flet i gra motyw tej melodii? - Popatrzył na swojego podwładnego przez szkło. Bowlyn nie odpowiedział.

- Ostrzeżenia udzieliło mu CIA i Departament Stanu, zanim ujrzał Kolikowa na oczy. Powiedziano mu, że facet ma powiązania z rosyjską mafią i jest zamieszany w nielegalny handel bronią. Posłuchał mądrzejszych od siebie? Nie.

Kolikow uczestniczył nie tylko w zwyczajowej sesji zdjęciowej z prezydentem, podczas której asystenci mówili mu, gdzie stanąć i jak się uśmiechać. Spędził wiele dni w Białym Domu zapełniając prezydencki

Rolodex numerami tele-

111

fonów i adresami hojnych ofiarodawców. Departament Stanu, a nawet CIA kręcili nosem. Prezydent nie zwracał na to uwagi. Potrzebował pieniędzy na kampanię i zrobiłby wszystko, by je zdobyć.

- A teraz, jeżeli faktycznie na amerykańskiej ziemi znajduje się broń masowej zagłady i Kolikow jest w to zamieszany, założę się, że nasz naczelny wódz nie będzie chciał nawet o tym słyszeć.

- Będzie musiał coś zrobić - powiedział Bowlyn.

- Przypominam ci, że ta administracja występuje przeciwko prywatnemu posiadaniu broni, a nasz prezydent jest za dziećmi, nauczaniem i środowiskiem, za dziećmi i ubezpieczeniami społecznymi, za dziećmi i opieką lekarską, oraz za dziećmi. A teraz mi powiedz; czy człowiek recytujący na co dzień podobną mantrę, może stanąć przed kamerami telewizyjnymi i zawiadomić obywateli, że mogą się jutro obudzić i odkryć, że jedno z ich głównych miast zniknęło przez noc, a dzieci umierają wskutek napromieniowania, o ile oczywiście nie usmażyły się w łóżkach? A także, że to ich prezydent wziął pieniądze i ścisnął prawicę człowieka, który dostarczył bombę pod ich drzwi.

17

Friday Harbor, stan Waszyngton

Prom jest jak mała wioska. Wieści rozchodzą się szybko. Ponieważ załoga nie mogła znaleźć właściciela zatopionego samochodu, uznano, że poszedł na dno razem z nim.

Joselyn chciała powiedzieć kapitanowi prawdę, ale nie miała odwagi. Jej prześladowca był na pokładzie. Oddałaby swój los w ręce nieuzbrojonej

załogi, być może wystawiła ją na niebezpieczeństwo. Doszła do wniosku, że o wiele lepiej uchodzić za martwą.

Kiedy ciężarówka spychała jej chevroleta do morza, kierowca popijał kawę w kafeterii na górze. Widziało go pięciu świadków.

Załoga promu omiatała reflektorami powierzchnię morza, prowadząc akcję ratowniczą aż do chwili przybycia straży przybrzeżnej. Dwaj oficerowie weszli na pokład promu, żeby przesłuchać załogę i świadków. „Tillicum” skierował się do Friday Harbor. Po czterdziestu minutach był na miejscu. Joselyn ukryła się w toalecie. Pasażerów niezmotoryzowanych wypuszczano na ląd w pierwszej kolejności, reszta musiała poczekać, aż załoga przygotuje pokład samochodowy. Kiedy Joselyn wyszła z toalety pokład pasażerski był pusty. Zbiegła schodami i opuściła prom, korzystając z tego, że załoga usuwa blokady z kół pojazdów. Wstrzymała oddech, spodziewając się, że ktoś ją zawoła, będzie próbował ją zatrzymać. Nikt jej nie zauważył.

112

Odetchnęła niemal spazmatycznie i ruszyła przez przystań w stronę Front Street.

Miała nadzieję, że straż przybrzeżna prędko da sobie spokój z szukaniem jej ciała. Odczuwała lekkie wyrzuty sumienia, ale nie zamierzała się ujawnić tej nocy. Była wykończona, psychicznie i fizycznie. Pojedzie do biura szeryfa i opowie policji, co się wydarzyło, ale dopiero rano. Będą mieli mnóstwo czasu, by pod-gonić śledztwo.

Przeszła szybko do końca pomostu i skręciła w prawo w Spring Street Lan-ding. Samochody opuszczające prom musiały przejechać wzdłuż Front Street, żeby dotrzeć do Spring Street przecinającej miasto. Odcinek

w porcie był jednokierunkowy, doskonale oświetlony. Joselyn zamierzała obejrzeć samochody i ich kierowców w świetle ulicznych latarni.

Nie była pewna, co właściwie spodziewa się zobaczyć. Żałowała, że nie ma przy sobie kartki papieru i długopisu. Przeszukała kieszenie spódnicy licząc na to, że znajdzie jakiś bilon. Nic. Będzie musiała zadzwonić z restauracji przy głównej ulicy. Poprosi Samanthę, żeby po nią przyjechała. Spojrzała na zegarek: dziewięta trzydzieści. Niewykluczone, że Samantha jest jeszcze w biurze. Często pracowała do późna.

Joselyn usiadła na drewnianej ławce przed biurem linii okrętowych Western Princess. Jeżeli nie liczyć kilku restauracji i klubów nocnych, wszystko było już pozamykane. Z tawerny w dole ulicy dobiegały stłumione dźwięki muzyki.

Samochody zaczęły opuszczać prom. Musiały minąć posterunek straży przybrzeżnej, dzięki czemu Joselyn miała czas przyjrzeć się pojazdom i ich użytkownikom. Nie wiedziała, czego szuka. Czegoś niezwykłego, kogoś, kto odbija od reszty, kto nie był miejscowy. Fakt, że na promie znajdowało się tak mało samochodów znacznie ułatwił jej zadanie.

Człowiek, który próbował ją zabić, nie opuścił jeszcze pokładu, przynajmniej tego mogła być pewna.

Pierwsze dwa wozy miały waszyngtońską rejestrację. W jednym jechała rodzina z małymi dziećmi. Drugi, furgonetka z lokalnym numerem telefonu na drzwiach, należał do firmy murarskiej. Joselyn wykluczyła oba.

Jej uwagę przyciągnął trzeci samochód, najnowszy model sedana. Siedzieli w nim dwaj mężczyźni. Pasażer rozmawiał przez telefon komórkowy. Dopiero gdy wóz skręcił w Spring Street, Joselyn zobaczyła

federalną rejestrację nad tylnym zderzakiem.

Przyglądała się uważnie samochodowi ginącemu jej z oczu. Czyżby federalni ją śledzili? Po chwili uznała, że to niemożliwe. Gdyby McCally kazał ją śledzić, FBI nie afiszowałoby się rządowymi tablicami rejestracyjnymi. Ci dwaj faceci byli prawdopodobnie inspektorami rolniczymi i przybyli na wyspę, żeby nękać jakiegoś producenta przetworów mlecznych.

Spojrzała na następny samochód, starszy model sedana, obtłuczony i przeżarty rdzą. Zdecydowanie pamiętał lepsze czasy. Joselyn przymrużyła oczy, żeby przyjrzeć się kierowcy. Była to stara kobieta o bujnych, siwych włosach prze-

8 - Masa krytyczna

113

wiązanych barwną chustką. Joselyn przeniosła wzrok na następny samochód. Na tylnym siedzeniu dostrzegła dzieci.

W sumie naliczyła osiemnaście wozów i ciężarówkę. Przyjrzała się dobrze kierowcy. Może skłamał, mówiąc, że przez cały czas był w kafeterii. Z drugiej strony, jeżeli polegać na zeznaniach świadków, faktycznie popijał kawę.

Wróciła myślą do rządowego sedana. Jeśli McCally kazał ją śledzić, dlaczego agenci jej nie pomogli? Musieli ją obserwować, chyba że doszli do wniosku, iż z promu i tak nie ucieknie, i poszli na kawę wraz z resztą pasażerów. Na razie miała mnóstwo pytań bez odpowiedzi.

Joselyn wlokła się w stronę swojego biura, mieszczącego się w pobliżu budynku sądu, zaledwie kilka przecznic od portu. Słyszała dźwięki gitary i gwar rozmów dobiegające z „Herb's Tavern” na Spring Street.

Myśli bezładnie tłoczyły się w głowie. Belden nie żyje. Nieliczne dokumenty dotyczące jego sprawy w sądzie federalnym spoczywały na dnie cieśniny. Prawdopodobnie nic w nich nie było. A jednak niczego tak nie pragnęła, jak rzucić na niego okiem po raz ostatni.

Będzie musiała wyrobić sobie nowe prawo jazdy, załatwić nowe karty kredytowe. Co jeszcze miała w portfelu? Legitymację członka izby adwokackiej. Zanotowała w pamięci, by tam również zadzwonić.

Liczyła na to, że Sam jest w biurze. Odwiozłaby ją przynajmniej do domu. Joselyn skręciła w First Street, minęła „Christy's” i „Clay Cafe” i przebiegła szybko ulicę przed siedzibą sądu okręgowego. Wychodząc z zą rogu budynku, ujrzała światła na piętrze, gdzie urzędowała Sam. Szczęście jej dopisało.

Przyspieszyła kroku, nie spuszczać wzroku z oświetlonego okna.

Dopiero w połowie ulicy zrozumiała, że to nie w gabinecie Sam się świeci, lecz w jej własnym.

Była pewna, że wychodząc zgasiła światło. Może to sprzątaczką?

Mając żywo w pamięci wydarzenia dnia, postanowiła nie ryzykować.

Minęła budynek i weszła od tyłu, przez mały garaż na parterze. Nie było w nim samochodu Sam.

Powoli i bardzo cicho pokonała hol prowadzący na drewniane schody i zaczęła się wspinać na podest drugiego piętra, wzdłuż którego biegł zewnętrzny korytarz-galeria.

Na parterze prócz garażu mieścił się salon piękności, Joselyn widziała odbłask neonu na trawniku przed domem.

Zatrzymała się u szczytu schodów, przycisnęła plecy do ściany i nabrała głęboko powietrza. Wyjrzała szybko z zą rogu. Górne światło było

wyłaczone, choć zwykle zostawiano je na noc. Joselyn uświadomiła sobie, że to właśnie ciemna galeria sprawiła, że jasne okno tak bardzo rzucało się w oczy. Dlaczego włamywacz miałby gasić zewnętrzne światła, a zapalić lampę w gabinecie? To musiała być sprzątaczką.

Zawahała się. Przyszło jej na myśl, by pójść do biura szeryfa, zaraz za budynkiem sądu i poprosić policjanta, żeby sprawdził jej gabinet. A jeżeli to

114

sprzątaczką? Wtedy Joselyn zrobi z siebie idiotkę. Co gorsze, będzie musiała zrelacjonować wydarzenia na promie. Zawłoką ją z powrotem na przystań, do straży przybrzeżnej, każą odpowiedzieć na tysiąc pytań. Spędzi pół nocy pod policyjnym jupiterem. Zawiadomią biuro zastępcy prokuratora generalnego i McCally znowu się do niej przyczepi. Tym razem będzie miał pewność, że ona coś ukrywa.

Ta myśl sprawiła, że Joselyn wyszła ostrożnie zza rogu i zaczęła się skradać wzdłuż galerii. Miała nadzieję, że jeżeli ktoś jest w gabinecie, ona zobaczy go pierwsza. Minęła drzwi dwóch biur. Trzecie należały do gabinetu Sam. Nacisnęła ostrożnie klamkę. Pokój był zamknięty. Szansa, że Samantha siedzi tam po ciemku, była znikoma, ale Joselyn postanowiła niczego nie zaniedbać.

Stała nasłuchując. Z wewnątrz nie dobiegał żaden szmer. Drzwi były częściowo otwarte i światło wylewało się na galerię. Zrobiła następny krok i poczuła coś pod stopą. Spojrzawszy w dół stwierdziła, że są to okruchy szkła. Pochodziły niewątpliwie z rozbitego klosza nad jej głową. Podniosła wzrok i ujrzała drzwi swojego gabinetu. Drewniana futryna była obłupana, a na farbie widniały głębokie rysy w miejscu, gdzie wepchnięto łom.

Zaczęła się cofać, byle dalej od otwartego biura i światła. Zrobiła jeszcze kilka kroków, kiedy ostry ból przeszył jej prawą piętę. Podskoczyła na jednej nodze, zagryzając wargi, próbując odzyskać równowagę. Cienki jak żyłotka okruch szkła z rozbitego klosza wbił się w jej stopę. Chwyliła paznokciami wystającą krawędź i poczuła na palcach strużkę krwi. W smudze światła padającej z tyłu mignął czyjś cień.

Joss próbowała biec, ale gdy tylko przerzuciła ciężar ciała na zranioną nogę, ugięło się pod nią kolano. Szkło wbiło się głębiej w stopę. Upadła na drewnianą podłogę, odwróciła głowę i zobaczyła ogromną ciemną postać mężczyzny w prostokącie oświetlonych drzwi biura.

- Nie podchodź! Będę krzyczeć!

- Proszę się nie bać. Nie zrobię pani krzywdy.

- Nie podchodź do mnie

- Nic się pani nie stało?

- Nic.

- Pomogę pani wstać.

- Proszę zostawić mnie w spokoju.

Pochylił się nad nią i dotknął ostrożnie zranionej stopy.

- Nie wygląda to dobrze. Krwawi. Proszę pozwolić sobie pomóc. Łagodne brzmienie jego głosu podziało na Joss uspokajająco, ale nadal miała się na baczności. Mężczyzna był ogromny, miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Uniósł ją jednym płynnym ruchem, jakby nic nie ważyła. Odwrócił się ku drzwiom, otworzył je kopnięciem i wniósł Joss do jej własnego biura. Ułożył ją ostrożnie na kanapie w poczekalni i wrócił, żeby zamknąć drzwi.

- Proszę tego nie robić! - zawołała. Obejrzał się przez ramię.

- Pomyślałem, że jest pani zimno. Zostawię otwarte, jeżeli pani sobie życzy. - Trzema krokami przemierzył pokój i znalazł się przy niej.

- Pani jest ranna. - Był cudzoziemcem, mówił z obcym akcentem, ale nie potrafiła określić jego narodowości. Spojrzała na swoją stopę. Biała skarpetka nasiąkała powoli krwią.

- Będę musiał ją zdjąć, żeby się dostać do rany. - Ściągając delikatnie skarpetkę, zahaczył włóknem o szkło i Joss skrzywiła się z bólu.

- Przepraszam - powiedział. - Jeżeli będzie pani leżała bez ruchu, chyba uda mi się to wyjąć.

Dopiero teraz miała okazję dobrze mu się przyjrzeć. Miał jasną cerę, faliste blond włosy i szerokie ramiona. Rysy twarzy były ostre, jakby wykute w kamieniu; prosty nos, wysokie kości policzkowe, pełne usta. Sięgnął do kieszeni i wyjął dwunastocentymetrowy składany nóż. Joss otworzyła usta, ale zanim zdołała krzyknąć, mężczyzna wydobyl z rękojeści pęsetę i odłożył nóż na stolik przy kanapie.

- Bardzo poręczny drobiazg - powiedział, spoglądając na Joss.

Uśmiechnęła się nerwowo i skinęła głową.

- Niech pani pomyśli o czymś przyjemnym i nie patrzy na swoją nogę. Nie było to łatwe. Joss położyła się i spojrzała na sufit. Czowała na skórze jego łagodne dłonie. Potem ostry ból. Drgnęła konwulsyjnie.

- Spokojnie. Większość wyszła. Muszę sprawdzić. Przyglądała mu się spod oka, kiedy uważnie oglądał jej piętę.

- Rozcięła sobie pani kolano?

- Co? - Joselyn spojrzała po sobie.

Z kolana płynął w dół łydki strumyczek na wpół zakrzepłej krwi.

- Wcześniejsza sprawa - powiedziała. Widocznie rozcięła sobie kolano, wdrapując się na pokład statku. Adrenalina sprawiła, że nie czuła bólu.
- Prowadzi pani niebezpieczne życie - zauważył.
- Jakby pan zgadł. - Zaczynała się odprężyć. Gdyby facet chciał ją zabić, już byłaby martwa. - Co pan robił w moim biurze?
- To pani biuro?
- Zgadza się.
- Nazywa się pani Joselyn Cole?
- Kim pan jest?

Nie odpowiedział, przechylając klosz bocznej lampki, tak by światło padało na jej nogę.

- Uporajmy się najpierw z tymi odłamkami - powiedział. - Muszę się skoncentrować albo pojedzie pani do szpitala.

Zaczął znowu operować pęsetą i Joss drgnęła z bólu, rezygnując na razie z ustalenia tożsamości mężczyzny

- No, zrobione! Chyba nic nie zostało. Przynajmniej niczego nie widać. Za dzień lub dwa okaże się, czy coś przeoczyłem. Zacznie ropieć. Bardzo bolesna sprawa - powiedział.

116

- Pocieszające.
- To nie ja przespacerowałem się w skarpetkach po szkle.
- Wróćmy to tego, o czym mówiliśmy przedtem.
- Ach, prawda! - Sięgnął do wewnętrznej kieszeni po wizytówkę. Wręczył ją Joselyn.
- Nazywam się Gideon van Ry. Przeczytała wizytówkę.
- Co to jest Instytut Zapobiegania Rozprzestrzenianiu Broni Masowej

Zagłady?

- Jest to instytucja monitorująca materiały rozszczepialne, systemy i broń masowej zagłady. Publikujemy raporty, udostępniamy dane.

Patrzyła na niego, potakując bezmyślnie.

- Dlaczego włamał się pan do mojego biura?

- Nie włamałem się. - Pobiegł wzrokiem za jej spojrzeniem. Wpatrywała się w rozplataną futrynę. - To już tak było. - Podniósł dłoń jak do przysięgi. - Szukałem pani. Drzwi były w takim stanie jak obecnie.

- I wszedł pan do środka?

- Było otwarte. Pomyślałem, że może ktoś jest w środku.

- Ibył?

- Nie. Ktokolwiek tu był przede mną, już sobie poszedł.

- Naprawa słono mnie będzie kosztowała.

- Niestety, sprawca nie ograniczył się do drzwi.

- Co pan ma na myśli?

- Pani gabinet - powiedział Gideon. Próbowała wstać z kanapy.

- Powolutku! - Powstrzymał ją łagodnym gestem, otarł krew ze stopy i obwiązał ranę chusteczką.

Joselyn spuściła nogi z kanapy i wstała. Postąpiła krok i zachwiała się, jakby miała zemdleć. Gideon chwycił ją pod ramię, pomagając podejść do drzwi.

Biurko stało do góry nogami, szafki katalogowe zostały przewrócone, szuflady i ich zawartość rozrzucone po podłodze. Ktoś strzaskał szybki, za którymi wisiały jej licencje adwokackie i dyplom. Tkwiły w połamanych ramkach. Ktokolwiek zdewastował biuro, zrobił to gruntownie.

W świetle padającym z recepcji Joselyn była doskonale widoczna dla

mężczyzny, który obserwował ją przez zamknięte okno samochodu.

Mógłby zastrzelić teraz ich oboje, ale Thorn uparł się, żeby upozorować wypadek.

Samochód był przerdzewiały, silnik nawalał. Kierowca sięgnął do głowy i -ściągnął chustkę, razem z nią pozbywając się siwej peruki. Nawet na sekundę nie spuścił oczu z pary stojącej w oświetlonym prostokacie drzwi biura na drugim piętrze. Musiał przyznać, że kobieta ma ładne ciało. Miała również więcej niż jedno życie. Był pewien, że załatwił jąna promie. Swoją drogą, ciekawe, kim jest ten potężny blondyn, który stoi obok. Wzdragął się przed spełnieniem ostatniego obowiązku tej nocy. Musiał zawiadomić Thorna, że ona jeszcze żyje.

117

18

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Hirshberg przesłał prezydentowi memorandum, zalakowane, ze stemplem „ściśle tajne”. Memorandum było zwięzłe, treść ograniczała się wyłącznie do faktów: rosyjski statek zatonął u wybrzeży stanu Waszyngton, wszystko wskazuje na to, że przewoził materiały rozszczepialne, niewykluczone, że był to ładunek nuklearny. Informację o udziale Kolicowa Hirshberg skwitował jednym zdaniem w ostatnim akapicie. Asystent Hirshberga oddał kopertę do rąk własnych prezydenta.

Trzy minuty później szef państwa rozmawiał już telefonicznie ze swoim doradcą do spraw bezpieczeństwa.

- Sy, kto o tym wie?

- Ma pan na myśli ten rosyjski statek, panie prezydencie?

- I udział Kolicowa. - Prezydent przeszedł od razu do sedna.

- CIA, FBI i wywiad wojskowy wiedzą o tym, że statek miał na pokładzie materiały rozszczepialne.

- A o Kolkowie?

- Tylko ja i zastępca dyrektora CIA. - Hirshberga dobiegło westchnienie ulgi z drugiego końca linii.

- Który zastępca?

- Malcolm Sloan - powiedział Hirshberg.

- A tak, Sloan. To wartościowy człowiek. - Czytaj: Sloan jest ambitny i w razie konieczności przyjmie interpretację narzuconą przez Biały Dom.

- Za dziesięć minut oczekuję cię w moim gabinecie - powiedział prezydent.

- Życzy pan sobie, żebym zadzwonił do Sloana albo do dyrektora Gentry'ego? - Kurt Gentry był dyrektorem CIA i szefem Sloana.

- Nie sądzę, aby należało wtajemniczać Gentry'ego na tym etapie. Dość, że wie o rosyjskim statku. A do Sloana zadzwonię sam. - Próbował zawęzić grono wtajemniczonych. W polityce wiedza oznaczała władzę, a wiedza kompromitująca prezydenta była jej najwyższą formą. - Nie mów o tym nikomu. Zrozumiałeś?

- Tak jest!

Czterdzieści minut później Hirshberg i Sloan zostali wynagrodzeni za milczenie i dyskrecję. Stanęli na czele specjalnej grupy kryzysowej, powołanej przez prezydenta do zbadania sprawy „Iswanii” i jej ładunku. Grupa miała orzec, czy incydent stanowi bezpośrednie zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego.

W skład zespołu weszli członkowie Grupy Operacyjnej Hirshberga, natomiast ich szefów odcięto od dopływu informacji. Hirshberg i Sloan

mieli zda-

118

wać sprawę bezpośrednio prezydentowi. W przypadku trudności ze strony przełożonych, dyrektorów CIA, FBI lub wywiadu, byli zobowiązani natychmiast donieść o tym prezydentowi.

Obaj mężczyźni otrzymali specjalne przepustki, wystawione osobiście przez prezydenta, uprawniające do kontaktów z szefem państwa o każdej porze doby, wedle ich uznania. Prezydent zdawał sobie sprawę, że wprowadzi to zamęt w porządek Białego Domu. Szef personelu zazdrośnie strzegł przywileju regulowania dostępu do Gabinetu Ovalnego. Teraz będzie musiał respektować podpis prezydenta na specjalnych przepustkach i zastanawiać się, co to takiego, o czym wiedzą Sloan i Hirshberg, a o czym nie wie on.

Grupa otrzymała kryptonim ANSIR, skrót od Awareness of National Security Issues and Response (Zespół Natychmiastowego Reagowania do Spraw Bezpieczeństwa Narodowego).

ANSIR zebrał się na pierwsze zebranie niecałe dwie godziny po tym, jak Hirshberg i Sloan opuścili Gabinet Ovalny.

- Będziemy mieli trochę problemów - poinformował Hirshberg swoją grupę. - Nie powiadomiono o sprawie żadnego z sekretarzy gabinetu.

Uczestnicy zebrania popatrzyli po sobie.

- Dlaczego? - zapytał ktoś.

- Takie otrzymaliśmy rozkazy - odparł Hirshberg.

- Trzeba za wszelką cenę zapobiec wybuchowi paniki - zabrał głos Sloan z CIA. - Im więcej ludzi o tym wie, tym większa groźba przecieku do prasy.

Jeżeli dziennikarze się dowiedzą, że terroryści są w posiadaniu broni

nuklearnej, rozpęta się piekło. Trzeba ich trzymać w nieświadomości, dopóki to możliwe.

Było wiadomo, że z chwilą, gdy o sprawie dowiedzą się urzędnicy gabinetowi, do akcji wkroczy biurokracja. Informacja przeniknie do rozmaitych agencji i wkrótce nawet niżsi urzędnicy będą sobie opowiadali przy kawie o ostatnich kompromitujących poczynaniach głowy państwa. Było to praktycznie równoznaczne z wydrukowaniem informacji na pierwszej stronie „New York Timesa” i „Washington Post”.

Hirshberg prowadził zebranie, wspierany przez Sloana, który widział całe przedsięwzięcie jako windę, która wyniesie go na najwyższe piętro władzy. Już samo otoczenie, w jakim się znaleźli, potwierdzało jego nadzieje w tym względzie: Pokój Operacyjny Białego Domu, w bezpośredniej bliskości prezydenta.

- Obowiązują następujące zasady - powiedział Hirshberg - wszystkie rozmowy na temat ładunku, sposobu, w jaki dostał się na teren kraju, jego obecnej lokalizacji, kroków podjętych w celu jego odnalezienia, zabezpieczenia i rozbrojenia, gdyby rzeczywiście znajdował się w kraju, muszą się ograniczać do zespołu operacyjnego, aż do chwili wydania innego rozporządzenia. - Obiegł wzrokiem twarze zgromadzonych przy stole, chcąc się upewnić, że został dobrze zrozumiany. - Dochodzenie może być prowadzone jedynie w porozumieniu z wywiadem wojskowym.

119

- Przepraszam! - odezwał się przedstawiciel FBI. - Krajowy terroryzm jest domeną działalności Biura. Nie mogę pracować za plecami mojego szefa. Proszę o pozwolenie omówienia tego z dyrektorem Biura.

- Zobaczę, co się da zrobić - obiecał Hirshberg. - Porozumiem się z

prezydentem. Ale do tego czasu proszę z nikim na ten temat nie rozmawiać. Czy to jasne?

- Tak.

- Prezydent, jako dowódca naczelny, pragnie, przynajmniej na razie, załatwić tę sprawę poprzez wojsko. Dlatego też będziemy polegać wyłącznie na wywiadzie marynarki wojennej.

Oświadczenie wywołało szybko stłumiony uśmiech na twarzy oficera marynarki siedzącego po przeciwnej stronie stołu. A więc prezydent przeciągał na swoją stronę ludzi, którzy już wiedzieli o rosyjskim statku i znali nazwisko Ko-likow.

Przedstawiciel FBI ponownie zgłosił zastrzeżenie.

- Istnieje protokół działania w podobnych wypadkach. Takie postawienie sprawy czyni go całkowicie bezużytecznym.

- Przykro nam, ale na razie tak będzie - powiedział Hirshberg. W gruncie rzeczy zgadzał się z facetem z FBI. Niestety, prezydent był innego zdania.

-Możemy zrobić tylko jedno, żeby rozładować sytuację - pracować szybko. Jeżeli uda nam się stwierdzić, że ładunku nie ma w kraju, że poszedł na dno razem ze statkiem, zniknie powód, dla którego stworzono ten zespół, i konieczność dalszych spotkań. Działania ograniczą się do wydostania z morza tego, co tam jest. Na razie nie mamy pewności, że ładunek znajdował się na pokładzie. Jeżeli natomiast broń dotarła do naszego kraju, będę się starał przekonać prezydenta, by uruchomił wszystkie siły. Jestem pewny, że uzna konieczność zaangażowania w sprawę gabinetu i odpowiednich agencji rządowych.

Hirshberg wcale nie był tego pewien, ale obiecał sobie, że stanie na głowie, a przekona faceta.

- Pana kolej - zwrócił się do Sloana.
- Powinniśmy zacząć od analizy tego, co nam wiadomo. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin zebraliśmy nowe informacje, które potwierdzają, że ładunek, czy też ładunki...
- Jest ich więcej niż jeden? - wyrwał się z pytaniem facet z FBI.
- Nie jesteśmy pewni - odparł Sloan. - Istnieje taka możliwość. Człowiek FBI omiół wzrokiem twarze obecnych, szukając wsparcia, ale go nie otrzymał.
- Jak już wspomniałem - kontynuował Sloan - najnowsze informacje wskazują na to, że broń tę, lub jej część, zakupiło jakieś państwo, najprawdopodobniej Irak. Możliwe, że ludzie w to zamieszani nie wiedzą o wsparciu z zewnątrz. Zostali po prostu wykorzystani do osiągnięcia wspólnego celu. Irakijczycy zapłacili, i to słono, za ładunek, opłacają również pośrednika, który go złoży i dowiezie do miejsca przeznaczenia.

120

- Wiemy, kim jest ten pośrednik?
- Niestety nie. Ładunek, który miał na pokładzie trawler, został wykradzony z zakładów zbrojeniowych przez rosyjską mafię, a konkretnie przez korporację założoną przez KGB po upadku Związku Radzieckiego. Dyrektorem naczelnym tej korporacji jest Wiktor Kolikow. Sloan spojrzął na Hirshberga. Nie zamierzał wdawać się w szczegóły działalności Kolikowa, chociaż większość zebranych czytywała gazety i mogła bez trudu dośpiewać sobie resztę.
- Czy ta działalność jest sponsorowana przez jakieś państwo? -zapytał człowiek z Departamentu Stanu.
- Ma pan na myśli: Irak?

- Tak.

- Czy to ma znaczenie?

- Może mieć. Obecna administracja nie wyklucza ataku nuklearnego w odpowiedzi na taki atak.

- A więc?

- Jest absolutnie konieczne, by obcy rząd zaangażowany w podobny akt terroryzmu zdawał sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmuje.

- Sugeruje pan, żeby skontaktować się z Irakijczykami? - zapytał Hirshberg.

- Jeżeli istnieje niepodważalny dowód ich udziału. Może zrezygnowałiby z dalszych poczynań na terenie Stanów Zjednoczonych, gdybyśmy uświadomili im, że narażają się na zmasowany atak nuklearny.

Sloan i Hirshberg wymienili szybkie spojrzenia. Pomysł nie był zły.

- Kto wie? Może Irakijczycy faktycznie zrezygnują, jeżeli zrobi im się gorąco.

- Sprawdzimy, czy uda się nam nawiązać z nimi kontakt - Sloan sporządził notatkę. Propozycja znalazła się w jego banku pomysłów, które przedstawił prezydentowi jako własne. Sloan nie zdjąłby lizki z rękawa płaszcza przyjaciela, gdyby nie wiedział, że mu się to opłaci.

- Istnieje jeszcze jeden aspekt tej sprawy - powiedział oficer z wywiadu marynarki wojennej. - A jeśli ładunek zostanie zdetonowany w jednym z głównych miast Ameryki? Skąd pewność, że inne mocarstwo nuklearne nie spanikuje i nie przeprowadzi ataku nuklearnego powodowane strachem?

- Dlaczego miałyby to zrobić? - zapytał Sloan.

- Jest w tym trochę racji - dodał mężczyzna z Departamentu Stanu. - Rosja

czy Chiny, nawet jeżeli nie są w to zamieszane, mogą się obawiać, że na nich padnie podejrzenie, i przeprowadzą atak, zanim będziemy mieli okazję rozproszyć ich obawy.

- Ma pan na myśli zmasowany atak nuklearny?

Mężczyzna z Departamentu Stanu skinął głową. Wszyscy uczestnicy zebrania zdawali sobie sprawę, że zimna wojna minęła, ale nadal istnieje groźba nuklearnego unicestwienia.

121

- Problem z Rosjanami polega na tym, że ich system wczesnego ostrzegania praktycznie nie istnieje - odezwał się oficer marynarki. - Nie mają pieniędzy na konserwację, a stanowiska na Łotwie przepadły. Rosja jest jak nuklearny kolos posuwający się po omacku. Jeżeli w jakiejś metropolii w tym kraju nastąpi detonacja, będą woleli uderzyć, niż ryzykować, że obarczymy ich winą.

- Nie sędzę, aby należało się tego obawiać - powiedział człowiek z FBI.

-Przed pół rokiem prezydent wydał oświadczenie, że rosyjskie rakiety nie są już wycelowane w amerykańskie miasta.

- Bo nie są - powiedział Sloan.

- Więc będziemy mieli czas, by rozwiązać obawy Rosjan - podsumował człowiek z FBI.

- Nie rozumiecie - powiedział Hirshberg. - Rosyjskie pociski nuklearne są tak skonstruowane, że nawet gdy wymaże się zapis w programie komputerowym, po wystrzeleniu i tak odczytują ostatni znany im cel. Oto, ile było warte zapewnienie prezydenta. Żyli w świecie iluzji.

Joss stała, patrząc na zdemolowane biuro. W chłodnym świetle poranka wyglądało jeszcze gorzej niż w nocy. Z natury nie była dobrze

zorganizowana. Na ogół pracowała wśród stosów teczek, tworzących, według kryteriów przeciętnego człowieka, bezładną kupę papieru. Był to jej własny system katalogowania. Zazwyczaj te stosy spoczywały na jej biurku i każdej innej widocznej płaskiej powierzchni. Wiedziała, gdzie co jest, wyciągała rękę i wydłubywała potrzebny dokument, prawie na patrzac. Teraz papiery leżały rozrzucone na podłodze, niektóre z nich podarte na drobne kawałki.

- Rany Julek!

Joss odwróciła się i ujrzała Samanthę stojącą w drzwiach. Przyjaciółka przyglądała się uszkodzonej futrynie i zdrapanej farbie wokół zamka drzwi.

- Miałam gości wczoraj wieczorem - powiedziała Joselyn.

- Właśnie widzę. - Sam weszła do środka, nie spuszczać wzroku z wysokiego blondyna, który stał w recepcji z plikiem papierów w rękę. Najwyraźniej przed chwilą podniósł je z podłogi.

Joss dokonała prezentacji.

- Samantha Hawthorn, Gideon van Ry.

Wymienili uścisk dłoni. Samantha przyglądała się Gideonowi bezceremonialnie, poddając go powolnym, uważnym oględzinom. Potem rozejrzała się po pokoju.

Friday Harbor, stan Waszyngton

122

- Problem z Rosjanami polega na tym, że ich system wczesnego ostrzegania praktycznie nie istnieje - odezwał się oficer marynarki. - Nie mają pieniędzy na konserwację, a stanowiska na Łotwie przepadły. Rosja jest jak nuklearny kolos posuwający się po omacku. Jeżeli w jakiejś

metropolii w tym kraju nastąpi detonacja, będą woleli uderzyć, niż ryzykować, że obarczymy ich winą.

- Nie sądzę, aby należało się tego obawiać - powiedział człowiek z FBI.

-Przed pół rokiem prezydent wydał oświadczenie, że rosyjskie rakiety nie są już wycelowane w amerykańskie miasta.

- Bo nie są - powiedział Sloan.

- Więc będziemy mieli czas, by rozwiać obawy Rosjan - podsumował człowiek z FBI.

- Nie rozumiecie - powiedział Hirshberg. - Rosyjskie pociski nuklearne są tak skonstruowane, że nawet gdy wymaże się zapis w programie komputerowym, po wystrzeleniu i tak odczytują ostatni znany im cel.

Oto, ile było warte zapewnienie prezydenta. Żyli w świecie iluzji.

bss stała, patrząc na zdemolowane biuro. W chłodnym świetle poranka wy-  
Z natury nie była dobrze zorganizowana. Na ogół pracowała wśród stosów teczek, tworzących, według kryteriów przeciętnego człowieka, bezładną kupę papieru. Był to jej własny system katalogowania. Zazwyczaj te stosy spoczywały na jej biurku i każdej innej widocznej płaskiej powierzchni.

Wiedziała, gdzie co jest, wyciągała rękę i wydłubywała potrzebny dokument, prawie na patrząc. Teraz papiery leżały rozrzucone na podłodze, niektóre z nich podarte na drobne kawałki.

- Rany Julek!

Joss odwróciła się i ujrzała Samanthę stojącą w drzwiach. Przyjaciółka przyglądała się uszkodzonej futrynie i zdrapanej farbie wokół zamka drzwi.

- Miałam gości wczoraj wieczorem - powiedziała Joselyn.

- Właśnie widzę. - Sam weszła do środka, nie spuszczać wzroku z

wysokiego blondyna, który stał w recepcji z plikiem papierów w ręku.

Najwyraźniej przed chwilą podniósł je z podłogi.

Joss dokonała prezentacji.

- Samantha Hawthorn, Gideon van Ry.

Wymienili uścisk dłoni. Samantha przyglądała się Gideonowi

bezceremonialnie, poddając go powolnym, uważnym oględzinom. Potem rozejrzała się po pokoju.

Friday Harbor, stan Waszyngton

122

- Prawdziwa demolka - zauważyła.

- Sam jest moją gospodynią - wyjaśniła Joselyn Gideonowi.

- Moje kondolencje - zwrócił się do Sam.

- Mam nadzieję, że ubezpieczenie to pokryje. Co się właściwie stało?

- Wróciłam z Seattle wczoraj wieczorem i zastałam biuro w takim stanie, w jakim je widzisz. Ktoś się włamał. Przewrócił wszystko do góry nogami i poszedł sobie.

- Dzieciaki? - zapytała Sam.

- Bardzo wątpię.

- Czy mi się wydaje, czy wiesz, czyje to dzieło?

- Niezupełnie - powiedziała Joss.

- Zawiadomiłaś szeryfa?

- Zastępca właśnie wyszedł. Sporządził raport. Oczywiście przeprowadzą dochodzenie.

- Bez tego ubezpieczalnia nie zwróci nam pieniędzy - powiedziała Sam.

Ciągle szacowała zniszczenia. - Coś zginęło?

Joss wzruszyła ramionami. Korzystając z wizyty zastępcy szeryfa,

zrelacjonowała mu wydarzenia na promie. Policjant spojrział na nią ze współczuciem, ale nie powiązał ze sobą tych dwóch wydarzeń. Joselyn była jednak pewna, że policja wkrótce się do niej zgłosi.

Gideon zatrzymał się w małym motelu przy lotnisku, na obrzeżach miasta. Zważywszy na to, co się wydarzyło, uznali, że Joselyn nie powinna wracać na noc do domu. Wynajęła pokój w tym samym motelu.

Rano wymknęła się na chwilę Gideonowi, żeby zadzwonić pod kalifornijski numer figurujący na jego wizytówce. Instytut zaręczył za Gideona, a uzyskane informacje pokrywały się z tym, co Holender jej wcześniej powiedział.

Teraz dźwignął dwie szafki do katalogowania i ustawił na ich miejscu pod ścianą.

- Kto to jest? - wyszeptała Sam do ucha Joselyn.

- Przyjechał tu w sprawie Beldena.

Sam popatrzyła na Joss pytająco. Nazwisko nic jej nie mówiło.

- Ten facet od rozpaczliwych telefonów.

- Ach, ten!

Samantha przechyliła się do tyłu, żeby zerknąć do gabinetu i jeszcze raz oszacować wzrokiem Gideona.

- Niezły - powiedziała. - Może posprząta moje biuro, kiedy skończy z twoim?

- Przyjechał w interesach. Belden nie żyje.

To oderwało uwagę Samanthy od drzwi i wysokiego blondyna. Popatrzyła na Joselyn, otwierając szeroko oczy.

- Jak to się stało?

Joselyn w milczeniu rozwinęła gazetę i pokazała przyjaciółce artykuł na

wewnętrznej stronie. Obfitował w szczegóły i przypisywał śmierć Beldena nieszczęśliwemu wypadkowi.

123

- Leciałaś tym samolotem do Seattle?

Gdy Joselyn przytaknęła ruchem głowy, Sam opadła ciężko na kanapę w recepcji.

- Mogłaś zginąć!

- Nie to jest najgorsze.

Sam popatrzyła na nią pytająco.

- To nie był wypadek. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć. Przynajmniej na razie.

- Został zamordowany?

- Na to wygląda.

W oczach Sam pojawił się błysk zrozumienia.

- Myślisz, że jego śmierć ma jakiś związek z tym? - Ruchem ręki ogarnęła pobożowisko.

- Nie wiem.

- Powinnaś się zgłosić do szeryfa. Powiedziałaś im, że to było morderstwo, prawda?

- Nie. Nie mam dowodu.

- Powiedz im tylko, że rozbebeszono ci biuro, dodaj, że twój klient nie żyje, a ty leciałaś z nim wcześniej samolotem, który wyleciał w powietrze. Myślę, że skojarzą te fakty.

- Teraz nie mam na to czasu. Porozmawiamy później, dobrze?

- Jak chcesz. Ale mówię ci, nie powinnaś czekać. Pomóc ci posprzątać?

- Wolę to zrobić sama. Poza tym mam jego. - Joss wskazała drzwi swojego

gabinetu. Ze środka dobiegał odgłos, jaki wydają metalowe szuflady wsuwane w prowadnice.

- Zawołaj mnie, gdybyś czegoś potrzebowała. Będę u siebie. - Sam uśmiechnęła się do przyjaciółki i ruszyła korytarzem w stronę własnego biura.

Joselyn stanęła w drzwiach gabinetu.

- Odkładam wszystkie teczki na stół. - Gideon siedział na podłodze pośród stosów papierów.

- Nie musi pan tego robić.

- Skoro już tu jestem, mogę się na coś przydać.

- Nie, dziękuję. - Obeszła biurko i zaczęła wyjmować mu teczki z ręki.

- Sama to zrobię.

Gideon wstał posłusznie.

- Proszę mi powiedzieć - zaczęła Joselyn - skąd znał pan moje nazwisko?

Postawił w pozycji pionowej obrotowy fotel, który wjechał pod biurko.

- Figuruje na liście pracowników korporacji Belden Electronics.

- Oczywiście! Papiery założycielskie. - Joselyn poważnie się zaniepokoiła.

Skoro van Ry dotarł do niej przez dokumenty firmy, mógł to zrobić praktycznie każdy. Również współpracownicy Beldena, przed którymi przestrzegali ją McCally. Może właśnie w ten sposób znaleźli ją na promie i zlokalizowali jej biuro.

- Zakładam, że działała pani w imieniu klienta - powiedział Gideon.

124

- Hmm?

- Zakładając korporację.

- Oczywiście.

- Więc nie była pani zaangażowana w działalność firmy?

- Nie.

- Jak pani myśli, czego szukali włamywacze?

- Nie wiem. Może oni sami nie byli pewni.

- Jak to się mówi po angielsku...? - Gideon szukał w myśli wyrażenia.

-Zarzucili wędkę?

Skinęła bez przekonania głową.

- Wydaje mi się, że ma pani poważne kłopoty.

- Dlaczego?

- Ponieważ ludzie, którzy to zrobili, są bardzo niebezpieczni. Nie sądzę, żeby włamywali się tutaj ot tak sobie i robili kipisz, szukając nie wiadomo czego.

- Wszystkie dokumenty dotyczące sprawy Beldena i jego korporacji poszły na dno razem z samochodem. - Już wcześniej opowiedziała mu o nocnym incydencie na promie. - Może o nie im chodziło.

- Możliwe, choć osobiście w to wątpię.

- Dlaczego?

- Proszę pójść ich tokiem rozumowania. Jedzie pani do Seattle, by reprezentować pana Beldena przed sądem. Powinna pani zabrać ze sobą jego akta, prawda?

Skinęła głową.

- Próbują zabić panią na promie. O ile wiemy, uważają, że im się powiodło. Została pani uciszona. Teczka znajdowała się razem z panią w samochodzie. A mimo to przychodzą tutaj i przewracają biuro do góry nogami. Dlaczego?

Joselyn potrząsnęła głową. Nie miała pojęcia.

- Zaczniemy od firmy Beldena.

Jej chęć ochrony praw klienta znacznie osłabła przez ostatnią noc.

Zastanawiała się, czy popełniła duży błąd, odmawiając współpracy z McCallym.

- Powiedział, że zajmuje się elektroniką. Nie miałam powodu, by to kwestionować.

- Jaką elektroniką?

- Jakimiś przełącznikami. Programowaniem systemów zabezpieczających czy czegoś w tym rodzaju. Nie pamiętam dokładnie.

- Czy kiedykolwiek zabrał panią do siedziby firmy?

- Nie.

- Podał adres?

- Powiedział, że firma dopiero powstaje. Nie jestem pewna, czy już znalazł lokal. - Joselyn osunęła się na obrotowy fotel i patrzyła, jak Gideon stawia na nogi jedno z krzeseł dla klientów i siada naprzeciwko niej.

- Innymi słowy, nie mamy pewności, że w ogóle prowadził jakąś firmę.

125

- To dlaczego przyszedł do mnie, żeby założyć firmę, która nie była mu potrzebna?

- Właśnie, dlaczego? - powiedział Gideon. - Jak on wyglądał?

Opisała mu pokrótce Beldena, a potem opowiedziała o śledztwie w prokuraturze generalnej oraz o ostrzeżeniu McCally'ego, że Belden używał wielu nazwisk i że, zdaniem rządu, był zamieszany w transport niebezpiecznej broni. Gideon słuchał uważnie, sporządził kilka notatek, ale spojrzał na Joss dopiero wtedy, gdy wspomniała o małym plastikowym przedmiocie, który znaleziono w pobliżu miejsca katastrofy.

- Może mi go pani opisać? - poprosił.
- Mały, biały, wielkości kwadratowego zegarka na rękę.
- I powiedzieli, że to służy do pomiaru promieniowania?
- Tak.
- Dozometr - powiedział Gideon.
- O właśnie!
- Dobrze się pani temu przyjrzała?
- Rzuciłam tylko okiem.
- Papier w ramce był kolorowy czy szary?
- Nie wiem. Nie pamiętam. Nie przyglądałam się. Poza tym wyciągnęli to z wody.
- Tak, woda mogła zakłócić jego działanie. A także temperatura przy wybuchu. Mówiła pani, że samolot wyleciał w powietrze?
- Zrobiła się z niego kula ognia - powiedziała Joselyn. - Na dowód mogę panu pokazać stopione pończochy.
- A więc wracamy do punktu wyjścia. Rzuciła mu pytające spojrzenie.
- Czego szukali włamywacze? - Gideon rozejrzał się jeszcze raz po biurze, jakby spodziewał się znaleźć brakujący element układanki.
- Mówiłam już, że niczego tu nie było.
- Jeżeli nie wiedziała pani, że jakieś dokumenty są ważne, nie schowała ich pani gdzieś głęboko - rozważał Gideon, jakby w ogóle jej nie usłyszał.
- Leżały zapewne na biurku albo znajdowały się w katalogu. W takim razie na pewno je znaleźli. Musimy ustalić, co zginęło. Metodą eliminacji.
- O czym pan mówi?
- Trzeba przeprowadzić ewidencję wszystkich dokumentów. To, czego będzie brakowało... - Patrzył na nią spod uniesionych brwi.

- Niech pan uważnie posłucha! - przerwała mu - Tutaj niczego nie było. Poza tym przejrzenie wszystkich teczek zajęłoby cały dzień.

- Ma pani co innego do roboty?

Wobec bałaganu na biurku odpowiedź wydawała się zbędna.

- Więc im wcześniej zaczniemy... - Gideon był już z powrotem na podłodze, zbierając luźne kartki i próbując dopasować dokumenty do odpowiednich teczek.

126

Wyjęła mu je z ręki i położyła na biurku. - Niech pan zbiera. Ja będę sortować.

20

Deer Harbor, stan Waszyngton

Rdzeń był wypełniony prawie piętnastoma kilogramami czystego plutonu, otoczonego uranem 238. Grigorij Czenko pracował w namiocie osłoniętym niby całunem grubą płachtą plastiku. W dachu zainstalowano przewód próżniowy, który miał stworzyć podciśnienie wewnątrz namiotu i zatrzymać odrobiny plutonu w specjalnym filtrze.

Rosjanin ubrany był w kombinezon z żółtego neoprenu, wyposażony w aparat tlenowy i znakomite filtry. Czenko pocił się w gorącym kombinezonie, plastikowa maska nieustannie zachodziła mgłą. Nie był to strój, jakiego używano w Sandii czy innym nowoczesnym laboratorium. Chaney kupił to, co było dostępne na rynku.

Czenko zrobił sobie przerwę, wyszedł z namiotu i zdjął maskę, żeby ją przetrzeć. Dłonie pociły mu się w neoprenowych rękawicach, plecy bolały od pochylania się nad małym stolikiem. Praca, powolna i mozolna, obfitowała w momenty grozy, zwłaszcza wtedy, gdy wymieniał materiały

wybuchowe wokół rdzenia.

Garaż został całkowicie opróżniony, więc kroki Czenki odbijały się głuchym echem od betonowej podłogi i metalowych ścian. Spacerował tam i z powrotem, próbując rozprostować kości. Reszta grupy czekała na zewnątrz, aż zamknie ładunek w nowym metalowym kadłubie.

Chaney skonstruował go z resztek dwóch starych zbiorników paliwowych myśliwca, które znalazł na łądzie. Wzorując się na fotografii oryginalnego ładunku, przemodelował kawałki metalu za pomocą spawalnicy, dodając nawet takie szczegóły jak nity. Rosjanin nie potrafił odróżnić imitacji od oryginału. Plan był genialny.

Czenko zamocował maskę i dał nura pod plastikowy namiot. Dla laika ładunek na stole wyglądał jak piłka. Był złożony z trzydziestu dwóch oddzielnych kawałków plutonu, kształtem przypominających babeczki, ścięte pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Tworzyły kulę wokół rdzenia plutonu i berylu.

W tej chwili Czenko całą uwagę poświęcił materiałom wybuchowym i detonatorom. Były stare i istniała niewielka szansa, że zadziałają.

Zsynchronizowanie było podstawą powodzenia, musiały zostać odpalone z dokładnością do jednej dziesiątej miliona sekundy. Tylko wtedy osiągnie się masę krytyczną, która uruchomi reakcję łańcuchową.

127

Wyjęła mu je z ręki i położyła na biurku. - Niech pan zbiera. Ja będę sortować.

20

Deer Harbor, stan Waszyngton

Rdzeń był wypełniony prawie piętnastoma kilogramami czystego plutonu,

otoczonego uranem 238. Grigorij Czenko pracował w namiocie osłoniętym niby całunem grubą płachtą plastiku. W dachu zainstalowano przewód próżniowy, który miał stworzyć podciśnienie wewnątrz namiotu i zatrzymać odrobiny plutonu w specjalnym filtrze.

Rosjanin ubrany był w kombinezon z żółtego neoprenu, wyposażony w aparat tlenowy i znakomite filtry. Czenko pocił się w gorącym kombinezonie, plastikowa maska nieustannie zachodziła mgłą. Nie był to strój, jakiego używano w Sandii czy innym nowoczesnym laboratorium. Chaney kupił to, co było dostępne na rynku.

Czenko zrobił sobie przerwę, wyszedł z namiotu i zdjął maskę, żeby ją przetrzeć. Dłonie pociły mu się w neoprenowych rękawicach, plecy bolały od pochylania się nad małym stolikiem. Praca, powolna i mozolna, obfitowała w momenty grozy, zwłaszcza wtedy, gdy wymieniał materiały wybuchowe wokół rdzenia.

Garaż został całkowicie opróżniony, więc kroki Czenki odbijały się głuchym echem od betonowej podłogi i metalowych ścian. Spacerował tam i z powrotem, próbując rozprostować kości. Reszta grupy czekała na zewnątrz, aż zamknie ładunek w nowym metalowym kadłubie.

Chaney skonstruował go z resztek dwóch starych zbiorników paliwowych myśliwca, które znalazł na łodzi. Wzorując się na fotografii oryginalnego ładunku, przemodelował kawałki metalu za pomocą spawalnicy, dodając nawet takie szczegóły jak nity. Rosjanin nie potrafił odróżnić imitacji od oryginału. Plan był genialny.

Czenko zamocował maskę i dał nura pod plastikowy namiot. Dla laika ładunek na stole wyglądał jak piłka. Był złożony z trzydziestu dwóch oddzielnych kawałków plutonu, kształtem przypominających babeczki,

ścięte pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Tworzyły kulę wokół rdzenia plutonu i berylu.

W tej chwili Czenko całą uwagę poświęcił materiałom wybuchowym i detonatorom. Były stare i istniała niewielka szansa, że zadziałają.

Zsynchronizowanie było podstawą powodzenia, musiały zostać odpalone z dokładnością do jednej dziesiątej miliona sekundy. Tylko wtedy osiągnie się masę krytyczną, która uruchomi reakcję łańcuchową.

127

Była to mała bomba, ale w jej jądrze w momencie wybuchu temperatura przekraczała pięćdziesiąt tysięcy stopni. Taka temperatura uwalniała ogromne promieniowanie elektromagnetyczne. Obiekty znajdujące się w pobliżu bomby wyparowywały natychmiast.

W tej samej sekundzie powietrze w sferze wybuchu wchłaniało promieniowanie, rozżarzało się i tworzyło kulę ogniową, toczącą się z szybkością bliską prędkości światła, póki jej temperatura nie spadała do siedemnastu tysięcy stopni. Zwalniała wówczas aż do momentu, w którym doganiała ją gigantyczna fala uderzeniowa, wywołana kompresją powietrza w atmosferze, zrównująca wszystko z ziemią. W następnej sekundzie kula ogniowa zapalała wszystko, topiła metal, zamieniała ludzkie ciała w krótkotrwałe obłoczki pary.

Fala uderzeniowa mogła pokonać prawie cztery kilometry w dziesięć sekund, powodując całkowite zniszczenie tego terenu. Teraz malała jasność kuli ogniowej. Zmniejszało się ciśnienie wywoływane przez falę uderzeniową. Z płomienia wznosił się do stratosfery przerażający grzyb dymu, ochładzając się stopniowo i wywołując kolejne zawirowania powietrza. Pojawiały się w nim błyskawice, a przy sprzyjających

warunkach śmiertelności ulewa wysoce radioaktywnych cząsteczek mogła lunąć na ziemię.

Sprawdzenie i wymiana detonatorów zajęły Czence przeszło dwie godziny.

Wykorzystał do tego części drugiego ładunku, tego, który przywieźli rybacy, gubiąc śmiertelny rdzeń.

Umieścił potem bombę w połówce kadłuba skonstruowanego przez Chaneya. Wyszedł z namiotu i ściągnął z głowy kaptur kombinezonu. Pot spływał mu z czoła, zalewając oczy, biegł stróżkami po szyi.

Podszedł do drzwi baraku i rozsunał je z łoskotem. Mężczyźni stojący na zewnątrz przerwali rozmowę, wszystkie głowy obróciły się w stronę Rosjanina.

Chaney i Thorn stali trochę z boku, przy starej, odrapanej furgonetce, którą jeździł Thorn. Rosjanin ruszył w ich stronę, rozpinając po drodze kombinezon.

- Skończone - powiedział.

- Dobrze - odparł Thorn. - A te ołowiane przewody do detonatora?

- Zgodnie z życzeniem. Zostawiłem je na zewnątrz, w małych otworkach w brzechwie ogonowej. Wystarczy maznąć pędzlem i gotowe.

- Znakomicie. Świetna robota. Rosjanin odpowiedział uśmiechem.

Weszli do środka i Thorn przystąpił do pracy. Usiadł przy ławce warsztatowej w kącie garażu, otworzył aktówkę i wyjął mały komputer. Dołączył mikrofon i zaczął mówić, powtarzając tylko dwa słowa: „masa krytyczna”. Po otrzymaniu właściwego testu głosowego wprowadził go na dysk komputera. Następnie wyjął dysk i wsunął go w komputeropodobne urządzenie znane jako „niebieska skrzynka”. Skrzynka miała terminal i klawiaturę podobną do komputera. Thorn wcisnął odpowiedni klawisz, by

przepisać informację zawartą na dysku komputerowym.

128

Tymczasem Chaney skończył mocowanie dwóch połówek kadłuba bomby. Mężczyźni umieścili ją na hydraulicznym podnośniku i zawieźli do ciężarówki.

Odstąpili kilka kroków i Thorn dokonał ostatnich przygotowań.

Przytwierdził kable do łącznika, zdolnego przesłać potężny ładunek elektryczny do materiałów wybuchowych we wnętrzu bomby. Później, po dowiezieniu jej na miejsce odbiornik i przewody zostaną umieszczone w brzechwie ogonowej pocisku wraz z bateriami. Brzechwę ogonową spreparował Oscar Chaney na podstawie zdjęć oryginału. Dobrał nawet właściwy odcień oliwkowej farby.

Piętnaście rurek ze śmiertcionośną zawartością spoczywało w zaplombowanym ołowiowym pojemniku, głęboko w bebeczach ciężarówki. Zostaną zainstalowane później, kiedy bomba dotrze do celu. Będzie to wymagało ogromnej ostrożności oraz użycia neoprenowych kombinezonów i masek tlenowych. Cały sprzęt Thorn umieścił w specjalnym przedziale kontenera.

- Gotowe! - Thorn wytarł dłonie w szmatę i zwrócił się do Czenki. - Jest pan pewny, że złożył japań prawidłowo?

- Całkowicie.

- I nie trzeba będzie nic zmieniać w ostatniej chwili?

- Nie. Wystarczy połączyć ołowiane przewody zgodnie z załączonym schematem, włożyć baterie i gotowe.

- W porządku - powiedział Thron. - Wyjdźmy na zewnątrz, napijemy się piwa.

Rosjanin uśmiechnął się.

- Oscar! - zawołał Thorn do Chaneya. - Zapakuj ją do ciężarówki. -

Chaney odpowiedział uniesieniem kciuka.

Thorn i Rosjanin opuścili garaż i podeszli do starej furgonetki. Thorn otworzył przenośną lodówkę i wyjął dwie butelki zimnego piwa. Otworzył jedną z nich i wręczył Czence, drugą otworzył dla siebie.

W garażu Chaney wraz z dwoma pomocnikami przewieźli bombę na widłowym podnośniku do ciężarówki. Wjechali wózkiem pod kontener, który Chaney zamontował na łożu. Chaney podniósł platformę na wysokość otworu pod kontenerem. Bomba została zabezpieczona, stalowy włącznik umocowany na swoim miejscu.

Operacja umieszczenia pocisku w kontenerze trwała dziesięć minut.

Następnie Chaney zaczął wpompowywać szambo z przenośnej ubikacji do górnego przedziału kontenera.

Za pomocą solidnej metalowej ściany uszczelnionej ołowiem Chaney podzielił kontener na część dolną, dla bomby, i górną, na nawóz.

Konwencjonalna kontrola satelitarna nie powinna stanowić żadnego zagrożenia. Pluton emitował niewielkie promieniowanie gamma, które można było zredukować za pomocą kawałka papieru. Detektor termiczny w punktach kontroli, jeżeli federalni zdążyli je ustawić, przysporzyłby większych problemów. Z tego też powodu Thorn kazał Chaneyowi wyłożyć pomieszczenie dla bomby półcentymetrową ołowianą

9 - Masa krytyczna

129

płyta. Brak cech charakterystycznych celu oraz obecność nawozu powinny oszczędzić im pytań ze strony władz. Liczyli na naturalną niechęć do

zbadania podobnego ładunku. Poza tym kto wpadłby na myśl, że szambo kryje broń atomową?

Thorn stał przy furgonetce, patrząc na Czenkę, który zwijał się na ziemi.

Oczy uciekły mu w tył głowy, jak dwie wisienki w automacie do gry.

Cyjanek potasu działał bardzo szybko, zwłaszcza w tak dużej dawce, jaką Thorn dodał do piwa Rosjanina. Rola Czenki się skończyła; kolejna sprawa została załatwiona.

Oczwartej po południu byli już porządnie zmęczeni. Kątem oka Gideon obserwował, jak Joselyn Cole układa teczki na biurku. Niebieskie oczy i jasne, sięgające ramion włosy czyniły z niej atrakcyjną kobietę. Miała zgrabną figurę i ciemną karnację, którą Holender uznał za bardzo interesującą.

No i była ulepiona z twardej gliny. Po tym, co przeszła poprzedniego dnia, większość osób na jej miejscu położyłaby się na tydzień do łóżka, ona zaś była skoncentrowana na zadaniu, jakie ich czekało. Podniosła na niego wzrok.

- Bardzo mi pan pomógł - powiedziała.

- Muszę wyznać, że miałem w tym osobisty cel.

- Jest pani moją ostatnią szansą na odnalezienie czegoś, czego szukam. Na Belden Electronics urywa się trop. - Opowiedział jej o przesyłce z Władywo-stoku. - Nie wyobraża sobie pani nawet jakie to ważne.

- Może spróbowaliby mi pan wyjaśnić?

- O ile się nie mylę, pani klient, pan Belden, był zamieszany w aferę, która może mieć tragiczny skutek dla pani kraju, a może nawet dla całego świata.

- Jaki skutek?

Gideon wiedział, że gdyby jego swierdłowskie odkrycia dostały się do wiadomości publicznej, wybuchłaby panika. Informacja, że broń masowej zagłady znajduje się w rękach terrorystów, wywołałaby niekończące się spekulacje na temat miejsca detonacji. Nastąpiłaby masowa migracja setek tysięcy ludzi, blokujących autostrady i lotniska.

- Jak dotąd moje informacje nie zostały potwierdzone. Mogę pani tylko powiedzieć, że pokrywają się z tym, co mówił prokurator w Seattle.

Istnieje duże

Friday Harbor, stan Waszyngton

- Jaki?

130

prawdopodobieństwo, że człowiek posługujący się nazwiskiem Belden zajmował się przewozem broni masowej zagłady.

- I uważa pan, że ta broń znajduje się w Stanach Zjednoczonych?

- Nie wiem. Być może znajdę odpowiedź w pani papierach.

Joselyn wróciła do segregowania dokumentów, przeglądając je uważniej niż dotąd, zdumiona tym, że może mieć na biurku coś, co potwierdzi podejrzenia van Rya.

- Dlaczego nie powiedziała pani władzom, że incydent na promie był próbą zamachu na pani życie? Powiedziała pani, że to był wypadek.

- Ponieważ nie mam dowodu.

- Naprawdę uważa pani, że to zbieg okoliczności? Najpierw ginie pani klient, a dwie godziny później ktoś próbuje zepchnąć panią z promu.

- To możliwe.

- Rozumiem - powiedział z ironią. - I przypisuje pani to wszystko wyjątkowo złej karmie?

Rzuciła mu gniewne spojrzenie, ale się nie odezwała.

- Lepiej nich pani sprawdzi układ planet, zanim znowu zaryzykuje pani wyjście na ulicę.

- Ciekawe, co pan zrobiłby na moim miejscu?

- Należało powiedzieć władzom o rozmowie z prokuratorem w Seattle i o śmierci Beldena. A także o tym, że kilka godzin po katastrofie samolotu ktoś próbował zepchnąć pani samochód do morza. Zapewne dostrzegliby jakiś związek między tymi zdarzeniami.

- Znakomicie. I co dalej?

- Przypuszczam, że otrzymałaby pani jakąś ochronę.

- O niczym innym nie marzę! Postawią mi zastępcę szeryfa przed drzwiami biura. Spowoduje to niewątpliwie rozkwit mojej praktyki. „Panie Jones, przedstawiam panu szeryfa Smitha. Będzie miał na nas oko na wypadek, gdyby ktoś próbował mnie zabić podczas udzielania porady prawnej.” O tym, jak podziałałoby to na klientów w sprawach kryminalnych, nie muszę chyba mówić.

- Przekonaliby się naocznie, że ma pani chody w biurze szeryfa - powiedział Gideon.

Nie mogła powstrzymać śmiechu.

- Poza tym, jeżeli McCally dowie się o wypadku na promie, zaciągnie mnie przed sąd federalny, a potem zapuszkuje w ramach programu ochrony świadków.

- Byłaby pani przynajmniej bezpieczna.

- I w celi, dzięki uprzejmości rządu federalnego. Jak długo?

- Dopóki to się nie skończy.

- A kiedy to się skończy? Gideon nie potrafił odpowiedzieć.

- Właśnie - podsumowała Joselyn. - A tymczasem moją skromniutką praktykę diabli wezmą.

- Ocali pani życie.

- To nazywa pan życiem?

131

Alternatywa jest gorsza - powiedział Gideon. Tym razem Joselyn nie zaprzeczyła.

- Dlaczego oni chcą mnie zabić, na litość boską?!

- Ponieważ pani coś wie.

- Cholera, nic!

- Oni uważają, że tak, a to na jedno wychodzi. Przypuszczam, że odpowiedź jest gdzieś tam, w stosie papieru przed panią.

Joselyn wróciła do pracy, z większą energią i zainteresowaniem niż przedtem.

- Czy ten Belden nic pani nie powiedział?

- Już to przewątkowaliśmy z McCallym i FBI.

- Ich władze umysłowe mogą nie dorównywać moim. Joselyn spojrzała na niego, roześmieli się oboje.

- OK, Sherlocku. Co chce pan wiedzieć?

- Kiedy Belden zgłosił się do pani po raz pierwszy?

- Niecałe dwa tygodnie temu.

- Jak panią znalazł?

- Dzięki referencjom miejscowego bankowca. Przynajmniej tak twierdził.

Uważam, że to kłamstwo.

- Zgadza się z panią. Ma pani jakieś specyficzne umiejętności jako prawnik?

- Wręcz przeciwnie. Mógł zatrudnić stu prawników w Seattle, którzy wiedzieli nieporównanie więcej o prawie przemysłowym, i nie zapłacić im ani centa więcej.

- A więc wiemy, że chciał od pani czegoś innego. - Ogarnął ją lustrującym spojrzeniem. Czytała w jego myślach.

- Na ogół nie omawiam mojego życia seksualnego z nieznajomymi, ale jeżeli zamierzał pan spytać, odpowiedź brzmi „nie”.

- Tak też sądziłem - powiedział Gideon.

- A niby dlaczego? - zaperzyła się. Gideon poczerwieniał po białka oczu.

- Bo przecież... Belden był pani klientem i w ogóle...

- A co to ma do rzeczy? - Patrzyła na niego twardym wzrokiem.

- Chciałem tylko powiedzieć, że nie byłoby to profesjonalne.

- A pan postrzega mnie jako stuprocentową profesjonalistkę?

- Otóż to! - powiedział Gideon.

- Gid! Czy mogę mówić do pana Gid?

- Może pani do mnie mówić, jak się pani podoba.

- A więc, chrzaniisz, Gid.

Gideon próbował się opanować, ale bezskutecznie. Żyłki wystąpiły mu na szyi i zaczął się śmiać.

- Jak to mówią - swój pozna swego.

- Tak mówią.

Usadowił się z powrotem na miejscu dla klienta.

132

Alternatywa jest gorsza - powiedział Gideon. Tym razem Joselyn nie zaprzeczyła.

- Dlaczego oni chcą mnie zabić, na litość boską?!

- Ponieważ pani coś wie.

- Cholera, nic!

- Oni uważają, że tak, a to na jedno wychodzi. Przypuszczam, że odpowiedź jest gdzieś tam, w stosie papieru przed panią.

Joselyn wróciła do pracy, z większą energią i zainteresowaniem niż przedtem.

- Czy ten Belden nic pani nie powiedział?

- Już to przewałkowaliśmy z McCallym i FBI.

- Ich władze umysłowe mogą nie dorównywać moim. Joselyn spojrzała na niego, roześmieli się oboje.

- OK, Sherlocku. Co chce pan wiedzieć?

- Kiedy Belden zgłosił się do pani po raz pierwszy?

- Niecałe dwa tygodnie temu.

- Jak panią znalazł?

- Dzięki referencjom miejscowego bankowca. Przynajmniej tak twierdził.

Uważam, że to kłamstwo.

- Zgadza się z panią. Ma pani jakieś specyficzne umiejętności jako prawnik?

- Wręcz przeciwnie. Mógł zatrudnić stu prawników w Seattle, którzy wiedzieli nieporównanie więcej o prawie przemysłowym, i nie zapłacić im ani centa więcej.

- A więc wiemy, że chciał od pani czegoś innego. - Ogarnął ją lustrującym spojrzeniem. Czytała w jego myślach.

- Na ogół nie omawiam mojego życia seksualnego z nieznajomymi, ale jeżeli zamierzał pan spytać, odpowiedź brzmi „nie”.

- Tak też sądziłem - powiedział Gideon.

- A niby dlaczego? - zaperzyła się. Gideon poczerwieniał po białka oczu.
- Bo przecież... Belden był pani klientem i w ogóle...
- A co to ma do rzeczy? - Patrzyła na niego twardym wzrokiem.
- Chciałem tylko powiedzieć, że nie byłoby to profesjonalne.
- A pan postrzega mnie jako stuprocentową profesjonalistkę?
- Otóż to! - powiedział Gideon.
- Gid! Czy mogę mówić do pana Gid?
- Może pani do mnie mówić, jak się pani podoba.
- A więc, chrzanisz, Gid.

Gideon próbował się opanować, ale bezskutecznie. Żyły wystąpiły mu na szyi i zaczął się śmiać.

- Jak to mówią - swój pozna swego.
- Tak mówią.

Usadowił się z powrotem na miejscu dla klienta.

132

- Jedno wiemy na pewno - powiedział.
- Mianowicie?
- Istnieje związek między wydarzeniem w Swierdłowsku a tym, co się stało w sądzie w Seattle.
- Na jakiej podstawie tak sądzisz?
- Według tego, co mówi prokurator, twój klient, pan Belden, czy jak mu tam, był specjalistą od przewozu broni masowej zagłady. To nie może być przypadek, że z magazynu w Swierdłowsku giną materiały rozszczepialne, zostają przewiezione do Władywostoku, a stamtąd wysłane na adres firmy Belden Electronics. Ten prokurator coś wie.
- Możliwe, ale z pewnością nam tego nie powie.

- Nam nie, ale komuś może powiedzieć.

- Komu?

- Rządowi.

Spojrzała na niego pytająco.

- Mamy dojścia w wywiadzie. Zadzwonię do swojego dyrektora i zapytam, czy nie mogliby sprawdzić tu i ówdzie, zapuścić sondę. Jeżeli jest to kwestia bezpieczeństwa narodowego, Departament Sprawiedliwości powinien skontaktować się z Agencją Bezpieczeństwa Narodowego.

- A nam co z tego przyjdzie?

- Będziemy wiedzieli, że agencje wywiadowcze sąna bieżąco. W zamian za nasze informacje możemy uzyskać inne.

Wybałuszyła na niego oczy.

- Mamy jakieś informacje?

- To, czego się dowiedziałem w Swierdłowsku.

Bez wątpienia pokładał w rządzie większe nadzieje niż ona.

Joselyn trzymała w ręku pojedynczą kartkę, szukając na biurku odpowiedniej teczki. Przez jakiś czas przerzucała machinalnie papiery, aż w końcu zorientowała się, że teczki na biurku nie ma.

Podeszła do szafek katalogowych w drugim końcu pokoju. Otworzyła drugą szufladę od góry i przerzuciła zawartość. Kiedy znów spojrzała na Gideona, na jej twarzy malowała się konsternacja.

- Co się stało? - zapytał.

- Czy wszystkie teczki są już w szafkach?

- Z wyjątkiem tych, które masz na biurku. O co chodzi?

- To nie ma sensu - powiedziała Joselyn.

Seattle, stan Waszyngton

Thomas McCally przerzucił kartki raportu. Liczył zaledwie trzy strony i nie obfitował w szczegóły. FBI nadal prowadziło dochodzenie w sprawie dwóch więźniów federalnych zbiegłych z więzienia w Kent. Jednym z nich

133

McCally interesował się szczególnie. Oscar Chaney napadł na bank, ale nie miał przeszłości kryminalnej, miał za to bogatą kartę wojskową. Odbył szkolenie w siłach specjalnych armii, w tak zwanych grupach do specjalnych poruczeń, i uczestniczył w „operacjach wykraczających poza działania wojenne”. McCally nie był strategiem wojskowym, ale wiedział, co to oznacza. Akcje, o których nigdy nie pisano w gazetach, czasem na terenie wrogich państw trzeciego świata, czasem w granicach zaprzyjaźnionych krajów. Celem tych akcji mogło być zebranie informacji, dostarczenie broni organizacjom partyzanckim, zniszczenie strategicznych fabryk czy składów paliwa. Ludzie, których wysyłano do takiej roboty, byli odpowiednio wyszkoleni. Oscar Chaney brał udział w wojnie w Zatoce, potem zwolnił się z armii i przez ostatnie pięć lat mieszkał za granicą. Według informacji Departamentu Stanu podróżował po Europie, Afryce i Ameryce Łacińskiej, natomiast wywiady europejskie donosiły, że współpracował z Haroldem McA-voyem, alias Jamesem Regalem, alias Liamem Walkerem, alias Deanem Belde-nem.

Z raportu wynikało, iż ucieczka została starannie przygotowana i przeprowadzona przy pomocy z zewnątrz. FBI aresztowało jednego z pomocników. Utrzymywał rozległe kontakty z lokalną bojówką.

- Wygląda na to, że postanowili wyciągnąć Chaneya i dobrze się do tego przygotowali. - Podczas gdy McCally czytał raport, agent, który go

dostarczył, spacerował po pokoju. - Przecięli kraty spawalnicą - powiedział. - Wskazują na to ślady na metalu. Znaleźliśmy również mały przenośny nadajnik przewodowy. Aresztowany zeznał, że pomagali jeszcze trzy osoby z zewnątrz.

- Czy ten aresztowany wie coś na temat miejsca pobytu Chaneya?

- Nie sędzę. Twierdzi, że został oddelegowany do tej roboty przez swojego przełożonego w bojówce. Nie zna również nazwisk osób uczestniczących w ucieczce. Moim zdaniem pochodzili z różnych komórek. Wkrótce się okaże, że ludzie, którzy ich zatrudnili do tej roboty, nie wiedzą więcej niż wykonawcy.

- Jak wpadli na tego faceta? - zapytał McCally.

- Przechwalał się w barze, jakie to było łatwe. Włamanie do więzienia. Jakby szukał następnych klientów.

- Nie jest to typ faceta, z którym Chaney by się zadawał - orzekł McCally.

-1 tu pojawia się pytanie: dlaczego Chaney obrabował bank?

- W dodatku tak nieudolnie.

- Co wiemy o miejscowych bojówkach? - zapytał McCally.

- Niewiele. Zlokalizowane głównie w północnej części stanu. Operują na zasadzie komórek - małych, luźno zorganizowanych jednostek. Kontakty między komórkami są ograniczone. W sumie zbiorowisko oszołomów: niektórzy nienawidzą Czarnych, inni rządu, mnóstwo wykolejonych żołnierzy. Trzydziesto- i czterdziestolatki. Przeważnie mężczyźni.

- Czy zdołaliśmy przeniknąć do wewnątrz?

- To żaden problem. Wystarczy się przejść ulicą z własnym karabinem.

Problem w tym, że z uwagi na sporą liczebność komórek i brak współzależności

między nimi trzeba by wysłać tysiąc agentów. Nie wiem, czy warto. W tym stanie bojówkarze ograniczają się do nienawidzenia świata i strzelania do papierowych celów. Nie są groźni.

Zabrzmiało to tak, jakby agent sam miał ochotę do nich dołączyć.

- Najczęstszym przestępstwem jest nielegalne posiadanie broni. Kradzież karabinu z magazynu gwardii narodowej równa się przejściu chrztu bojowego w mafii. Zgarniamy ich, kiedy zaczynają się chwalić swoimi wyczynami w barach. Nie nazwałbyś tego dobrze zorganizowaną konspiracją.

McCally zastanawiał się przez chwilę.

- Z tego wynika - powiedział - że nie jest to organizacja, która zajmowałaby się bronią masowej zagłady.

- Chemiczną albo biologiczną? Raczej nie - rzekł agent. - Chyba że dałoby się ją zrobić w garażu.

- Tego, o czym myślę, nie da się zrobić w garażu - powiedział McCally. - Myślę o broni nuklearnej. Pamiętasz tę małą plastikową ramkę, którą znaleźliśmy w jeziorze po katastrofie samolotu Beldena?

- Z tego, co wiem, Rosja jest głównym centrum handlowym broni nuklearnej. Ale skąd wzięliby pieniądze? To musi masę kosztować. Nawet Iran i Irak nie były w stanie...

- Załóżmy, że znaleźli dojdzie do takiej broni. Potrzebowaliby pomocy. Zawodowców, którzy wiedzieliby, jak ją przewieźć i obsłużyć.

- To tłumaczy obecność Beldena i Chaneya - powiedział agent. - Ale skąd wzięliby pieniądze na bombę, na opłacenie takich ludzi jak Chaney i Belden?

- Mogą mieć sponsora - zasugerował McCally.
  - Mianowicie?
  - Wyobraź sobie, że jesteś Saddamem i marzy ci się mała zemsta, ale nie chcesz być przedmiotem w tej nuklearnej grze. Co robisz? Działasz w cieniu, cudzymi rękoma. Przychodzi mi na myśl z tuzin reżimów, które z przyjemnością wysadziłyby w powietrze amerykańską metropolię, zwłaszcza gdyby mogły zwalić winę na naszych rodzimych terrorystów. Agent w zadumie skinął głową. Widać było, że słowa McCally'ego trafiają mu do przekonania.
  - Mogliby nawet podesłać im pomoc techniczną - ciągnął McCally. - Pewnego dnia pan Belden lub jego koledzy pukają do twoich drzwi i przekazują pozdrowienia od Saddama albo Muammara.
  - Myślisz...?
  - Nie wiem - powiedział McCally. - Ale ludzie tacy jak Belden i Chaney nie pojawiają się bez powodu. Możliwe, że są częścią umowy, na zasadzie „sprzedamy wam bombę, ale razem z Beldenem”.
- Przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu. W powietrzu zawisło niewypowiedziane pytanie: czy ładunek już tu jest?
- A te bojówki na północy? - spytał McCally. - Czy są w jakiś sposób powiązane z grupą na wyspie?

135

FBI oraz Urząd do Spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej zlokalizowały dobrze uzbrojoną grupę bojówkarzy na małej prywatnej wyspie w archipelagu San Juan, tuż przy granicy kanadyjskiej.

- Nic na to nie wskazuje. Ci na wyspie pochodzą z Idaho i Montany.
- Co oni tam robią?

- Nie wiemy, ale są uzbrojeni po uszy i w stanie gotowości bojowej.
- Nie można znaleźć pretekstu, by tam wkroczyć? - zapytał McCally.
- Bez piechoty morskiej nie da rady. - Agent uniósł brwi, jakby chciał podkreślić wagę swoich wątpliwości. - Nie wiemy, czy broń jest legalna. Zrobiliśmy trochę zdjęć, ale ze zbyt dużej odległości.
- Żadnej broni automatycznej?
- Nie sposób stwierdzić.

Posiadanie karabinów automatycznych było nielegalne bez specjalnego pozwolenia wydanego przez rząd federalny. Gdyby zdobyli dowód, że ludzie na wyspie mają taką broń, byłaby to podstawa do uzyskania nakazu rewizji.

- Są pod całodobową obserwacją? Agent skinął głową.

McCally zaczerpnął głęboko powietrza. Wiedział, że są na granicy odkrycia czegoś, ale czego? Bez nakazu nie mógł wtargnąć na wyspę, a bez Chaneya nie miał z kogo wycisnąć informacji. Nie chciał zrobić z siebie idioty, bijąc niepotrzebnie na alarm, ale uznał, że najwyższy czas podzielić się swoimi wiadomościami z szefami Departamentu Sprawiedliwości. Niech oni zdecydują, co z tym zrobić.

- Załóżmy, że Chaney współdziałała z ludźmi na wyspie - powiedział. - Miejscowe bojówki mogą go zaopatrywać.

- To by oznaczało o wiele wyższy poziom zorganizowania, niż udało się nam stwierdzić.

- Załóżmy, że szykuje się coś wielkiego, naprawdę wielkiego - powiedział McCally. - I że szefowie akcji znajdują się na wyspie.

- Ale dlaczego?

- Żeby pozostać poza naszym zasięgiem, uniknąć infiltracji, zachować

rzecz w tajemnicy, dopóki nie wykonają swojego zadania.

- Więc dlaczego wyciągnęli z więzienia Chaneya? - zapytał agent.

- Może jest zasadniczym elementem planu?

- A kto zabił Beldena?

- Nie wiem - powiedział McCally. - Może Chaney. W wojsku miał do czynienia z materiałami wybuchowymi.

- Ale dlaczego?

- Uważasz, że kim ja jestem, Duchem Świętym?

Agent usiadł na krześle po drugiej stronie biurka McCally'ego i odchylił głowę w tył, licząc kasetony na suficie, podczas gdy prokurator kończył czytać raport.

- A to co?

- Hmm? - Agent wrócił do normalnej pozycji i spojrzał na swego rozmówcę.

136

- Tutaj jest napisane, że Chaney uciekł nie ze swojej celi.

- Zgadza się. To już szczyt wszystkiego. Personel więzienia pozwala im spać, gdzie chcą, byle w murach więzienia. Pieprzony hotel pięciogwiazdkowy, a my dostajemy rachunek.

- Kim jest ten Czenko?

- To ten drugi, który uciekł z Chaneyem. Mamy szczęście, że nie urządzili przyjęcia. Szukalibyśmy teraz pięćdziesięciu zbiegów - powiedział agent.

- To nie była również cela Czenki. Tu jest napisane, że był nielegalnym imigrantem.

Agent wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „i co z tego?”

- Co o nim wiemy? - McCally wyprostował się gwałtownie na krześle.

- Nic ponad to, co jest w raporcie.

- Nadal nie łapiesz? - zapytał agenta.

- Czego?

- Dlaczego Chaney obrabował bank i przyjął z rąk kasjerki przynętę, normalnie zarezerwowaną dla umysłowo niedorozwiniętych, dał się wsadzić do więzienia okręgowego i w ciągu dwudziestu czterech godzin uciekł z facetem, który mówi łamanym angielskim i który jest w kraju nielegalnie?

Agent wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- Tu nie chodzi o Chaneya - powiedział McCally. - Dowiedz się wszystkiego, co można, o tym Czence. Jeżeli będzie trzeba, skontaktuj się z władzami w Moskwie. Sprawdź, czy figuruje w ich kartotekach. Sprawdź też jego zawód.

Friday Harbor, stan Waszyngton

Brakowało teczek George'a Hummela. Joselyn przeglądała szafki w poszukiwaniu akt pozostałych rybaków.

- Kim jest George Hummel? - Gideon stał tuż za nią, zaglądając Joss przez ramię.

- Jednym z moich klientów. Jest ich pięciu - powiedziała Joss. - Miejscowi rybacy z podobnymi objawami chorobowymi. Szukałam przyczyny industrialnej, która wyjaśniałaby ich stan i pozwoliła uzyskać rentę. Joselyn trzymała w ręku orzeczenie lekarskie. Dostała pisemko pocztą pod koniec zeszłego tygodnia. Nie miała czasu, by je skatalogować, nie zadzwoniła nawet do Hummela. Wrzuciła kartkę do koszyka z korespondencją. Ktokolwiek przeszukał jej biuro, przeoczył orzeczenie,

zabrał natomiast akta Hummela i pozostałych czterech rybaków.

- Mogę to zobaczyć? - Gideon wskazał kartkę, którą Joss trzymała w ręku. Podała mu ją bez wahania. Nie była to właściwa pora na ochronę dóbr osobistych klienta.

137

Gideon przeczytał orzeczenie i podniósł na nią wzrok.

- Kiedy ci ludzie do ciebie przyszedli? Zastanowiła się chwilę.

- Nie pamiętam dokładnie. Jakies dwa miesiące temu.

Jeszcze raz przeczytał zwięzły opis w rubryce „objawy”: „mdłości i wymioty, niedokrwistość, szybka utrata włosów, krwawienie z dziąseł i nosa, okresy wzmożonego pragnienia”.

- Gdzie ci ludzie pracują?

- Są rybakami. Niektórzy mają własne łodzie, inni wynajmują.

- Wszyscy pracują na wyspach?

- O ile wiem, tak.

- A te łodzie? Gdzie je trzymają?

- W porcie - powiedziała Joss. - Dlaczego pytasz?

- Twoi klienci chorują wskutek napromieniowania.

- Ale jak...?

- Nie wiem. Mówiłaś, że ten Belden zjawił się nie wiadomo skąd, że zastanawiałaś się, dlaczego cię wynajął, dlaczego wybrał ciebie, skoro za te same pieniądze mógł zatrudnić bardziej doświadczonego prawnika w Seattle.

- To prawda.

- Może nie chciał doświadczonego prawnika - powiedział Gideon. - Może chciał czegoś innego - informacji na temat twoich klientów. Może chciał

się dowiedzieć, czy odkryłaś przyczynę ich choroby.

Joselyn rozważała przez chwilę to, co usłyszała. Przypomniała sobie, że Belden zadał jej mnóstwo pytań pierwszego dnia, kiedy przyszedł do biura. Był tam również George Hummel i Belden go widział. Pytał o niego, próbował wciągnąć ją w rozmowę na temat rybaka.

Popatrzyła na Gideona i na chwilę ich oczy się spotkały.

- Weźmiemy moją furgonetkę - powiedział. - Mam w niej trochę sprzętu.

Szedł już w stronę drzwi, a Joselyn podążyła za nim.

22

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Prezydent przystawił stalówkę do kartki papieru i nakreślił pierwszą literę swojego nazwiska. Trzask dziesiątków aparatów fotograficznych odbił się echem od ścian Gabinetu Owального.

Z uśmiechem wręczył pióro jednemu z kongresmenów stojących za jego plecami, ujął następne i powtórzył czynność. Ostatnie pióro otrzymał prokurator generalny. Podziękował prezydentowi, postąpił krok do tyłu i zainicjował

138

gromki aplauz, na który szef państwa odpowiedział szerokim uśmiechem.

Powstał z krzesła i rozpoczął się rytuał ściskania dłoni.

- Panie prezydencie, chciałbym zamienić słowo - szepnął mu do ucha Abe Charness, prokurator generalny. Jego szef z uśmiechem skinął głową.

To małe przedstawienie było ukoronowaniem pewnego procesu legislacyjnego, który Biały Dom przedstawiał społeczeństwu jako zasadniczy element reformy finansowej, a który w rzeczywistości nie oznaczał nic. Dawał jednak Amerykanom miłe przekonanie, że coś

dobrego dzieje się w Waszyngtonie.

W obecnej chwili prezydent cieszył się dużym poparciem społeczeństwa, zbierając laury za rozkwit gospodarczy, który nie był jego dziełem. Jako polityk przestrzegał kardynalnej zasady medycyny: po pierwsze nie szkodzić! Okraszał to mnóstwem uśmiechów i obietnicami niejasnych nowych programów.

Dwaj asystenci i kilku porządkowych zagoniło dziennikarzy w stronę drzwi. Kiedy wyszli, prezydent poświęcił jeszcze kilka minut na przypochlebianie się kongresmenom, pozując z każdym z nich do zdjęcia przed ręcznie rzeźbionym biurkiem z drzewa czereśniowego. Kongresmeni bez wątpienia wykorzystają fotografie w następnych kampaniach. W końcu prezydent i prokurator generalny zostali sami.

- Siadaj, Abe! - Prezydent poluzował krawat i odpiął guzik przy kołnierzyku. Od wyborów przytył dziesięć kilogramów. - Chciałbym mieć złoty ekran, siedzieć za nim w pizamie jak cesarz i przekazywać szeptem swoją wolę jakiemuś eunuchowi.

- Zbuduję panu ekran, panie prezydencie - powiedział prokurator generalny. - Ale stanowczo protestuję przeciwko obcięciu mi wacusia. Prezydent wybuchnął śmiechem. Lubił Charnessa. Byli ulepieni z tej samej gliny. Obaj pochodzili z Georgii. Byli synami Południa, wychowanymi w rodzinach, dla których sensem istnienia było nie dać się biedzie.

- Siadaj, siadaj - powiedział szef. Zajęli miejsca naprzeciwko siebie na dwóch sofach rozdzielonych stolikiem do kawy.

- Jak tam Jenny i dzieciaki? - zapytał prezydent. Mężczyźni nie widzieli się od trzech tygodni. Charness był na konferencji w Hadze, a potem

podróżował służbowo po Europie.

- Świetnie, dziękuję.

- Dzieci rosna, co?

- Jak na drożdżach. John jest wyższy ode mnie.

- Najlepszy dowód, że się starzejemy.

- Niestety.

- No, powiedz, o co chodzi? - Prezydent czuł, że coś gnębi Charnessa.

- O jednego z moich asystentów. Nazywa się Jim Reed. Myślę, że pan go zna. Prezydent z namysłem ściągnął brwi.

- Wysoki, szczupły facet - odpowiedział Charness. - Trochę flegmatyczny.

139

gromki aplauz, na który szef państwa odpowiedział szerokim uśmiechem.

Powstał z krzesła i rozpoczął się rytuał ściskania dłoni.

- Panie prezydencie, chciałbym zamienić słowo - szepnął mu do ucha Abe Charness, prokurator generalny. Jego szef z uśmiechem skinął głową.

To małe przedstawienie było ukoronowaniem pewnego procesu legislacyjnego, który Biały Dom przedstawiał społeczeństwu jako zasadniczy element reformy finansowej, a który w rzeczywistości nie oznaczał nic. Dawał jednak Amerykanom miłe przekonanie, że coś dobrego dzieje się w Waszyngtonie.

W obecnej chwili prezydent cieszył się dużym poparciem społeczeństwa, zbierając laury za rozkwit gospodarczy, który nie był jego dziełem. Jako polityk przestrzegał kardynalnej zasady medycyny: po pierwsze nie szkodzić! Okraszał to mnóstwem uśmiechów i obietnicami niejasnych nowych programów.

Dwaj asystenci i kilku porządkowych zagoniło dziennikarzy w stronę drzwi. Kiedy wyszli, prezydent poświęcił jeszcze kilka minut na przypochlebianie się kongresmenom, pozując z każdym z nich do zdjęcia przed ręcznie rzeźbionym biurkiem z drzewa czereśniowego. Kongresmeni bez wątpienia wykorzystają fotografie w następnych kampaniach. W końcu prezydent i prokurator generalny zostali sami.

- Siadaj, Abe! - Prezydent poluzował krawat i odpiął guzik przy kołnierzyku. Od wyborów przytył dziesięć kilogramów. - Chciałbym mieć złoty ekran, siedzieć za nim w piżamie jak cesarz i przekazywać szeptem swoją wolę jakiemuś eunuchowi.

- Zbuduję panu ekran, panie prezydencie - powiedział prokurator generalny. - Ale stanowczo protestuję przeciwko obcięciu mi wacusia. Prezydent wybuchnął śmiechem. Lubił Charnessa. Byli ulepieni z tej samej gliny. Obaj pochodzili z Georgii. Byli synami Południa, wychowanymi w rodzinach, dla których sensem istnienia było nie dać się biedzie.

- Siadaj, siadaj - powiedział szef. Zajęli miejsca naprzeciwko siebie na dwóch sofach rozdzielonych stolikiem do kawy.

- Jak tam Jenny i dzieciaki? - zapytał prezydent. Mężczyźni nie widzieli się od trzech tygodni. Chames był na konferencji w Hadze, a potem podróżował służbowo po Europie.

- Świetnie, dziękuję.

- Dzieci rosna, co?

- Jak na drożdżach. John jest wyższy ode mnie.

- Najlepszy dowód, że się starzejemy

- Niestety.

- No, powiedz, o co chodzi? - Prezydent czuł, że coś gnębi Charnessa.
- O jednego z moich asystentów. Nazywa się Jim Reed. Myślę, że pan go zna. Prezydent z namysłem ściągnął brwi.
- Wysoki, szczupły facet - odpowiedział Charness. - Trochę flegmatyczny.

139

- A, tak! Pamiętam. Przyprowadziłeś go na spotkanie gabinetu kilka miesięcy temu.
- To właśnie on.
- Przysparza ci kłopotów?
- Nie wiem. Wygląda na to, że podczas mojej nieobecności Jim został przydzielony do jakiejś specjalnej grupy operacyjnej. W biurze nikt nic nie wie, a Jim dał mi do zrozumienia, że nie jest upoważniony do rozmów na ten temat.
- Mówisz, grupa operacyjna?
- Rozumiem, że została stworzona przez pana, panie prezydencie. Prezydent spojrzał na niego z wyrazem najwyższego zdumienia na twarzy. Potrząsnął głową, jakby nie miał pojęcia, o co chodzi.
- Kryptonim ANSIR. Nie wiem, co to znaczy - powiedział prokurator generalny.
- Ach, to! - zawołał prezydent. Nagle go olśniło, wyraz zatroskania zniknął z jego twarzy, wyparty przez radosny uśmiech. - Nie wiedziałem, o czym mówisz. ANSIR! Zupełnie o tym zapomniałem. Charness popatrzył na szefa badawczo, z błyskiem zainteresowania w oczach.
- Byłem pewny, że musi istnieć jakieś wytłumaczenie, panie prezydencie.

Proszę sobie wyobrazić moje zaskoczenie, kiedy Reed oznajmił mi, że nie może ze mną na ten temat rozmawiać.

- Och, to nic takiego. Drobnostka - powiedział prezydent. - Sprawa zostanie zamknięta w ciągu tygodnia.

- Ale czego dotyczy?

- Och, komuś z bezpieczeństwa narodowego wydawało się, że wpadł na ślad afery. Trzeba to było sprawdzić. Pomyślałem, że twoi ludzie będą się do tego najlepiej nadawali, kazałem im założyć podsłuch, u kogo trzeba. Ten Reed został pewnie przydzielony do grupy.

- Byłoby miło, gdybym otrzymał jakieś memo w tej sprawie - powiedział Charness.

Toczył odwieczny bój biurokraty o podkładkę.

- Wziąłem ludzi z tuzina agencji. Gdybym miał napisać memoranda do każdej z nich, skończyliby robotę, zanim bym je wysłał. Jeżeli to odrywa twojego człowieka od pracy, powiem im, żeby go zwolnili i zastąpili kimś innym. - Prezydent zaczął się podnosić z kanapy.

- Nie, nie! To nie jest konieczne, panie prezydencie. Jeżeli pan go potrzebuje, to w porządku. Żaden problem. Jakoś sobie bez niego poradzimy. - Charnessowi nie chodziło o Reeda. Chciał się po prostu dowiedzieć, co jest grane.

- To bardzo dobrze. - Prezydent nie zamierzał mu tego powiedzieć. - Będziemy się musieli umówić na kolację, tylko w dwie rodziny.

- Z największą przyjemnością - zapewnił Charness. Prezydent zmienił temat, nie zaspokoiwszy ciekawości prokuratora generalnego. Charness postano-

wił, że przyciśnie członków gabinetu, wpyta, kto z ich personelu został przydzielony do grupy ANSIR.

- Coś jeszcze? - zapytał prezydent. Uśmiechał się. Jednego pragnął uniknąć - zainteresowania prokuratora generalnego tą sprawą. Wystarczy, że wiedział o fałszywym kroku prezydenta, jakim niewątpliwie była znajomość z Koli-kowem: przyjęcie pieniędzy na kampanię, obiady w Białym Domu i sesja zdjęciowa przed czereśniowym biurkiem. Znając Kolicowa, te zdjęcia widniały już na etykietkach jakiejś taniej rosyjskiej wódki.

Charness spojrział w podłogę, potem na swoje dłonie spoczywające na kolanach. Miał nadzieję, że jeżeli posiedzi jeszcze chwilę na tej sofie, prezydent powie mu, jakie zadanie zlecił jednemu z jego asystentów. Prezydent spojrział na zegarek.

- Mam przyjęcie za pół godziny. Jezu, marzę o tym złotym ekranie. Może przemyślisz sprawę eunucha?

Charness roześmiał się i wstał. Panowie poszli w stronę drzwi, prezydent z ręką na ramieniu prokuratora generalnego, jakby chciał się upewnić, że gość będzie się przesuwał w pożądanym kierunku.

- Jeszcze jedno - dodał Charness, jakby właśnie coś sobie przypomniał.

- Tak?

- Prawdopodobnie nic ważnego. Dostałem to dziś rano. Raport z mojego biura w Seattle. Prowadzą śledztwo w sprawie jakiejś bojówki na północnym zachodzie.

- Żadna rewelacja. - Prezydent postąpił jeszcze krok w stronę drzwi.

- Tym razem to może być rewelacja - powiedział Charness. - Mają, zdaje się, podstawy sądzić, że ta grupa zamierza ściągnąć broń, coś dużego.

Prawdopodobnie z byłego Związku Radzieckiego.

Prezydent zatrzymał się natychmiast, jakby ujrzał przed sobą czerwone światło. Charness stwierdził, że ma teraz niepodzielną uwagę szefa.

- Jak już mówiłem, to pewnie nic ważnego.

- Nie, nie! Powiedz mi coś bliższego.

- Niewiele wiem. Raport jest zwięzły.

- Co zawiera?

Prokurator generalny zmarszczył czoło, jakby próbował sobie przypomnieć.

- Jakaś grupa bojówkarzy obwarowała się na wyspie. Są uzbrojeni i zachowują się, jakby na coś czekali. Prawdopodobnie kolejna grupa oszołomów. Jestem pewien, że jeżeli ich nie sprowokujemy, sytuację da się łatwo opanować.

- Jakies powiązania z Rosją? - zapytał prezydent.

- Żadnych rządowych.

- Nie o to pytałem. Powiedziałeś, że istnieją podstawy, by podejrzewać, że sprowadzają broń z byłego Związku Radzieckiego?

- No tak. Według naszych informacji są wśród nich wynajęci zawodowcy.

- O jakiej broni mówimy?

141

- Jeden z tych profesjonalistów, swego rodzaju najemnik, zginął w katastrofie wodolotu. Na miejscu znaleziono mały plastikowy przedmiot. Nazywa się dozometr.

Z wyrazu twarzy prezydenta widać było, że termin jest mu obcy.

- To taki aparacik noszony przez radiologów. Kawałek tekturki w plastikowej ramce, którą przypinają do klapy fartucha w laboratorium.

Używa się go do pomiaru dawki napromieniowania - wyjaśnił Charness.  
Prezydent skinął głową.

- Jak już mówiłem, nie ma to pewnie żadnego znaczenia - ciągnął Charness - ale pomyślałem, że trzeba o tym wspomnieć. - Prokurator ruszył ku drzwiom.

- Może powinienem rzucić okiem na ten raport - zatrzymał go prezydent.

- Mogę go wysłać do NSA. - Charness miał na myśli Agencję Bezpieczeństwa Narodowego. - Nie chcę zawracać panu tym głowy.

- Przefaksuj mi go, jak tylko wrócisz do siebie. Przejrzę raport, zanim wyślemy go dalej.

- Oczywiście. Jeżeli uważa pan, że to ważne. - Charness otworzył drzwi gabinetu i wyszedł do przedpokoju, gdzie urzędował sekretarz prasowy prezydenta.

- Abe!

Prokurator generalny odwrócił się. Prezydent stał w otwartych drzwiach.

- W tej sprawie informuj mnie na bieżąco.

Friday Harbor, stan Waszyngton

Zapadła już noc. Mgła unoszącą się nad wodami portu przyćmiewała światła latarni ulicznych. Przystań była pusta. Ostatni prom przyplýwał dopiero za godzinę.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat indywidualni rybacy stopniowo przegrywali rywalizację z wielkimi trawlerami-przetwórniami, które trzebiły łowiska łososi. Nieliczne kutry tuliły się w dokach na samym końcu portu, za nowoczesnymi jachtami o dziobach z włókna szklanego. Gideon zaparkował swoją furgonetkę na końcu Front Street, naprzeciwko małego budynku przystani. Budynek był ciemny, jeżeli nie liczyć

pojedynczej latarni na zewnątrz.

- Wiesz, gdzie cumują kutry należące do twoich klientów?

- Mniej więcej - powiedziała Joselyn. Sięgnęła do klamki.

- Pójdę sam.

- Dlaczego?

- Ponieważ to może być niebezpieczne. - Gideon wysiadł szybko z wozu i obszedł maskę.

- Co tam może być?

- Nie wiem.

142

- Ale masz jakieś wyobrażenie?

- Bazuję wyłącznie na informacjach zebranych w Rosji. Joselyn patrzyła na niego, czekając na odpowiedź.

- Możemy mieć do czynienia z ładunkami nuklearnymi. Jeżeli się nie mylę, wyprodukowanymi na początku lat sześćdziesiątych. Taka broń jest bardzo niebezpieczna.

- Może wybuchnąć?

- Nie to mnie martwi. - Gideon wiedział, że jeżeli ktoś planujący akt terroryzmu zadał sobie trud przeszmugłowania ładunku nuklearnego do Stanów Zjednoczonych, nie będzie go marnował na odludnych wyspach w cieśninie Puget. Miał zapewne na uwadze bardziej strategiczny cel.

Pytanie: jaki?

- Boję się utleniania - powiedział. - Pluton wystawiony na działanie powietrza zmienia się w proszek. Ten proszek jest bardzo radioaktywny. Może być naprawdę niebezpieczny.

- Mimo to chcesz tam pójść?

- Wiem, czego szukam. Poza tym podejmę środki ostrożności. Rozsunął drzwi furgonetki. Pożyczył wóz od znajomego, który pracował w laboratorium radiologicznym na uniwersytecie stanowym. Po tym, czego dowiedział się w Swierdłowsku, zakładał, że będzie potrzebował sprzętu, a uniwersytet był jedynym miejscem, gdzie mógł go zdobyć. W samochodzie znajdowały się duże metalowe pudła, na haczyku wisiał żółty kombinezon z kapturem, maską i aparatem tlenowym.

- Mam tylko jeden taki - powiedział, wskazując neoprenowy kombinezon.  
- Poza tym, jeżeli napotkam trudności, będzie mi potrzebny ktoś, kto wezwie pomoc.

Joselyn spojrzała na pudła i kombinezon. Słowa Gideona trafiły jej do przekonania, chociaż wolałaby w ogóle nie mieć z tą sprawą do czynienia.

- Przejdę z tobą przynajmniej przez bramę i na pomost. Chcę być najbliżej, jak to możliwe.

- A ja chcę, żebyś była poza strefą zagrożenia.

- Jak mam ci pomóc, nie widząc cię?

Gideon przyznał jej rację. Otworzył jedno z pudeł i wyjął latarkę oraz jakiś mały przedmiot na skórzanym pasku. Joselyn domyśliła się, co to jest, choć nigdy przedtem nie widziała licznika Geigera. Gideon przerzucił go sobie przez ramię, ściągnął z haka kombinezon i zasunął drzwi furgonetki. Ruszył szybkim krokiem w stronę pomostu.

- A kombinezon? - zapytała Joselyn. - Nie założysz go?

- Jeszcze nie teraz.

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Była prawie pierwsza w nocy, kiedy Sy Hirshberg dotarł do budki strażnika przed Zachodnim Skrzydłem Białego Domu. Umundurowany

agent

143

Secret Service dał mu znak, że może przejechać. Hirshberg zaparkował samochód i ruszył szybkim krokiem w stronę drzwi frontowych.

Nawet w środku nocy paliło się tu kilka świateł. W Zachodnim Skrzydle godziny urzędowania nie kończyły się praktycznie nigdy. Hirshberg nie wstąpił do swojego biura, ale skierował się wprost do południowo-wschodniego narożnika. Z cienia otwartych drzwi naprzeciwko Gabinetu Ovalnego wyłonił się agent. Poznał Hirshberga, zwrócił się do niego po nazwisku, ale zagradzał mu drogę, dopóki nie sprawdził, czy nazwisko szefa bezpieczeństwa figuruje na liście osób umówionych z prezydentem. Potem zapukał w drzwi gabinetu.

- Tak!

Ton prezydenckiego głosu nie był przyjemny. Hirshberg wyczuł aurę kryzysu, kiedy szef państwa zadzwonił do niego do domu w środku nocy. Nie wiedział, o co chodzi, ale rzecz z pewnością nie należała do błahostek.

- Panie prezydencie!

- Sy, dobrze, że jesteś.

Agent zamknął drzwi gabinetu. Hirshberg spodziewał się, że zastanie tu z tuzin osób, najwyższych doradców, obradujących w trybie „kryzys państwowy”. Ale prezydent był sam. Siedział przed kominkiem, czytając jakieś dokumenty.

- O co chodzi, panie prezydencie?

- Mamy problem. Duży problem! - Nie patrząc na Hirshberga, prezydent wziął kartkę papieru ze stosu po drugiej stronie kozetki i trzymał ją w wyciągniętej ręce. Hirshberg przeszedł przez pokój, wyjął ją z rąk szefa i

przeczytał. Nie zajęło mu to dużo czasu.

- Jednego jeszcze nie rozumiem - powiedział prezydent. - Dlaczego muszę sam zdobywać takie informacje. Masz zespół ludzi, do dyspozycji wszystkie zasoby wywiadu, wojsko i wymiar sprawiedliwości, a ja dowiaduję się przypadkiem, że u wybrzeżu stanu Waszyngton banda oszołomów kupuje bomby nuklearne.

- Skąd pan to ma? - zapytał Hirshberg.

- Od prokuratora generalnego. Wygląda na to, że od tygodni prowadzą śledztwo w Seattle, bazując na informacji, że jakaś lokalna bojówka próbuje zakupić broń masowej zagłady, a rosyjskie elementy przestępcze próbują zrealizować zamówienie.

Prezydent puknął palcem w plik papierów, który miał na kolanach.

- Protokoły sądowe - oznajmił. - Bardzo pouczająca lektura. Szkoda tylko, że poszczególne agencje nie dzielą się informacjami. Cholernie dobrze się składa, że natknąłem się dzisiaj na prokuratora generalnego.

Hirshberg zagryzł wargę. Chciał się bronić, powiedzieć szefowi, że gdyby nie zacierał tak starannie swoich śladów w aferze z Kolikowem, gabinet byłby w tej sprawie na bieżąco. Departament Sprawiedliwości zostałby powiadomiony przez prokuratora generalnego o zatonięciu rosyjskiego statku u wybrzeży stanu Waszyngton oraz o jego domniemanym ładunku, i bez wątpienia powiązałyby tę

144

informację ze śledztwem prowadzonym w Seattle. Hirshberg spojrzął na datę raportu Departamentu Sprawiedliwości. Stracili mnóstwo czasu.

- Chcę, żeby twoi ludzie się tym zajęli - powiedział prezydent i wręczył Hirshbergowi plik protokołów sądowych.

- Czy to znaczy, że możemy włączyć w to inne agencje, lokalny rząd?
- Chryste, nie! Chcę, żebyś do rana przeczytał protokoły, wciągnął w to ludzi ze swojego zespołu. O ósmej chcę mieć wyciąg z tych akt. Chcę wiedzieć, czy figuruje w nich nazwisko Kolkowa. Rozumiesz?

Hirshberg był zdumiony. Stanęli przed możliwością, że na terenie Stanów Zjednoczonych znajduje się grupa terrorystyczna uzbrojona w broń masowej zagłady, a prezydent martwił się, czy nie doprowadzi to do skandalu w Białym Domu.

- Panie prezydencie, wydaje mi się, że powinniśmy powiadomić odpowiednie władze cywilne. Istnieje protokół postępowania w takiej sytuacji.

- Nie! - Prezydent spojrzał na Hirshberga spod zmrużonych powiek.

- Ale, panie prezydencie, istnieje duże prawdopodobieństwo, że ci ludzie mają w posiadaniu...

- Powiedziałem „nie”. Niech mnie licho, jeżeli pozwolę, żeby dali to na pierwsze strony gazet i odtwarzali z taśmy co pół godziny w CNN. Na dobrą sprawę, co my wiemy? Nic. Na pewno możemy tylko powiedzieć, że Departament Stanu prowadzi na wschodnim wybrzeżu jakieś dochodzenie, z którego może absolutnie nic nie wynikać.

- Panie prezydencie, wiemy, że szczątki rosyjskiego statku były radioaktywne. Wiemy, że statek zatonął w pobliżu wybrzeża stanu Waszyngton. Wiemy o wzmożonej komunikacji radiowej między Moskwą a tym składem broni na Syberii. A teraz to! - Hirshberg rzucił okiem na stos papierów, który ciążył mu w ramionach. - Uważam, że istnieje poważny powód do niepokoju. Że trzeba podjąć jakieś kroki. Spróbujmy się przynajmniej dowiedzieć, co robi ta bojówka na wyspie!

- Myślisz, że broń może znajdować się na wyspie?

- To możliwe.

- Potrzebna nam mapa. - Prezydent wstał z sofy, chwycił za telefon i wykręcił numer Pokoju Operacyjnego. - Kto jest oficerem dyżurnym? - powiedział do słuchawki.

- Monagan, mówi prezydent - kontynuował po chwili. - Potrzebna mi mapa, rejon cieśniny Puget w stanie Waszyngton. Jestem w Gabinetce Ovalnym. Jak brzmi nazwa tej wyspy? - Strzelił dwukrotnie palcami i wskazał papiery w ramionach Hirshberga, potem zakrył dłonią membranę i odezwał się do swojego doradcy. - Znajdź nazwę tej wyspy. Jest w protokołach sądowych. Zaznaczyłem czerwonym flamastrem.

Hirshberg przerzucił kilka kartek.

- Padget - powiedział.

- Wyspa Padget. Znajdź wszystko, co mamy na ten temat, i przynieś mi to za pięć minut. - Odwiesił słuchawkę i wrócił na sofę.

10 - Masa krytyczna

145

- Musimy być bardzo ostrożni, Sy. Nie chcę wyjść na głupka. Nie mamy nawet pewności, że ten ładunek istnieje. - Prezydent zamierzał negocjować w tej sprawie wszystko, co się da zanegować.

- Zdaniem Oak Ridge, napromieniowania w tych rosyjskich śmieciach wystarczy, żeby Jelcyn świecił własnym blaskiem jeszcze przez tysiąc lat - powiedział Hirshberg. Trudno było zignorować ten fakt.

Prezydent wbił oczy w dywan i nabrał głęboko powietrza.

- No, dobrze! Weźmiemy wyspę pod obserwację.

- Patrzenie na nią przez lornetkę nie wystarczy, byśmy się dowiedzieli, co

się tam dzieje - zauważył Hirshberg.

- Co więc radzisz?

- Musimy mieć tam swojego człowieka. Wtyczkę.

- Nie chcę żadnej strzelaniny, drugiego Waco czy Ruby Ridge.

- Rozumiem - powiedział Hirshberg. - Ale jeżeli nie podejmiemy natychmiast jakiś kroków, a oni przewiozą ładunek gdzie indziej...- Nie musiał kończyć zdania.

Od lat Amerykanie bali się, że ludzie tacy jak Saddam czy Kadafi wejdą w posiadanie broni masowej zagłady. Stany Zjednoczone żyły w złudnym przeświadczeniu, iż nawet jeżeli wrogie państwa mają taką broń, brak im wyrafinowanego systemu pozwalającego doprowadzić ją do celu. I może był to optymizm uzasadniony w przypadku broni chemicznej i biologicznej, wymagającej nowoczesnych urządzeń rozpraszających. Z bombą nuklearną sprawa miała się inaczej. Można ją było przywieźć w skrzyni na statku handlowym do Seattle, albo jeszcze lepiej w górę East River, i umieścić przy placu ONZ, zniszczyć pół miasta i za jednym zamachem uciąć głowę Narodom Zjednoczonym. Podobny incydent miałby wiadomy wpływ na politykę światową oraz gotowość państw utworzenia jednolitego frontu.

Przyniesiono mapy i asystent wojskowy rozpostarł je na prezydenckim biurku. Prezydent i Hirshberg pochylili się nad płachtą, szukając wyspy Padget.

- Nie jest duża - stwierdził prezydent. Nie było na niej dróg ani żadnych siedzib ludzkich. - Moglibyśmy przeprowadzić rozpoznanie z powietrza, zrobić zdjęcia satelitarne.

- Nic nam z tego nie przyjdzie. Nawet jeżeli ładunek faktycznie się tam

znajduje, nie leży przecież na wierzchu. To niewielka rzecz, da się ją wszędzie schować. Poza tym zdjęcia satelitarne zabiorą dużo czasu, a my go nie mamy. Jeżeli ładunek znajduje się na wyspie, musimy ją zakorkować błyskawicznie.

- Więc co mamy zrobić?

- Sugerowałbym, żeby wysłać tam mały oddział piechoty morskiej - powiedział Hirshberg. - Będzie to krótki wypad. Zainstalują aparaty podsłuchowe i kamery i natychmiast się wycofają. Ludzie na wyspie nawet się nie zorientują, że ktoś im złożył wizytę. A my się dowiemy, co tam się, u diabła, dzieje.

Prezydentowi twarz się wydłużyła. Oczami wyobraźni ujrzał strzelaninę, zmierzającą na wyspę flotyllę statków z ekipami telewizyjnymi na pokładzie,

146

relacje na żywo w CNN. Sprawy szybko wymkną się spod kontroli.

Kongres zacznie zadawać pytania i zanim się prezydent obejrzy, nazwisko Kolikowa wypłynie w połączeniu z jego własnym. Zważywszy jednak na brak jakiegokolwiek alternatywy, musiał wyrazić zgodę.

- Dobrze, ale zrobimy to z pominięciem Pentagonu - powiedział. - Jedna wzmianka w prasie o tym, że w kraju jest bomba, i zmuszą mnie do cofnięcia cięć budżetowych.

Administracja od czterech lat ograniczała wydatki na obronę i zamykała bazy wojskowe na całym świecie. Upadek Związku Radzieckiego wytrącił lobby wojskowemu argumenty z ręki. Ale w Komitecie Połączonych Szefów Sztabu znalazłoby się kilku ludzi, którzy z przyjemnością przypiekliby administrację na rożnie, podając prezydenta prasie na talerzu,

gdyby zaistniała taka szansa.

- Czy możesz to zorganizować przez oficera marynarki w grupie ANSIR?

Hirshbergowi propozycja nie przypadła do gustu. A jeżeli wybuchnie strzelanina i oddział zostanie wybity do nogi? Dowództwo wojskowe w Pentagonie dostanie szału i nawet nie można się im będzie dziwić.

- Ten facet jest tylko kapitanem - powiedział Hirshberg.

- Nic nie szkodzi. Dam mu upoważnienie.

- Potrzebna nam pomoc piechoty z Coronado.

- To też da się załatwić.

Więcej argumentów Hirshberg nie miał. Było to wbrew zdrowemu rozsądkowi, ale wolał zrobić coś z pominięciem drogi służbowej, niż nie zrobić nic. Najważniejsze w tej chwili było upewnienie się, czy ładunek znajduje się w kraju, a jeżeli tak, to gdzie.

- Jeżeli mamy coś zrobić, to w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin - powiedział. - Nie wiem, czy piechota będzie gotowa.

- Ja się tym zajmę - powiedział prezydent.

Czas uciekał. Jeżeli ładunek znajdował się na wyspie i bojówkarze zdążyli go przewieźć w inne miejsce, szanse ponownego zlokalizowania bomby były niewielkie. Prezydent spojrzął na Hirshberga, po czym skinął niechętnie głową.

- A więc dwadzieścia cztery godziny - powiedział.

Joselyn i Gideon szli w stronę bramy do portu. Holender nie spuszczał wzroku z licznika, czekając, kiedy włączy się brzęczyk informujący o niebezpieczeństwie. Jak dotąd poziom promieniowania był niewielki, nic nie wskazywało na obecność materiałów rozszczepialnych.

Friday Harbor, stan Waszyngton

Gideon zatrzymał się przy bramie.

- Ty zostajesz tutaj - zwrócił się do Joss.

- Kutry stoją na samym końcu. Sam ich nie znajdziesz.

Podawała mu nazwy statków, określiła mniej więcej, gdzie są przycumowane.

- To zbyt niebezpieczne - powiedział Gideon stanowczo. - W furgonetce znajdziesz telefon komórkowy. Jeżeli nie wrócę za dziesięć minut, zadzwoń pod ten numer. - Wyciągnął z kieszeni wizytówkę i zakreślił długopisem jeden z numerów. - To specjalny numer do Instytutu, czynny przez całą dobę. Powołaj się na mnie. Powiedz im wszystko, co wiemy, o chorych rybakach i kutrach. Będą wiedzieli co robić. Potem zawiadom policję. Niech zablokują dojazd do portu. Niech nikt tu nie wchodzi. Macie czekać na pomoc.

- Ale wrócisz do tego czasu?

- Możliwe.

Ze sposobu, w jaki to powiedział, wywnioskowała, że może go już nie zobaczyć. Niebezpieczeństwo było większe, niż przyznawał.

- Chcesz tam czekać, aż przyjadą ci ludzie z Kalifornii? To potrwa całe godziny.

- Zaufaj mi. Będą wiedzieli, do kogo zwrócić się tutaj, na miejscu.

- Nie lepiej, żeby szeryf po ciebie przyjechał?

- Nie. Zrób tak, jak ci mówiłem. Proszę!

- Dobrze.

- Jeżeli nie wrócę od razu, to dlatego, żeby nie roznosić skażenia. Nie martw się - dodał. - Odejdę na bezpieczną odległość i będę czekał na pomoc. Nikomu nie wolno tu wejść ani stąd wyjść przed przybyciem ekipy

odkazywającej. Zrozumiałaś?

- Tak.

- To dobrze. - Sprawdził, czy latarka działa. - Jeżeli niczego nie znajdę, będę z powrotem za dziesięć minut.

Ruszył pomostem w stronę statków zacumowanych niemal u wylotu portu.

W ręku miał listę kutrów rybackich, których nazwy Joselyn wypisała drukowanymi literami: „Martha's Desire”, „Skip Jack” i „Float Me a Loan”.

Joselyn stała przy bramie, patrząc, jak Gideon znika w ciemności, poza kręgiem latarni. Kiedy nie mogła go już widzieć, zaczęła spacerować tam i z powrotem, uderzając się rękoma po bokach dla rozgrzewki. Panował przenikliwy ziąb. Co parę sekund przystawała i spoglądała w stronę doków, próbując dostrzec sylwetkę Gideona pośród lasu masztów.

Upłynęła zaledwie minuta, a jej się wydawało, że czeka od wieków.

Dreńczył ją niepokój. Bała się, że Gideon zgubi drogę pośród pływających doków. Zastanawiała się, dlaczego od razu nie założyła żółtego kombinezonu ochronnego.

Pocieszała się myślą, że Holender wie co robi, i jeśli naprawdę coś tam jest, licznik Geigera go o tym ostrzeże. Jeżeli faktycznie w dokach znajdowały się materiały radioaktywne, aparat już powinien to wykazać.

148

Odczekała jeszcze kilkadziesiąt sekund i spojrzała na furgonetkę.

Sprawdziła godzinę. Upłynęły trzy minuty. Od strony doków dobiegało tylko skrzypienie desek i naciągniętych lin oraz cichy chłupot fal uderzających o burty statków.

Doki tworzyły labirynt ślepych uliczek. Przycumowane do starych

drewnianych pali, unosiły się i opadały wraz z falą. Świeciło się tylko w iluminatorach nielicznych statków-domów mieszkalnych. Poza tym doki tonęły w ciemności.

Latarka przygasła; widocznie baterie były na wyczerpaniu. Gideon zatrzymał się i sprawdził licznik Geigera. Poziom odczytu był nadal niski. Zaczął się zastanawiać, czy nie obrał złej drogi na skrzyżowaniu doków. Przez chwilę miał wrażenie, że zagubił się pośród masztów żaglówek i wielkich luksusowych łodzi kilkunastometrowej długości. Gdzieś z oddali dobiegał dźwięk telewizora, sączyło się światło z kabiny. Gideonowi dawało to poczucie, że nie jest zupełnie sam w dokach.

Obejrzał się na budynek portu. Z miejsca, gdzie stał, nie mógł widzieć bramy, przy której zostawił Joselyn. Dostrzegł jedynie aureolę światła ulicznej latarni.

Spojrzał na zegarek. Pozostało mu sześć minut, by odnaleźć kutry, inaczej Joselyn zadzwoni do Instytutu. Puknął latarką w drewniany pal.

Zaświeciła jaśniej.

Przerzucił przez ramię żółty kombinezon. Nie założy go, o ile naprawdę nie będzie musiał. Plastikowa osłona na twarz ograniczała widoczność i szybko za-parowywała oddechem. Gdyby zmylił drogę w ciemności i wpadł do wody, kombinezon pociągnąłby go na dno.

Posuwał się tak szybko, jak na to pozwalały warunki, licząc mijane łodzie i starając się przeniknąć wzrokiem ciemność. Kiedy doszedł do osiemnastu, promień latarki zamiast natrafić jak dotąd na metalową burzę, odbił się od wody. Gideon dotarł do końca doków. Nie było tu żadnego z kutrów figurujących w spisie Joselyn. Musiał zawrócić.

Sprawdził godzinę. Zostało mu pięć minut. Zaczął biec przeskakując kable

elektroenergetyczne, które dostarczały jachtom ciepło. W niecałą minutę znalazł się z powrotem na głównym skrzyżowaniu doków.

Widział teraz Joselyn. Spacerowała wzdłuż bramy, nie patrząc w jego stronę. Próbował zwrócić na siebie jej uwagę, machając latarką, ale ta świeciła coraz słabiej. Wyłączył ją więc, żeby oszczędzać baterie i spojrzął w stronę ciemnych doków. Zdawały się ciągnąć w nieskończoność, zlewając się z atramentową czernią nocy. Dalej widać było światła domów na Brown Island, mrugające jak gwiazdy.

Wahał się przez chwilę, czy nie wrócić do Joselyn. Wymieniłby baterie, powiedział jej, że potrzebuje więcej czasu. Myśl umarła w zarodku, kiedy przerzucając pasek licznika na drugie ramię, usłyszał powolne rytmiczne cykanie. Odczyt pochodził z mrocznej przestrzeni doków.

149

Joselyn była przemarznięta do szpiku kości. Nie spuszczała wzroku z zegarka. Jeżeli Gideon nie wróci w ciągu czterech minut, zadzwoni do Instytutu. Zakładała, że Holender także patrzy na zegarek, wie, ile czasu minęło, i wróci przed upływem dziesięciu minut, jeżeli niczego nie znajdzie.

Stała przy bramie, machinalnie bawiąc się zasuwką. Może powinna dołączyć do Gideona w dokach? Wahała się. Kazał jej czekać. Sprawiał wrażenie człowieka, który wie, co robi. Jeżeli pójdzie tam za nim, wystawi ich oboje na niebezpieczeństwo. Rozsądek walczył w niej z pragnieniem, by pomóc Gideonowi. Z każdą minutą ogarniał ją większy gniew na samą siebie. Dlaczego dała się omamić Beldenowi? Należał do mężczyzn, w których kobiety powinny czytać jak w książce: zapatrzony w siebie blagier. Bóg jeden wie, ilu kłamców spotkała w swojej karierze

zawodowej. Powinna z miejsca go przejrzeć. Był zbyt dobry, by mógł być prawdziwy.

Nagle zrozumiała, dlaczego tak bardzo lubi Holendra. Znała go zaledwie od dwudziestu czterech godzin, ale różnica między tymi dwoma mężczyznami rzucała się w oczy. Gideon van Ry był przeciwieństwem Deana Beldena: pewny siebie, lecz pozbawiony arogancji. Zadał sobie trud, by wytłumaczyć jej, co robi i dlaczego. Nie narzucał jej swojej woli i nie starał się nią manipulować. Nagle zapragnęła, by znalazł się przy niej, i sprawił to nie jego wygląd, lecz sposób, w jaki ją traktował.

Wyteńczyła wzrok, szukając błysku latarki w dokach.

- Gdzie jesteś? - powiedziała na głos. Słowa zabrzmiały głucho pośród nocy. Jakby w odpowiedzi usłyszała dźwięk przypominający chrzęst żwiru. Odwróciła się w stronę budynku portu, ale niewiele widziała. Budynek tonął w cieniu, ona zaś stała w jasnym kręgu latarni. Osłoniła dłonią oczy.

- Halo? - Odczekała chwilę. - Jest tam kto?

Nie było odpowiedzi. Wyobraźnia zaczęła jej teraz płatać figle. Odwróciła się, szukając wzrokiem Gideona. Musiał gdzieś tam być. Spojrzała na zegarek. Jeszcze dwie minuty i zadzwoni.

Licznik Geigera buczał nieprzerwanie, im bliżej końca doków i otwartego morza, tym głośniej. Gideon minął smukłe lśniące łodzie wycieczkowe: „Grand Banks”, „Island Gypsies”, ogromnego „Ocean Alexander” i jachty prywatne, o których posiadaniu zwyczajny człowiek nie mógł nawet marzyć. Dalej jachty ustępowały miejsca kutrom rybackim o drewnianych kadłubach, z plamami od rdzewiejących łańcuchów i starzejącym się osprzętowaniem. Doki przeszły z betonowych w drewniane, poplamione

smarem i podgnię. Zniknęły schludnie zwinięte kable; tym statkom niepotrzebne było ogrzewanie. Większość kutrów miała poniżej dwunastu metrów długości, otwarte kokpity i wielkie beczki z żywą przynętą na rufie.

Licznik Geigera rejestrował teraz niemal nieprzerwaną dawkę promieniowania jonizującego. Gideon musiał zmniejszyć głośność, żeby słyszeć własne myśli.

150

Niebezpieczeństwo, przynajmniej na razie, było niewielkie. Istniały trzy zasadnicze elementy ochrony: czas, odległość i osłona. Miał przy sobie kombinezon, który dostarczy mu osłony, kiedy będzie jej potrzebował, musi więc skoncentrować się na pozostałych czynnikach: czasie i odległości. Zerknął na skalę licznika i uznał, że nie powinien przebywać w zagrożonym rejonie dłużej niż pięć minut.

Nawet w ciemności dostrzegł zarysy ostatnich czterech łodzi w doku. Na samym końcu, jakby odgradzając pomost od otwartego morza, stał przycumowany duży trawler. Gideon ocenił jego długość na osiemnaście metrów.

Uwagę Holendra przyciągnęła pierwsza łódź po prawej stronie doku. Przeczytał nazwę na odrapanym dziobie: „Float Me a Loan”. Zaraz za nim cumował o wiele mniejszy „Martha's Desire”, a jeszcze dalej sześciometrowy „Skip Jack”.

Wskaźówka licznika Geigera sięgnęła końca skali, czemu nie należało się dziwić, zważywszy, że ślady skażenia występowały na deskach pomostu. Był to prawdopodobnie sproszkowany pluton, przyniesiony tu na podszwach butów. W zależności od rozmiarów cząsteczek, mógł albo

utkwic w płucach i spowodować raka, albo też rozpuścić się, dostać do krwiobiegu i zaatakować kości oraz wątrobę. Gideon nie chciał pozostać tu dłużej.

Skierował aparat w stronę rufy „Float Me a Loan”. Ku jego zdumieniu, nie nastąpił wzrost odczytu, a kiedy przeszedł wzdłuż burty, poziom napromieniowania zmalął.

Wrócił na środek pomostu i puknął latarką w drewniany pał, żeby dobyć z niej trochę światła. Uzyskał słabiutki promień i zbliżył się do dwóch pozostałych statków. Wskazówka nawet nie drgnęła, kiedy przechodził od jednego do drugiego. Dopiero gdy wrócił na główny pomost i postąpił kilka kroków w stronę końca doków, strzałka skoczyła w górę. Gideon podniósł wzrok. Przed nim stał stalowy trawler „Dancing Lady”.

Zaczęło mżyć, więc Joselyn schroniła się pod okap dachu poczty. Na próżno wypatrywała Gideona. Widziała tylko las aluminiowych masztów rozhuśtanych wzmagającym się wiatrem. Mieszkała na wyspach dość długo, by wyczuć zmianę pogody.

Spojrzała na zegarek. Minęło dwanaście minut. Dała Gideonowi dwie dodatkowe minuty. Modliła się, żeby wrócił, żeby nie musiała wykonywać tego telefonu. Chciała krzyknąć, ściągnąć go z powrotem.

Zaczęło ją gnębić straszne poczucie winy. Naprawdę nie mogła wiedzieć, że jej klient zajmuje się bronią nuklearną. Ale pozwoliła mu użyć swojego nazwiska i adresu biura i w ten sposób wplątała Gideona w sieć Beldena.

Wszystko to była jej wina. Przez swoją głupotę i chciwość ściągnęła nieszczęście na spokojny Friday Harbor.

za-sadniczne elementy ochrony: czas, odległość i osłona. Miał przy sobie kombinezon, który dostarczy mu osłony, kiedy będzie jej potrzebował, musi więc skoncentrować się na pozostałych czynnikach: czasie i odległości. Zerknął na skalę licznika i uznał, że nie powinien przebywać w zagrożonym rejonie dłużej niż pięć minut.

Nawet w ciemności dostrzegł zarysy ostatnich czterech łodzi w doku. Na samym końcu, jakby odgradzając pomost od otwartego morza, stał przycumowany duży trawler. Gideon ocenił jego długość na osiemnaście metrów.

Uwagę Holendra przyciągnęła pierwsza łódź po prawej stronie doku. Przeczytał nazwę na odrapanym dziobie: „Float Me a Loan”. Zaraz za nim cumował o wiele mniejszy „Martha's Desire”, a jeszcze dalej sześciometrowy „Skip Jack”.

Wskaźówka licznika Geigera sięgnęła końca skali, czemu nie należało się dziwić, zważywszy, że ślady skażenia występowały na deskach pomostu. Był to prawdopodobnie sproszkowany pluton, przyniesiony tu na podeszwach butów. W zależności od rozmiarów cząsteczek, mógł albo utkwąć w płucach i spowodować raka, albo też rozpuścić się, dostać do krwiobiegu i zaatakować kości oraz wątrobę. Gideon nie chciał pozostać tu dłużej.

Skierował aparat w stronę rufy „Float Me a Loan”. Ku jego zdumieniu, nie nastąpił wzrost odczytu, a kiedy przeszedł wzdłuż burty, poziom napromieniowania zmaleł.

Wrócił na środek pomostu i puknął latarką w drewniany pał, żeby dobyć z niej trochę światła. Uzyskał słabiutki promień i zbliżył się do dwóch pozostałych statków. Wskaźówka nawet nie drgnęła, kiedy przechodził od

jednego do drugiego. Dopiero gdy wrócił na główny pomost i postąpił kilka kroków w stronę końca doków, strzałka skoczyła w górę. Gideon podniósł wzrok. Przed nim stał stalowy trawler „Dancing Lady”.

Zaczęło mżyć, więc Joselyn schroniła się pod okap dachu poczty. Na próżno wypatrywała Gideona. Widziała tylko las aluminiowych masztów rozhuśtanych wzmagającym się wiatrem. Mieszkała na wyspach dość długo, by wyczuć zmianę pogody.

Spojrzała na zegarek. Minęło dwanaście minut. Dała Gideonowi dwie dodatkowe minuty. Modliła się, żeby wrócił, żeby nie musiała wykonywać tego telefonu. Chciała krzyknąć, ściągnąć go z powrotem.

Zaczęło ją gnębić straszne poczucie winy. Naprawdę nie mogła wiedzieć, że jej klient zajmuje się bronią nuklearną. Ale pozwoliła mu użyć swojego nazwiska i adresu biura i w ten sposób wplątała Gideona w sieć Beldena.

Wszystko to była jej wina. Przez swoją głupotę i chciwość ściągnęła nieszczęście na spokojny Friday Harbor.

151

Po raz ostatni spojrzała na zegarek i ruszyła niechętnie w stronę furgonetki. Odwróciła się jeszcze raz, licząc na to, że ujrzy Gideona idącego pomostem. „Dam mu jeszcze minutę, postanowiła. A potem porządnie zmyję mu głowę”. Nie miał prawa narażać się w ten sposób. Od tego byli inni, specjaliści, którym się za to płaci, ludzie pracujący dla rządu. Zawstydziła się tej myśli. Ludzie wykonujący niebezpieczne zawody po to, by chronić innych, nie byli robotami, mieli rodziny, bliskich. Czuła dławienie w gardle, pieczenie w oczach. Zmysły, przytępione strasznym żalem, nie zarejestrowały ruchu tuż za jej plecami. Gideon wdrapał się na burtę i wszedł na pokład „Dancing Lady”. Na rufie

leżał wielki zwój lin, dwa potężne bomby ładunkowe rozwidlały się nad głową, opadając po obu stronach kutra.

Obszedł pomost sternika i postąpił jeszcze kilka kroków w stronę dzioba, nie odrywając wzroku od strzałki licznika. Wykazywał wysoką dawkę napromieniowania, popiskując nieprzerwanie i przenikliwie.

Gideon wycofał się, zgasił latarkę i położywszy ją na pokładzie, zaczął naciągać kombinezon ochronny, najpierw spodnie, potem kurtkę. Wbił się w nią z trudem, zapiął na suwak i naciągnął na głowę kaptur z maską, uszczelniając go specjalną taśmą wokół szyi.

Kombinezon nie należał do nowoczesnych modeli wyposażonych w samoistny aparat tlenowy. Oddychanie wymagało teraz dużego wysiłku. Każdy haust powietrza musiał przejść przez filtry wbudowane w maskę. Gideon zaczął się pocić, maska zaszła mgłą.

Na pokładzie dziobowym zauważył tylko jedną pokrywę luku, zamkniętą na kłódkę. Źródłem promieniowania było coś, co znajdowało się pod włazem.

Gideon spojrzał w dół, szukając latarki, którą ubierając się, położył na pokładzie. Maską ograniczała widoczność, całkowicie odcinając boczny obraz. Przykucnął i obmacał pokład wokół swoich nóg. W końcu zlokalizował latarkę. Nacisnął włącznik, ale nic się nie wydarzyło, puknął więc nią mocno o balustradę z nierdzewnej stali.

W odpowiedzi rozległ się metaliczny brzdęk, jakby coś uderzyło o kadłub statku. Gideon stanął jak wryty, odwrócił się w stronę pomostu sternika. Nie potrafił określić kierunku, skąd dobiegł dźwięk. Uderzył ponownie latarką o balustradę i po trzech sekundach usłyszał odpowiedź. Tym razem dźwięk był ostrzejszy, bardziej zdecydowany. Dochodził od strony rufy,

spod pokładu. Na tyłach pomostu sternika znajdowały się drzwi. Gideon uznał, że prowadzą do maszynowni i pomieszczeń mieszkalnych. Podszedł szybko do drzwi, otworzył je i skierował światło latarki na tarczę licznika Geigera. Wykazywał zaledwie połowę promieniowania, jakie zarejestrował na przednim pokładzie. Tutaj osłaniała go stalowa konstrukcja po-

152

mostu sternika. Wewnątrz metalowa drabinka prowadziła na dno statku i do maszynowni.

Gideon zerknął w, zdawałoby się, bezdenną czeluść. W zaparowanej masce był niemal ślepy. Chwycił się poręczy schodków, przeszedł przez próg i zaczął schodzić. Niemal natychmiast odwrócił się i obmacał przepierzenie przy drzwiach. Natrafił na charakterystyczne wybrzuszenie i przekręcił kontakt. Nie wywołało to żadnego efektu.

Albo ktoś wyłączył generator, albo skończyło się paliwo. Bez generatora i dostaw energii z lądu kuter był pozbawiony prądu. Gideon nie znał się na statkach, ale wiedział, że oznacza to kłopoty. Bez prądu nie działały pompy. A kutry zawsze nabierały wody, zawsze miały jakieś małe przecieki w uszczelkach wału napędowego. Dno statku mogło być już pod wodą. Gideon spojrział w dół i zaczął schodzić, stopień po stopniu, trzymając przed sobą latarkę.

Z głębi unosiły się niebieskawe opary. Gideon wysunął licznik, ale strzałka nie poruszyła się, wykazując nadal średnią dawkę promieniowania.

Ostrożnie zerwał taśmę uszczelniającą, zsunął kaptur i odetchnął głęboko. Powietrze było stęchłe i wilgotne, ale świeższe niż to, którym oddychał przez ostatnie minuty. Skierował latarkę w dół i światło odbiło się od

powierzchni oleistej wody.

- Halo! Jest tam kto? - Głos Gideona odbił się echem od ścian stalowego pomieszczenia.

Odpowiedź padła natychmiast, metaliczny brzęk dochodzący gdzieś z tyłu, od strony rufy.

Gideon zszedł dwa stopnie, trzymając się barierki. Nie widział dalej niż na metr przed sobą. Spojrzał na oleistą wodę, ale nie potrafił ocenić jej głębokości. Neoprenowy kombinezon stanowił teraz zagrożenie. Gdyby Gideon się poślizgnął i poleciał w dół, kombinezon szybko nabrałby wody. W ciemności, obciążony kauczukowym tworzywem, van Ry mógłby z łatwością utonąć.

Zszedł jeszcze jeden stopień, potem jeszcze jeden. Przy trzeciej próbie znalazł się po kostki w wodzie. Uczepiony poręczą, zrobił krok w próżnię. Znajdował się w wąskim korytarzu biegnącym od dziobu po rufę.

Gideon puścił barierkę i rozpoczął powolny marsz w stronę rufy, skąd dobiegł ostatni metaliczny odzew.

- Halo! - Chwilę nasłuchiwał. Sygnał powtórzył się. Ktoś uderzał w kadłub, nieregularnie i ze zmienną siłą, ale z jakimś rozpaczliwym uporem.

- Tutaj!

Gideon usłyszał głos, słabszy niż promień jego latarki.

- Gdzie? - zawołał.

- Tutaj.

Gideon spojrział na licznik. Dawka promieniowania była znacznie niższa niż na przednim pokładzie. Zdawał sobie sprawę z upływu czasu. Joselyn z pewnością zadzwoniła już do Instytutu. Pomoc była w drodze.

Po prawej stronie korytarza dostrzegł drzwi kabiny.

153

mostu sternika. Wewnątrz metalowa drabinka prowadziła na dno statku i do maszynowni.

Gideon zerknął w, zdawałoby się, bezdenną czeluść. W zaparowanej masce był niemal ślepy. Chwycił się poręczy schodków, przeszedł przez próg i zaczął schodzić. Niemal natychmiast odwrócił się i obmacał przepierzenie przy drzwiach. Natrafił na charakterystyczne wybrzuszenie i przekręcił kontakt. Nie wywołało to żadnego efektu.

Albo ktoś wyłączył generator, albo skończyło się paliwo. Bez generatora i dostaw energii z lądu kuter był pozbawiony prądu. Gideon nie znał się na statkach, ale wiedział, że oznacza to kłopoty. Bez prądu nie działały pompy. A kutry zawsze nabierały wody, zawsze miały jakieś małe przecieki w uszczelkach wału napędowego. Dno statku mogło być już pod wodą. Gideon spojrział w dół i zaczął schodzić, stopień po stopniu, trzymając przed sobą latarkę.

Z głębi unosiły się niebieskawe opary. Gideon wysunął licznik, ale strzałka nie poruszyła się, wykazując nadal średnią dawkę promieniowania.

Ostrożnie zerwał taśmę uszczelniającą, zsunął kaptur i odetchnął głęboko. Powietrze było stęchłe i wilgotne, ale świeższe niż to, którym oddychał przez ostatnie minuty. Skierował latarkę w dół i światło odbiło się od powierzchni oleistej wody.

- Halo! Jest tam kto? - Głos Gideona odbił się echem od ścian stalowego pomieszczenia.

Odpowiedź padła natychmiast, metaliczny brzęk dochodzący gdzieś z tyłu, od strony rufy.

Gideon zszedł dwa stopnie, trzymając się barierki. Nie widział dalej niż na metr przed sobą. Spojrzał na oleistą wodę, ale nie potrafił ocenić jej głębokości. Neoprenowy kombinezon stanowił teraz zagrożenie. Gdyby Gideon się poślizgnął i poleciał w dół, kombinezon szybko nabrałby wody. W ciemności, obciążony kauczukowym tworzywem, van Ry mógłby z łatwością utonąć.

Zszedł jeszcze jeden stopień, potem jeszcze jeden. Przy trzeciej próbie znalazł się po kostki w wodzie. Uczepiony poręczą, zrobił krok w próżnię. Znajdował się w wąskim korytarzu biegnącym od dziobu po rufę. Gideon puścił barierkę i rozpoczął powolny marsz w stronę rufy, skąd dobiegł ostatai metaliczny odzew.

- Halo! - Chwilę nasłuchiwał. Sygnał powtórzył się. Ktoś uderzał w kadłub, nieregularnie i ze zmienną siłą, ale z jakimś rozpaczliwym uporem.

- Tutaj!

Gideon usłyszał głos, słabszy niż promień jego latarki.

- Gdzie? - zawołał.

- Tutaj.

Gideon spojrział na licznik. Dawka promieniowania była znacznie niższa niż na przednim pokładzie. Zdawał sobie sprawę z upływu czasu. Joselyn z pewnością zadzwoniła już do Instytutu. Pomoc była w drodze.

Po prawej stronie korytarza dostrzegł drzwi kabiny.

153

- Proszę się odezwać! - zawołał. Odpowiedziała mu cisza.

Promień latarki nikał w oparach i ciemności. Gideon posuwał się niemal po omacku.

- Tutaj.

Głos odezwał się znacznie bliżej. Dochodził z końca korytarza. Jeszcze kilka kroków i Gideon natknął się na otwarte drzwi. Zajrzał do środka, omiatając wnętrze promieniem latarki. Była to niewielka kuchnia; stół, prawie już zalany, piecyk z dwoma palnikami. Na powierzchni wody pływały kawałki chleba, resztki jedzenia, jakieś opakowania.

Gideon poszedł dalej korytarzem i po kilku krokach ujrzał następne drzwi, tym razem zamknięte. Nacisnął klamkę, ale drzwi nie ustąpiły. Woda musiała wypaczyć futrynę. Gideon wparł się w nie ramieniem i drewno zatrzęszczało. Uderzył ponownie, tym razem całym ciężarem ciała, i drzwi puściły. Van Ry potknął się o próg i omal nie wpadł do wody głową naprzód. Poświecił latarką, wytyczając wzrok. Pod przeciwległą ścianą znajdowała się piętrowa prycza. Dolne łóżko było już pod wodą, na górnym coś się poruszyło pod kocem.

Gideon przeszedł szybko przez kabinę, uniósł koc i poświecił. Nie był przygotowany na to, co zobaczył. Mężczyzna był kompletnie łysy, kłęby włosów leżały na poduszce niby wyliniałe futro. Wydzielał odór, mocniejszy nawet niż smrodliwe opary diesla. W pierwszym odruchu Gideon chciał założyć z powrotem kaptur i maskę, ale wiedział, że wtedy niewiele zobaczy.

Człowiek na pryczy krwawił. Z nosa i ust wyciekała mu ciemna, pienista krew, która tworzyła kałużę na sienniku. Spojrzał błagalnie na Gideona.

- Wody, wody!

Gideonowi niepotrzebny był lekarz, by stwierdzić, że mężczyzna nie dojedzie żywy do szpitala. Umierał. Zostało mu zaledwie kilka minut.

- Kim pan jest?

- Wody!

Gideon rozejrzał się po kabinie. Na stoliku, dość wysokim, by blat znajdował się jeszcze ponad poziomem wody, stał dzbanek z nierdzewnej stali. Gideon dotarł do niego, wymijając stołek i poduszkę pływającą na powierzchni.

Nagle statek przechylił się w stronę rufy. Silniki ściągały kuter w dół. „Dancing Lady” powoli tonęła.

W dzbanku nie było wody. Gideon wyszedł na korytarz i wrócił do kuchni. Woda sięgała mu już do ud. Liczył na to, że zbiorniki z wodą pitną są szczelne, nie wiedział natomiast, jak ją wydobyć bez pompy. Odkręcił kurek i wyciekło z niego trochę wody, dość, by napełnić małą szklanę. Gideon uznał, że większa ilość płynu i tak zabiłaby chorego.

Wrócił do kabiny. Na widok dzbanka z wodą mężczyzna zebrał resztki sił i próbował unieść głowę.

154

- Spokojnie - powiedział Gideon. - Powoli. - Wiedział, że mężczyzna zadławi się, jeżeli przełknie zbyt szybko. Odsunął ręce chorego i dawał mu po parę kropli wody naraz.

Mężczyzna zaczął się krztusić. Nowy strumyczek krwi spłynął mu po brodzie. Gideon otarł go rogiem koca.

- Kim pan jest? - zapytał.

- Nazywam się Jon Nordquist. To mój statek. - Mężczyzna tracił oddech. - Wody! - wykrztusił.

- Za chwilę. Gdzie jest bomba? W ładowni? Mężczyzna pokręcił wolno głową.

- Nie ma jej tu.

- Więc gdzie jest?
- Nie wiem.
- Co się stało? - zapytał Gideon.
- Ot...- Zawodził go głos. Widać było, że zbiera resztki sił. - Otworzył się.. .Kadłub bomby...
- Był dopływ powietrza? Mężczyzna skinął lekko głową.
- Zabrali ją w takim stanie?
- Wody.

Gideon używał teraz dzbanka jako bodźca, próbując utrzymać mężczyznę przy życiu przynajmniej tak długo, by się czegoś dowiedzieć. Podał mu kilka kropel wody.

Mężczyzna przełknął i wykaszał krew.

- Czy ci ludzie zabrali bombę w otwartym kadłubie? - Jeżeli tak, znajdowali się mniej więcej w takim stanie, jak Nordquist, mieli może kilka dni życia więcej, ale umierali. Przy odrobinie szczęścia plan wykorzystania bomby umrze wraz z nimi.
- Za burtę - wykrztusił Nordquist. - Mój syn.. .za burtę.
- Gdzie?
- Na morzu. Otworzyła się na pokładzie. Mój syn nie żyje.

Tych parę słów wystarczyło, by Gideon zrozumiał, co się wydarzyło. Jakimś sposobem kadłub rosyjskiego pocisku artyleryjskiego otworzył się. Pluton, razem z berylem, wysypały się na pokład. Beryl to cudowny metal, lżejszy od aluminium, mocniejszy niż stal i bardzo drogi. Ceni się go zwłaszcza za rolę, jaką spełnia w osiągnięciu masy krytycznej. Reflektor berylu mógł powielić reakcję łańcuchową i tym samym zwiększyć moc bomby.

Rybacy nie przeszli szkolenia w posługiwaniu się bronią nuklearną. Beryl jest śmiertelny. Wywołuje pylicę berylową; blokadę płuc, w wyniku której następuje uduszenie. W tych okolicznościach rybacy zrobili jedyne, co im przyszło do głowy. Umieścili rdzeń nuklearny za burta.

- Czy dlatego pokład dziobowy jest radioaktywny?

- Toczyła się... - powiedział Nordquist.

155

To wszystko wyjaśniało. Ładunek zaczął się utleniać już w bunkrze w Swierdłowsku. Uwolniony z kadłuba, toczył się po nierównym, chropawym pokładzie, rozsiewając wokół pluton. Załoga, próbując złapać srebrzystą kulę, wdychała w płuca pluton razem z berylem.

- Jeszcze wody!

- Ładunki były dwa? - zapytał Gideon.

- Wody!

Gideon wlał mu w usta kilka kropel i nastąpił kolejny atak kaszlu. Przez chwilę Holender myślał, że Nordquist go nie przetrzyma. Podłożył mężczyźnie rękę pod plecy i pomógł się podnieść, licząc na to, że w tej pozycji łatwiej oczyści płuca. Trwało to kilkanaście sekund, ale w końcu kaszel ustał.

- Musi mi pan powiedzieć! Czy była druga bomba?

Nordquist walczył o oddech. Spomiędzy spierzchniętych ust padło słowo, którego Gideon obawiał się najbardziej:

- Tak...

- Gdzie jest teraz? Nordquist nie odpowiedział.

Gideon przysunął dzbanek do jego ust, ale woda spłynęła po brodzie na szyję chorego. Van Ry zajrzał w otwarte oczy rybaka i zrozumiał, że nic

już nie widzą.

Dała mu prawie dwadzieścia minut. Nie mogła czekać dłużej. Miał zegarek i latarkę. Wniosek był prosty: znalazł w dokach coś paskudnego, inaczej wróciłby albo dał jej jakiś znak. Teraz zaczęła się martwić, że zwlekała zbyt długo.

Odwróciła się i ruszyła biegiem w stronę furgonetki Holendra. Minęła budynek portu. Jedynym wrażeniem, jakiego doznała, zanim pałka z ołowianą końcówką opadła na jej głowę, był podmuch powietrza. Nawet nie poczuła, kiedy uderzyła tyłem czaszki o beton.

24

Archipelag San Juan

Kapitan William Connors miał poważne wątpliwości. Nie otrzymał rozkazów normalną drogą, nadeszły prosto z Waszyngtonu. Jeszcze się z czymś takim nie spotkał. W jego mniemaniu było to nie tylko niezwykle, ale i niebezpieczne. Jednak nikt nie pytał go o zdanie. Zastanawiał się, kto z jego przełożonych wie, co się święci.

156

Plan był szalony. On i jego ludzie nie otrzymają praktycznie żadnego wsparcia. Nie będzie łodzi patrolowej. Powolny kuter rybacki, który miał ich zabrać z wyspy, nie rozwijał prędkości większej niż dziewięć węzłów. Connors spojrział na zegarek. Herkules C-130 leciał już piątą godzinę z morskiej bazy lotniczej w San Diego. Trzech spośród jego ludzi spało w rozkładanych fotelach. Jeszcze trzydzieści pięć minut i znajdą się nad strefą zrzutu.

- Jaka pogoda? - Connors przyłożył dłonie do ust, starając się przekrzyczeć huk czterech potężnych silników.

Mechanik pokładowy, podczas tego lotu pełniący również funkcję nadzorcy zrzutu, przygotowywał ekwipunek.

Pokazał Connorsowi uniesiony kciuk.

- W porządku. Niewielki wiatr nad powierzchnią. Nie powinno być problemów.

Łatwo mu było mówić. Nie musiał skakać w czarną przepaść z wysokości siedmiu tysięcy metrów do wody dość zimnej, by wywołać hipotermię w ciągu kilku minut. Jeżeli jego ludzie nie znajdą tratw w ciemnym morzu, utoną mimo aparatów tlenowych, płetw i strojów do nurkowania. Connors zdawał sobie sprawę, że człowiek, który zaplanował akcję, musiał być idiotą.

Skok o nazwie HALO (duża wysokość-niskie otwarcie) dałby znakomity efekt kinowy w filmie z Jamesem Bondem. Ale komandosi z jednostki SEAL, którzy zawodowo narażali życie, wiedzieli, że to szaleństwo, zwłaszcza nocą.

- Co pan nazywa lekkim wiatrem? - zapytał Connors.

- Pięć, może siedem węzłów - odparł mechanik. Przenosił sprzęt w pobliże pochylni w ogonie samolotu.

Connors poszedł za nim.

- Siedem węzłów!

- Maksymalnie - powiedział mechanik.

Connors wiedział, że to wystarczy, by na morzu pojawiły się bałwany.

Północna odnoga cieśniny Puget była zdradliwa. Odpływ w wąskich kanałach między wyspami mógł wyciągnąć człowieka na otwarty Pacyfik szybciej niż niejeden statek rejsowy.

Sądząc z mapy, ich punkt zrzutu znajdował się pół kilometra na zachód od

wyspy Padget. Jeżeli wylądują w promieniu kilometra, będą się mogli uznać za szczęśliwców.

Wyspa była skrawkiem lądu, długim na niespełna dwa kilometry, szerokim na osiemset metrów. Na zachodnim brzegu miała jedyną kamienistą plażę, reszta brzegów była urwista. Pokonanie ich wymagało sprzętu wysokogórskiego. Nie został uwzględniony w ich ekwipunku, co nie pozostawiało komandosom dużego marginesu błędu.

Plan zakładał, że dostaną się na wyspę, wykorzystując fale przyływu.

Motory odpadały, robiły zbyt wiele hałasu. Przyływ potrwa jeszcze tylko dwie godziny. Jeżeli nie dostaną się na wyspę w ciągu tego czasu, pochwyci ich odpływ i pchnie w cieśninę Juan de Fuca. Nie mieli najmniejszych szans wypłynąć poza

157

jego zasięg. A za cieśniną był już północny Pacyfik, jeden z najbardziej burzliwych obszarów wodnych na świecie. Connors bardzo nie chciał znaleźć się na nim w pneumatycznej tratwie.

- Jaka jest wysokość zrzutu? - zapytał mechanik.

- Pięć tysięcy metrów - odparł Connors.

- A otwarcia?

- Sto metrów.

- Nie zrobiłbym tego za żadne pieniądze - powiedział mechanik.

Przez ponad półtorej minuty będą spadać z prędkością dwustu kilometrów na godzinę, nie widząc, gdzie znajduje się reszta grupy. Na wysokości stu metrów otworzą spadochrony i wylądują w morzu. Będą widoczni z ziemi przez mniej więcej dziesięć sekund. Zmniejszyło to znacznie ryzyko, że zostaną zauważeni przez wartowników na wyspie, zwiększało natomiast

zagrożenie życia. Przy nocnych zrzutach nad morzem należało się spodziewać dużych strat na skutek nieszczęśliwych wypadków.

Ogromna ładownia była niemal pusta, jeżeli nie liczyć dwóch małych palet zawierających pneumatyczne tratwy, sprzęt elektroniczny, między innymi aparaturę podsłuchową oraz kamery, a także broń i amunicję na wypadek kłopotów. Connorsowi powiedziano jednak, że strzelać mogą tylko w ostateczności. Jeżeli zostaną odkryci, ludzie na wyspie, uzbrojeni w pięćdziesiątki, wystrzelają ich jak kaczki.

Palety zostały umieszczone w pobliżu pochylni w ogonie samolotu.

Mężczyźni mieli skakać z bocznych drzwi.

Do skoku pozostało osiem minut, kiedy Connors poderwał swoich ludzi i zarządził ostatni przegląd sprzętu, regulatorów aparatów tlenowych i masek.

Dwie minuty później w ładowni zapaliło się ostrzegawcze światło i mechanik lotu założył maskę tlenową. Komandosi mieli oddychać przez akwalungi.

Connors puknął w wysokościomierz na swoim przegubie i sprawdził kompas.

Trzy minuty przed czasem zrzutu rozległo się zawodzenie silników hydraulicznych i w ogonie samolotu otworzył się właz. Ogromny C-130 zatrzęsł się, kiedy zmienił się jego kształt i usterzenie.

Mechanik otworzył jedne z bocznych drzwi. Do ładowni wdarł się podmuch wiatru. Connors ustawił swoich ludzi w kolejce przy drzwiach. Zielone światło. Jeden po drugim wyskakiwali z samolotu, opadając jak kamienie ku morzu.

Connors był ostami. Miał wrażenie, że dziesiątki noży wbija mu się w

skrawek odsłoniętej twarzy między kapturem a maską do nurkowania. Starał się oddychać normalnie, podczas gdy jego ciało leciało w próżnię. W ciemności, bez punktu odniesienia, łatwo było się rozluźnić, zejść poniżej pułapu bezpieczeństwa. W takim wypadku skoczek nawet o tym nie wiedział. Uderzając w wodę z prędkością dwustu kilometrów na godzinę, po prostu się rozrywał, niby wodny balon w zetknięciu z betonowym podłożem.

158

Connors nie spuszczał wzroku z wysokościomierza. Gdzieś z boku usłyszał trzask spadochronu, jak strzał karabinowy. Jeżeli jego wysokościomierz działał, znajdowali się na wysokości siedmiuset metrów. Jeszcze nie uderzyli w wodę, a już pojawiły się kłopoty. Zastanawiał się, czy to jeden z jego ludzi czy ładunek.

Zszedł poniżej pułapu chmur i ujrzał światła. Pod nim połyskiwało miasteczko. Sprawdził kompas. Leciał twarzą ku wschodowi. Ugiął kolana i przechylił tułów, skręcając ciałem o pół obrotu. Teraz powinien mieć przed sobą wyspę Padget, ale widział jedynie czerń morza. Gdzieś daleko migały światła wielkiej rafinerii. Było to ARCO. Punkt orientacyjny dla pilota.

Trzysta metrów. Connors zacisnął palce na lince wyzwalającej spadochron, odczekał trzy sekundy i pociągnął. Czarny spadochron wybuchnął mu nad głową, podrywając ciało. Był teraz w stanie manewrować, choćby tylko przez kilka sekund i wykorzystał to, by ustawić się twarzą do wyspy. Sprawdzał właśnie kompas, kiedy niespodziewanie ujrzał pod sobą fosforyzującą powierzchnię.

Poszedł pod wodę jak kamień. Teraz chodziło o to, by nie zaplątać się w

liny ani w płachtę spadochronu. Nawet przy najmniejszym prądzie spadochron ściągał skoczka pod wodę.

Connors nacisnął przycisk wyzwalacza, uwolnił się z pasów i szybko odpłynął. Przynajmniej o spadochron nie musiał się martwić; obciążony na szwach wkrótce zatonie.

Connors wypłynął na powierzchnię, ściągnął maskę i wypłuł słoną wodę. Wiało z zachodu i na powierzchni morza pojawiły się pierwsze bałwany. Słyszał nawoływania. Wszyscy mieli halogenowe światełka umocowane na ramionach. Connors widział dwa ostre promienie migające w oddali. Założył maskę, zagryzł ustnik, zanurzył głowę i zaczął płynąć. Trwało kilka minut, zanim udało mu się dotrzeć do dwóch członków grupy. Mężczyźni szarpali się z paletą. Była nadal połączona ze spadochronem. Connors zdjął maskę i wypłuł ustnik.

- Co się stało?

- Nie możemy jej uwolnić.

Spadochron napełnił się wodą i działał jak ogromna kotwica. Tonał, pociągając za sobą paletę ze sprzętem.

Connors wydobył nóż z pochwy na łydce, chwycił pęk lin i przeciął. Spadochron zniknął pod wodą, a uwolniona paleta wyprostowała się. Wyjęli z kanistra metalowe wiosła i odcięli liny mocujące pneumatyczną tratwę. W niecałą minutę wypełniła się sprężonym powietrzem.

Dwaj mężczyźni wdrapali się na pokład, Connors przywiązał paletę ze sprzętem i dołączył do swoich podkomendnych. Umieścili zbiorniki z tlenem na dnie i zdjęli płetwy, nie przestając ani na chwilę wypatrywać pozostałych dwóch członków ekspedycji.

Ale na powierzchni morza nie ukazało się żadne światełko. Connors

spojrzał na zegarek.

159

- Jak długo możemy czekać? - zapytał jeden z mężczyzn.

- W ogóle nie możemy czekać.

- Ale oni gdzieś tu są.

- Wiem.

- Mogą mieć kłopoty.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

Connors spojrział w stronę wyspy rysującej się mgliście na tle ciemnego nieba. Słychać było fale rozbijające się o głazy czy może plażę. Wkrótce światło dnia rozjaśni powierzchnię morza.

- Nie dotrzemy do nich, jeżeli są za nami. Jeżeli natomiast znajdują się między nami a wyspą, dadzą sobie sami radę. - Connors był pewny, że nawet bez tratwy jego ludzie dotrą do brzegu. Wylądowali bardzo blisko. Nadal szukali na wschodzie migotliwych światełek, ale wokół panowała jednolita ciemność.

- Nie możemy tu zostać i nie możemy ich szukać. - Connors wiedział, że wyczerpią siły, wiosłując przeciwko fali i szukając w ciemności. Świt zastanie ich na otwartej przestrzeni morza. Jeżeli ludzie na wyspie są tak niebezpieczni, jak to dano Connorsowi do zrozumienia, trójka nurków na tratwie będzie mogła pożegnać się z życiem. Reszta grupy musi znaleźć drugą tratwę albo dopłynąć wpław. On miał zadanie do wykonania.

- Znajdziemy ich na plaży - powiedział Connors. - Do wiosła!

Kanał San Juan

Joselyn krwawiła z nosa, na potylicy miała guza wielkości gęsiego jaja.

Czuła go, kiedy jej głowa obijała się o coś twardego. Ocknęła się na dnie

małej łodzi pędzącej, z wielką szybkością po krótkiej fali. Ręce miała skrępowane na plecach, oczy zakryte przepaską, która nie do końca spełniała swoje zadanie. Zerkając spod jej brzegu, Joselyn mogła rozejrzeć się po kajucie. Węzeł chustki uciskał ją w tyle głowy, sprawiając dotatkowy ból.

Od czasu do czasu z zewnątrz kajuty dobiegały podniesione głosy mężczyzn, przekrzykujących ryk silnika i huk wody.

Joselyn straciła poczucie czasu. Nie miała pojęcia, jak długo była nieprzytomna. Leżała w kałuży wody, w oparach benzyny. Ból głowy i rzucanie statku przyprawiły ją o mdłości. Była już bliska zwymiotowania, kiedy nagle silnik ucichł i statek toczył się już tylko siłą rozpędu. Kilka sekund później dziób uderzył o coś mocno i łódź stanęła, kołysząc się lekko na boki. Joselyn nie wiedziała, czy przybili do pomostu czy do innego statku.

- Gdzie ona jest? - Tym razem głos dobiegł spoza łodzi.

- Na dole.

- Wnieście ją do chaty. Thorn i Taggart wyruszają za dwadzieścia minut.

Thorn nie chce opuścić wyspy, nie wiedząc, co jest grane.

160

Joselyn usłyszała skrzypnięcie drzwi za plecami i głosy stały się wyraźniejsze. Rozluźniła ciało, udając nieprzytomną. Ktoś szturchnął ją w bok.

- Wstawaj! - usłyszała. Nie poruszyła się.

- Jest nieprzytomna. Na pewno jej nie zabiłeś?

- Nie uderzyłem jej aż tak mocno.

- To dobrze. Zanieś ją do chaty.

Czyjaś dłoń chwyciła ją za kostkę i pociągnęła po szorstkim drewnianym dnie łodzi. Joselyn nie stawiała oporu, chociaż drewno otarło jej skórę na ramieniu.

- Chwyć ją za rękę. Ja wezmę za nogi.

- Sam ją zanieś. Nie waży więcej niż sześćdziesiąt kilogramów. - W drugim głosie pobrzmiwała irytacja.

Poczuła, że ktoś wsuwa jej ręce pod kolana i plecy. Mężczyzna podniósł ją bez wysiłku. Pozwoliła, by głowa opadła jej w tył, chociaż ból stał się przez to nie do zniesienia. Usta miała otwarte. Wyczuwała, że dopóki biorą ją za nieprzytomną, jest stosunkowo bezpieczna. Porwali ją w jakimś celu; prawdopodobnie, by się czegoś dowiedzieć, inaczej wyrzuciliby ją za burtę w cieśninie.

Spod przepaski widziała światła latarek, słyszała dudnienie kroków na drewnianym pomoście.

-. Czekają w chacie.

- Będą potrzebne sole trzeźwiące - powiedział niosący ją mężczyzna.

- Może mają amoniak.

Zaczęli wchodzić na schody, kamienne albo betonowe, Joselyn nie była pewna. Czuła tylko, że są strome i wspinaczka trwa długo. Oddech mężczyzny stał się ciężki. Po chwili odezwały się nowe głosy, zamigotały światła. Spod przepaski dostrzegła skrawek zadaszonej werandy i oświetlone okna.

Ktoś otworzył przed nimi drzwi i na zewnątrz wylał się gwar głosów. Ktoś krzyczał.

- Trzeba było mnie słuchać! Mówiłem, żeby nie zatapiać trawlera!

- Tak, tak, Charlie! Mówiłeś też, że zepchnąłeś z promu tę babkę.

Pamiętasz?

- Bo zepchnąłem! Czego się czepiasz?

- Bo to najcięższy, kurwa, duch, jakiego w życiu widziałem. - Mężczyzna sapał i dyszał.

- Zepchnąłem samochód, a ona była w środku.

- No więc wyparowała.

- Ty, słuchaj! Może sam zrobiłbyś to lepiej.

- Mój sześćoletni siostrzeniec zrobiłby to lepiej.

- A teraz federalni węszą w porcie, gadają z Bóg wie kim. - Do dyskusji włączyli się inni.

- To chyba nie byli federalni.

11 - Masa krytyczna

161

- A kto?

- Gdzie mam ją położyć? - wydyszał mężczyzna.

- W sypialni na końcu korytarza.

- Dlaczego nie schwytaliście faceta? - usłyszała jeszcze.

- Był w dokach.

- A co, boicie się tam pójść?

- Pewnie, że tak! To kurewstwo sprawia, że zaczynasz świecić jak pieprzony neon. Nie widziałeś tych rybaków, jak wypluwali sobie płuca, co?

- Mówiłem, żeby kupić te gumowe kombinezony

- A ja mówię, żeby pryskać z tej zaszrannej wyspy, zanim zjawią się tu federalni. Teraz to już nie znamy dnia ani godziny.

- Skąd mieliby o nas wiedzieć? - odezwał się zupełnie inny głos. W pokoju

ucichło, jakby makiem zasiał.

- Chciałem tylko powiedzieć, że powinniśmy opuścić wyspę, dopóki jeszcze możemy.

- Czyżbyś wiedział o czymś, o czym my nie wiemy? - zapytał człowiek, którego pojawienie się położyło kres dyskusji. Jego głos wydał się Joselyn dziwnie znajomy, ale nawet nie drgnęła. Zamierzała udawać nieprzytomną, jak długo się da.

- Nic nie wiem.

- Chyba strasznie się boisz federalnych? - Znowu ten sam znajomy głos.

- Mam powody. Ta kobieta...

- Ta kobieta nie jest z FBI.

- Ona może nie, ale ten facet w dokach...

- Przypuszczam, że on również nie.

- Skąd pan wie?

- Naprawdę uważasz, że gdyby rząd federalny podejrzewał, że ktoś trzyma broń masowej zagłady w tym doku, wysłałby tam jednego człowieka, a na straży postawił kobietę?

- Nie wiem.

- Możesz mi wierzyć, że byłby tam teraz dwuosobowy oddział wojska.

Mamy do czynienia z amatorami.

W pokoju rozległ się szmer potakiwań.

- Martwisz się na zapas. Musisz się wyluzować. Będziesz żył dłużej.

- Tak, Charlie, wyluzuj się.

Głosy cichły, w miarę jak mężczyzna niosący Joss oddalał się od pokoju.

W końcu postawił ją na podłodze, wsparł o ścianę i podtrzymując jedną ręką, drugą otworzył drzwi.

Przeszedł przez pokój i rzucił ją na łóżko jak worek kartofli. Usłyszała oddalające się kroki.

- Nieźle ją stuknąłeś - odezwał się głos od drzwi. - Marny twój los, jeżeli ona nie żyje. Thorn chce z nią rozmawiać.

- Pieprzyć Thorna! Wszystko to zaczyna mi wychodzić bokiem.

162

- Dobra, jemu to powiedz.

Zamknęli drzwi i Joselyn usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Prawie minutę leżała nieruchomo, nasłuchując. W sąsiednim pokoju nadal dyskutowano. Od czasu do czasu wychwytywała jakieś słowo.

W pokoju było ciemno. Przez szparę w przepasce widziała skrawek tapety i część sufitu. Nie drgnęła nawet, nasłuchując odgłosu cudzego oddechu. Chciała się upewnić, że jest sama w pokoju, zanim ruszy choćby palcem. Uspokojona, przekręciła się na bok i zaczepiwszy stopą o krawędź łóżka, usiadła z trudem. Przechylając głowę do tyłu, mogła obejrzeć spory kawałek pokoju. Okazał się dużą sypialnią, urządzonej przez kogoś, kto miał pieniądze. Przyległa łazienka wykończona była marmurem.

Joselyn wstała. Przez chwilę było jej słabo, rezultat uderzenia w głowę.

Wolno postąpiła krok, potem drugi. Przeszła przez pokój, z odrzuconą do tyłu głową, zerkając spod przepaski, żeby nie wpaść na ścianę i nie

zawadzić

o mebel.  
Zatrzymała się w drzwiach łazienki. Dostrzegła przełącznik światła, z małą żaróweczką, która pozwalała odnaleźć go nawet w ciemności. Mogła wcisnąć kontakt nosem albo ramieniem, ale bała się, że ktoś zobaczy światło przez szparę w drzwiach sypialni.

Joselyn podeszła do szarki umywalkowej i odwróciła się do niej tyłem. Związanymi dłońmi otworzyła górną szufladkę. Namacała przedmioty znajdujące się w środku: szczotka, grzebień, coś śliskiego, chyba lusterko...

Odwróciła się i zerknęła do szuflady. Gdzieś tu muszą być nożyczki, coś na tyle ostrego, żeby przeciąć więzy. Niestety, bez światła niewiele mogła zobaczyć.

Usłyszała kroki na korytarzu. Zatrzasnęła szufladkę, pięcioma wielkimi krokami przebyła pokój, rzuciła się na łóżko i odwróciła głowę do ściany w momencie, gdy ktoś przekręcił klucz. Drzwi się otworzyły i chwilę później zapłonęło światło.

- Zostaw mnie z nią samego.

Czekała. Całą wieczność. Nie poruszyła się, udając nieprzytomną.

Usłyszała kroki zbliżające się do łóżka. Materac ugiął się pod ciężarem mężczyzny. Usiadł

I rozwiązał jej ręce, potem ściągnął z twarzy przepaskę. Ale Joss poruszyła się dopiero wtedy, gdy zerwał taśmę z jej ust.

- Możesz już otworzyć oczy.

Ten znajomy głos. Wiedział, że nie jest nieprzytomna. Gra skończona.

Odwróciła głowę i zmrużyła powieki przed światłem, jedną ręką osłaniając oczy. Miała kłopoty ze skupieniem wzroku. Dostrzegła tylko ciemną sylwetkę, rysy twarzy mężczyzny skrywał cień.

Potarła oczy. Mężczyzna odsunął się o krok, wchodząc w krąg światła, i Joselyn poczuła, jak jej twarz tężeje w wyrazie osłupienia. Spoglądał z tym samym uśmiechem, z jakim pożegnał ją na pomoście przed wejściem do samolotu.

- Jesteś zaskoczona, że mnie widzisz? - zapytał Belden.

- Byłeś...

- Martwy? Skinęła głową.

- Mózg rejestruje to, co widzą oczy - powiedział

- Ten samolot...

- Musiałem coś zrobić. Twój rząd miał do mnie całą listę interesujących pytań, na które nie potrafiłbym odpowiedzieć. Musiałem umrzeć.

- A samolot?

- Kwestia elektroniki i materiałów wybuchowych. Oczywiście musiałem poczekać, aż zjawisz się ty. Nie śpieszyło ci się. Zacząłem się nawet obawiać, że w ogóle nie przyjdiesz. Eksplozja bez świadka nie miała sensu. Bez kogoś, kto widział, jak wchodzę do kabiny, kto zidentyfikowałby mnie jako ofiarę. Przyznasz, że trudno o lepszego świadka niż własny adwokat.

- Czy dlatego mnie wynająłeś?

- Och, nie, nie! Powinnaś mieć o sobie wyższe mniemanie. Przyszedłem do ciebie, ponieważ jesteś dobrym prawnikiem. Zbyt dobrym, jak się okazało. Zrobiłaś się ciut za bardzo dociekliwa, za bardzo zaangażowałaś się w sprawy niektórych swoich klientów.

Zrobiła głupią minę.

- Rybaków. Wiedzieliśmy, że są chorzy. Nie wiedzieliśmy tylko, czy znają źródło swojej choroby. Czy wiedzą o „Dancing Lady”.

- O czym?

- Prawda! - powiedział Belden. - O tym nie możesz wiedzieć. Ale twój znajomy w dokach już się pewnie zorientował w sytuacji. A propos, kim

on jest?

- Kimś, kto przysporzy ci mnóstwo kłopotów - powiedziała Joselyn.

- Co za ulga! Bałem się, że już to zrobił. Bez wątpienia słyszałaś rozmowę w tamtym pokoju.

Potrząsnęła głową.

- Och, zapomniałem. Byłaś przecież nieprzytomna. - Uśmiechnął się, jakby rozbawiło go własne poczucie humoru. - Mogę przynieść ci coś do picia?

Ponownie potrząsnęła głową, chociaż konała z pragnienia.

- Możemy załatwić sprawę w kulturalny sposób. Ci panowie w sąsiednim pokoju nie są w dobrym humorze. Niepokoi ich obecność twojego znajomego w dokach. Jestem pewny, że możesz rozproszyć ich obawy.

- Oczywiście - powiedziała Joselyn. - To gość z piechoty morskiej. Jego kumple się spóźnili, bo musieli rozgrzać helikoptery.

Belden spojrzał na nią z wyrzutem.

- Pracuje dla rządu?

- Tak.

Pochylił się i uderzył ją w twarz.

- Nie.

164

Uderzył jąpo raz drugi, wierzchem dłoni.

- Może.

Tym razem uderzenie niemal ją zamroczyło.

- Kto to jest? Nie odpowiedziała.

Belden przysiadł na brzegu łóżka, skrzywił się lekko, potem sięgnął do kieszeni spodni i wyjął przedmioty, które go uwierały: kluczyki, składany

nóż, jakieś ścinki papieru i wizytówkę. Położył to wszystko na nocnym stoliku.

- Ci faceci w sąsiednim pokoju nie są tak mili jak ja. Powinnaś mi zaufać.

- Rozumiem. Oni nie poprzestają na biciu kobiet.

- Właśnie.

- Ostatnim razem, gdy ci zaufałam, zostawiłeś mnie w sądzie na pastwę prokuratora.

- Był taki dociekliwy - powiedział Belden. Spojrzał na zegarek. - Z przyjemnością bym z tobą pogawędził, ale niestety, nie mamy czasu.

- Przypuszczam, że jeżeli powiem ci wszystko co wiem, to mnie wypuścisz?

- Nie.

- Tak też sądziłam.

- Ale można umrzeć na wiele sposobów - powiedział Belden. - Niektóre z nich są względnie bezbolesne.

- Nie wątpię, że jesteś w tej branży specjalistą. Pozwolisz mi więc wybrać truciznę?

- Jeżeli będziesz chciała.

- Świetnie! Chcę zginąć w sfingowanej katastrofie lotniczej. Belden się roześmiał.

- Bardzo żałuję, że nie spotkaliśmy się w innych okolicznościach. W innym miejscu, w innym czasie.

- Ale ty jesteś tak zajęty, przewożąc te wszystkie bomby...

Po raz pierwszy w trakcie tej rozmowy uśmiech zniknął z twarzy Beldena.

- Kto ci to powiedział? Joselyn milczała.

- Twój wysoki przyjaciel? Patrzyła na niego, nie odzywając się.

- A może prokurator federalny? - Pochylił się, wsparty jedną ręką o łóżko.

- Powiedz mi! - Podniósł lekko głos.

Joselyn patrzyła mu w twarz, kiedy jego pięść trafiła ją w policzek. Głowa odskoczyła jej w lewo, ból wybuchnął jak fajerwerk. Przez chwilę bała się, że zemdleje. W ustach czuła słonawy smak krwi. Z trudem skupiła wzrok. Belden znów się uśmiechał.

- Mnie możesz powiedzieć. W końcu jesteś moim adwokatem - powiedział. - Naprawdę nie powinniśmy mieć przed sobą tajemnic. Wyczuwała, że Belden nakręca sam siebie. Lubił bić kobiety.

165

Uderzył ją po raz drugi, wierzchem dłoni.

- Może.

Tym razem uderzenie niemal ją zamroczyło.

- Kto to jest? Nie odpowiedziała.

Belden przysiadł na brzegu łóżka, skrzywił się lekko, potem sięgnął do kieszeni spodni i wyjął przedmioty, które go uwierały: kluczyki, składany nóż, jakieś ścinki papieru i wizytówkę. Położył to wszystko na nocnym stoliku.

- Ci faceci w sąsiednim pokoju nie są tak mili jak ja. Powinnaś mi zaufać.

- Rozumiem. Oni nie poprzestają na biciu kobiet.

- Właśnie.

- Ostatnim razem, gdy ci zaufałam, zostawiłeś mnie w sądzie na pastwę prokuratora.

- Był taki dociekliwy - powiedział Belden. Spojrzał na zegarek. - Z przyjemnością bym z tobą pogawędził, ale niestety, nie mamy czasu.

- Przypuszczam, że jeżeli powiem ci wszystko co wie, to mnie

wypuścisz?

- Nie.

- Tak też sądziłam.

- Ale można umrzeć na wiele sposobów - powiedział Belden. - Niektóre z nich są względnie bezbolesne.

- Nie wątpię, że jesteś w tej branży specjalistą. Pozwolisz mi więc wybrać truciznę?

- Jeżeli będziesz chciała.

- Świetnie! Chcę zginąć w sfingowanej katastrofie lotniczej. Belden się roześmiał.

- Bardzo żałuję, że nie spotkaliśmy się w innych okolicznościach. W innym miejscu, w innym czasie.

- Ale ty jesteś tak zajęty, przewożąc te wszystkie bomby...

Po raz pierwszy w trakcie tej rozmowy uśmiech zniknął z twarzy Beldena.

- Kto ci to powiedział? Joselyn milczała.

- Twój wysoki przyjaciel? Patrzyła na niego, nie odzywając się.

- A może prokurator federalny? - Pochylił się, wsparty jedną ręką o łóżko.

- Powiedz mi! - Podniósł lekko głos.

Joselyn patrzyła mu w twarz, kiedy jego pięść trafiła ją w policzek. Głowa odskoczyła jej w lewo, ból wybuchnął jak fajerwerk. Przez chwilę bała się, że zemdleje. W ustach czuła słonawy smak krwi. Z trudem skupiła wzrok. Belden znów się uśmiechał.

- Mnie możesz powiedzieć. W końcu jesteś moim adwokatem - powiedział. - Naprawdę nie powinniśmy mieć przed sobą tajemnic  
Wyczuwała, że Belden nakręca sam siebie. Lubił bić kobiety.

- Przecież ci zapłaciłem - ciągnął. - Może za mało? - Jego pięść wylądowała na jej drugim policzku i poziom bólu podniósł się o kilka kresek. - Mam chyba jakieś prawa jako klient. Nie wiem, czy nie złożę zażalenia do izby adwokackiej. Mój adwokat nie chce mi powiedzieć, co się dzieje.

Uniósł rękę do kolejnego uderzenia, kiedy drzwi się otworzyły. Poprzez mgłę zasnuwającą jej oczy Joselyn ujrzała mężczyznę stojącego w progu. Czuła, jak stróżka krwi spływa jej po brodzie z kącika ust.

Mężczyzna był niski, miał łagodne brązowe oczy i przerzedzone włosy. Ubrany był jak do podróży, w ręku trzymał walizkę. Na chwilę jego oczy napotkały wzrok Joselyn. Coś w jego spojrzeniu napełniło ją spokojem, jakby wniósł ze sobą człowieczeństwo. Było to współczucie zmieszane z żalem.

Belden zastygł z uniesioną ręką.

- Och, pan...- Omal nie wymienił nazwiska. - Przedstawiam panu mojego adwokata, panią Cole. Mieliśmy krótką wymianę zdań..

- Czas jechać. - Mężczyzna przerwał kontakt wzrokowy, odwrócił głowę. W tym momencie Joselyn zrozumiała, że można ją uznać za martwą.

Belden zgarnął z nocnego stolika przedmioty, które tam położył, wszystkie z wyjątkiem jednego. Wizytówka została, zmięta i przybrudzona.

- Żałuję, że nie mogę pozostać dłużej - powiedział. - Ale wszystko, co dobre, szybko się kończy.

- Do następnego razu - odparła Joselyn. Krew sączyła się jej z ust, ogień płonął w oczach. Żałowała, że Belden odchodzi. Gdyby dał jej jeszcze chwilę, wyszedby z tego starcia z trwałymi bliznami. Drogo by za to zapłaciła, ale on miałby po niej pamiętkę.

- Obawiam się, że następnego razu nie będzie. - Obrzucił ją spojrzeniem, trzema krokami przemierzył pokój i zamknął za sobą drzwi.

25

Wyspa Padget, stan Waszyngton

Connors nie czuł już palców. Drętwiały w wodzie o temperaturze dziesięciu stopni. Trzech mężczyzn z trudem wciągało tratwę pneumatyczną na kamienistą plażę. W ciemności, w terenie pozbawionym charakterystycznych punktów orientacyjnych Connors nie był nawet pewny, czy wylądowali na wyspie Padget. Rozejrzał się po wybrzeżu. Poszarpana linia urwiska i niewielka zatoczka u ujścia strumyka odpowiadały mapie, którą przestudiował w samolocie.

Plaża w niczym nie przypominała piaszczystych wydm wokół San Diego, gdzie odbywali szkolenie. Mężczyźni brnęli przez płytką zatokę, ślizgali się na omsza-

166

tych głazach i plątali w wodorostach, próbując usunąć tratwę wraz z ładunkiem poza zasięg fal przyływu.

Connors przysiadł wraz z innymi po zawietrznej wielkiego otoczaka i lustrował plażę, wypatrując termogramów.

- Myśli pan, że Scofield i Reams dobili do brzegu? - Jeden z towarzyszy Connorsa spojrział na dowódcę. Chłopak nie miał więcej niż dziewiętnaście lat. Po raz pierwszy uczestnił w akcji i był przerażony.

- Nie wiem.

- Nie powinniśmy ich poszukać?

- Wyjmijcie radio - rozkazał Connors.

Spizowymi nożami rozcięli czarną neoprenową powłoką palety i otworzyli

wieko metalowego kontenera. W ciągu kilku sekund wydobyli mały, podręczny zestaw radiowy. Miał zasięg nie przekraczający mili, działał za to na niskiej, bezpiecznej częstotliwości.

Connors włączył nadajnik.

- Suseł, tu Suseł Jeden, czy mnie słyszysz?

Puścił przycisk. Słysząc było jedynie trzaski. Connors zmniejszył głośność, przez wzgląd na wartowników w bunkrze na urwisku.

- Suseł, tu Suseł Jeden. Czy mnie słyszysz? Trzaski.

- Może powinniśmy poszukać ich na plaży - odezwał się młody komandos.

- Może stracili ekwipunek.

- Nie ma na to czasu - odparł Connors. - Jeżeli są na wyspie, dołączą do nas.

- Jeżeli zostaniemy tutaj, zaraz nas znajdą wartownicy. - Trzeci mężczyzna był starszy, bardziej doświadczony niż jego towarzysze. Uczestniczył w akcjach w Panamie i Zatoce. Wiedział, czego boi się Connors: przy nocnym zrzucie nad morzem należało się spodziewać pięćdziesięciu procent strat na skutek działania sił natury - fal, pogody, morza.

- Teraz musimy odszukać ten posterunek na urwisku - powiedział Connors.

- Ale Richie i Jason...

- Richie i Jason wiedzieli, w co się pakują - nie ustępował Connors. - Nie możemy im pomóc, nie możemy ich teraz szukać. Rozumiesz?

Chłopak rozumiał, chociaż nie był tym zachwycony.

- Według mapy bojówka ma pięćdziesiątkę, gdzieś tam w górze, między drzewami.

W normalnych warunkach zdjęliby wartownika za pomocą cichej serii albo noża. W tym wypadku było to niemożliwe. Pozwolono im strzelać

jedynie w obronie własnej. Misja została zakwalifikowana jako „inne niż wojna”, jako operacja, która, jeżeli zakończy się pomyślnie, nie zostanie nigdzie odnotowana. Zadanie polegało na tym, żeby dostać się niepostrzeżenie na wyspę, niepostrzeżenie zainstalować aparaturę - miniaturowe kamery, urządzenia podsłuchowe oraz nadajnik mikrofalowy - po czym wydostać się z wyspy, również niepostrzeżenie.

167

Otworzyli wodoszczelny pojemnik i wydobyli broń. W każdej palecie znajdowało się sześć karabinów: dwa M-16, jeden M-14 do działań na odległość, pistolet automatyczny MP-5 i dwie beretty z tłumikami. Plan zakładał, że jeżeli już będą musieli strzelać, będą strzelać celnie. Będą celować w pierś lub w czoło. W przeciwieństwie do aktorów filmowych opróżniających magazynki po magazynku, komandosi mieli ograniczenia. Amunicja była ciężka. Wystarczyło zabrać jej za dużo, żeby pójść na dno jak kamień.

W wyposażeniu uwzględniono również jeden lekki karabin maszynowy. Dopiero teraz Connors odkrył, że stracił M-60 razem z dwójką swoich ludzi.

- Musiał być w drugiej palecie.

- Sprawdzić sprzęt elektroniczny - rozkazał Connors.

Gdy młody komandos otwierał drugi pojemnik, Connors rozdzielał amunicję. Każdy wziął karabin, Connors dodatkowo obarczył się MP-5, a jedną z bereft wsunął do plecaka.

W drugim plecaku znalazło się pięć małych mikrofonów wraz z miniaturowymi kamerami, które pozwalały robić zdjęcia szerokokątne z niewielkiej odległości.

Do oddzielnej torby zapakowali nadajnik oraz ważące siedem kilogramów matalowe pudło ze składanym talerzem. Umieszczą je w najwyższym punkcie wyspy, zwrócone ku południowemu zachodowi. Będzie wysyłało sygnały wizyjne i akustyczne na specjalnej podsłyszalnej częstotliwości do satelity w kosmosie. Stamtąd przekaz powędruje do bazy marynarki wojennej w Everett, sześćdziesiąt kilometrów na południe.

- Sprawdzić baterie!

Komandos włączył nadajnik i czekał, aż zapali się żaróweczka wielkości główki od szpilki.

- W porządku.

Odcięli linę łączącą paletę z pneumatyczną tratwą, przedziurawili nożami jej gumowe skrzydła, po czym zasypali kamieniami. Ktokolwiek znalazłby teraz paletę, uznałby ją za strzęp gumy wyrzucony przez morze.

Tratwę wraz z aparatami tlenowymi i sprzętem do nurkowania przeciągnęli w głąb plaży. Ukryli sprzęt w krzakach i przykryli gałęziami. Nasmarowali twarze oraz wnętrza dłoni czarną i zieloną farbą, uzupełniając kamuflaż zmyty przez wodę.

Connors spojrzął na zegarek. Do świtu pozostały dwie godziny. W kompletnym milczeniu trzech mężczyzn zaczęli się wspinać na wysoki brzeg.

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Sy Hirshberg rozlokował się w Pokoju Operacyjnym, w piwnicy Zachodniego Skrzydła. Spędził tu całą noc, czekając na wiadomość z bazy marynarki wojennej w Everett. Na wschodnim wybrzeżu była już siódma rano i Hirshberg zaczynał się poważnie niepokoić.

- Co słytać?

Odwróciwszy się, ujrział prezydenta, który wchodził właśnie do pokoju.

- Nic. Ani słowa od chwili zrzutu.

- Jest jeszcze wcześnie - powiedział prezydent. Hirshberg spojrział na zegarek.

- Powinniśmy już otrzymać wiadomość radiową.

- Myślisz, że coś poszło nie tak?

- Nie można tego wykluczyć. Uważam, że powinniśmy przygotować plan awaryjny. Jeżeli ci ludzie wpadli w tarapaty...

- Nic im nie będzie - powiedział prezydent. - To komandosi. Najlepsi z najlepszych. Nie chcę zareagować za ostro. Nie chcę powtórki Vaco.

Hirshberg był zaniepokojony. Komandosi byli niedostatecznie uzbrojeni, nie wspierani i nie osłaniani. Nie mieli zapewnionego szybkiego odwrotu.

- Myślę, że podjęliśmy słuszną decyzję - powiedział prezydent.

Hirshbergowi nie podobało się, że szef użył liczby mnogiej.

- Przykro mi, panie prezydencie, ale jestem innego zdania. Powinniśmy wysłać wojsko.

- I zwrócić uwagę połowy kraju?

Hirshberg znał prezydenta i dobrze wiedział, czego ten boi się najbardziej. Bał się środków masowego przekazu.

- Tak, jestem przekonany, że postąpiliśmy słuszenie - powtórzył prezydent.

- Jeżeli się nie udało, straciliśmy atut, jakim było zaskoczenie - odezwał się Hirshberg. - A jeżeli mają ładunek gotowy do detonacji?

Prezydent rozważał w milczeniu konsekwencje.

- Lepiej tam niż w jakimś dużym skupisku ludzi - orzekł.

Hirshberg nie wierzył własnym uszom. Wyraz jego twarzy zdradzał myśli.

- Posłuchaj, Sy, wcale nie jestem przekonany, czy ta bomba w ogóle istnieje. Chcesz znać moje zdanie? Myślę, że uganiamy się za własnym ogonem. Nie ma żadnego ładunku i nigdy nie było.

- A szczątki z rosyjskiego trawlera?

- Kto wie, skąd pochodzą? Może dowozili nim paliwo do łodzi podwodnych. Znasz Rosjan. Nie grzeszą ostrożnością w tych sprawach. Systemy zabezpieczeń z epoki kamienia łupanego. Pamiętasz Czarnobyl?

- Czy możemy sobie pozwolić na to, by ryzykować, panie prezydencie?

- Nie możemy i dlatego wysłaliśmy tam komandosów. Na wszelki wypadek.

Hirshberg wiedział, czego obawia się prezydent. Jeżeli wyśle wojsko, będzie musiał uzasadnić swoją decyzję, wyjaśnić naturę zagrożenia.

Pytania ze strony dziennikarzy i Kongresu doprowadziłyby wkrótce do Kolikowa i jego korporacji, a tego prezydent chciałby uniknąć.

Hirshberg podejrzewał, że Biały Dom ma już przygotowaną litanię kłamstw, na wypadek gdyby akcja komandosów poniosła fiasko.

Tragiczny wypadek na wyspie podczas ćwiczeń wojskowych. Prezydent nic o tym nie wiedział, ale zapo-

169

znaje się z faktami. Wyrazi publicznie swoje ubolewanie. Wraz z Pierwszą Damą złoży wizytę osieroconym rodzinom w San Diego. Nie po raz pierwszy spaprana tajna operacja zostanie przedstawiona jako tragiczne w skutkach manewry wojskowe.

Hirshberga ciekawiło jednak, co prezydent zrobi potem. Czy zgodzi się otoczyć wyspę Padget kordonem i wysłać wojsko, czy będzie robił uniki, dopóki nad zachodnim wybrzeżem nie wyrośnie radioaktywny grzyb?

- Panie prezydencie, musimy założyć, że jeżeli ludzie na wyspie mają bombę, użyją jej. O ile podejmiemy natychmiastowe działania, mamy szansę ich powstrzymać! Być może jest to jedna szansa na sto, ale musimy ją wykorzystać. Trzeba uderzyć całą siłą, przejąć ładunek, zanim się zorientują, co się właściwie stało.

- Jeżeli ludzie na wyspie mają bombę, naszym celem będzie odizolowanie ich od reszty świata. Niech bomba pozostanie tam, gdzie jest. A tych ludzi trzeba umęczyć pertraktacjami - powiedział prezydent.

- Chce pan negocjować z terrorystami?

- Nie powiedziałem, że będziemy negocjować. Powiedziałem, że mamy ich zmęczyć.

- A jeżeli nie dadzą się zmęczyć? Jeżeli postanowią nacisnąć guzik?

Prezydent westchnął ciężko.

- Nie mówimy przecież o Nowym Jorku, Bostonie czy chociażby Los Angeles. Ograniczymy straty do jednej wysepki.

- Zakładając, że bomba się na niej znajduje.

- Wysłaliśmy komandosów, żeby to sprawdzili. Nie mówmy już o tym.

Moja decyzja jest ostateczna. - Prezydent podszedł do małego stolika, na którym stał dzbanek z kawą i talerz ciastek. Spojrzał niechętnie na

słodycze. - Co to jest? Nie dostaniemy nic gorącego?

Asystent natychmiast zebrał zamówienie: jajka na bekonie i grzanki.

- Sy, zjesz coś?

- Nie, panie prezydencie. - Hirshberg stracił apetyt.

- Mamy coś, panie prezydencie - odezwał się porucznik piechoty morskiej czuwający przed ekranem komputera.

Hirshberg zerwał się z krzesła i dosłownie rzucił się w stronę stanowiska

komputerowego, zaglądając żołnierzowi przez ramię.

- Z Everett? - Prezydent odłożył nadgryzionego pączka na talerz, przeżuł i przełknął.

- Nie, proszę pana. Prezydent powrócił do jedzenia.

- Ale chyba powinien pan to zobaczyć. - Hirshberg przebiegł wzrokiem treść komunikatu.

Prezydent chwycił kubek z kawą i podszedł do stanowiska komputerowego. Informacja nie pochodziła z bazy wojskowej w Everett lecz z Departamentu Energii.

170

ŚCIŚLE TAJNE. INFORMACJE ZASTRZEŻONE. PILNE! ŹRÓDŁA CYWILNE POWIĄZANE Z INSTYTUTEM ZAPOBIEGANIA ROZPRZESTRZENIANIU BRONI MASOWEJ ZAGŁADY (SANTA CRISTA, KALIFORNIA) DONOSZĄ O RADIOAKTYWNYCH ODPADACH NA KUTRZE RYBACKIM WE FRIDAY HARBOR, NA WYSPACH SAN JUAN. SKAŻENIE MOŻE POCHODZIĆ Z ŁADUNKU NUKLEARNEGO.

- Znaleźli bombę? - zapytał prezydent.

- Nie piszą, panie prezydencie. Tylko tyle, że skażenie może pochodzić z ładunku nuklearnego. - Młody porucznik obejrzał się przez ramię.

- Proszę to wyjaśnić. Zadzwoń do kogoś w Departamencie Energii. Dwaj asystenci wybiegli z pokoju.

- Panie prezydencie, nie możemy czekać.

- Co? - Prezydent spojrział na Hirshberga.

- To nie jest zbieg okoliczności. Bojówka na wyspie. Odkrycie radioaktywnych odpadów na kutrze.

Prezydent spojrział na mapę cieśniny Puget rozwieszoną na ścianie. Wyspa Padget była otoczona mrugającym pierścieniem światła, wyznaczającym pole działania komandosów. Hirshberg chwycił laserowy wskaźnik z półeczki pod mapą i uderzył we Friday Harbor czerwoną strzałką.

- Dzieli je niecałe dwadzieścia kilometrów.

Prezydent nie mógł dłużej udawać, że nie pojmuje oczywistej prawdy.

- W Everett jest mały oddział piechoty morskiej. Helikopterami dostaną się na miejsce w ciągu godziny. - Hirshberg odrobił swoje zadanie domowe.

Postawił w stan alarmu piechotę morską. - Trzeba otoczyć kordonem Friday Harbor. Uderzyć na wyspę Padget i mieć nadzieję, że znajdziemy ładunek.

- Powinniśmy poczekać na potwierdzenie - powiedział prezydent. - Co wiemy o tym Instytucie w Kalifornii?

- Zbierają dane, informacje o broni masowej zagłady. Współpracują z wieloma agencjami. Między innymi z CIA i Departamentem Energii. Ich ludzie uczestniczą w misjach inspekcyjnych ONZ.

- Są wiarygodni?

- Tak.

W pokoju zapadła cisza. Na twarzy prezydenta pojawiła się rezygnacja. Stało się to, czego człowiek u władzy boi się najbardziej: jego pole manewru zostało zawężone przez wydarzenia, nad którymi nie miał kontroli.

- Panie prezydencie, im dłużej zwlekamy, tym większe ryzyko, że przewiozą ładunek w inne miejsce - powiedział Hirshberg. - Istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, że ponownie go odnajdziemy.

Prezydent milczał.

- Panie prezydencie, piechota morską będzie potrzebowała czasu, by przygotować akcję.

171

Kanał San Juan

Skręcili w stronę Iceberg Point. Thorn pchnął manetki dwóch bliźniaczych silników. Dziób uniósł się i łódź skoczyła do przodu, prując wody cieśniny. Port w Cap Sante był odległy o godzinę, nawet przy dobrej pogodzie i dużej prędkości.

Taggart usiadł w fotelu naprzeciwko Thorn'a i podciągnął suwak kurtki, kuląc się przed chłodnym wiatrem. Utkwił wzrok w odległej wyspie, jakby nic poza nią nie istniało.

Myślał o Kirsten. Ostatnimi czasy myślał o niej coraz częściej, zastanawiając się, jak potoczyłoby się ich życie, gdyby nie umarła.

Widział rysy jej twarzy tak wyraźnie, jakby przed nim stała. Zdarzało się, że przemawiał do niej, bezwzględnie przekonany, że żona jest przy nim w każdej godzinie. I niepokoił się o Adama, który miał już pięć lat. Dręczyła go myśl, jaki świat pozostawi w spadku synowi.

- O której ma pan samolot? - Głos Thorn'a wyrwał Scotta z zamyślenia.

- O jedenastej trzydzieści.

- Zdąży mnie pan podrzucić - powiedział Thorn. - Ma pan bilet? Taggart skinął głową.

- Kiedy będzie się pan przesiadał w Denver, proszę zadzwonić po dalsze instrukcje.

- Wiem.

- Na numer komórki.

- Już to omawialiśmy - powiedział Taggart.

- Wiem. Ma pan ten numer?

- Mam.

Thorn był typem neurotycznym. Uważał, że aby coś się stało, musi wypowiedzieć to głośno.

- Nie zamierza pan z nikim się kontaktować, prawda? - zapytał niespodziewanie.

- A do kogo miałbym dzwonić? - zdziwił się Scott.

- Nie myślałem o telefonie, lecz na przykład o liście?

Taggart sięgnął do kieszeni kurtki. Wczoraj wieczorem napisał do Adama. Kilka słów wyjaśnienia, które syn przeczyta, gdy będzie starszy. List zniknął.

Kiedy Taggart podniósł wzrok, Thorn trzymał kopertę w dwóch palcach. Była zaklejona. Dobrze, że chociaż nie przeczytał listu.

- Proszę mi to oddać.

- Pozwoliłem sobie przejrzeć kieszenie pańskiej kurtki przed wyjazdem.

- Proszę mi to oddać!

Thom nie odpowiedział, nadal trzymał kopertę łopoczącą na wietrze.

- Przypuszczam, że przejrział pan również moje torby? Thorn zrobił skruszoną minę.

172

- Rozumiem, że pragnie pan, by syn dowiedział się czegoś o ojcu. Ale nie mogłem ryzykować, że wymieni pan moje nazwisko.

- Nie znam pańskiego nazwiska.

- To się dobrze składa. Proszę mi wierzyć, rozumiem pana - powiedział

Thorn. - Chce się pan przed nim usprawiedliwić. Cholera, gdybym ja zabił sto tysięcy ludzi, chciałbym, żeby cały świat wiedział, dlaczego to

zrobiłem.

- Mnie wystarczy, że będzie wiedział mój syn.

- Nie mogę pozwolić, by takie wyznaczenie wędrowało po kraju. - Thorn wypuścił kopertę z palców.

Taggart wyskoczył z fotela i próbował ją złapać, ale był zbyt powolny.

Koperta porwana przez wiatr, wylądowała w spienionej wodzie. Taggart stał i patrzył na malejący biały punkcik.

- Nie zamierzałem wysłać tego teraz - krzyknął. - Chciałem poczekać, aż to wszystko się skończy. Chciałem czekać do ostatniej chwili.

- A kiedy to będzie?

- Nie wiem. Nie powiedział mi pan.

- Otóż to! I miałem po temu ważki powód. Im mniej osób wie, tym lepiej. Wysłałby pan list z miasta-celu. Gdyby władze go przejęły, zanim mielibyśmy okazję zdetonować ładunek, zlokalizowałyby nas w mgnieniu oka. Nie wolno dać im najmniejszej szansy.

- Zakłada pan, że przejęliby list.

- To pewne. Chłopak mieszka u krewnych, tak?

Taggart nie musiał odpowiadać. Thorn przeczytał adres na kopercie.

- U rodziców żony? - Thorn nie czekał na odpowiedź. Wiedział, że się nie myli. - Nie wyświadczy im pan przysługi, wysyłając listy zza grobu. Kiedy to się skończy, weźmie ich w obroty FBI. Federalni przesłuchają każdego - przyjaciół, krewnych, narzeczone sprzed dwudziestu lat - z kim pan kiedykolwiek rozmawiał. Przenicują ich życie na drugą stronę, szukając dowodów. Taki list przysporzyłby tylko kłopotów pana rodzinie.

Taggart nie odezwał się ani słowem. Zżerał go gniew. W pełnej napięcia ciszy mężczyźni spoglądali prosto przed siebie na sine morze.

- Jeżeli chce pan porozmawiać z synem, proszę zostawić wiadomość na taśmie magnetofonowej. - Thorn sięgnął do kieszeni i wydobył miniaturowy dyktafon. Taggart patrzył w milczeniu na człowieka, który zniszczył jedyną wiadomość, jaką jego syn mógł otrzymać od swojego ojca.

- Proszę to wziąć - powiedział Thorn. - Dopilnuję, aby otrzymał kasetę. Zrobię to tak, żeby rządowi jej nie dostali. Może pan się nagrać w samochodzie, w drodze na lotnisko.

- Skąd ta troska o mojego syna?

- Nazwijmy to zabezpieczeniem. Natura ludzka jest ułomna. - Thorn patrzył prosto przed siebie, na fale rozbijane przez dziób małej łodzi. - Jeżeli nie stworzę panu możliwości porozumienia się z synem, napisze pan po prostu drugi list.

- Jaką mam pewność, że dostarczy pan taśmę?

173

- Rozumiem, że pragnie pan, by syn dowiedział się czegoś o ojcu. Ale nie mogłem ryzykować, że wymieni pan moje nazwisko.

- Nie znam pańskiego nazwiska.

- To się dobrze składa. Proszę mi wierzyć, rozumiem pana - powiedział Thorn. - Chce się pan przed nim usprawiedliwić. Cholera, gdybym ja zabił sto tysięcy ludzi, chciałbym, żeby cały świat wiedział, dlaczego to zrobiłem.

- Mnie wystarczy, że będzie wiedział mój syn.

- Nie mogę pozwolić, by takie wyznanie wędrowało po kraju. - Thorn wypuścił kopertę z palców.

Taggart wyskoczył z fotela i próbował ją złapać, ale był zbyt powolny.

Koperta porwana przez wiatr, wylądowała w spienionej wodzie. Taggart stał i patrzył na malejący biały punkcik.

- Nie zamierzałem wysłać tego teraz - krzyknął. - Chciałem poczekać, aż to wszystko się skończy. Chciałem czekać do ostatniej chwili.

- A kiedy to będzie?

- Nie wiem. Nie powiedział mi pan.

- Otóż to! I miałem po temu ważki powód. Im mniej osób wie, tym lepiej. Wysłałby pan list z miasta-celu. Gdyby władze go przejęły, zanim mielibyśmy okazję zdetonować ładunek, zlokalizowałyby nas w mgnieniu oka. Nie wolno dać im najmniejszej szansy.

- Zakłada pan, że przejęliby list.

- To pewne. Chłopak mieszka u krewnych, tak?

Taggart nie musiał odpowiadać. Thorn przeczytał adres na kopercie.

- U rodziców żony? - Thorn nie czekał na odpowiedź. Wiedział, że się nie myli. - Nie wyświadczy im pan przysługi, wysyłając listy zza grobu. Kiedy to się skończy, weźmie ich w obroty FBI. Federalni przesłuchają każdego - przyjaciół, krewnych, narzeczone sprzed dwudziestu lat - z kim pan kiedykolwiek rozmawiał. Przenicują ich życie na drugą stronę, szukając dowodów. Taki list przysporzyłby tylko kłopotów pana rodzinie.

Taggart nie odezwał się ani słowem. Zżerał go gniew. W pełnej napięcia ciszy mężczyźni spoglądali prosto przed siebie na sine morze.

- Jeżeli chce pan porozmawiać z synem, proszę zostawić wiadomość na taśmie magnetofonowej. - Thorn sięgnął do kieszeni i wydobylł miniaturowy dyktafon. Taggart patrzył w milczeniu na człowieka, który zniszczył jedyną wiadomość, jaką jego syn mógł otrzymać od swojego ojca.

- Proszę to wziąć - powiedział Thorn. - Dopilnuję, aby otrzymał kasetę. Zrobię to tak, żeby rządowi jej nie dostali. Może pan się nagrać w samochodzie, w drodze na lotnisko.

- Skąd ta troska o mojego syna?

- Nazwijmy to zabezpieczeniem. Natura ludzka jest ułomna. - Thorn patrzył prosto przed siebie, na fale rozbijane przez dziób małej łodzi. - Jeżeli nie stworzę panu możliwości porozumienia się z synem, napisze pan po prostu drugi list.

- Jaką mam pewność, że dostarczy pan taśmę?

- Żadnej. Ale może być pan pewny jednego. Jeżeli rząd położy łapy na liście, pański syn nigdy go nie otrzyma. Na dodatek przekręcą wszystko co pan powie, tak by służyło ich celom.

Taggart nie mógł odmówić mu racji. Prawdopodobnie jego nazwisko już figurowało na czarnej liście, monitorowano jego rozmowy telefoniczne i korespondencję. To dlatego ludzie na wyspie odcięli się od świata zewnętrznego. Taggard wziął dyktafon.

- Od dawna korci mnie, żeby zadać panu pewne pytanie - powiedział. - Ile panu za to zapłacili?

- Przecież pan wie. Sam pan reguluje rachunki - powiedział Thorn.

- Ma pan aż tak niskie mniemanie o mojej inteligencji? Chce mi pan wmówić, że bomby nuklearne były na świątecznej przecenie? A może kupił je pan na wyprzedaży rupieci? Przez trzy lata próbowaliśmy nawiązać kontakt. Nie chciano nam nawet podać ceny. A potem zjawia się pan, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Przez długi czas podejrzewaliśmy, że jest pan agentem rządowym.

- Skąd pewność, że nie jestem?

- Ponieważ promieniowanie na tych kutrach było prawdziwe. Podobnie jak ci ludzie, którzy wykrztuszali płuca.

- Powiedzmy, że ma pan przyjaciół.

- Kogo?

- Pański rząd wkurwił połowę świata. Niech pan zgadnie.

- Ile ci ludzie panu płacą?

- Jest pan nieźle dotowany. Chyba to pana nie obraża? Nie uwłacza godności anarchisty? Proszę się nie obawiać, panu zostanie przypisana cała zasługa.

- A co oni na tym zyskają?

- Przykrywkę. To bardzo proste. Wasze cele są identyczne. Pan chce zniszczyć swój rząd. Oni również. Pan chce, żeby świat wiedział, że to pańskie dzieło. Zrobią wszystko, by to panu zapewnić. Koszty nie grają roli. Świadkowie, dokumenty, wszystko, co pan chce. Pragną tylko uniknąć konsekwencji - ciągnął Thorn. - Użycie broni masowej zagłady przeciwko Stanom Zjednoczonym spotka się z natychmiastowym odzewem i może skończyć się dla agresora unicestwieniem. Jeżeli natomiast pański rząd, czy to, co z niego zostanie, będzie przekonany, że był to akt krajowego terroryzmu, sprawie ukręci się łeb. Bo i cóż mogą zrobić - zbombardować Seattle?

- Więc pan po prostu nakręcił ten interes? - spytał Taggart.

- To moja praca. Muszę przyznać, że jest to największy interes w mojej dotychczasowej karierze. Koniec końców, pański rząd podziękuje nam za pana.

- Nie rozumiem?

Thorn spojrział na niego z politowaniem. Facet był naiwny jak dziecko.

- Myśli pan, że politycy będą się rwali do rozpoczęcia trzeciej wojny światowej? Jak pan uważa, dlaczego tak szybko zdławili Oswalda i dlaczego upierali się, że działał sam? Srali ze strachu, że mogą być w to zamieszani Rosjanie, i że

174

będą musieli jakoś zareagować. Kiedy pan już wciśnie ten guzik, nie będą szukali sprawcy zbyt daleko. Chwyć się pierwszego wygodnego rozwiązania, aby ocalić swój kolektywny tyłek, zademonstrować społeczeństwu, że panują nad sytuacją. Będą chcieli, żeby spadły jakieś głowy. Ja nie jestem skłonny ofiarować własnej, a przy odrobinie szczęścia pańska będzie nieosiągalna. Przyjmą pierwsze lepsze rozwiązanie i nazwą to sprawiedliwością.

- Tym razem tak się nie stanie - powiedział Taggart.

- A co im przeszkodzi?

- Ludzie.

- Ludzie? - Thorn wybuchnął głośnym śmiechem. Włosy powiewały mu na wietrze. - Prawda! Ludzie. Zapomniałem o narodzie.

- Jeżeli będą działali szybko, mają szansę - powiedział Taggart. -

Zareagują.

- W ciągu dwudziestu czterech godzin na ekranie telewizyjnym pojawi się tysiąc gadających głów, każda wypowie swoją opinię na temat nuklearnej chmury, a każda opinia będzie głupsza od poprzedniej. Geraldo pokaże zdjęcia upieczonych polityków, z których spłynęło ciało, i wszyscy będą się zastanawiać, czy usmażony demokratka pachnie gorzej od stopionego republikanina. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin publiczność się znudzi i sięgnie po pilota.

Najwyraźniej Thorn nie pokładał wielkich nadziei w „narodzie”. Wiedział również, że po detonacji ładunku niewiele pozostanie miejsc na świecie, gdzie będzie się mógł schować. Od dwudziestu lat pracował dla dyktatorów republik bananowych i dla królów, którzy przesiedli się z wielbłądów do opancerzonych mercedesów. Obecne zadanie było ukoronowaniem jego kariery, ostatnią, najobfitszą manną z nieba. Ludzie zaangażowani w tę robotę nigdy już nie będą pracować. Zostaną międzynarodowymi wyrzutkami. Żadne państwo nie ośmieli się udzielić im azylu. To dlatego Thorn, w swoim wcieleniu Beldena, zdecydował się umrzeć, i to w możliwie spektakularny sposób. Dlatego ta kobieta, Joselyn Cole, musiała umrzeć - żeby jego sekret był bezpieczny.

Spojrzenie Thorna wędrujące bez celu po powierzchni morza nagle nabrało ostrości. Wyteżył jeszcze bardziej wzrok. Potem bez słowa skreślił kołem sterowym ostro w prawo. Łódź zatoczyła szeroki łuk.

Taggartem rzuciło na siedzeniu.

- Co się stało? - zapytał.

- Nie wiem.

Pierwszy brzask nadał wodzie srebrzysty, rozmigotany połysk. Przez chwilę Taggart myślał, że uległ złudzeniu. Ale przy następnej konfiguracji fal ujrzał wyraźnie przedmiot unoszący się na wodzie, ciemny, kanciasty. Dopłynięcie do niego było kwestią sekund. Taggart chwycił bosak łodziowy z korytka biegnącego wzdłuż burty i próbował zaczepić hakiem przedmiot na wodzie, ale mu się nie udało.

175

Thorn zawrócił łódź do kolejnego podejścia. Tym razem wyłączył silniki i wziął bosak od Taggarta. Przechylił się przez burzę i wycelował.

Instynktownie wiedział, co pływa tuż pod powierzchnią. Nie mówiąc ani słowa, wyjął z kieszeni składany nóż i odciął linki nośne spadochronu, potem rozerwał ochronną gumową powłokę pływającej palety.

- Co to jest? - zapytał Taggart.

- Kłopoty. - Thorn wydobył z kieszeni telefon komórkowy. Wpisał numer wyspy w jego pamięć, ale nigdy go nie używał, bojąc się podsłuchu. Teraz nie miał wyboru.

Odezwał się sygnał. Potem drugi.

- Cholera, odbierzcie to!

- Halo?

- Tu Thorn. Macie gości na wyspie. - Po drugiej stronie słyszał śmiech i gwar głosów. Bez wątpienia cała załoga zebrała się w chacie, popijając kawę i grzejąc nogi przy kominku.

- Cisza! - Wrzasnął mężczyzna, który odebrał telefon.

- Niech ludzie wracają do bunkrów - powiedział Thorn. - Wysłać patrole.

- Wojsko? - zapytał mężczyzna.

- Mam tu karabin maszynowy M-60 na palecie - powiedział Thron. - Jak myślisz?

Mężczyzna powtórzył wszystko, co usłyszał, i sądząc po odgłosach, w chacie wybuchła panika.

- Wracać do bunkrów! - powiedział Thorn. -1 jeszcze coś. Thron nie wiedział, czy jego rozmówca jest jeszcze przy telefonie.

- Halo? - zawołał.

- Słucham.

- Kobieta. Zabić ją. Zaraz.

## Wyspa Padget

Joselyn usłyszała dzwonek telefonu. Chwilę później w pokoju obok wybuchła wrzawa, wyrywając ją z otepienia. Jeden ze strażników związał jej stopy, przeciągając sznur przez pętle na przegubach, tak że leżała wygięta w łuk. Nie zakryto jej oczu, co uznała za złowieszczy znak. Mocowała się z węzłem na przegubach, rozpaczliwie próbując uwolnić dłonie. Nie potrafiła powiedzieć, co się stało, w każdym razie wywołało to sporo zamieszania. Mężczyźni biegali tam i z powrotem, rozległ się tupot ciężkich butów na drewnianej werandzie. Ktoś wykrzykiwał rozkazy z okna pokoju na piętrze.

176

- Kto ma B-A-R?

- Chyba Tom.

- Niech dyma na plażę. Ile mamy browningów?

- Dwa. Jeden nie do użytku. Od tygodnia mówię Thornowi, żeby go naprawił. Gdzie Oscar?

- Odpłynął o świcie, zaraz po Thornie.

Jeden z rozmówców musiał podejść pod dom, bo głosy rozległy się dużo bliżej, niemal pod oknem.

- Dzwonił Thom. Powiedział, że mamy nieproszone gości.

- Miejscowi czy federalni?

- Znalazł paletę pływającą w cieśninie. M-60 i mnóstwo innego sprzętu.

Sam sobie odpowiedz.

- Dziwię się, że tak długo czekali. Wiemy, ilu ich jest?

- Nie. Ściągnij ludzi na plażę i daj im coś do roboty. Przygotuj te dwa browningi i amunicję. Federalni chcą fajerwerków, więc urządzimy im

czwartego lipca, a na zakończenie duże „bum”.

- Gdzie jest łódź?

- W jaskini na zachodnim cyplu.

- Nie wiedzą o niej?

- Nie. I lepiej im nie mów, chyba że chcesz ją zamienić w kubańską łódź imigracyjną. Thorn zostawił wyraźne instrukcje. W razie kłopotów mamy przyskać z wyspy, grzać do ciężarówki i wywozić ładunek. Oscar odpłynął wczesnym rankiem, żeby go przygotować do transportu.

- Co z tymi chłopakami tutaj?

- Martwi nie zdradzają tajemnic.

- O czym ty mówisz?

- Thorn kazał mi w nocy odratować bunkry. Pieprzone skurczybyki będą strzelać na górze C-4. Jedna seria w te worki z piaskiem i polecą wspomóc boskie regimenty.

- Co z kobietą?

Joselyn przestała się miotać na łóżku i zamarła, zamieniona w słuch.

- Jak już mówiłem, martwi nie zdradzają tajemnic. No, do roboty. I kiedy wybuchnie strzelanina, nie pakuj się do żadnego bunkra.

Joss rozpaczliwie szarpnęła więzy. Słyszała, jak ktoś wchodzi do domu. Trzasnęły frontowe drzwi, potem rozległy się ciężkie kroki, przytłumione dywanem, i charakterystyczny metaliczny szczęk. Nie była znawcą, ale wiedziała, że taki dźwięk wydaje repetowana broń.

Kroki zbliżały się do jej pokoju. Przetoczyła się pod ścianę, próbując wcisnąć ciało w przerwę między ścianą a łóżkiem. Klucz obrócił się w zamku. Ktoś nacisnął klamkę i uchylił ostrożnie drzwi.

Joselyn oczy wyszły z orbit, kiedy zobaczyła cień w drzwiach. Nawet nie

odniosła wzroku na twarz mężczyzny. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w wielki otwór lufy półautomatycznego pistoletu.

12 - Masa krytyczna

177

- Kto ma B-A-R?

- Chyba Tom.

- Niech dyma na plażę. Ile mamy browningów?

- Dwa. Jeden nie do użytku. Od tygodnia mówię Thornowi, żeby go naprawił. Gdzie Oscar?

- Odpłynął o świcie, zaraz po Thornie.

Jeden z rozmówców musiał podejść pod dom, bo głosy rozległy się dużo bliżej, niemal pod oknem.

- Dzwonił Thorn. Powiedział, że mamy nieproszonych gości.

- Miejscowi czy federalni?

- Znalazł paletę pływającą w cieśninie. M-60 i mnóstwo innego sprzętu. Sam sobie odpowiedz.

- Dziwię się, że tak długo czekali. Wiemy, ilu ich jest?

- Nie. Ściągnij ludzi na plażę i daj im coś do roboty. Przygotuj te dwa browningi i amunicję. Federalni chcą fajerwerków, więc urządzimy im czwartego lipca, a na zakończenie duże „bum”.

- Gdzie jest łódź?

- W jaskini na zachodnim cyplu.

- Nie wiedzą o niej?

- Nie. I lepiej im nie mów, chyba że chcesz ją zamienić w kubańską łódź imigracyjną. Thorn zostawił wyraźne instrukcje. W razie kłopotów mamy pryskać z wyspy, grzać do ciężarówki i wywozić ładunek. Oscar odpłynął

wczesnym rankiem, żeby go przygotować do transportu.

- Co z tymi chłopakami tutaj?

- Martwi nie zdradzają tajemnic.

- O czym ty mówisz?

- Thorn kazał mi w nocy odratować bunkry. Pieprzone skurczybyki będą strzelać na górze C-4. Jedna seria w te worki z piaskiem i polecą wspomóc boskie regimenty.

- Co z kobietą?

Joselyn przestała się miotać na łóżku i zamarła, zamieniona w słuch.

- Jak już mówiłem, martwi nie zdradzają tajemnic. No, do roboty. I kiedy wybuchnie strzelanina, nie pakuj się do żadnego bunkra.

Joss rozpaczliwie szarpnęła więzy. Słyszała, jak ktoś wchodzi do domu. Trzasnęły frontowe drzwi, potem rozległy się ciężkie kroki, przytłumione dywanem, i charakterystyczny metaliczny szczęk. Nie była znawcą, ale wiedziała, że taki dźwięk wydaje repetowana broń.

Kroki zbliżały się do jej pokoju. Przetoczyła się pod ścianę, próbując wcisnąć ciało w przerwę między ścianą a łóżkiem. Klucz obrócił się w zamku. Ktoś nacisnął klamkę i uchylił ostrożnie drzwi.

Joselyn oczy wyszły z orbit, kiedy zobaczyła cień w drzwiach. Nawet nie odniosła wzroku na twarz mężczyzny. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w wielki otwór lufy półautomatycznego pistoletu.

12 - Masa krytyczna

177

Mężczyzna uniósł broń, biorąc ją na cel.

Joselyn rzuciła się na łóżku, licząc na to, że utrudni mu mierzenie.

Wcisnęła biodra w przerwę między ścianą a materacem. Coś się poruszyło.

Zacisnęła powieki i modliła się, czekając, aż pocisk rozerwie jej ciało.

Uderzenie miało potworną siłę, wibracje przetoczyły się przez nią jak fala ciepła. Miała wrażenie, że huk rozlega się wewnątrz jej głowy, przebijając bębunki w uszach. Czekwała na ból.

Tynk ze ściany obsypał jej twarz. Kiedy otworzyła oczy, zrozumiała, że już nie leży na łóżku. Ostatni podrzut ciała przesunął materac i wpadła w szparę. Pocisk uderzył w ścianę, tuż powyżej linii materaca, wyrywając dziurę wielkości jej kciuka.

Dopiero teraz zobaczyła twarz mężczyzny, czerwoną ze złości.

- Cholera!

Wycelował po raz drugi. Spod łóżka widziała jego jedno oko ponad otworem lufy. Była w pułapce, nie miała już dokąd uciekać.

Wybuch był stłumiony, prawie cichy. Przypominał dźwięk, jaki wydaje odkorkowywana butelka z piwem. Czerwona kropka ukazała się na czole tuż ponad linią lufy i rozlała się jak atrament na bibule, po czym spłynęła strumieniami po nosie mężczyzny. Na jego twarzy osiadł wyraz tępego zdumienia. Z otwartymi oczami runął na łóżko i odbił się kilkakrotnie od sprężystego materaca.

Joselyn wydała okrzyk, stłumiony przez szmatę, którą miała w ustach.

Leżała na podłodze, przyciśnięta do ściany i patrzyła ze zgrozą na rękę mężczyzny dyndającą tuż przed jej nosem.

Wtem przed domem rozległa się kanonada. Z okien posypało się szkło.

Mężczyzna ubrany był w czarny neoprenowy kombinezon nurka i wszedł przez okno. Najpierw ukazała się noga, po ułamku sekundy głowa i ramiona. Jednym płynnym ruchem wsunął się do pokoju, padł na podłogę, odwrócił się na plecy i ostrzelał wybite okna. Odgłos, jaki wydawała jego

broń, przypominał szybko następujące po sobie plaśnięcia.

Kule dziurawiły ściany nad jego głową, rozrywały drewniane framugi.

Kolejna seria rozbiła górne okna i na pokój posypało się szkło. Spuszczona roleta była podziurawiona jak sito. Mężczyzna padł plackiem na podłogę i przez chwilę Joselyn myślała, że nie żyje. Odwrócił głowę, aby na nią spojrzeć.

- W porządku?

Joselyn pokiwała głową, patrząc na niego wybałuszonymi oczami.

Błyskawicznie wpełzł pod łóżko, usunął knebel z jej ust, wydobył skądś nóż i rozciął więzy.

- Nic mi nie jest - wybełkotała, rozcierając zdrętwiałe przeguby.

Znów rozległy się strzały. Roleta spadła na podłogę i pokój zalało słoneczne światło.

- Nie możemy tu zostać. Za kilka minut do akcji wejdzie Zielony Kolos i z tego domu zostaną wióry.

178

Chwycił ją za ramię i wyciągnął spod łóżka. Podążyła za nim, najprędzej jak potrafiła. Kule dziurawiły ścianę nad ich głowami. Lustro nad toaletką rozprysło się na milion cząsteczek. Srebrne okruchy obsypały włosy Joselyn, zadrasnęły jej policzek.

- Kim pan jest?

- Nie czas na prezentacje.

Machinalnie otarła krew z policzka. I wtedy jej wzroki padł na nocny stoliczek. Ruszyła na czworakach w stronę ostrzeliwanego okna.

- Hej, proszę pani! Nie tędy!

Joselyn nie zwracała na niego uwagi. Błyskawicznie ściągnęła z nocnego

stolika wizytówkę.

- Pani oszalała! Zastrzela panią! - Mężczyzna skierował się w stronę wyjścia, a Joselyn ruszyła za nim. Uchylił ostrożnie drzwi, wtykając w nie łufę, zanim sam wyjrzał. Cisza powiedziała jej, że droga wolna.

Płetwonurek otworzył szerzej drzwi i wyczołgał się na korytarz. Joselyn podążyła za nim. W holu usiedli ramię przy ramieniu, wsparci o ścianę.

Nie było tu okien, a jedyne drzwi prowadziły do pokoju dziennego.

Mężczyzna wycelował w tamtym kierunku, po czym zdjął z ramienia brezentową torbę i sięgnął do środka.

Wyjął mały, czarny pistolet z tłumikiem.

- Strzelała pani kiedyś z pistoletu? Joselyn potrząsnęła głową.

- Jeżeli mnie trafią, może nie mieć pani wyboru. Proszę słuchać! -

Odkręcił tłumik. - Teraz będzie głośno. To lepiej. Powinno ich to zniechęcić.

Uznał, iż szanse na to, że w coś trafi, są niewielkie, ale przynajmniej narobi huków.

- W magazynku jest piętnaście naboju - tłumaczył. - Widzi pani te małe czerwone kropki z boku? Jeżeli są odsłonięte, można strzelać. Kiedy ich nie widać, pistolet jest zabezpieczony. - Pokazał jej kilka razy, jak się odbezpiecza broń, po czym wręczył pistolet. - Rozumie pani?

Skinęła głową.

- Kiedy włączy pani zabezpieczenie, kurek automatycznie opada. Żeby wystrzelić, trzeba odbezpieczyć, napiąć kurek i wycelować w odpowiednim kierunku. Wystrzeli po każdym pociągnięciu za spust.

Joselyn przytakiwała każdemu słowu, ale sądząc z otepiałego wyrazu twarzy, połowy nie rozumiała. Płetwonurek podał jej pistolet. - Niech

pani nie celuje we mnie.

Na zewnątrz trwała kanonada, kule siekły tynki i drewniane framugi.

Zasłony w pokoju dziennym fruwały jak na wietrze. Mężczyzna spojrzał na zegarek.

- Za trzy minuty rozpocznie ostrzał Zielony Kolos. Jego zadaniem jest obrócić ten teren w perzynę. Musimy stąd zmiatać, i to szybko.

- Kim pan jest?

- Komandosem. Porozmawiamy później.

179

Mężczyzna opuścił się na czworaki i ruszył w stronę pokoju dziennego.

Joselyn popatrzyła na pistolet w swoim ręku, upewniła się, że nie widać na nim żadnych czerwonych kropek, i poszła w ślady swojego wybawiciela.

Posuwali się korytarzem, z zadartymi pupami, niby dwa ogary węszące na dywanie.

- Pułkowniku, niech mi pan powie, jaki ma pan plan! - Gideon starał się przekrzyczeć huk helikoptera. Znajdowali się o pięć kilometrów od wyspy Pad-get.

- Musimy zmiękczyć teren - powiedział oficer piechoty morskiej, przeglądając komunikaty z innych helikopterów w formacji. Tworzyło ją kilka Black Hawków i spora liczba starych HI-1 Huey ze straży powietrznej, przeznaczonych do przeglądu. Poderwano je do akcji na wyraźny rozkaz Everett, jako jedyny dostępny środek transportu. Cały oddział został skompletowany w ostatniej chwili.

Pułkownikowi udało się wykopać skądś dwa helikoptery bojowe, w tym jeden z czasów wietnamskich, prawdziwy antyk. Będą osłaniać jego ludzi podczas lądowania.

- Mam zaledwie kilku ludzi z doświadczeniem bojowym. Większość nie uczestniczyła dotąd w walce. Nie wyślę ich na pewną śmierć.
- Nie mógł pan wziąć bardziej doświadczonych? - zapytał Gideon.
- Nie było czasu.
- Rozumiem, ale martwię się o panią Cole.
- Myśli pan, że ona jest na tej wyspie?
- Tak przypuszczam. Szeryf Friday Harbor znalazł karteczkę z numerem telefonu, który jej dałem, zanim poszedłem do doków. Leżała na ziemi na parkingu. Znalazł również ślady krwi.
- Prawdopodobnie nie żyje - powiedział pułkownik.
- Nie sądzę. Po co mieliby zabierać ze sobą martwą kobietę? Jeżeli ją zabrali i jeżeli wyspa jest ich centrum operacyjnym, powinna tam być. Twarz pułkownika stężała w bolesnym grymasie.
- Otrzymałem rozkazy, panie van Ry. Muszę działać zgodnie z protokołem postępowania w takich sytuacjach. Naszym celem jest wszystko, co się rusza na tej wyspie. Za chwilę rozpęta się tam piekło.
- Co pan ma na myśli?
- Jak pan widzi, nie dysponuję wielką siłą ognia. Mam kilka starych helikopterów, żadnej artylerii i wozów pancernych. Zresztą przerzucenie ich na wyspę przy ostrzale z broni maszynowej przedstawiałoby pewien problem. Muszę uciszyć te pięćdziesiątki, zanim przystąpimy do akcji. Gideon rzucił pułkownikowi pytające spojrzenie.
- Szczęśliwym trafem, testowaliśmy w bazie sprzęt - kontynuował pułkownik.
- Jaki sprzęt?

- C-130. Ci ludzie, tam w dole, otrzymają lekcję poglądową współczesnej wojny konwencjonalnej. Kalbier 105, haubica, niezwykle precyzyjna, śmiercionośna broń o ogromnej sile penetracji i zdolności uderzeniowej. Muszę rozwalić te bunkry, zanim wylądujemy.

- Martwię się o Joselyn Cole - powiedział Gideon.

- Pułkowniku! - Pilot odwrócił się w stronę dowódcy. - Nawiązaliśmy kontakt.

- Daj mi hełmofon. - Pułkownik przytrzymał słuchawkę jedną ręką. - Able, tu Charlie. Gdzie jesteś? To dobrze. Wypróbujcie działo na otwartym morzu. Tylko nie zatopcie kutrów rybackich w cieśninie. - Oddał hełmofon pilotowi.

- Uważam, że powinien pan poczekać, pułkowniku - powiedział Gideon.

- Dlaczego?

- Ponieważ jeżeli traficie w ten ładunek, wywoła pan paskudną eksplozję. Oficer piechoty morskiej obejrzał się na Gideona z pytającym wyrazem twarzy.

- O czym pan mówi?

Tylko z tego powodu zabrał ze sobą Holendra. Był jedynym ekspertem nuklearnym jakiego miał pod ręką. Potrzebował go na wypadek, gdyby znaleźli bombę.

- Ten rosyjski pocisk artyleryjski jest bardzo stary - wyjaśnił Gideon.

- Skonstruowano go na początku lat sześćdziesiątych. Zawiera konwencjonalne materiały wybuchowe skupione wokół rdzenia z plutonu. Jeżeli trafi w nie pocisk czy choćby odłamek, może wybuchnąć.

Rzeczowy ton Holendra zrobił na pułkowniku wrażenie. Spojrzał uważniej na Gideona.

- Czy to wywoła wybuch nuklearny? - zapytał,  
- Prawdopodobnie nie.  
- Więc w czym problem?  
- Wybuch może sproszkować plutonowy rdzeń i rozpylić go w atmosferze.  
Nie chciałbym być wtedy w okolicy.

- Promieniowanie? - spytał pułkownik. Gideon skinął głową.

- Jaki będzie miało zasięg?

- To zależy od wiatru. Z pewnością dotrze do lądu, obejmie Seattle, Wiktorię, Vancouver, w zależności od kierunku wiatru.

To dało pułkownikowi do myślenia. Rozwagał coś przez chwilę, potem puknął pilota w ramię.

- Daj mi te zdjęcia.

Pilot wyciągnął teczkę ze schowka w drzwiach. Pułkownik otworzył ją i wyjął satelitarne zdjęcia wyspy.

- Widać tylko jeden budynek - powiedział, przekazując zdjęcia Gideonowi. - Jeżeli bomba znajduje się na wyspie, to pewnie w tym domu. Tylko szaleniec trzymałby ją w bunkrze.

181

- Być może - odparł Gideon. Pułkownik kazał sobie podać hełmofon.

- Able, tu Charlie. Zmiana planów. Omijaj dom. Słyszysz mnie? Nie uderzaj w dom. W resztę możesz walić jak w kaczy kuper. Zrozumiałeś? -

Oddał hełmofon pilotowi. - Ten samolot ma na pokładzie haubicę kaliber sto pięć, kierowanie końcowe pociskiem. Trafi w cel z wysokości trzech kilometrów, zanim pan zdąży pierdnąć.

Gideon zaczął powątpiewać w słuszność decyzji pułkownika.

- Pułkowniku, jeżeli zabrali panią Cole żywą, znajduje się na wyspie.

- Bardzo możliwe, panie van Ry. Ale ja otrzymałem wyraźne rozkazy. Jestem odpowiedzialny za swoich ludzi. Nie puszczę ich tam, dopóki nie unieszkodlimy tych bunkrów. Zostawimy dom w spokoju i będziemy mieli nadzieję, że ona tam jest.

Wysokość czterech tysięcy metrów: kanał San Juan, stan Waszyngton

Pojawiła się smuga ognia, jak z miotacza płomieni. Cztery pociski uderzyły w sylwetkę KC-130 w ciągu niecałych dwóch sekund. Obserwator sprawdził dane uzyskane z satelity oraz połączenie z komputerem.

- Jesteśmy gotowi. Idź teraz w lewo, trzymaj kurs jeden-cztery-zero-zero-zero.

Ludzie znajdujący się na wyspie nie będą mogli usłyszeć samolotu lecącego na wysokości ponad czterech tysięcy metrów kursem omijającym wyspę. Pierwszym sygnałem, jaki odbiorą, będą wybuchy pocisków burzących, trafiających z niezwykłą precyzją, rozwalających każde umocnienie. Nie wiedząc, skąd są ostrzeliwani, wpadną w panikę. Wojna w Zatoce Perskiej dowiodła, że nawet wyszkoleni żołnierze porzucają broń, gdy muszą się zmierzyć z niewidocznym, precyzyjnie zabijającym wrogiem.

W takiej sytuacji rozpoczyna się faza druga. Po ładunkach burzących przychodzi kolej na ostrzeliwanie siły ludzkiej specjalnymi pociskami, które przy zderzeniu z ziemią rozpryskują się na małe bombki, wielkości piłki tenisowej, odbijają się na wysokość trzech metrów i wówczas eksplodują tysiącami kuleczek, rwących ciała w promieniu kilkudziesięciu metrów. Szybki, seryjny ostrzał rozciągnie na ziemi dywan śmierci,

pozbawi ducha każdego, kto nie schował się w bunkrze trzy metry pod ziemią. Zanim hueye zawisną nad plażą i zaczną wyladowywać żołnierzy, mieszkańcy wyspy rzucają się do panicznej ucieczki, porzucając broń i rozglądając się za kimś, kto mógłby wziąć ich do niewoli i darować życie. Nie mieli najmniejszych szans, jak indyki na polowaniu.

182

Kanał Guemes, stan Waszyngton

Łódź pruća wody kanału, omijając z daleka przystań promową w Anacortes.

- Proszę przejąć koło - powiedział Thom i Taggart usiadł na jego miejscu. - Prosto przed siebie, w dół kanału.

Thorn przyniósł z kabiny lornetkę. Nastawił ostrość na port. Niespełna sto metrów od doków stały dwie łodzie patrolowe.

- Coś nie tak? - spytał Taggart.

Oba promy były przycumowane do pomostu, a kolejka aut ciągnęła się aż do głównej szosy.

- Co pan o tym sądzi? - zapytał Thorn.

Taggart zmrużył powieki. Nawet bez lornetki widział kolejkę samochodów.

- Spory ruch, nawet jak na weekend.

- Mówi pan - ruch? Boże, miej litość! Proszę się lepiej przyjrzeć. - Podał lornetkę Taggartowi, który podniósł ją do oczu, drugą ręką trzymając koło sterowe.

- Na co mam patrzeć?

- Na drogę schodzącą do przystani promów.

Taggart puścił na chwilę koło, żeby poprawić ostrość. Na drodze stał sznur

ciemnooliwkowych pojazdów z charakterystycznym białym krzyżem po bokach.

- Ambulanse - powiedział Taggart.

- To nie są zwyczajne ambulanse. To są ambulanse wojskowe. Wygląda na to, że spodziewają się pacjentów. Wstrzymano ruch promowy.

- Co to znaczy?

- Powiedziałbym, że to oczywiste. Próbują usunąć z cieśniny cywilów, przynajmniej na dzisiaj. Założę się, że te kutry, które mijaliśmy, to łodzie patrolowe. Nie chcą, żeby praworządni obywatele zobaczyli coś, czego widzieć nie powinni.

Thorn spojrział na zegarek. Niepokoił się o Oscara Chaneya. Jeżeli wszystko poszło zgodnie z planem, współnik powinien już znajdować się wraz z ciężarówką na pokładzie „Humping Goose”. Nie byłby to niezwykły widok na wodach cieśniny; mały prywatny prom z ciężarówką do wywożenia szamba na otwartym pokładzie, kursujący między wyspami, a w tym wypadku między wyspami a lądem.

Thorn wydobył ze schowka mapę wysp.

- Jeżeli nie ma opóźnienia, Oscar powinien znajdować się teraz w cieśninie Rosario. - Przesunął palcem po mapie, rysując trasę Chaneya. - Za dwie i pół godziny powinien być przy Keystone.

- Jeżeli wojsko patroluje tamte wody, może się nie przedostać - zauważył Taggart.

183

Thorn wiedział, że jest to najbardziej problematyczna część planu. Dopóki Oscar wraz z ciężarówką i ładunkiem nie znajdzie się na stałym lądzie, powodzenie całego przedsięwzięcia wisiało na włosku.

- Stawiam na to, że przez następne kilkanaście godzin będą się zajmowali wyłącznie wyspą. O ile pańscy ludzie staną na wysokości zadania.

- Oddadzą życie, jeżeli będzie trzeba.

- Zanim federalni się zorientują, że bomba nigdy nie oglądała wyspy, będzie za późno. Oscar przewiezie ciężarówkę na ląd. Nie będą widzieli, czego szukać. Miliony mil dróg biegnących we wszystkich kierunkach. Igła w stogu siana. Z każdą minutą krąg poszukiwań będzie się rozszerzał, z każdą milą nasze szanse będą rosły. Nawet jeżeli federalnym uda się osaczyć Oscara, będą się bali, że zdetonuje ładunek.

- Ale nie zrobi tego, prawda? - zaniepokoił się Taggart. - Dopiero gdy znajdzie się u celu? Przecież nie jest to jakiś akt ślepej zemsty. Mamy cel, misję. Jeżeli nie dotrzemy do miejsca przeznaczenia, nie zdetonujemy ładunku. Tak było ustalone.

- Zgadza się - powiedział Thorn. - Ale federalni o tym nie wiedzą. Taggart nie był pewien, czy może mu wierzyć. Rada bojówki przeznaczyła dla Thorna premię w wysokości miliona dolarów za dostarczenie ładunku w terminie. Teraz stało się jasne, że nie zdąży na czas, i Taggart bał się, że ludzie Thorna zdetonują bombę w pierwszym lepszym mieście. Bojówka przekazała ostatnią ratę na wskazane konto dzień przed tym, jak opuścili wyspę. Teraz Taggart nie miał wyboru.

- Zostałem upoważniony do przekazania panu dodatkowej premii - powiedział-jeżeli dostarczy pan ładunek do miejsca przeznaczenia, choćby z opóźnieniem.

Thorn popatrzył na niego bez słowa. Oto zarysowała się perspektywa zdobycia dodatkowych pieniędzy.

- Myślałem, że po ostatniej wpłacie jesteście spłukani.

- Mamy pół miliona - powiedział Taggart.
  - O!
  - Fundusz awaryjny.
  - Co w tym kontekście oznacza „awaryjny”? Nie ufacie mi? - Uśmiechnął się. Taggart milczał.
  - Przypuszczam, że pół miliona pobudziłoby moją lojalność - zauważył Thorn.
  - Jak bardzo?
  - W wystarczającym stopniu. Połowę od razu, połowę po wykonaniu zadania.
  - Wszystko po wykonaniu zadania. - Już raz odbyli tę rozmowę. Thorn roześmiał się kpiąco.
  - Razem będzie półtora miliona premii za dostarczenie ładunku na czas -powiedział.
  - Nie ma pan szans.
- 184
- Termin jeszcze nie upłynął - zauważył Thorn.
  - Dobrze. Półtora miliona. Obaj wiemy, że w trzy dni nie przejedzie pan kraju ciężarówką.
- Thorn uniósł brwi, jakby chciał powiedzieć, że to tylko kwestia opinii.
- Udzielę panu pewnej rady - powiedział. - Proszę postępować tak, jakby wszystko szło zgodnie z planem.
  - Nawet jeżeli nie idzie?
  - Zatrudnił mnie pan, żebym zajął się szczegółami - przypomniał Thorn.
  - Wcale pana nie zatrudniłem. Był pan dołączony do ładunku.
  - Nie bez powodu - powiedział Thorn. - Trzeba ufać ludziom.

Thom wzbudzał w Taggarcie rozmaite odczucia, ale na pewno nie ulność.

- Niech pan nie przepuści mojej premii. Zostały mi jeszcze trzy dni.

Wyspa Padget

Słoneczne światło sięgnęło domu i pozaczyło ściany pokoju złocistymi cętkami. Kule wbijały się w zewnętrzne bale drewnianej chałupy z charakterystycznym, tępym plaśnięciem.

Podążała za płetwonurkiem najpierw na czworakach, potem czołgała się na brzuchu pod gradem pocisków. Szkło rozpryskiwało się wokół nich.

Gliniana lampa rozpadła się tuż na głowę Joss, drzwiczki kuchennych szafek zmieniły się w drzazgi, eksplodowała pocelana na półkach.

Mężczyzna był już przy tylnych drzwiach kiedy pocisk trafił go w plecy, wykręcając ciało. Kombinezon płetwonurka nabrzmiał krwią.

Joselyn upuściła pistolet i podpełzła do swojego towarzysza.

- Co mogę zrobić?!

Mężczyzna nie odpowiedział. Z jego ust wydobył się jedynie jęk agonii.

Uniosła mu głowę i spojrzała na brzuch. Pocisk trafił w plecy i przeszedł na wylot. Z rany tryskała krew.

Nie zastanawiając się nad tym, co czyni, Joselyn poczołgała się do kuchni po ręcznik przewieszony przez uchwyt piecyka. Kula niemal musnęła jej włosy i Joss padła plackiem na podłogę. Chwyła ręcznik i błyskawicznie wyczołgała się z powrotem na korytarz. Przycisnęła ręcznik do brzucha rannego.

Spojrzała mu w twarz. Wpółotwarte oczy patrzyły pusto w przestrzeń.

Nigdy dotąd nie miała do czynienia ze śmiercią, ale zrozumiała, że mężczyzna umiera. Przytknęła palec do jego nozdrzy. Nie wyczuła oddechu.

Dłonie miała we krwi. Rozejrzała się wokół siebie. Pistolet. Chwyciła go szybkim ruchem. Mężczyzna wspomniał coś o Zielonym Kolosie, który rozniesie chatę. Musiała się z niej wydostać.

Sięgnęła do klamki. Przekręciła ją i uchyliła drzwi tylko na kilka centymetrów. Seria z karabinu maszynowego zmieniła je w drobno porąbane drewnianka na podpałkę.

185

Joselyn ukryła twarz w dłoniach i spojrzała przez palce na mały karabin maszynowy leżący na podłodze, tuż przy dłoni martwego marynarza. Nie wiedziała, czy potrafi z niego wystrzelić. Widziała, jak robił to pletwonurek. Podniosła broń i poszukała bezpiecznika. Z prawej strony znajdowała się dźwigienka. Przesunęła ją w górę i zobaczyła czerwoną kropkę na czarnym metalu. Pozostawało pytanie: czy w środku są naboje? Ostrożnie, jakby bała się go urazić, przekręciła martwego żołnierza na bok i zdjęła mu z ramienia brezentową torbę.

W środku znajdowały się czarne metalowe magazynki, takie same jak w karabinie. Joselyn wyjęła jeden i ujrzała miedziane główki naboju. Było tam coś jeszcze, gładkie i okrągłe, wielkości dużego jaja. Na filmach widywała granaty, które przypominały małe ananasy. Ten był inny. Miał jednak mały zacisk z jednej strony i coś w rodzaju agrafki połączonej z kółkiem. Przez chwilę ważyła go w dłoni, dziwiąc się, jak można rzucać czymś tak ciężkim.

Odłożyła go ostrożnie i grzebała dalej w torbie. Był tam kompas, metalowe lustro oraz zielona puszka, wyglądem przypominająca konserwę. I to wszystko.

Próbowała się zorientować, jak wyjąć magazynek z karabinu. Zobaczyła

guzik z boku, nacisnęła i magazynek wypadł na podłogę. Były w nim naboje, ale nie potrafiła określić ile. Uznała, że ten z torby jest pełen, włożyła go w otwór i uderzyła wystającym brzegiem o podłogę. Wskoczył na miejsce. Przesunęła dźwignię tak, żeby ukazały się czerwone kropki, i wycelowwała w najbardziej odległą ścianę. Zacisnąwszy powieki, pociągnęła ostrożnie za cyngiel. Zaskoczyła ją wibracja w dłoniach, kiedy tuzin kul rozorał ścianę.

Na tym musiała zakończyć szkolenie. Chwyła brezentową torbę i przysunęła się do drzwi. Jeżeli dom był celem dla Zielonego Kolosa, musiała się z niego wydostać.

Rozpłaszczyła się na podłodze i jedną ręką otworzyła drzwi na oścież. W odpowiedzi kule zaświstały jej wściekle nad głową. Wysunęła lufę na zewnątrz i nacisnęła spust. Raz, drugi, trzeci. Za czwartym razem broń nie zadziałała.

Cofnęła lufę, zanim zdążyli ją odstrzelić. Wcisnęła guzik i magazynek wyleciał. Był pusty. Sięgnęła do torby, znalazła następny i włożyła w karabin. Szybko wytknęła lufę i pociągnęła za spust. Nic.

Popatrzyła na broń, puknęła w nią otwartą dłonią, uderzyła o podłogę. Pistolet nie chciał strzelać. Jeżeli przeciwnicy się zorientują, że ma zepsutą broń, dopadną ją w minutę. Sięgnęła po pistolet, który miała w torbie. I wtedy sobie przypomniała. Ładując broń, marynarz przesunął jakąś wajchę na górze. Spojrzała. Nie dostrzegła niczego podobnego w pistolecie maszynowym. Dopiero po chwili znalazła małą gałkę z boku. Zaczepiła o nią palcem i mocno pociągnęła. Kiedy gałka dotarła do najdalszego punktu, wyslizgnęła się jej spod palca i wróciła do pierwotnej pozycji. Joss bez namysłu nacisnęła spust. Kule przeorały ścianę półtora

metra od niej.

186

Przeraziła się śmiertelnie, ale była zadowolona, że pistolet działa.

Wytknęła lufę za drzwi. Po kilku sekundach magazynek był pusty.

Nie trafiłaby nawet we wrota stodoły, i wiedziała o tym. Zajrzała do torby.

Pozostały tylko dwa magazynki, a Zielony Kolos był tuż. Nie miała pojęcia, co to jest, ani jak dużo czasu jej pozostało. Wiedziała tylko, że lada chwila może leżeć martwa na podłodze obok marynarza.

Sięgnęła do torby i wyczuła pod palcami okrągłe metalowe lusterko.

Wsunęła świeży magazynek i przetoczyła się pod drzwi, tak że jej głowa znalazła się

o kilka centymetrów od futryny. Ujęła lusterko w lewą rękę i wolniutko wytknęła na zewnątrz. W końcu zobaczyła, kto do niej strzela. Czterech mężczyzn za murem z worków z piaskiem, nie dalej niż dwadzieścia metrów od niej. Joselyn wystrzelała swoje magazynki w piach.

Buck Thompson miał własny karabin, winchestera 270, który kopał jak stary muł. Nie mógł strzelać szybko, ale za to trafiał w główkę gwoźdźcia z odległości dwustu jardów. Przyjechał z Kalifornii zaledwie wczoraj, z torbą napchaną pieniędzmi po akcji zbierania funduszy. Teraz znalazł się w centrum wydarzeń.

- Jak myślisz, ilu ich tam jest? - Spojrzał na swojego towarzysza.

- Jeden. - Facet siedział w dole bunkra, oparty plecami o worki z piaskiem, i ładował M-16. - Był drugi, ale chyba dostał.

Thompson wyjrzał zza osłony. Uchwycił odbłask słońca w kawałku metalu czy szkła.

- Skurczybyk obserwuje nas w lusterku!

Drugi mężczyzna wsunął magazynek do karabinu i stanął obok Bucka.

Wkrótce zza worków wyglądały cztery głowy.

- Leży z głową przy ścianie, po prawej stronie drzwi, na linii podłogi.

Strzelę mu w lusterko, a wy ładujcie w ścianę na wysokości podłogi. Nie wyjdzie żywy.

Przez kilka sekund przyglądała się lustrzanemu odbiciu, starając się jak najwięcej zapamiętać.

Jeden z mężczyzn wycelował z karabinu. Joselyn cofnęła lusterko pół sekundy przed tym, jak wystrzelił. Kula trafiła w drewniany próg. Drzazgi wbiły się Joselyn w wierzch dłoni. Wykrzywiła twarz z bólu i odruchowo przytuliła rękę do piersi. Wzięła głęboki oddech i nie zwlekając i nie patrząc, wyciągnęła z ręki drewnianka wielkości wykałaczek. Ból przeszył jej ramię, ale strach przed śmiercią i dawka adrenaliny działały jak narkotyk.

Przetoczyła się pod drzwi. Pamiętała rozmowę dwóch mężczyzn o wysadzeniu bunkrów. Mając jeszcze w oczach usytuowanie bunkra i worków, wycelowała dużo wyżej. Opróżniła cały magazynek. Nic.

187

Kule śmignęły centymetr od jej głowy, roztrzaskały nogę stołu w kuchni i trafiły rykoszetem martwego marynarza. Jego ciało zatańczyło niby kukła pociągnięta za sznurek.

Joselyn wymierzyła jeszcze wyżej. Nie potrafiłaby powiedzieć, ile nabożów wystrzeliła, ale pistolet umilkł na chwilę przed tym, jak wybuch rozstrzaskał resztę szyb w tyle domu. Fala gorąca przetoczyła się przez otwarte drzwi jak wichur. Joselyn poczuła ciepło na policzku. Jeden z worków spadł na dach werandy, zrobił dziurę i wylądował z łomotem pół

metra od drzwi. Jeszcze dymił.

Zapanowała cisza przerywana jedynie posykiwaniem płomieni gdzieś na zewnątrz. Joselyn wyjrzała ostrożnie zza resztek futryny Bunkier przestał istnieć. Po mężczyznach nie pozostało ani śladu. Nie zamierzała czekać, aż pojawią się ich przyjaciele. Wrzuciła pistolet i lusterko do torby i wstała. Rzuciła ostatnie spojrzenie na marynarza na podłodze, po czym wybiegła z domu, kierując się w stronę zalesionego wzgórza.

27

## Biały Dom

Hirshberg zamknął drzwi, zostawiając za sobą kwaśny odór kawy, która stała zbyt długo na podgrzewanej płytce. Dzień był już w pełni i po korytarzach Białego Domu przewijały się tłumy ludzi. Mijając kafeterię, zamarzył o filiżance świeżej kawy, ale nie miał na nią czasu.

Wbiegł na schody, przesadzając po dwa stopnie, i ruszył zatłoczonym korytarzem w stronę biura prezydenta. Młodzi urzędnicy i sekretarki rozstępowali się przed nim niby wody Morza Czerwonego. Nikt nie miał pojęcia, co się właściwie dzieje, wiadomo było tylko że prezydent odwołał wszystkie spotkania poza Białym Domem, a personel wojskowy krąży przez cały ranek między biurami a Gabinetem Owalnym. Nie była to zwyczajna krajowa sieczka. W Zachodnim Skrzydle zapachniało kryzysem międzynarodowym.

Hirshberg miał pod oczami podwójne worki, do pary z podwójnym podbródkiem, przed którym ostrzegła go żona. Nie był już młodzieniaszkiem i bezsenne noce dawno przestały mu służyć.

Nie pukając, wszedł do Gabinetu Owalnego i zamknął za sobą drzwi.

Prezydent siedział na kanapie pogrążony w rozmowie z generałem

Richardem Skzor-nem i dwoma asystentami wojskowymi.

- Jakieś wiadomości, Sy? - zapytał.

- Złe.

- Słuchamy.

- Łodzie patrolowe doniosły o strzelaninie na wyspie, po której nastąpiła silna eksplozja.

- Jak silna?

- Konwencjonalna - powiedział Hirshberg. Prezydent odetchnął z wyraźną ulgą.

- Komandosi się odezwali? Są naszym jedynym źródłem informacji.

- Nie nawiązaliśmy bezpośredniego kontaktu - powiedział Hirshberg.

- Czyli mają zepsuty nadajnik albo zgubili go przy lądowaniu - powiedział prezydent.

- Mogli dostać się pod ostrzał, zanim zdołali go uruchomić - zauważył generał.

- Tak czy owak, jesteśmy ślepi - powiedział prezydent.

- Nie to jest najgorsze - odezwał się Hirshberg. - Mamy straty w ludziach.

- Kto?

- Komandosi nawiązali kontakt z jedną z łodzi patrolowych. Zdołali tylko naszkicować sytuację. Prosili o łodzie do ewakuacji. Byli pod ostrzałem. Z pięciu ludzi tylko trzech dotarło do wyspy. Dwóch prawdopodobnie zaginęło na morzu po skoku.

- Jezu! - Prezydent uderzył dłonią w udo, wstał i odwrócił się do mężczyzn siedzących na kanapach. - Jak to się mogło stać? Nie powinniśmy robić tego w nocy. To był błąd. Trzeba było uderzyć znacznie większą siłą, lepiej to zaplanować.

- Panie prezydencie, to właśnie doradzałem - powiedział generał.  
- Wiem, wiem! Ja podjąłem decyzję i odpowiedzialność spada na mnie, co wcale nie umniejsza mojej troski. - Odwrócił się do Hirshberga. -

Wysłaliśmy łodzie na poszukiwanie tych ludzi?

- W tej chwili byłoby to trudne, panie prezydencie. Jest to przecież teren operacji wojskowej. Poza tym przeprowadzamy kontrolę statków w cieśninie. Prywatnych jachtów, trawlerów i kutrów, na wypadek, gdyby próbowali wywieźć ładunek z wyspy.

Prezydent wziął głęboki oddech i zastanowił się przez chwilę.

- Czy dzisiaj rano jakaś łódź odbiła od wyspy?

- Nie zauważono żadnej łodzi od chwili wprowadzenia blokady, czyli od piątej rano.

- Więc zaprzestańcie kontroli statków. I tak nie przeszukacie wszystkich. Załóżmy, że bomba jest nadal na wyspie - powiedział prezydent. -

Wyślijcie łodzie na poszukiwanie tych ludzi.

- Panie prezydencie, chyba nie możemy ryzy...

- Nie dyskutuj ze mną, Sy.

Hirshberg wiedział, że to beznadziejne, ale postanowił spróbować.

- Panie prezydencie, nie mogli przetrwać w tej wodzie dłużej niż dwie godziny, nawet w kombinezonach.

Uznał, że mała dawka nagiej prawdy dobrze zrobi prezydentowi.

189

- Łodzie patrolowe doniosły o strzelaninie na wyspie, po której nastąpiła silna eksplozja.

- Jak silna?

- Konwencjonalna - powiedział Hirshberg. Prezydent odetchnął z wyraźną

ulgą.

- Komandosi się odezwali? Są naszym jedynym źródłem informacji.

- Nie nawiązaliśmy bezpośredniego kontaktu - powiedział Hirshberg.

- Czyli mają zepsuty nadajnik albo zgubili go przy lądowaniu - powiedział prezydent.

- Mogli dostać się pod obstrzał, zanim zdołali go uruchomić - zauważył generał.

- Tak czy owak, jesteśmy ślepi - powiedział prezydent.

- Nie to jest najgorsze - odezwał się Hirshberg. - Mamy straty w ludziach.

- Kto?

- Komandosi nawiązali kontakt zjedną z łodzi patrolowych. Zdołali tylko naszkicować sytuację. Prosili o łodzie do ewakuacji. Byli pod obstrzałem. Z pięciu ludzi tylko trzech dotarło do wyspy. Dwóch prawdopodobnie zaginęło na morzu po skoku.

- Jezu! - Prezydent uderzył dłonią w udo, wstał i odwrócił się do mężczyzn siedzących na kanapach. - Jak to się mogło stać? Nie powinniśmy robić tego w nocy. To był błąd. Trzeba było uderzyć znacznie większą siłą, lepiej to zaplanować.

- Panie prezydencie, to właśnie doradzałem - powiedział generał.

- Wiem, wiem! Ja podjąłem decyzję i odpowiedzialność spada na mnie, co wcale nie umniejsza mojej troski. - Odwrócił się do Hirshberga. -

Wysłaliśmy łodzie na poszukiwanie tych ludzi?

- W tej chwili byłoby to trudne, panie prezydencie. Jest to przecież teren operacji wojskowej. Poza tym przeprowadzamy kontrolę statków w cieśninie. Prywatnych jachtów, trawlerów i kutrów, na wypadek, gdyby próbowali wywieźć ładunek z wyspy.

Prezydent wziął głęboki oddech i zastanowił się przez chwilę.

- Czy dzisiaj rano jakaś łódź odbiła od wyspy?

- Nie zauważono żadnej łodzi od chwili wprowadzenia blokady, czyli od piątej rano.

- Więc zaprzestańcie kontroli statków. I tak nie przeszukacie wszystkich. Załóżmy, że bomba jest nadal na wyspie - powiedział prezydent. -

Wyślijcie łodzie na poszukiwanie tych ludzi.

- Panie prezydencie, chyba nie możemy ryzykować...

- Nie dyskutuj ze mną, Sy.

Hirshberg wiedział, że to beznadziejne, ale postanowił spróbować.

- Panie prezydencie, nie mogli przetrwać w tej wodzie dłużej niż dwie godziny, nawet w kombinezonach.

Uznał, że mała dawka nagiej prawdy dobrze zrobi prezydentowi.

189

- Mogą przetrwać! - upierał się prezydent. - To komandosi. Są najlepsi na świecie. Nikt nie powie, że nie dałem im szansy. Wyślijcie na poszukiwania wszystkie wolne łodzie. Czy to jasne?

- Będzie więcej ofiar, zanim ten dzień się skończy - odparł Hirshberg.

- Miejmy nadzieję, że po stronie wroga - wtrącił generał.

- Obawiam się, że to tylko pobożne życzenie - powiedział Hirshberg.

-Większość naszych żołnierzy jest kompletnie zielona. Tylko oficer dowodzący i pięciu jego ludzi mają doświadczenie bojowe.

- Przeszli kilkuletnie szkolenie.

- Będziemy mieli dużo szczęścia, jeżeli uda się im znaleźć tę bombę, zanim terroryści ją zdetonują.

- Sy, sprawdź, czy możemy nawiązać kontakt z naszymi ludźmi na wyspie.

Trzeba im powiedzieć, że pomoc w drodze.

- Wiedzą o tym, panie prezydencie. Straż przybrzeżna kazała im trzymać się z dala od bunkrów.

- Dobrze! To już coś.

- Wrócę teraz do Pokoju Operacyjnego, sprawdzę, czy nie ma nowych komunikatów.

- Informuj mnie na bieżąco, Sy.

Archipelag Keystone, wyspa Whidbey, stan Waszyngton

Błyskając czerwonymi światłami, łódź straży przybrzeżnej zbliżała się szybko do dużo powolniejszego promu. „Humping Goose” nie była równorzędnym partnerem dla szybkiej, zwrotnej łodzi patrolowej.

Oscar Chaney zobaczył ją we wstecznym lusterku ciężarówki. Opuścił szybę po stronie pasażera i wychylił się, spoglądając w stronę sterówki. Kapitan otworzył okno.

- Czego chcą? - zapytał Chaney.

- Chcą wejść na pokład i zrobić kontrolę - krzyknął Nat Hobbs w stronę Chaneya. Hobbs miał na głowie grecką czapkę kapitańską, pamiętającą lepsze czasy, twarz umazaną smarem, a spodnie tak przepocone, że zrobiły się sztywne.

Chaney spojrzał na przystań promów, od której dzieliło ich niecałe ćwierć mili. Zauważył dwa wozy patrolowe zaparkowane w pobliżu budynku przystani.

- Mam nadzieję, że się panu nie śpieszy - powiedział Hobbs. - Muszę się zatrzymać.

- Na władzę nie poradzę - odparł sentencjonalnie Chaney.

- Mógłbym spróbować dopłynąć do doków, ale jak ich wkurzę,

przytrzymają mnie ze dwie godziny i uszczęśliwią kontrolą techniczną. Hobbs miał uzasadnione wątpliwości, czy ją przejdzie. Chaney bez słowa podciągnął szybę, jakby chciał powiedzieć, że to już sprawa Hobbsa. Jednocześnie sięgnął pod fotel pasażera i wydobył czterdziestkę piątkę półautomat. Za-

190

tknął sobie broń za pasek i wypuścił sweter na spodnie. Potem przesunął dłonią po łydce do cholewki buta, skąd wystawała rękojeść dużego noża. Otworzył drzwi ciężarówki i wysiadł. Kałasznikow znajdował się pod siedzeniem, naładowany. Mógł być użyty jako automat, a Chaney dysponował jeszcze sześcioma magazynkami poza tym, który tkwił w karabinie. Nie miałby jednak szans z działkiem na dziobie łodzi patrolowej.

Chaney zerknął nieznacznie za siedzenie, kątem oka sprawdzając, czy znajduje się tam czerwone metalowe kółko połączone z kablem. Kabel biegł przez otwór w tylnej ścianie szoferki do kontenera i dalej do detonatorów oraz ośmiu kilogramów plastiku, leżących tuż pod ładunkiem nuklearnym. Jeżeli wszystko zawiedzie, Chaney pociągnie za kółko. Potem będzie miał dokładnie dziewięćdziesiąt sekund, żeby skoczyć do wody i odpłynąć pod wiatr.

Wybuch rozsądzi kontener, wysyłając w atmosferę sproszkowany pluton. Jeżeli poczeka, aż łódź straży przybrzeżnej przybije do burty promu, może uda mu się umknąć, korzystając z zamieszania, jakie nastąpi po eksplozji. Teraz musiał zyskać na czasie, przejąć kontrolę nad statkiem.

Zamknawszy drzwi ciężarówki, przeszedł na rufę „Humping Goose” i wspiął się po drabince do sterówki.

Hobbs rozmawiał przez radio.

- Sprawdzaliście mnie w zeszłym miesiącu. - Hobbs odwrócił się, żeby spojrzeć na swojego pasażera.

- Masz ciężarówkę na pokładzie. Hu pasażerów?

- Tylko jednego. I tylko ta jedna ciężarówka - odparł Hobbs.

- Co przewozi?

- Szambo. Chcecie zbadać zawartość? Po drugiej stronie zapadła krótka cisza.

- Mamy rozkaz sprawdzić wszystkie jednostki pływające w tym rejonie. Zatrzymaj silniki i przygotuj się na przyjęcie inspekcji.

- Cholera! - mruknął Hobbs pod nosem, nie wyłączając mikrofonu. -

Przynajmniej pozwólcie mi wpłynąć do kanału. Tu jest niebezpiecznie.

Po stronie straży ponownie zapadła cisza.

- Niech pan lepiej wróci do ciężarówki. Wygląda na to, że będą chcieli do niej zajrzeć - zwrócił się Hobbs do Chaneya.

- Udzielam pozwolenia - odezwał się kapitan straży. - Wpływamy za wami do kanału.

Hobbs odwiesił z trzaskiem mikrofon, jakby chciał odłupać widelki.

- Sukinsyny! Uważają, że nie mam nic innego do roboty! - pomrukiwał. -

Mam nadzieję, że założą do tego te swoje fikuśne rękawiczki. - Pchnął

manetki dwóch dieselowskich silników, wyprowadzając „Humping

Goose" z powrotem w otwarty kanał. Nie zwracał uwagi na Chaneya,

który stał za jego plecami. - Założę się, że te eleganciki nie będą się paliły do inspekcji tej ciężarówki. Wymiecie ich stąd pierwszy podmuch wiatru.

A ja stracę, cholera, godzinę!

Dziób „Humping Goose” skonstruowany był na podobieństwo desantowca z drugiej wojny światowej. Tworzył hydrauliczny most, który pozwalał samochodom i ciężarówkom zjechać na plażę lub rampę prywatnej łodzi. Kapitan okrętu patrolowego patrzył, jak prom tnie mozolnie wody, wypływając z powrotem na burzliwy kanał, który oddzielał cieśninę Juan de Fuca od północnego Pacyfiku.

W pięć minut pokonali przeszło milę.

- „Humping Goose”, „Humping Goose”, tu straż przybrzeżna. Jak daleko zamierzasz płynąć?

Kapitan łodzi patrolowej zwolnił przycisk mikrofonu i nasłuchiwał. Nie było odpowiedzi.

- „Humping Goose”, czy mnie słyszysz? Tu straż przybrzeżna. - Usłyszał jedynie trzaski. Chciał powtórzyć wezwanie po raz trzeci, gdy nagle częstotliwość ożyła.

- Do straży przybrzeżnej. Tu „Humping Goose”. Chcę wyjść na bezpieczne wody.

- Już jesteś na bezpiecznych wodach - powiedział oficer straży. - Wyłącz silniki. Wchodzimy na pokład.

Wtem na mostku zjawił się marynarz.

- Meldunek z Everett. - Podał kapitanowi kartkę z wiadomością.

Oficer nadal patrzył na dziób starego, zżeranego przez rdzę promu.

Oblążąca farba tworzyła napis „Humping Goose”. Nic nie wskazywało na to, żeby statek zwalniał.

Kapitan przeniósł wzrok na kartkę, którą trzymał w ręku, przeczytał rozkaz i pokręcił głową. Ponownie połączył się z promem.

- Do „Humping Goose”, czy mnie słyszysz? Zmieniono nam rozkazy.

Dziękujemy za współpracę. Możesz lądować w Keystone. Powtarzam.  
Możesz lądować w Keystone.

- Dziękuję. Jestem zobowiązany - padła odpowiedź.

Łódź patrolowa przecięła kilwater „Humping Goose” i wyminęła prom po jego lewej burcie. Oficerowie na mostku nie zwrócili większej uwagi na kapitana promu - umazanego smarem po białka oczu, w greckiej czapce kapitańskiej -który machał ku nim z otwartego okna sterówki. Łódź patrolowa skoczyła naprzód, przecięła kurs promu i zawróciła ku północy. Oscar Chaney zdjął czapkę i upuścił ją na podłogę sterówki, obierając kurs na południe. Zmiana planów. Nie wyląduje w Keystone ani żadnym innym publicznym doku. Straż przybrzeżna czegoś szukała i Chaney wiedział nawet, czego. Obejrzał się przez ramię na kałużę krwi, która zaczęła się zbierać pod progiem sterówki. Wielki nóż nie tylko przeciął tętnicę szyjną Nata Hobbsa, lecz odciął mu głowę.

192

Wyspa Padget

Wielkie, trzydziestometrowe drzewa wyglądały jak okopcone maszty zniszczonej floty. Zostały ogołoczone z gałęzi, rozłupane na pół przez pociski haubicy. Co trzecie drzewo było pozbawione korony, część jeszcze się paliła.

Haubica nie okazała się tak skuteczna, jak się spodziewano. Część pocisków eksplodowała wysoko w koronach drzew. Mimo to wszędzie widać było zabitych.

Gideon naliczył osiem ciał wokół zaimprovizowanego lądowiska dla helikoptera. Wskoczył tuż za pułkownikiem. Biegli, zgięci w pół, dopóki nie znaleźli się poza strumieniem zaśmigłowym.

- Pan tu zostaje, panie van Ry. - Pułkownik obejrzał się na Holendra. -  
Przydzielę panu jednego z moich ludzi. Będzie pan robił, co on panu każe.  
Czy to jasne?

- Pułkowniku, jeżeli bomba jest na wyspie, radziłbym jej natychmiast  
poszukać.

- Rozumiem. Świerzbią pana do niej ręce. Ale nie unieszkodliwiliśmy  
wszystkich terrorystów. Bronią się jeszcze przy plaży. Poczekaj pan tu,  
dopóki nie uznaję, że sytuacja została opanowana.

- Co z panią Cole?

- Moi ludzie wiedzą o niej. Będą uważać. Nie chcę się martwić również  
o pana. Zostanie pan tutaj. - To był rozkaz.

Gideon skinął głową.

Pułkownik piechoty morskiej spojrział na niego nieufnie.

- Kapralu! - Zwrócił się do jednego z podoficerów. - Ma pan uważać na  
pana van Ry. Jeżeli coś mu się stanie, obarczę pana odpowiedzialnością.  
Zrozumiano?

- Tak jest!

- To dobrze. Ruszamy na plażę. Gdzie jest radiowiec?

Młody chłopak przyskoczył do dowódcy. Pułkownik wziął od niego  
słuchawkę

1 zaczął mówić, ale Gideon nie usłyszał ani słowa. Huk lądujących  
helikopterów zagłuszał wszystko. Chmura kurzu wzbijała się pod niebo.

Gideon i kapral odwrócili się tyłem do lądowiska, osłaniając oczy.

- Lepiej chodźmy stąd - powiedział Gideon.

Młody kapral nie oponował. Ruszyli w stronę kępki wypalonych drzew na  
urwisku ponad zachodnim brzegiem wyspy. Kiedy odeszli na tyle, że hałas

stał się znośny, Gideon znalazł sobie wygodny gład, zdjął z ramienia torbę ze sprzętem i usiadł. Sprawdził godzinę. Było po dwunastej i burczało mu w brzuchu. Nie miał nic w ustach od kolacji u Joselyn, w jej domu na wyspie San Juan. Zastanawiał się, czy Joss żyje.

W jednolity szum helikopterów wdarły się pojedyncze strzały i krótkie serie z karabinów maszynowych.

13 - Masa krytyczna

193

Kapral ujął swój M-16 w obie dłonie, na jego twarzy ukazał się niepokój.

- Co nie tak? - zapytał Gideon.

Żołnierz stał po drugiej stronie gładu, bliżej skraju urwiska, i spoglądał na coś, czego Gideon nie widział.

- Nie podoba mi się, że jesteśmy tak na widoku - powiedział żołnierz.

-Stanowimy dobry cel dla kogoś tam w dole.

Gideon wstał, żeby spojrzeć w przepaść.

U podnóża urwiska stał duży dom. Jego tylna ściana jeszcze dymiała.

Gideon nie dostrzegł żadnego ruchu, żadnego śladu życia. Niżej znajdowała się zatoczka i pozostałości małej przystani - drewniane bale spalone aż do poziomu wody.

- To jest ten główny budynek? - zapytał Gideon.

- Chyba tak.

- Ma pan mapę? Żołnierz pokręcił głową.

Gideon odwrócił się i spojrzał w stronę, skąd dobiegały strzały.

- Rozumiem, że plaża jest z drugiej strony wyspy?

- Zdaje się.

- Więc jesteśmy tu chyba bezpieczni. - Gideon odsunął się od skraju

urwiska, sięgnął do torby i wyjął małą lornetkę. Była za słaba i nie sprawdzała się na dużych odległościach.

Nakierował szkła na dom i nastawił ostrość. Miejsce wydawało się wyludnione. Gideon starał się trzymać lornetkę zupełnie nieruchomo i wypatrywał jakichkolwiek śladów życia. Ale poruszała się tylko chmura gęstego, czarnego dymu, zasłaniając mu widoczność.

- I co? - zapytał kapral.

- Nic. Chce pan spojrzeć?

Żołnierz uśmiechnął się, przerzucił karabin przez ramię i wziął lornetkę. Powolutku, metodycznie przepatrywał ścianę domu, szukając w oknach karabinowych luf, zadanie niemal niemożliwe przy lornetce tej klasy.

- I co? - zapytał Gideon.

- Nic. - Niepokój nie ustępował z twarzy kaprała.

- Może zejdziemy tam i zrobimy mały rekonesans? - zapytał Gideon.

Żołnierz roześmiał się krótko.

- Mowy nie ma!

- Gdzie twoje pragnienie przygody? - odezwał się Gideon z kpiącym uśmiechem, jakby powątpiewał w męskość młodego człowieka.

- Zostawiłem je w domu.

Może był młody, ale na pewno nie głupi.

Wtem od strony plaży nadleciały helikoptery, a ogłuszającą kanonadę zastąpiły krzyki dochodzące z wyrębu. Kapral odwrócił się w tamtą stronę, podczas gdy Gideon spoglądał w dół przez lornetkę. Kiedy odjął szkła od oczu,

194

kapral stał tyłem do urwiska, pochłonięty bez reszty tym, co się działo na

lądownisku.

- O co chodzi? - zapytał Gideon.

- Nie wiem. Coś jest nie tak.

Po chwili ciszy strzelanina zabrzmiała na nowo. Tym razem wyraźnie dało się rozróżnić broń maszynową o dużym kalibrze.

Gideon odwrócił się w stronę morza i jeszcze raz spojrzął na dom.

Zastanawiał się, czy Joselyn jest w środku. Nie wiedział, jakie jeszcze budynki znajdują się na wyspie, w każdym razie chata była znakomitym miejscem do przechowywania bomby. Kiedy ponownie spojrzął na kaprała, zrozumiał, że sytuacja jest groźna.

- Może powinniśmy pójść sprawdzić, co się dzieje? - zaproponował żołnierz.

Gideon chwycił plecak i pobiegł za kapralem z powrotem na lądowisko.

Żołnierze piechoty wracali z plaży grupkami, po czterech, pięciu.

Niektórzy biegli, inni szli, ale wszyscy zdradzali te same objawy przerażenia.

- Co się stało? - Kaprał próbował zatrzymać pierwszego z brzegu żołnierza. Nawet nie zwolnił kroku. - Co się tu dzieje?!

Coś się wydarzyło i młodzi żołnierze piechoty ulegli panice. Teraz wracali większymi grupkami. Wygadało to na rejteradę.

Gideon chwycił jednego z nich za ramię. Chłopak upuścił karabin i spojrzął na Holendra pustym wzrokiem.

- Hej, ty! - krzyknął Gideon, przyjmując srogi wyraz twarzy. - Powiedz mi, co się stało?

- Je... jego... jego głowa. Ona, ona...

- Czyja głowa?

- Puł... puł... pułkownika Simmonsa.
- Co z jego głową?
- Zniknęła.
- O czym ty mówisz, człowieku?!
- Pułkownik nie żyje. Dostał w głowę. Ona... ona... wybuchła.
- Kto dowodzi?
- Nie wiem - powiedział żołnierz.

Gideon poluzował na chwilę uścisk, próbując zebrać myśli, a chłopak pomknął w dół zbocza, pozostawiając karabin w piachu. Holender pochylił się odruchowo i podniósł broń. Kapral, którego przydzielił mu Simmons, uległ panice panoszącej się na wzgórzu niby wirus. Znaleźli się w prawdziwych tarapatach i Gideon zdawał sobie z tego sprawę. Od strony plaży ciągle słychać było odgłosy broni maszynowej.

- Gdzie jest radio? - krzyknął Gideon. Nikt nie zwracał na niego uwagi.
- Kto ma radio?

195

28

Międzynarodowy Port Lotniczy w Denver

Scott Taggart przestawił zegarek na czas wschodni, przeskakując strefę górską, w której zatrzymał się na niecałą godzinę. Spróbował obliczyć, ile czasu minęło od rozstania z Thornem na małym prywatnym lotnisku w Arlington w dolinie Skagit. Zastanawiał się, co Thorn tam robi. Na pewno nie zdradziłby mu tego, chyba, że miałby w tym swój cel. Taggart wiedział tylko, że chce się dostać na lotnisko w Seattle i złapać lot na wschodnie wybrzeże.

Podczas przesiadki w Denver znalazł automat telefoniczny i spróbował

połączyć się zgodnie z instrukcjami Thorn. Wybrał numer telefonu komórkowego i po dwóch sygnałach usłyszał znajomy głos.

- Tak? - Thorn łąpał oddech. Do słuchawki wdarł się hałas jakichś ciężkich urządzeń przemysłowych i nachalne sygnały ostrzegawcze cofających się ciężarówek czy innych pojazdów.

- Mówi Taggart.

- Zaczynałem się niepokoić.

- Właśnie wylądowałem. Z dwudziestominutowym opóźnieniem.

- Nie masz więc wiele czasu - powiedział Thorn. - Otwórz swoją teczkę.

Znajdziesz w niej klucz z czerwonym numerem. Pasuje do skrytki na piętrze, na którym się znajdujesz. Idź do niej. Jest w niej wszystko, czego ci potrzeba, z instrukcjami włącznie. Zrozumiałeś?

- Tak.

- Działaj ściśle według instrukcji - rzekł Thorn.

- Jak mogę się z tobą kontaktować?

- Nie ma takiej potrzeby. Rób po prostu to, co mówi instrukcja.

W słuchawce zapanowała cisza. Thorn wcisnął klawisz „koniec”, zanim Taggart zdołał cokolwiek powiedzieć.

Scott odwiesił słuchawkę. Położył teczkę na stalowej półce pod telefonem, otworzył i przejrzał zawartość. Na dnie znalazł mosiężny kluczyk z czerwonym numerem C-142. Thorn musiał podzucić go rano na łodzi, gdy zmienili się przy sterze.

Wyjął klucz i rozejrzał się po holu. Pierwszy kompleks skrytek miał zupełnie inne numery. Jego samolot spóźnił się dwadzieścia minut, dalsze dziesięć stracił na wyjście. Zostało ledwie pół godziny na przesiadkę. Rozmowa z Thornem też zajęła mu trochę czasu. Spojrzał na zegarek.

Miał mniej niż osiemnaście minut na znalezienie skrytki i złapanie samolotu.

196

Wyspa Padget, stan Waszyngton

Dwa helikoptery wracały znad zatoki ku strefie lądowania. Gideon patrzył, jak idą nisko nad wodą. Tym razem jednak nie były to przeciążone hueye, którymi przylecieli Simmons i jego oddział. Były mniejsze, o smuklejszych sylwetkach. Gideon rozpoznał je ze zdjęć, jakie widywał w Jane's Defence Weekly.

Dwie cobry przemknęły nisko i z wielką szybkością nad lądowiskiem, przy-duszając marines do ziemi, i skierowały się ku plaży i odgłosom strzelaniny. Było jasne, że któryś z dowódców dorwał się do radia.

Gideon nie czekał na to, co dalej się stanie. Wiedział, że jeśli ma sprawdzić, co znajduje się w domu, musi zrobić to teraz. Kapral, któremu Simmons kazał go pilnować, słuchał meldunków z plaży: tyle to a tyle zabitych...

Gideon podniósł z piasku M-16, porzucony w panice przez któregoś z żołnierzy, wziął plecak ze sprzętem i pobiegł przez zagajnik wypalonych drzew piaszczystą ścieżką, biegnącą, jak ocenił, do zabudowań nad zatoką. Można było go wziąć za jednego z wielu uciekinierów. Lecz po kilkudziesięciu sekundach oddzielił się od żołnierzy na wzgórzu i dalej szedł samotnie.

Za jednym z zakrętów ujrzał dom, tym razem pod innym kątem.

Przystanął za drzewem i jeszcze raz przyjrzał się budynkowi przez lornetkę.

Większość okien we frontowej ścianie było potrzaskanych, tak samo jak

okna tylnej ściany, które wraz z kapralem oglądał z nadbrzeżnych skał. To, co z daleka wyglądało na biały obrus upstrzony muchami, okazało się ścianą podziurawioną kulami.

Przed domem musiała się toczyć zacięta bitwa. Gideon zastanawiał się, co mogło ją wywołać. Zgodnie z rozkazem Simmons'a budynek został wyłączony spod ostrzału śmigłowców.

Zbadał grunt przed domem. Bunkier otoczony workami z piaskiem wydawał się pusty. Wrzucił lornetkę do plecaka i powrócił na ścieżkę. Dziesięć metrów dalej przeskoczył przez wąski strumyk, lecz tu ścieżka gwałtownie się urwała. Stracił grunt pod nogami. Padając, schwycił karabin i starał się trzymać go nad ziemią, ale gdy toczył się po spadzistym zboczu, stracił panowanie nad ciałem. Z plecaka wysypała się cała zawartość. Gideon wypuścił karabin z dłoni, na szczęście pasek owinął się wokół jego ramienia. W połowie zbocza coś uderzyło w spust. Padł strzał. Kula nie trafiła go, ale wystrzał tuż nad głową niemal go ogłuszył. Nadal się toczył, ale jakimś cudem zdołał złapać karabin. Trzymał się go jak liny ratunkowej.

Dopiero gdy wpadł do małej dziury, dotarło do niego, że nie sprawdził bezpiecznika broni. To, że nie zastrzelił sam siebie, graniczyło z cudem, natomiast każdy, kto znajdował się w promieniu pół kilometra od domu, wiedział już o jego obecności. Przez chwilę leżał bez ruchu, na pół zamroczony, i próbował zebrać myśli.

197

Poczuł pieczenie z boku nogi i spojrzał w dół. Spodnie miał rozerwane, a skóra, którą dojrzał przez dziurę, wyglądała jak rozgniecione maliny. Prawe ramię było podrapane od nadgarstka do łokcia.

Spojrzał na zbocze i ujrzał swoje rzeczy rozsypane na całej spadzistej ścieżce. Pas plecaka nadal owijał jego ramię. Uwolnił się od niego i ostrożnie położył na ziemi, by sprawdzić, co pozostało w środku. Ciężki licznik Geigera leżał na spodzie worka, lecz Gideon nie był pewien, czy poobijany podczas upadku nadal działa. Lornetka i kompas przepadły. Spojrzał z rozpaczą na wzgórze. Nie miał teraz czasu na szukanie.

Uważnie przyjrzał się karabinowi, szukając bezpiecznika, i znalazł coś, co mogłoby pełnić jego funkcję. Mimo iż był projektantem uzbrojenia, niewiele miał do czynienia z bronią palną. Parę razy przesunął metalowy zatrzask w przód i w tył, zanim się upewnił jaka pozycja unieruchamia zamek. Jeszcze kilka sekund manipulował przy broni. Zdołał odłączyć magazynek i sprawdzić jego załadowanie. Był pełny. Wyjął pierwszą kulę i przyjrzał się jej. NATO-wski kaliber, 5,56. Holandia była jednym z członków paktu, ale Gideon wiedział więcej o jego organizacji niż o uzbrojeniu.

Pocisk miał kształt małej buteleczki, z kulą podobną wymiarami do 0.22, ale cięższą i dłuższą, o stalowym płaszczu. Karabin strzelał precyzyjnie do jakichś dwustu metrów, oczywiście w rękach dobrego strzelca, za jakiego Gideon nie mógł się uważać. Przy dużym szczęściu może trafiłby ze stu metrów w wielki, nieruchomy cel.

Miał nadzieję, że nie będzie musiał użyć broni. Zmuszony, będzie strzelał pojedynczymi pociskami i może zniechęci intruza do sprawdzania jego kwalifikacji w toku bliższej konfrontacji. Nie miał ochoty nikogo zabijać, ani tym bardziej samemu lec na polu chwały.

Wcisnął pocisk do magazynka. Jeszcze raz sprawdził bezpiecznik, przewiesił karabin przez ramię, dźwignął plecak i podniósł się. Przy

pierwszym kroku ledwo ustał na zranionej nodze. Materiał spodni przesiąkł krwią, ale rana nie wyglądała na poważną. Nie miał zresztą czasu o tym myśleć. Zacisnął zęby, a po chwili, gdy mięśnie się rozruszały i pieczenie w nodze zmalowało, mógł wydłużyć krok. Szedł w kierunku domu, odległego o czterdzieści, może pięćdziesiąt metrów, po drugiej stronie niewielkiego zagłębienia terenu.

Poczuł, jak kula przeszywa jego ciało, zanim słuch zarejestrował odgłos wystrzału. Gideon runął na ziemię jak wór z piaskiem.

Międzynarodowy Port Lotniczy w Denver

Taggart obszedł kolejne dwa korytarze głównego holu, zanim znalazł skrytkę z właściwym numerem na drzwiczkach. Włożył klucz do zamka. Pasował. Ostrożnie, jedną ręką pociągając drzwiczki, a drugą je przytrzymując,

198

milimetr po milimetrze uchylił je na tyle, aby oświetlić ciemne wnętrze.

Obejrzał się, sprawdzając, czy ktoś go nie obserwuje.

Kipiący życiem hol był pełen podróżnych, najczęściej przechodzących pośpiesznie do wyjść. Nikt nie zwracał uwagi na to, co dzieje się przy skrytkach.

Taggart zajrzał przez szparę do wnętrza. Na dnie schowka leżał kawałek papieru, chyba pojedynczy arkusz. Znajdował się kilka centymetrów od drzwiczek. Stał na nim szklany pojemnik, podobny do typowej buteleczki z męskim dezodorantem. Obok leżało zamknięte pudełko zapalek.

Taggart szukał wzrokiem przewodów lub nitek łączących butelkę z drzwiczkami. Od samego początku nie miał zaufania do Thorna. Facet wszedł do interesu jako część transakcji. Taggart nie mógł zrozumieć

dlatego, wiedział tylko, że Thorn był nieodłączną częścią przedsięwzięcia.

Dostał przy tym kupę forsy od grupy Taggarta, szmal zarobiony na wielce skomplikowanych przekrętach i kilku bezwzględnych rabunkach, głównie banków o dużych depozytach gotówkowych.

Z tego, co Taggart wiedział, ładunek nuklearny, za który zapłaciła jego grupa, mógł już leżeć na dnie zatoki, zatopiony przez Thorna przy pierwszych oznakach kłopotów. Oglądał to urządzenie tylko raz, i to krótko, gdy z zawiązanymi oczami przewieziono go w nieznane miejsce, co było warunkiem dokonania płatności.

Gdyby sprawy się skomplikowały, wyeliminowanie Taggarta byłoby pierwszym odruchem Thorna. Po co miał zostawiać przy życiu kogoś, kto mógłby go zidentyfikować?! Już raz zabił kobietę z tego powodu.

Taggart nie zauważył żadnego przewodu ani cienkiej żyłki wędkarskiej przyczepionej do drzwiczek czy biegnącej od tylnej ścianki pomieszczenia do butelki.

Istniała jeszcze inna możliwość. Butelka była na tyle duża, że mogła sama pomieścić jakiś materiał wybuchowy, nitroglicerynę czy coś równie niebezpiecznego. Mogła być nastawiona na zdetonowanie przez fotokomórkę. Wystarczy otworzyć drzwiczki, wpuścić trochę światła i...BANG!

Taggart ostrożnie zamknął drzwiczki i przytrzymał ramieniem, pokonując ich opór. Wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł pot z czoła. Spojrzał na zegarek. Pozostało mu osiem minut do odlotu. Podniósł teczkę i sięgnął do środka. Wyjął notatnik i wyrwał z niego spiralę. Trzymając gruby plik kartek jak tarczę, przyłożył ją do krawędzi drzwiczek, a potem ostrożnie,

milimetr po milimetrze, zaczął je otwierać. Pot zrosił jego górną wargę. Uchyliwszy nieznacznie drzwiczki wsunął w szparę dłoń, kciukiem przyciskając papier do wnętrza dłoni. Naparł drzwiczkami na rękę, starając się jak najbardziej utrudnić dostęp światła do wnętrza. Na ślepo posuwał dłoń ku butelce, bojąc się ją potrącić lub przewrócić. Dotarł wreszcie do niej i spróbował znaleźć na szkle cokolwiek, co mogłoby wskazywać na istnienie fotokomórki, ale czuł jedynie gładką powierzchnię szkła. Otoczył butelkę papierem i podniósł ją. Pochwycił palcami spoczywający na dnie skrytki starannie złożony arkusz papieru i wyjął go. Za

199

pomocą wolnej ręki i warg rozwinął kartkę i przeczytał. Notatka była bardzo krótka. Uśmiech wykrzywił na chwilę jego usta. Wszystko stawało się cudownie proste! Jednak będzie musiał zmienić zdanie o Thornie. Przestał się bać eksplozji. Odwinął butelkę z papieru, sprawdził, czy nakrętka jest dokręcona, z werwą wsunął pojemnik na dno teczki i obstawił go swoimi rzeczami. Nie chciał, żeby pękł czy przeciekł. Ostatnią instrukcję przekazaną w notatce wykonał co do joty. Umieścił kartkę w schowku i upewnił się, czy ktoś go nie obserwuje. Wziął pudełko z zapalnikami i nie wyjmując rąk ze skrytki podpalił kartkę. Przymknął drzwiczki, żeby nie wypuścić zbyt wiele dymu. Po chwili z papieru pozostała kupka popiołu.

Mała chmurka dymu wydostała się ze skrytki, gdy szeroko otworzył drzwiczki. Nikt jej nie zauważył. Taggart sięgnął do wnętrza i zgarnął popiół na podłogę. Spojrzał na zegarek. Miał pięć minut. Złapał teczkę i pobiegł do wejścia. Thorn wreszcie zapracował na swoje pieniądze.

Wyspa Padget, stan Waszyngton

Na odgłos pierwszego wystrzału Joselyn ostrożnie zatrzymała się na skraju małego zagajnika skarłałych od wiatru drzew. Przez cały ranek słyszała odległą strzelaninę, ale ten wystrzał był inny. Rozległ się znacznie bliżej. Przez chwilę czekała nasłuchując. Potem wysunęła się z zarośli, czujna jak płochliwa sarna. Zaciskała ręce na małym pistolecie maszynowym z jedynym pełnym magazynkiem, który zabrała zabitemu żołnierzowi. Torbę z pistoletem i granatami ukryła w jamie między korzeniami drzew. To byłoby jej ostatnie schronienie, gdyby musiała uciekać.

Gdy wychyliła się spomiędzy drzew i spojrzała ku ścieżce, zobaczyła go. Siedział na ziemi, oddalony o sto metrów, oglądał i obmacywał palcami nogę. Miał na sobie te same spodnie i tę samą białą koszulę, co wczorajszej nocy, gdy zostawił ją na nabrzeżu Friday Harbor.

Joselyn nie miała pojęcia, że Gideon dostał się na wyspę. Wiedziała jedynie, że przybył tu po nią, że nie jest już sama.

Nie myśląc o niczym innym, rzuciła automat i zaczęła biec. Gideon nie widział jej. Cała jego uwaga była skoncentrowana na plecaku leżącym u jego stóp i na budynku. Nawet nie spojrzał ku zagajnikowi rosnącemu pod urwiskiem.

Joselyn przedzierała się między ogromnymi głazami piaskowca, potem przez mały wąwóz ze strumieniem. Straciła go z oczu, gdy wpadła do wąwozu i próbowała się wspiąć po skałach. Ześlizgiwała się w dół.

Przytrzymała się małych krzaków porastających zbocze, ale pozostały jej w rękach. Odwróciła się i pobiegła w dół strumienia, gdzie napotykała najmniejszy opór.

Tych parę sekund biegu wydało się jej długimi minutami. Gdy wreszcie wyjrzała znad krawędzi wąwozu, zobaczyła Gideona idącego środkiem

polany w stro-

200

nę domu. Podniosła rękę i już miała go zawołać, gdy uderzenie karabinowej kolby w głowę rzuciło ją na ziemię, na dno rozpadliny. Nie zobaczyła mężczyzny wciśniętego w skały nad nią. Przez sekundę, gdy uderzyła o ziemię i potoczyła po zboczu na dno strumienia, widziała jego twarz, odrażającą i osmaloną. Tylko szok wywołany zetknięciem z lodowatą wodą i krążenie adrenaliny w żyłach uratowało ją od utraty przytomności. Spojrzała w górę i zobaczyła, jak napastnik składa się do strzału.

Buck Thompson był wyborowym strzelcem, ale jego karabin został mocno poobijany, gdy wybuch wyrzucił go z bunkra. Zatrzymał krzyżyk lunety na piersi mężczyzny i nacisnął spust.

Ciągle zamoczona po uderzeniu kolbą, niezdolna do wyczołgania się z lodowatej wody strumienia, Joselyn usłyszała ostry huk wystrzału, zwielokrotniony w ciasnej szczelinie wąwozu. Sekundę później mężczyzna stanął nad nią, a muszka karabinu zatańczyła przed jej oczami. Kobiecie udało się dźwignąć na kolana. Czarny otwór lufy zbliżył się i dotknął jej skroni. Zimna, twarda stal...

Zarepetował karabin, wyrzucając z zamka łuskę i wprowadzając nowy pocisk.

- Nie wrzeszcz!

Próbowała otworzyć usta, ale nie mogła wydobyć z siebie jednego dźwięku.

- Nie wrzeszcz! - wyharczał przez wykrzywione usta.

Po sposobie, w jaki odwrócił się do niej, poznała, że jego strzał był celny.

Gideon nie żył. Myśl ta dotarła do jej świadomości, lecz nie została przyjęta. Joselyn zaczęła krzyczeć. Nie mogła oderwać wzroku od twarzy mężczyzny. Była odzwierciedleniem wszystkich koszmarnych wydarzeń ostatnich dwudziestu czterech godzin. Krzyczała z przerażenia i odrazy do śmierci, która ją otaczała.

Mężczyzna nie miał prawego oka. Ta część jego twarzy była blada, wyglądała jak stopiony wosk, miejscami poczerniały i spękany. Mimo tych zniekształceń poznała go. To był mężczyzna ze snajperskim karabinem, którego odbicie widziała w lustrze, gdy leżała w otwartych drzwiach. Nie miała pojęcia, jak przeżył wybuch w bunkrze.

Jego drugie oko patrzyło to na nią, to na skraj wąwozu. Nie mógł widzieć, co było ponad nim. Uderzył Joselyn lufą karabinu, niezbyt mocno, ale wystarczająco, żeby przerwać jej krzyk, który przeszywał jego otwartą czaszkę jak sztylet.

Potem złapał Joselyn za ramię i postawił na nogi. Pchnął ją przed siebie, ku płytszemu końcowi wąwozu, który przechodził tam w łąkę. Wydostali się na równy grunt w pobliżu bocznej ściany domu. Szła pierwsza, czując na plecach ucisk karabinowej lufy.

201

Trzymając Joselyn przed sobą, mężczyzna spoglądał ponad jej ramieniem jedynym widzącym okiem, wypatrując ciała na ziemi. Ale trawa i dzikie kwiaty tworzyły nieprzeniknione morze, głębokie po kolana i długie na jakieś sto metrów. Znalazłszy się w niżej położonej części łąki, Thompson nie mógł odnaleźć swej ofiary. Chciałby wpakować w nią jeszcze jedną kulę, na wszelki wypadek.

Zbliżywszy się do ściany domu, mężczyzna przycisnął Joselyn do siebie

jak tarczę. Poczula smród spalonego mięsa, usłyszała świszczący oddech w spuchniętych, przepalonych drogach oddechowych.

- Wolniej!

W jego głosie zabrzmiał strach. Joselyn wiedziała, że w każdej chwili może wpakować jej kulę. Oparł się plecami o ścianę, zasłonił nią od przodu.

- Co to było? - zapytał szeptem.

- O co chodzi?

- O te worki z piachem, z tyłu budynku. Co w nich było?

- Ja tego nie zrobiłam.

- Materiał wybuchowy? Skinęła głową.

- Kto to zrobił?

- Ten facet, nazywa się Thorn.

- Czemu miałby to zrobić?!

- Nie chciał zostawić żadnych świadków. Nie chciał, żeby ktoś z was przeżył.

- Nie wierzę ci.

- Więc strzel do tamtego worka. - Wskazała głową ku najdalszemu, umieszczonemu przy frontowej ścianie, jakieś dwadzieścia pięć metrów od nich. Spojrzał w tamtym kierunku, ale nie puścił jej ani na chwilę i nie złagodził nacisku lufy na jej zębra.

- Strzel, jeśli mi nie wierzysz - powiedziała.

- Mam lepszy pomysł. Stań tam. - Puścił jej ramię i pchnął karabinem w stronę worka.

Joselyn przeszła chwiejąc się kilka kroków i stanęła.

- Dalej! - Z trudem łapał oddech.

Pomyślała, że jeśli uda jej się przetrzymać jeszcze kilka sekund, facet straci przytomność. Odwróciła się i spojrzała na niego.

- Chcesz mnie zastrzelić? Więc zrób to teraz.

- Nie. Masz iść tam. - Lufą karabinu wskazał na bunkier.

- Powiedziałam prawdę. Ja tego nie zrobiłam.

- Strzeliłaś w to świństwo.

- Tylko dlatego, że ty strzelałeś do mnie.

- Ruszaj się! - rozkazał. W jego oku wystającym ze zmasakrowanej twarzy była złość.

Joselyn cofnęła się kilka kroków, z rękami uniesionymi do góry, jakby podkreślając, że jest teraz bezbronna. Wyraz jego twarzy, a raczej tego, co z niej zostało,

202

upewnił ją, że jej gest nie ma żadnego znaczenia. Cierpiał okrutnie i pragnął zemsty. Cofnęła się jeszcze trochę. Skierowana ku niej lufa zatoczyła kilka kręgów.

- Jeszcze!

Zrobiła dwa kroki i odwróciła się. Była tuż przy narożniku bunkra.

- Stań przy tych workach. - Podniósł karabin do ramienia i spojrzał w lunetę. Miał do celu nie więcej niż dziesięć metrów, ale widział go jak przez mgłę. Z tej odległości musiał jednak trafić w worki.

Oparł się bokiem o ścianę, żeby podeprzeć słabnące ciało i skryć się od wybuchu za rogiem.

Joselyn cofnęła się, aż jej łydki i plecy dotknęły ściany. Wcisnęła się w nią i zaczęła modlić:

- Boże, spraw, aby to się wreszcie skończyło!

Cienka, drewniana drzazga oderwała się z narożnika domu dokładnie na wysokości jej oczu. Dopiero potem usłyszała strzał, zwielokrotniony echem odbitym od wzgórza. Buck Thompson stał przez chwilę, jakby podtrzymywany przez niewidzialną siłę. Lufa jego karabinu opuszczała się coraz niżej, w końcu broń wysunęła mu się z rąk, kolana ugięły się, jego mocne ciało zmieniło się w szmaciany wór i runęło w piach przy ścianie domu.

Joselyn odwróciła się i spojrzała na łąkę. Wysoki chudzielec stał po kolana w trawie i kwiatach, z karabinem w ręku.

Gideon spojrzał w niebo i podziękował Bogu za szczęśliwe trafienie.

29

Wyspa Padget, stan Waszyngton

Snajper z piechoty morskiej obejrzał karabin Thompsona leżący w piasku pod ścianą domu. Zauważył, że luneta została pocięta, prawdopodobnie przez wybuch w bunkrze. Obraz, jaki pokazywała, minimalnie odbiegał od linii strzału. Buck Thompson chybił o kilka centymetrów.

Komandosi z Gideonem przeszukiwali wyspę przez prawie trzy godziny. Licznik Geigera ożywał się jedynie od czasu do czasu, reagując na promieniowanie przestrzenne, nic więcej. Nie znaleźli śladu ładunku nuklearnego. Wkrótce po południu pojawiła się brygada NEST i przejęła poszukiwania.

Gideon i Joselyn odlecieli helikopterem piechoty morskiej do bazy morskiej na wyspie Whidbey, gdzie zostali rozdzieleni.

Joselyn chciała się dowiedzieć, dlaczego ich tak trzymano, ale bezskutecznie. Jej pytania pozostały bez odpowiedzi. Pozwolono jej wziąć kąpiel i przebrać się pod nadzorem komandoski, potem poddano badaniu

lekarskiemu i opatrzone skaleczenia.

203

Lekarz wojskowy nie był pewien diagnozy. Podejrzewał, że mogła doznać wstrząsu mózgu. Guz z tyłu głowy, gdzie została uderzona poprzedniej nocy, szczeka rozbita kolbą Thompsona, wszystko to bardzo opuchło i zsiniało. Lekarz wątpił, czy Joselyn może podróżować.

- Czy to zagraża jej życiu? - zapytał agent FBI z kamiennym wyrazem twarzy.

- Prawdopodobnie nie - odparł lekarz. - Ale nie biorę odpowiedzialności.

- Więc może podróżować - orzekł agent.

Brudna i podarta odzież nie nadawała się do użycia, dano jej więc błękitny kombinezon używany w marynarce wojennej. W towarzystwie dwóch agentów znalazła się na pokładzie małego odrzutowca wojskowego. Po chwili pojawił się Gideon, również odziany w marynarski kombinezon. Uśmiechnął się, gdy ją zobaczył, zabandażowaną, w ubraniu o dwa numery za dużym.

- Świetnie, że marynarka wojenna znalazła coś w twoim ulubionym kolorze! -zażartował.

- Siadaj i zapnij pasy! -burknął jeden z agentów.

Gideon zajął miejsce obok Joselyn. Rozmawiali chyba z godzinę, zanim jednostajny szum silników nie uspił obojga. Jej głowa osunęła się na jego ramię. Jego czoło zanurzyło się w jej włosach.

Nagła zmiana wysokości i ciśnienia obudziła Gideona. Machinalnie spojrzął na zegarek i uświadomił sobie jego brak. Zostawił go z rzeczami na Whidbey. Poruszył się w fotelu. Joselyn zamrugła powiekami.

Przeciągnęła się i ziewnęła.

- Chyba zaraz lądujemy - powiedział. - Nie wiesz, która godzina?

Spojrzała na przegub dłoni.

- Nie wiem.

Wyrzwała przez okienko, ale niczego nie mogła dojrzeć. Lecieli w chmurach gęstych jak zupa. Dziesięć minut później poczuli uderzenie podwozia o beton. Samolot dotoczył się w pobliże olbrzymiego hangaru. Przez okna widzieli tylko myśliwce i transportowce stojące wzdłuż pasa startowego. Gideon dostrzegł wewnątrz hangaru wielki biało-błękitny samolot ze lśniąco srebrnymi skrzydłami. Na ogonie, tuż nad numerem 28000 miał wymalowaną flagę amerykańską. Na białej powierzchni kadłuba ostro odcinały się ciemne litery napisu: Stany Zjednoczone Ameryki.

- Wydaje mi się, że jesteśmy w bazie lotniczej Andrews - powiedział Gideon. Ciemnoniebieska rządowa furgonetka zatrzymała się na przedpolu hangaru.

Gdy znaleźli się na płycie lotniska, Gideon starał się rozprostować nogi, lecz szedł jak manekin. Czuł się jak po wyciągnięciu z puszki sardynek. Joselyn, wypoczęta i czująca grunt pod stopami, nabrała pewności siebie i zapytała jednego z agentów:

- Dokąd nas zabieracie?

- Zobaczycie! - odparł. Odsunął drzwi furgonu i gestem nakazał im wejść. Nie poruszyła się, a kiedy Gideon wykonał ruch w stronę samochodu, powstrzymała go.

- Czy jesteśmy aresztowani?

204

Agenci spojrzeli na nią, a potem na siebie. Było jasne, że sami nie mają

pewności.

- Jeżeli zostaliśmy aresztowani, to chcę się zobaczyć z adwokatem. Chcę też wiedzieć, o co jestem oskarżona.

- Przyjdzie na to czas - powiedział agent.

- Nie! Chcę wiedzieć teraz! - Strzelano do niej, kopano, trzymano na muszce i prawie usmażono w wybuchu. Nie miała zamiaru się ruszyć, zanim nie otrzyma odpowiedzi.

Gideon spojrzał na poirytowanego agenta.

- To chyba nie najlepsza pora na prawnicze przemowy - zwrócił się do Joselyn. Ujął ją pod ramię i pociągnął w stronę wozu.

- Dokąd nas zabierają?

- Nie mam pojęcia.

- Więc nie zrobię ani kroku. Dopóki nie dostanę odpowiedzi.

- Mogą cię wepchnąć siłą.

- Niech go pani posłucha - poradził agent.

- Chcę rozmawiać z kimś z dowództwa.

- Właśnie tam was zabieramy.

Joselyn spojrzała na Gideona. Nie była zadowolona. Założyła ręce na piersi, postukała czubkiem buta o ziemię i nie ruszyła się z miejsca.

- Zawsze możemy zatelefonować do ambasadora holenderskiego.

Nie spojrzała na niego, ale napięcie mięśni wokół jej ust zelżało, a po chwili uśmiechnęła się. Jej upór został złamany. Weszli do auta. Agent pokręcił głową.

Jechali prawie godzinę przez zatłoczone ulice, zanim zaczęli rozpoznawać słynne miejsca. Pomnik Lincolna, po drugiej stronie Jeffersona, wysmukły obelisk Waszyngtona. Joselyn nie była jeszcze w Waszyngtonie, toteż

ciekawie, jak turystka, wyglądała na miasto przez ciemne szyby furgonu. Na Gideonie nie robiło to wrażenia. Następstwem wczorajszego wytrysku adrenaliny było coraz większe zmęczenie, nie złagodzone snem podczas lotu. Ale odzyskał pełnię świadomości, gdy auto zatrzymało się przed czarną, kutą w żelazie bramą.

Zdumienie na twarzy Joselyn było aż nadto wymowne.

- Czyja śnię?-zapytała.

Gideon nie rzekł słowa, pochylił się tylko do przodu, wyglądając zza ramion agentów zajmujących przednie siedzenia. W pewnym oddaleniu za kutą bramą widniał jaśniejący, zdobiony doryckimi kolumnami portal Białego Domu.

Jeden z agentów pokazał przepustkę umundurowanemu strażnikowi i po krótkiej rozmowie telefonicznej brama się otworzyła. Auto ruszyło, skręciło w prawo i zatrzymało się przed wejściem do zachodniego skrzydła. Drzwi wozu otwarły się gwałtownie i dwaj mężczyźni w szarych garniturach, wyglądający na agentów Tajnej Służby, pomogli Joselyn i Gideonowi wysiąść. Żaden z agentów nie ode-

205

zwał się słowem. W milczeniu przeprowadzono ich obok wartownika. Skręcili w pierwszy korytarz w prawo, zeszli po kilku schodach w dół. Joselyn poczuła zapach jedzenia. Po chwili znaleźli się przed mesą Białego Domu, czymś w rodzaju małej restauracji.

- Zaczekajcie tu! - Jeden z agentów został z nimi, drugi podszedł do dużych, zamkniętych drzwi pilnowanych przez wartownika w mundurze piechoty morskiej. Agent pomanipulował przy drzwiach kartą magnetyczną, otworzył je i zniknął wewnątrz.

W restauracyjce było tłoczno. Młodzi ludzie w koszulach z podwiniętymi rękawami i krawatach, sekretarki w krótkich spódniczkach, wszyscy śpieszyli w tę i z powrotem po schodach, sprawiając wrażenie, jakby wypełniali misję zleconą przez samego Pana Boga. Wysadzone sztukaterią ściany były olśniewająco białe, drzwi otaczała framuga w stylu kolonialnym. Nikt nie zwracał uwagi na Gideona i Joselyn, która nagle poczuła się, jakby miała na sobie więzienne ubranie wyjściowe. Marzyła o grzebieniu, lusterku i odrobinie kosmetyków.

Parę sekund później pojawił się agent. Towarzyszył mu starszy mężczyzna w koszuli z rękawami podwiniętymi do łokci i poluzowanym krawacie, w wąskich okularach umieszczonych wysoko na czole. Zbliżywszy się do nich, jedną ręką zdjął okulary, a drugą wyciągnął na powitanie.

- Zapewne panna Cole i pan van Ry - obdarzył ich uśmiechem, pierwszym, jaki ujrzeli od wielu godzin. - Nazywam się Sy Hirshberg.

Gideon znał to nazwisko.

- Jestem doradcą prezydenta do spraw bezpieczeństwa. Chciałbym państwu podziękować za przybycie.

- Nie wiedziałam, że mieliśmy jakiś wybór.

- Jesteście głodni? - Udał, że nie słyszy jej słów. - Napilibyście się czegoś?

- Umieram z pragnienia - przyznała się Joselyn.

- Czym można panią poczęstować?

- Wodą sodową, jeśli można.

- Załatwione. A pan, panie van Ry?

- Tak, chętnie... To samo.

Jedno spojrzenie Hirshberga zmieniło agenta Tajnej Służby w kelnera.

- Skoro pan taki łaskaw... - rzucił mu Hirshberg - może załatwiłby pan

kilka kanapek.

Agent ruszył w stronę mesy.

- Bez mięsa! - zawołała Joselyn.

- Można prosić państwa tędy? Mamy wiele pytań i mało czasu.

Podprowadził ich do drzwi z kodowanym zamkiem, otworzył i puścił przodem. Weszli do sali konferencyjnej. Z trzech stron otaczały ją dwa małe gabinety, sala komputerowa i pomieszczenie ze sprzętem telekomunikacyjnym. Sama sala konferencyjna wydawała się mała, ciasna, podporządkowana celom użytko-

206

wym. Na jednej ze ścian wisiał ekran z jaśniejącą plamą mapy w dużym powiększeniu. Jej linie były znajome. Mapa ze szczegółami ukazywała fragmenty cieśniny Pudget, obejmujące wyspy San Juan.

Przy kilku stołach, ustawionych w prostokąt z wolną przestrzenią w środku, siedziało kilkunastu mężczyzn i dwie kobiety. Niektórzy z nich byli umundurowani.

Trwała właśnie ożywiona dyskusja. Kilka osób odwróciło ku nim głowy, ale nie zainteresowało się nowo przybyłymi.

Gideon natychmiast rozpoznał jedną z kobiet. Sheila Johnstead była ambasadorem Stanów Zjednoczonych przy ONZ.

Joselyn nie mogła oderwać oczu od postaci mężczyzny siedzącego w drugim końcu sali, w przytłumionym świetle. Był to prezydent Stanów Zjednoczonych. Nie uśmiechnął się do nich, nie zareagował na ich przybycie. Był pochłonięty rozmową z mężczyzną, za którego plecami właśnie się znalazła.

- Sprawa jest niesłychanej wagi - powiedział prezydent.

- Ja to doceniam, panie prezydencie - odparł mężczyzna.

Joselyn nie widziała jego twarzy, lecz głos był znajomy. Pomyślała, że musi to być ktoś, kogo słyszała w telewizji czy radio.

Posadzono ich na krzesłach w samych drzwiach. Sala była wręcz przepelniona. Młodzi sekretarze stali pod ścianami z notesami i długopisami w rękach. Napięcie wypełniało pokój, dotykalne niemal jak dym papierosowy.

- Ja doceniam wagę tego, panie prezydencie, ale dowody rzeczowe przedłożone ławie przysięgłych, jeśli mają rzeczywiście coś znaczyć, muszą być zachowane w tajemnicy.

- Stanęliśmy w obliczu kryzysu - powiedział prezydent. - Czy pan tego nie rozumie?!

- Rozumiem! - Brzmiał znajomy głos. Joselyn spróbowała wychylić się w bok, żeby dojrzeć choć profil mężczyzny, ale nie dała rady.

- Wiec proszę nam pomóc! - rzekł prezydent. - Jest pan jedyną osobą, która zapoznała się z wszystkimi dowodami. Proszę teraz pana oficjalnie, jako prezydent, aby powiedział mi pan wszystko, co pan wie w tej sprawie.

- Z całym szacunkiem - powiedział mężczyzna - wytyczna numer sześć Federalnych Zasad Postępowania w Sprawach Kryminalnych nie podaje żadnego wyjątku w przypadkach związanych z bezpieczeństwem narodowym.

Jego słowa uderzyły Joselyn jak piorun. Mężczyzną, siedzącym przed nią był Thomas McCally, zastępca prokuratora z Seattle, ten sam, którego w dniu ucieczki Beldena zostawiła w sądzie.

- Jeśli prawo nie uznaje takiego wyjątku, to trzeba je uzupełnić - orzekł

prezydent.

- To już jest sprawa pana i Kongresu - powiedział McCally.

Joselyn ze zdziwieniem uniosła brwi. McCally wypływał na głębokie wody polityki.

Prezydent cisnął długopisem, który wylądował ziemi niczyjej, między stołami.

207

- Nie mogę z panem dojść do porozumienia - rzekł. - Zajmij się nim

-zwrócił się do Abe'a Chamessa, prokuratora generalnego, siedzącego dwa krzesła dalej.

Charness obdarzył McCally'ego kwaśnym uśmiechem, przeczesał dłonią siwe, rzedniejące, z każdą minutą coraz bardziej rozwichrzone włosy. Na jego koszuli pod pachami widniały plamy potu. Nie był wysokim mężczyzną, ale nadał swemu głosowi władcze brzmienie.

- Synu, nie mamy czasu, aby trzymać się ściśle regulaminu. Sądzymy, że gdybyś odkrył jakiś przemyt ładunku nuklearnego do kraju, to zawiadomiłbyś wszystkie właściwe władze, jak Narodową Radę Bezpieczeństwa i wojsko.

McCally skinął głową.

- Sądzymy więc, że nie odkryłeś niczego takiego.

- To prawda.

- Świetnie! Prezydent zadaje nam proste pytanie. Chodzi o problemy związane z administracją. Musimy wiedzieć, czy nazwisko Wiktora Kolikowa kiedykolwiek pojawiło się w zeznaniach jakiegokolwiek ze świadków występujących w twoim śledztwie.

- Tego nie mogę ujawnić - oznajmił McCally.

Charness spojrział w sufit i zasyczał. Nie chciał wdawać się w szczegóły, nie w obecności tylu urzędników i wojskowych. Członkowie gabinetu wiedzieli lub domyślali się, o co chodzi. Prezydent nie mógł mieć pewności, że nazwisko Kolikowa kiedyś wypłynęło. Jeżeli tak i jeżeli oskarżenia zostały powiązane z wydarzeniami w stanie Waszyngton, i jeżeli Kolikow był zamieszany w dostarczenie broni masowej zagłady tamtej grupie, prezydent nie był w stanie utrzymać tego pod korcem. Jeśli, z drugiej strony, nazwisko Kolikowa wypłynęło w toku dochodzenia, wtedy uzasadnione byłoby prowadzenie poszukiwań bomby bez wielkiego halo. Gdyby znaleziono ją szybko i bezboleśnie, powiązania Kolikowa ze sprawą mogłyby pozostać ukryte przed opinią publiczną. Prezydencka akceptacja dla dotacji nie byłaby warta większej wzmianki w wiadomościach.

- Czy to znaczy, że nie wiesz? - spytał Charness. McCally nie odezwał się.

- Czy to znaczy, że nie pamięta pan, panie McCally, czy kiedykolwiek słyszał to nazwisko w związku z dochodzeniem?

- To znaczy tylko, że nie będę roztrząsał treści zeznań w sali pełnej ludzi, którzy nie są uprawnieni do otrzymywania takich informacji.

- Zechce więc pan powiedzieć prokuratorowi generalnemu wszystko, co panu wiadomo, bez świadków? - wtrącił prezydent.

- Jeżeli... - McCally przerwał na chwilę i wziął głęboki oddech. - Jeżeli uzyskam zapewnienie, że ograniczymy się do tego i że to, co ujawnię, zostanie wykorzystane jedynie w celu uzasadnionego i zgodnego z prawem ścigania przestępczości. Wyłącznie dla celów śledztwa i ukarania przestępstwa.

Prezydent spojrział na Charnessa i uśmiechnął się. Osiągnęli wreszcie jakiś postęp. Prokurator generalny mógł udać się do pustego pokoju z McCallym, uzyskać informację, na której mu zależało, a potem, na osobności, przekazać mu ją.

Charness nie wyglądał na uszczęśliwionego. Prezydent najwyraźniej w świecie zlecał mu popełnienie przestępstwa i wykorzystanie w tym celu Departamentu Sprawiedliwości. Musiał wiedzieć, zanim nakreśli plan działania, jak głęboko tkwi w tym wszystkim Kolkow.

- Sugerowałbym, panie Charness, aby odbył pan rozmowę z prokuratorem McCallym bez świadków - rzekł prezydent. - Możecie skorzystać z jednej z małych sal konferencyjnych.

McCally wstał z krzesła i wtedy zobaczył Joselyn. Z trudem przełknął ślinę i spuścił wzrok pod jej spojrzeniem. Oboje rozumieli, że dochodzenie zostało właśnie narażone na szwank, że z chwilą, gdy wyjdzie z tej sali, prezydent wyssie z niego każdą informację,

Joselyn odczuła nieznaną jej dotychczas szacunek dla ludzi pokroju McCally'ego, tych z pierwszej linii frontu. Nachyliła się do ucha Gideona i wyszeptała:

- Kto to jest ten cały Kolkow?

Na twarzy Gideona pojawił się zagadkowy uśmiech.

- Handlarz bronią - odpowiedział. Nazwisko Kolkowa pojawiało się tak często w raportach Instytutu w Santa Clara, że musiało być dobrze znane w kręgach osób zaangażowanych w kontrolę zbrojeń.

- Handlarz bronią jądrową? - pytała Joselyn.

Gideon zrobił dłonią nieokreślony ruch. Wszystko możliwe...

- A co z tym drugim prawnikiem? - zapytał prezydent. - Tą kobietą... Jak

się nazywa?

- Joselyn Cole - podpowiedział mu Hirshberg.

- Właśnie, Cole. Czy ktoś ma od niej jakieś wieści?

- Jest tutaj, panie prezydencie.

- O! - Prezydent nagle ożywił się i rozejrzał po sali, szukając wzrokiem damy w czarnym kostiumie. - Gdzie jest?

Joselyn nieśmiało podniosła rękę. Miała jeszcze przed oczami to, co stało się z McCallym. Nie miała ochoty pójść jego śladem.

- Och! - Prezydent przyjrzał się jej odzieży, siniakom na twarzy, a potem poszeptał o czymś z mężczyzną stojącym za jego plecami, który podsunął mu kilka kartek papieru i małe pudełko. Prezydent słuchał i kiwał głową, patrząc na Joselyn w sposób, który nie pozostawiał cienia wątpliwości, że oto jest przedmiotem rozmowy. Brwi prezydenta uniosły się, jego czoło zmarszczyło i zdziwienie przemknęło po twarzy. Asystent wyprostował się, a prezydent przysunął się z krzesłem do stołu.

- Tak więc, młoda damo, przeżyła pani kilka męczących dni. Proszę zająć miejsce przy stole. Panowie zrobią miejsce.

Wody przed nią rozstały się. Zawahała się, nie chciała iść bez Gideona.

14 - Masa krytyczna

209

- Czy to pani przyjaciel? - zapytał prezydent.

- To Gideon van Ry - powiedziała Joselyn. - Jemu zawdzięczam, że tutaj jestem. W przeciwnym wypadku byłabym już na tamtym świecie.

- Proszę podejść do przodu. Pan też, panie van Ry.

Jeden z mężczyzn siedzących przy stole podniósł się i odstąpił Gideonowi krzesło.

- Jestem przekonany, że oboje rozumiecie powagę sytuacji - powiedział Hirshberg.

- Chyba tak. Ale nie wiemy wszystkiego.

- Ośmieliłbym się rzec, że wiecie znacznie więcej niż my - powiedział prezydent. Uśmiechnął się. Szmer śmiechu przetoczył się przez stoły. - Dlatego tu jesteście. Potrzebujemy waszej pomocy. Jak rozumiemy, pani, panno Cole, reprezentowała Deana Beldena przed ławą przysięgłych w Seattle.

- Jeśli jest to jego prawdziwe nazwisko - dodała Joselyn. - Wygląda na to, że powiedział mi wiele rzeczy, które nie mają nic wspólnego z prawdą.

- Jak mnie poinformowano, była pani pewna, że zginął w katastrofie lotniczej.

- To prawda.

- Zdaje się, że oboje, pani i prokurator generalny, daliście się nabrać.

- I owszem.

- On jednak nie zginął?

- Nie. W jakiś sposób zdołał zaaranżować na mój użytek swoją śmierć, abym mogła poinformować o tym władze. Wykorzystał mnie, abym go zidentyfikowała. Chciał, aby oficjalnie uznano go za martwego i przestano go szukać. Tylko w ten sposób mógł dokończyć swego dzieła.

- I cóż to było za dzieło? - zapytał Hirshberg.

- Nie jestem całkowicie pewna. Dwukrotnie próbował mnie zabić, pierwszy raz tej nocy, gdy rozbił się jego samolot. Sądzę też, że to on usiłował zepchnąć mój samochód z promu w cieśninie Padget.

- A drugi raz?

- Na wyspie. Wydał rozkaz zamordowania mnie. Gdyby nie nurek z

marynarki wojennej, który zapłacił za to życiem... Wielu ludzi zginęło na tej wyspie. Widziałam ich ciała.

- Tak. Wiem o tym. - Prezydent był wyraźnie zdenerwowany przypomnieniem tego faktu. — A ci ludzie... Tamci ludzie z wyspy... Mogli mieć ładunek jądrowy. Czy pani to rozumie?

Joselyn potwierdziła skinieniem głowy.

- Nie wie pani, gdzie on może teraz się znajdować?

- Nie.

Prezydent spojrzał pytająco na Gideona. Ten pokręcił głową.

- Pan, proszę pana... Pan pracuje w Instytucie Przeciwdziałania Rozpowszechnianiu Broni Masowej Zagłady?

- Tak jest, panie prezydencie.

210

- Chciałbym wam podziękować za to, co zrobiliście. Jesteśmy w kontakcie z dyrektorem Instytutu. Okazał nam wiele pomocy. Bardzo wiele... Wiemy o pańskich podróżach po byłym Związku Radzieckim i o informacjach, które pan zdobył. Okazały się niezwykle przydatne. Jesteśmy wam bardzo wdzięczni.

- Nie były wystarczająco przydatne, panie prezydencie. Zaskoczenie odmalowało się na twarzy prezydenta.

- Nie były na tyle przydatne, aby zapobiec przeszmugłowaniu bomby na teren waszego państwa.

- No tak. Rzeczywiście.

- Pani Cole - wtrącił się Hirshberg. - Znalazła się pani z tymi ludźmi na wyspie. Wzięli panią do niewoli?

- Zgadza się.

- Czy podczas przebywania z nimi usłyszała pani coś interesującego?

- Widziałam Beldena. Wszedł do pokoju, gdzie mnie trzymano.

Przypuszczam, że występował pod innym nazwiskiem.

- Tak?

- Jako Thorn. Ludzie z wyspy zwracali się do niego per Thom. Długopisy ślizgały się po kartkach licznych notesów.

- Wydaje mi się, że on tam rządził.

- Próbuje zidentyfikować ciała - powiedział Hirshberg. - Może jest wśród zabitych.

- Szkoda waszego czasu - powiedziała Joselyn. - Nie znajdziecie go tam.

Opuścił wyspę z jeszcze jednym mężczyzną przed atakiem.

Zgromadzeni przy stołach popatrzyli po sobie porozumiewawczo. W notesach pojawiły się nowe zapisy.

- Mamy zdjęcie osobnika, którego nazwała pani Beldenem - rzekł prezydent. - Czy mogłaby pani spojrzeć na nie i zidentyfikować go? Joselyn skinęła głową. Asystent wręczył jej teczkę zawierającą fotografię.

- To on - potwierdziła.

- Świetnie. Roześlijcie fotografię do wszystkich federalnych urzędów zajmujących się walką z przestępczością - nakazał prezydent. -

Poinformujmy, że jest poszukiwany za... - Spojrzał na puste krzesło prokuratora generalnego. Jeden z jego asystentów wstał i podszedł do prezydenta.

- Za porwanie, zamordowanie urzędnika federalnego, zamach na urzędników federalnych... - zaczął.

- Wystarczy - przerwał prezydent. - Nie mówmy niczego o broni jądrowej. Przynajmniej nie teraz. Nie chcemy wywołać paniki.

- Ale dodajmy, że jest niezwykle niebezpieczny - doradził Hirshberg. -1  
jeżeli agencje lokalne go znajdą, niech w żadnym wypadku nie próbują go  
zatrzymać. Powinny natychmiast powiadomić FBI.

- W porządku - zgodził się prezydent. Ponownie zwrócił się do Joselyn.

- Powiedziała pani, że opuścił wyspę w towarzystwie jakiegoś mężczyzny.  
Mogłaby pani opisać tego człowieka?

211

- Był niskiego wzrostu... - zastanowiła się. - Sto sześćdziesiąt, może sto  
sześćdziesiąt pięć centymetrów... Siatyn o rzedniejących włosach,  
ciemnych oczach, ciemnej karnacji... O wiecznie smutnej twarzy.

- Czy mogłaby pani pomóc portreciście z FBI przygotować portret  
komputerowy tego osobnika? - padło pytanie. Zadał je mężczyzna o  
władczym spojrzeniu.

- Mogę spróbować.

- Mówi pani, że jest smagły - zastanawiał się Hirshberg. - Może być  
cudzoziemcem?

- Mówił bez szczególnego akcentu.

- Słyszała pani, jak mówił?

- Parę słów. Bardzo się śpieszyli. Ten człowiek podszedł do drzwi pokoju,  
gdzie mnie zamknęto, i powiedział, że muszą już iść. To wszystko.

- Była pani związana? Zakneblowana? - zapytał ktoś.

- Związana, na łóżku. Belden zerwał taśmę z moich ust. Wypytywał mnie.

- O co?

- Chciał wiedzieć, co powiedziałam władzom po tej katastrofie lotniczej.

Kim jest pan van Ry... Widzieli go przy łodziach we Friday Harbor tej  
nocy, kiedy mnie uprowadzili. Podejrzewali, że może pracować dla rządu.

- I co mu pani powiedziała?
- Nic. Nie miałam mu nic do powiedzenia. Niczego nie wiedziałam. On natomiast wiedział o moich klientach, o rybakach, którzy zachorowali. Sądziliśmy, że to jakiś wypadek przemysłowy.
- A co to było?
- Choroba popromienna - powiedział Gideon. - Wojsko potwierdziło, że doki i kilka łodzi zostało napromieniowanych.
- Jak? - zapytał prezydent.
- Pluton jest bardzo miękki. Potarty o szorstką powierzchnię zamienia się w proszek, w pył. Gdy dostanie się do płuc, zazwyczaj powoduje śmierć. Ale nie wydaje mi się, aby to był tam jedyny problem. Promieniowanie na łodzi było zbyt wysokie. Jestem pewien, że znajdowało się tam coś innego.
- Co? - spytał prezydent.
- Uważam, że ten, kto zaprojektował bombę, wymyślił coś jeszcze bardziej śmiernego. Sądzę, że wyposażono ładunek jądrowy w jakąś ilość cezu-137.
- Proszę to nam wyjaśnić - poprosił Hirshberg.
- Cez jest wyjątkowo niebezpiecznym materiałem. Jest produktem ubocznym procesu wzbogacania plutonu i bojowego uranu. Emituje bardzo silne promienie gamma. Wymaga szczególnie ostrożnego obchodzenia się z nim. W temperaturze pokojowej jest w stanie ciekłym, ale reaguje bardzo gwałtownie w zetknięciu z innymi materiałami. Rozpuszcza się w wodzie.
- Czemu mieliby szmuglować tą łodzią materiał, który jest właściwie odpadem nuklearnym? - zapytał jeden z wojskowych.

- Jako zabezpieczenie - odparł Gideon. - Gdyby nie udało się osiągnąć masy krytycznej, a w konsekwencji wywołać reakcji łańcuchowej, eksplozja konwencjonalnego materiału wokół ładunku jądrowego spowodowałaby wyparowanie cezu i ulotnienie się go do atmosfery. Niesiony wiatrem mógłby zabić tysiące, może dziesiątki tysięcy ludzi.
  - A w każdym przypadku byłoby to diabelskie przesłanie od Saddama czy Muammara - dorzucił inny wojskowy.
  - Jeśli to któryś z nich jest za to odpowiedzialny - powiedział Hirshberg.
  - Jestem pewien, że na tej łodzi znajdował się cez i że jakaś jego ilość została rozlana. - Gideon zignorował te próby ustalenia winnego.
  - Tak więc w gruncie rzeczy mamy do czynienia z brudną bombą jądrową - odezwał się kolejny wojskowy.
  - Nie - zaprzeczył Gideon. - Niszczącą siłą brudnej bomby są opady radioaktywne. Tu natomiast mamy do czynienia z bronią jądrową, której niszczącą siłę zwiększono przez dodanie cezu. Obszar, na którym zostanie zdetonowana, stanie się nuklearną i śmiertelną pustynią na dziesięciolecia.
- W sali zapadło milczenie. Przygnębienie zaostriło rysy twarzy prezydenta.
- Tylko w ten sposób można wytłumaczyć wysoki poziom promieniowania na łodzi - powiedział Gideon.
  - Jak daleko mogą wędrować te opady?
  - Zależy od wiatru i od deszczu.
  - Gdzie jest teraz ten statek? - spytał prezydent. - Ten napromieniowany statek...
  - Został odciągnięty na pełne morze, wraz z kilkoma innymi łodziami

rybackimi - poinformował prezydenta jeden z przedstawicieli armii. -  
Przystąpiono do dekontaminacji doku. Pewnie trzeba będzie usunąć jakąś  
jego część.

- Czy przeprowadzono analizę tego, co znajdowało się na statku?
- Tego nie wiem - odparł oficer.
- Więc proszę się dowiedzieć - polecił i zwrócił się do Joselyn: - Panno Cole, czy ci ludzie z wyspy wypytywali panią jeszcze o coś innego?
- Nie - potrząsnęła głową. - O ile pamiętam, to nie.
- Czy wie pani, w jaki sposób Belden i ten drugi osobnik opuścili wyspę?  
Zastanowiła się przez chwilę.
- Łodzią. Zdaje mi się, że tamten mężczyzna mówił coś o łodzi. Nie była  
pewna, czy usłyszała to czy tylko wywnioskowała.
- Czy słyszała pani warkot silnika łodzi? Przecząco potrząsnęła głową.
- Czy mówiono, dokąd płyną? - spytał Hirshberg.
- Nie. Tylko to, że mają coraz mniej czasu. Że muszą odpłynąć.
- Czy jeszcze coś? Czy usłyszała pani jakieś nazwiska? - kontynuował  
Hirshberg. Joselyn wysiliła pamięć.
- Nie. Ale dwaj mężczyźni na werandzie... Wymienili jakieś nazwiska.
- Jacy mężczyźni? - zainteresował się prezydent.

213

- Nie wiem. Słyszałam tylko ich głosy na zewnątrz, gdy zaczęła się  
strzelanina. Padło wówczas jakieś imię. - Myślała przez chwilę. - Oliver...  
Edgar... - Spojrzała na sufit. - Oscar... - Ożywiła się nagle. - Mam. Mówili  
o Oscarze. Zwróciłam na nie uwagę, bo usłyszałam, że rano on również  
opuszcza wyspę.
- Z Beldenem? - spytał Prezydent.

- Chyba nie. - Nagła myśl zaskoczyła ją. - O mój Boże!
- Co takiego?
- Oni rozmawiali o bombie. Ci dwaj na werandzie.
- Co? Gdzie? - pytał prezydent.
- Ci dwaj ludzie - powtórzyła. - Znajdowali się na werandzie. Panowało straszne zamieszanie. Wybuchła strzelanina. Mieli łódź zacumowaną gdzieś w zatoczce. Mówili o ucieczce. Wtedy dowiedziałam się o zaminowaniu bunkra. Powiedzieli, że to był rozkaz Thorna. Wspomnieli tego Oscara. Że rano opuścił wyspę i że oni też mieli wydostać się stamtąd, gdyby coś się zdarzyło. Ci dwaj faceci... Mieli wsiąść do ciężarówki i odjechać z tym czymś. To były ich słowa.
- Czy wyspa ma połączenie promowe umożliwiające transport ciężarówek? -zapytał Hirshberg. Spojrzał po zgromadzonych.
- Nie ma. - To był głos Gideona.
- Skąd pan wie?
- Sprawdziłem to, zanim wyleciałem z Friday Harbor śmigłowcem marynarki wojennej. Miałem pomóc w poszukiwaniach bomby. Nie chciałem, aby umieszczono ją na promie z ciężarówkami. Nie ma powszechnie dostępnego promu na wyspę.
- A więc bomby tam nigdy nie było? - spytał prezydent.
- Nie - rzekł Gideon.
- Straż Przybrzeżna wprowadziła blokadę wyspy - oznajmił Hirshberg.
- Nie ma mowy, żeby wydostali ją stamtąd, gdy nastąpił atak.
- Chyba że zabrał ją Belden.
- Nie. Nie na małej łodzi - orzekł Hirshberg. - Obserwacja satelitarna zauważyłaby tak duży statek płynący z wyspy. Szczególnie wtedy, gdy

bomba znajdowałyby się na ciężarówce.

- To pozostawia nam jeszcze jedną zagadkę do rozwiązania - powiedział prezydent. Sięgnął po pudełko, podane mu przez asystenta, gdy po raz pierwszy padło nazwisko Joselyn. Podniósł jego wieczko i wysypał zawartość na stół.

Gideon natychmiast rozpoznał swój zegarek. I zegarek Joselyn. Na stole leżała cała zawartość ich kieszeni: portfele, skrawki papieru, monety. Ktoś przeszukał też ich portfele: małą stertę na środku stołu tworzyły ich karty kredytowe, prawa jazdy...

- Sprawdzamy wszystko - powiedział Hirshberg. Zwracał się do swego szefa. - Jest tylko parę rzeczy, które musimy wyjaśnić. Mam nadzieję, że to zrozumiecie - spojrzał na Joselyn i Gideona.

214

Joselyn była wściekła. W bazie lotniczej na Whidbey wojsko w poszukiwaniu informacji dokładnie przetrząsnęło ich rzeczy.

- Byłoby miło z waszej strony, gdybyście o to poprosili - mruknęła.

- Zabrakło nam czasu - wytłumaczył się Hirshberg.

- Mieliśmy... Ile? Cztery godziny, gdy lecieliśmy przez całe Stany - skrzywiła się.

- Mamy jeszcze kilka pytań. Te notatki z nazwiskiem Grigorij Czenko w pańskim portfelu, panie van Ry. Co to takiego?

- Ach! Notatki, jakie robiłem w Swierdłowsku, w Rosji.

- Aha. Tę informację, jak sądzę, otrzymaliśmy z Instytutu? - Hirshberg zwrócił się do jednego z asystentów, który odpowiedział potakującym skinieniem głowy. - Panno Cole! A te numery telefonów w pani portfelu?

- Przyjaciół z Kalifornii.

- Hm... Sprawdzimy ich. - Wręczył skrawek papieru asystentowi. Nie wierzył jej? Spłonęła rumieńcem po uszy. - A to?

Spojrzała na kawałek kartonu, który trzymał w palcach, ale nie rozpoznała go.

- To wizytówka - oznajmił Hirshberg. - Usługi sanitarne. Toalety przenośne. Oak Harbor, stan Waszyngton.

Miała kompletną pustkę w głowie. Nagle olśniło ją. Wizytówka, którą Belden zostawił na stoliczku nocnym. Którą wzięła, gdy komandosi z marynarki wojennej próbowali wydostać ją z pokoju.

- Zapomniałam o niej. Belden zostawił ją w pokoju.

30

Oak Harbor, stan Waszyngton

Agenci FBI wyciągnęli wizytówkę z kieszonki bluzki Joselyn na prawie siedem godzin przed spotkaniem w Białym Domu. Nie zmarnowali ani chwili. Dwaj z nich pojechali do miasteczka Oak Harbor na wyspie Whidbey, niedaleko od bazy. Znaleźli właściciela Usług sanitarnych. Zidentyfikował on Beldena na fotografii jako jednego z kilku mężczyzn na placu budowy w pobliżu Deer Harbor na wyspie Orcas, którym wynajął i dostarczył przenośną toaletę.

- Zapamiętałem ich, bo ponieważ byli trochę dziwni.

- W jakim sensie dziwni? - dopytywał się agent.

- Był tam taki budynek. No, wiecie... Taka metalowa robótka na betonowej podstawie. Cała zamknięta. Kiedy usłyszeli, że jadę, jeden z nich wylazł z bocznych drzwi i powiedział mi, gdzie mam tę toaletę postawić. Gdy skończyłem, przypomniało mi się, że muszę dostać ich podpis na kwitach.

No to wszedłem

przez te drzwi. Pukałem i pukałem, ale nikt nie odpowiadał, pewnie nie słyszeli, no to wlażłem. Myślałem, że mnie zabiją!

- Czemu?

- Nie mam pojęcia! Ale dwóch mnie dopadło i wytaszczyło na zewnątrz. Bez litości, panie! Miałem cholerną ochotę wsadzić toaletę na wóz i z nią zniknąć.

- Co było w budynku? Przedsiębiorca pokręcił głową.

- Jakieś narzędzia. Palnik. Wypchnęli mnie w jednej chwili. Podpisali kwity, a ja po prostu dałem nogę. Facetom niewiele było potrzeba. Wiecie, o czym myślę. Czemu się nimi interesujecie?

Agent zignorował pytanie.

- Nad czym pracowali?

- To widziałem. Ciężarówkę. Coś na niej spawali.

- Co to za ciężarówka?

- Zabij mnie, a nie powiem. Nie miałem sekundy na rozglądanie się po okolicy, tak mnie dorwali. Wyglądała jak cysterna. Mała cysterna do przewozu chemikaliów. Jak mówiłem, cholernie mało brakowało, żebym nie wpakował kibelka na swój wóz i wrócił z nim do domu. Nawet by nie zauważyli braku.

- Co masz na myśli?

- Mieli tam kompletną łazienkę. Zaraz na prawo przy drzwiach. Słyszałem, jak ktoś spuszczał w niej wodę, gdy pracowałem na zewnątrz.

Deer Harbor, wyspa Orcas, stan Waszyngton

Grupa strzelców wyborowych ze specjalnej jednostki do walki z przestępczością powiatu Skagit, wraz z agentami FBI i ludźmi szeryfa z

powiatu Island, otoczyła budynek z metalowych elementów prefabrykowanych, dokładnie odpowiadający opisowi dostarczonemu przez przedsiębiorcę. Zapewniwszy sobie możliwość wsparcia ogniowego, do ataku ruszyła brygada taktyczna. Z ogłuszającym hukiem walnęli w boczne drzwi taranem. Po dwóch uderzeniach drzwi ustąpiły. Członkowie jednostki specjalnej z odbezpieczonymi M-16 wpadli do budynku. Po krótkiej chwili jeden z nich pojawił się w drzwiach i dał znak, że wszystko w porządku. Przez policyjne radia popłynęła wiadomość, że budynek jest bezpieczny, nikogo w nim nie ma. Teraz do akcji wkroczyli agenci FBI w garniturach. Brygada taktyczna zaczęła otaczać budynek wraz z podjazdem żółtą taśmą, używaną do oznaczania miejsc przestępstwa. Budynek był opuszczony. Na betonowej podłodze leżało kilka narzędzi, między innymi kosztowny przenośny palnik i jakieś klucze. Na środku pomieszczenia znajdowała się naprędce sklecona ławka. Agenci zrobili szybko kilka zdjęć i skontrolowali poziom radioaktywności. Był wysoki.

216

- Wszyscy na zewnątrz - rozkazał jeden z agentów. - Wezwać grupę NEST. Powiedzieć, że muszą tu przybyć natychmiast.

Zaczęto wychodzić. Jeden z agentów kopnął coś, co z hałasem potoczyło się po podłodze. Była to metalowa magnetyzowana tabliczka, którą można przyczepić do drzwi samochodu z nazwą firmy. Agent pochylił się nad nią i ostrzem scyzoryka przewrócił na drugą stronę. Na tabliczce widniał napis:

A-One Septic Denver, Colorado LUCK. #CZ 14869

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Departament Sprawiedliwości zatroszczył się o ulokowanie Joselyn i Gi-

deona w hotelu. Zawieziono ich do Hay-Adams Hotel na Szesnastej Ulicy, w pobliżu Białego Domu. Dano im świeże kombinezony, tym razem z napisem FBI na plecach, czystą bieliznę, szczoteczki i pastę do zębów, mydła oraz połączone pokoje, z agentami na korytarzu.

- Nieźle, jak na areszt domowy - skomentowała to wszystko Joselyn przez uchylone drzwi do pokoju Gideona. Zdjęła płaszcz kąpielowy wiszący na drzwiach łazienki. - Idę się wykapać. Zmieniam swój strój więzienny. Im szybciej się stąd wydostanę, tym lepiej.

- Nie podoba ci się w Białym Domu?

- Budynek jest w porządku. Ale nie mogę tego samego powiedzieć o ludziach wewnątrz tego budynku. Właśnie dlatego muszę wziąć kąpiel. Weszła do łazienki, rozebrała się i stanęła pod strumieniem gorącej wody. Zamknęła oczy. Poczula ostre uderzenia kropel na poranionej twarzy. Wydarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin przemknęły pod zamkniętymi powiekami jak koszmary sen. Nie potrafiła uwolnić się od myśli o zabitym żołnierzu. Zaczęła dygotać na całym ciele, nie mogła opanować szlochu.

Prawda o wszystkim, czego doświadczyła, nagle dotarła do niej w całej pełni. Uderzyła z siłą i natarczywością, jakiej Joselyn się nie spodziewała. To nie był film. Młody człowiek, właściwie stojący dopiero na progu życia, umarł na jej oczach. Jego żona, jeśli ją miał, nie poczuje już dotyku jego ramion. Ani matka, ani ojciec nie zobaczą go już na tym świecie. Nie chciała myśleć, czy miał dzieci. W ułamku chwili, gdy ratował ją od śmierci, kula wydarła mu życie. Płakała nie tylko z żalu, ale i w poczuciu winy. Ona pozostała wśród żywych, on jest martwy. Może gdyby jej tam nie było, nigdy nie wszedłby do budynku. Mógłby żyć.

Woda spływała po jej twarzy wraz z łzami, dopóki ich nie zabrakło.

Wyczerpana oparła się o wyłożoną kafelkami ścianę i zakręciła wodę.

Szybko wytarła

217

się ręcznikiem i ubrała w czyste rzeczy. Trykotowa koszulka musiała zastąpić całą bieliznę. Owinęła włosy ręcznikiem i wróciła do sypialni.

- Jak było? - zapytał Gideon. Stał w drzwiach między ich pokojami.

- Świetnie. Nie miałam pojęcia, że jestem tak wyczerpana.

- Co ci się stało z oczami? Są takie czerwone...

- Och! Mydło mi wpadło. - Przetarła oczy koniuszkiem ręcznika.

- Aha! - Gideon był pewien, że płakała. - Jesteś głodna?

- Nie bardzo.

- Spróbujmy zaatakować minibar.

- Jest w nim coś?

- Zaraz zobaczymy. - Otworzył kluczem lodówkę. - Orzeszki, M&M, tabliczka czekolady...

- Okropność!

- Co powiedziała byś na środek do uśmierzania bólu? - Pokazał jej trzy buteleczki.

- I owszem.

- Wódkę, whiskey czy szkocką?

- Szkocką. Z odrobiną wody sodowej. Jeśli jest.

- Jest i woda. Gdybyśmy byli w Amsterdamie, dałbym ci coś trochę mocniejszego. Coś z tak zwanych brązowych kafejek. Wy nazwalibyście to pubem, tawerną, może kawiarnią. A to wszystkie te trzy instytucje połączone w jedno. Są bardzo stare. Niektóre z nich istnieją od stuleci.

Znajdziesz je na każdej uliczce w starej części miasta. A ich wewnętrzne ściany są bardzo brązowe. Nigdy się ich nie czyści ani nie maluje. Podaje się tam wspaniałe mieszanki kawy... obok narkotyków.

Spojrzała na niego i roześmiała się.

- No co, nie wierzysz mi?

- Wierzę, oczywiście. Ale nie mogę sobie wyobrazić ciebie łykającego prochy.

- To narodowy holenderski sposób spędzania czasu. Według amerykańskich kryteriów jesteśmy okropnymi grzesznikami.

Społeczeństwo przyzwalające... Przynajmniej w Amsterdamie. Prochy są uznawane za niezbędny element rekreacji.

- Szkoda, że nie wystąpiłeś z tą oracją przed facetami, których dziś spotkaliśmy.

- Prawo do wolnego seksu jest konstytucyjnie zagwarantowane.

- My jesteśmy inni - powiedziała Joselyn. - A tutaj jest to jednym z przywilejów urzędników publicznych.

- Och, pusty! - Gideon wziął pojemnik na lód i wystawił głowę na korytarz. - Przepraszam, panowie!

Jeden z agentów podszedł do drzwi.

- Zdaje mi się, że zauważyłem maszynę do lodu na sąsiednim piętrze.

Zamierzamy się upić. Nie macie nic przeciwko temu? - Wręczył pojemnik agento-

218

wi i zamknął drzwi. Odwrócił się, złożył ramiona na piersiach i oparł o drzwi. -Mamy trochę czasu do zabicia. Co będziemy robić?

- Przykro mi, ale jestem za bardzo zmęczona. Będziesz musiał skorzystać

ze swego konstytucyjnego prawa w innym towarzystwie.

Gideon zaczerwienił się.

- Trzeba przeszukać twój mózg - powiedział.

- Mój mózg? - Nie rozumiała.

- No właśnie.

- Niewiele byś w nim znalazł, przynajmniej dzisiaj.

- Jesteś przekonana, że Denver to właściwy cel?

Telefon od FBI w Oak Harbor dotarł do nich, gdy byli w Białym Domu.

- Czy moje wątpliwości były aż tak oczywiste?

- No, kiedy powiedziałaś prezydentowi, że ma głowę bezpiecznie schowaną w odbytnicy...

- Nie powiedziałam tak!

- Nie. Ale sugestia była oczywista. Skąd ta twoja pewność?

- Bo wiem, że Belden nie jest facetem, który popełnia błędy. Nie takie!

Błaszany znaczek na podłodze?!

- Na ile pamiętam, w Denver miał miejsce wielki proces terrorystów.

- Czyż to nie wygodne? - zaśmiała się Joselyn. - Jestem pewna, że Belden pomyślał i o tym. W konsekwencji FBI poświęci czas na przeczesywanie połowy zachodnich Stanów w poszukiwaniu ciężarówki, która istnieje albo i nie.

- Świadek, z którym rozmawiano, widział ciężarówkę.

- Ale czy widział, co było w środku?

- Septycznie zabezpieczona cysterna z szambem stanowiłaby doskonały kamuflaż. Kto by chciał ją przeszukiwać?! - zastanawiał się Gideon. - A zbiornik może być od spodu pokryty ołowiem. Żaden przenośny licznik nie wykryje promieniowania.

- Być może. Ale jeśli chcesz wiedzieć, co myślę...
- Chcę - oświadczył Gideon.
- Myślę, że Belden nie jest tak głupi. To nie jest facet, który popełnia tyle błędów. Najpierw ta wizytówka na stoliku, potem szyld w hangarze. Po co to zostawił?
- Może się śpieszył?
- Nie. Wyjął wszystko z kieszeni, bo mu to przeszkadzało, gdy mnie mordował na łóżku. Położył to na nocnym stoliku, a kiedy skończył, zebrał wszystko starannie, z wyjątkiem wizytówki. On ją tam specjalnie zostawił!
- On po prostu skończył z tym przedsiębiorcą.
- Skończył też ze mną i wcale nie miał zamiaru zostawiać mnie na widoku.
- Bo mogłabyś go zidentyfikować.
- Tak samo jak facet, który wydzierżawił mu ten przenośny kibel. Gideon zastanowił się.
- Pomyśl o tym - ciągnęła. - Jak informują agenci, facet podjeżdża do hangaru, a tamci natychmiast wychodzą na zewnątrz. Nie zostają z nim, nie pilnują

219

go. Nie pytają, czy ma rachunek lub jakiś inny kwit do podpisania. Mówią mu, gdzie postawić kabinę, i wracają do środka. Kiedy puka, nie reagują. A gdy otwiera drzwi, pozwalają mu wejść na tak długo, żeby zauważył ciężarówkę. Potem mu robią wielką scenę i wyrzucają na zewnątrz.

- Co sugerujesz?
- Sugeruję, że Belden zaplanował sobie, że facet zobaczy ciężarówkę. Tak samo jak chciał, żebym przyglądała się, jak jego samolot wybucha. To wszystko ma czemuś służyć. Sprzedawca przenośnych sraczy też temu

służy. Skierował ślepią rządu federalnego wszędzie, tylko nie tam, gdzie trzeba.

- Masz bardzo przewrotny umysł. Zawsze jesteś taką paranoiczką?

- Tylko wtedy, gdy spychają mnie z promu, uprowadzają, biją i ostrzeliwują.

- Jesteś pewna, że nie bierzesz odwetu za to, że prezydent zlekceważył twoją opinię o Beldenie i jego planach?

- Zareczam ci, że prezydent nie ma wysokiego mniemania o kobietach i ich opiniach.

Nie posłuchali jej i wpadła w złość. Nie byli zainteresowani jej poglądami, obchodziły ich jedynie informacje, których mogła im udzielić. A przecież to ona zetknęła się z Beldenem bezpośrednio, tylko ona w całej tej sali.

Była przekonana, że się nie myli.

Rozległo się pukanie do drzwi. Gideon otworzył je i podziękował agentowi. Potem przygotował drinki i podał Joselyn jej whiskey

- Dziękuję - wzięła mały łyk z plastikowego kubeczka.

- W gruncie rzeczy to przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie - westchnęła.

- Jutro mnie tu nie ma. To ich zmartwienie.

- Ich? - Gideon uniósł brwi w zdziwieniu. - Bomba jądrowa spuszczonego z łańcucha krąży po twoim kraju, a dla ciebie to nie ma znaczenia?

- Nie słyszałeś, że apatia jest w Ameryce ostatnim krzykiem mody?

Dopóki nie upchną tej bomby pod moim łóżkiem, dopóty nic mnie to nie obchodzi.

- Naprawdę tak sadzisz?

- Czemu nie?

- Jestem pewien, że nie.

- Skąd ta pewność?

- Jeszcze pamiętam, jak wyglądałaś, gdy mówiłaś o tym marynarzu. Kiedy opowiedziałaś im, jak zginął. Uważam, że łatwo tkwić w apatii, gdy śmierć jest dla nas czymś abstrakcyjnym. Ale dwukilotonowa bomba jądrowa nie jest żadną abstrakcją. Może zabić tysiące ludzi. W porównaniu z nią to, co zdarzyło się na wyspie, będzie wyglądać na sielankę.

Wymordowane zostaną całe rodziny. Zginą w straszliwych męczarniach. Gideon wziął większy łyk alkoholu, przełknął, włożył do ust bryłkę lodu.

- Wiesz - powiedział - po niektórych mieszkańcach Hiroszimy pozostały tylko cienie utrwalone przez wybuch na betonowych ścianach budynków i na

220

chodniku. Można je oglądać do dziś. Ciał nie znaleziono. Jakby nigdy nie żyli. Są wśród nas tacy ludzie, dla których te cienie wpięzione w mur to jedynie historyczna ciekawostka, obraz czasu, który przeminął. Jeśli niczego więcej nie widzą, rzeczywiście są aniołami apatii.

31

Seattle, stan Waszyngton

Oscar Chaney podjechał do krawężnika w strefie wydzielonej dla wozów zaopatrzenia, wyłączył silnik i zgasił reflektory. Przez minutę siedział za kierownicą, sprawdzając w lusterku wstecznym, czy żaden spóźniony przechodzień albo bezdomny włóczęga nie kręci się po ulicy.

Minęła północ. Po chodniku Piątej Ulicy, ostrzegawczo mrugając żółtą lampą, pełzła zamiatarka. Na skrzyżowaniu zapaliły się czerwone światła. Chaney mógł stąd obserwować siedzibę sądu federalnego, odległą o dwie przecznice. Czteropiętrowy budynek, w którym sprzątacze skończyli już

pracę, był mdło oświetlony.

Dłonią w rękawiczce Chaney sprawdził zamknięcie drzwi po stronie pasażera. Otworzył swoje drzwi i stanął na schodku, potem na krawężniku. Jeszcze raz rzucił wzrokiem na ulicę. Nie miał najmniejszej ochoty, aby ktokolwiek mógł powiązać go z tą ciężarówką.

Spojrzał na zegarek. Policjanci zaczęli kontrolować ulicę i wypisywać mandaty dopiero przed poranną godziną szczytu. Duża ciężarówka blokująca jeden z pasów, nawet w tej strefie, musi zwrócić ich uwagę. Chaney chciał mieć pewność, że nie odciągną wozu na miejski parking. Sięgnął za siedzenie i wyjął dwie magnetyczne tabliczki, takie same jak pozostawiona na podłodze garażu w Deer Harbor. Tym razem jednak firma A-One Septic miała adres w Bellevue w stanie Waszyngton. Zatrzasnął zablokowane drzwi i umieścił na nich tabliczkę. To samo zrobił z drugimi drzwiami.

Chaney wiedział, że władze spenetrowały już pusty garaż. Jeden z jego ludzi pozostał tam, aby mieć oko na barak. Wiedział też, że w chwili, gdy policjantki zgłoszą jego wóz do ściągnięcia z ulicy, ich komputery oszaleją. Zestawią nazwy z obu tablic. FBI przestanie marnować czas i forszę na patrolowanie autostrad między stanami Waszyngton a Kolorado i skoncentruje uwagę na Seattle. Stracą kolejnych kilka godzin na oczyszczenie okolicy i sprowadzenie ekspertów od promieniowania, zanim podejmą pierwsze nieśmiałe próby rozbrojenia ładunku. Dopiero dobrze po południu zrozumieją, że popełnili błąd.

Chaney przeszedł na drugą stronę ulicy i skierował się w stronę skrzyżowania. Minał dwie przecznice i zaczął rozglądać się za taksówką. Przepuścił co naj-

mniej cztery, dopiero potem podniósł rękę. Kiedy auto zatrzymało się przy chodniku, otworzył drzwi, wsiadł i powiedział do kierowcy: - Lotnisko!

Hotel Hay Adams w Waszyngtonie

Joselyn usłyszała delikatne pukanie do drzwi. Głosy rozmawiających mężczyzn wydawały się jej częścią snu. Przewróciła się na drugi bok i spojrzała na iluminowany zegarek na nocnym stoliczku. Było po dziesiątej. Pomyślała, że to rano, choć przy zasuniętych żaluzjach nie mogła być pewna.

Usiadła nagle w łóżku, wystraszona, że przespała cały dzień. Owinięta w narzutę dotarła do okna i odciągnęła ciężkie zasłony. Jaskrawe słońce oślepiło ją, zmusiło do odwrócenia się i zaniknięcia oczu.

Dokuczał jej potworny ból głowy. Miała nadzieję, że w małej torebce z przyborami toaletowymi, dostarczonej wczoraj przez agentów, jest też aspiryna. W ciągu wieczora uporowała się z czterema buteleczkami szkockiej, jakie znalazły się w mi-nibarach obu pokoiów. Dobrze, że wódkę zostawiła Gideonowi. Potknęła się o torebkę w łazience, ale nie znalazła w niej niczego, co mogłoby uśmierzyć ból. Ruszyła do barku, żeby sprawdzić jego zawartość, gdy Gideon pojawił się w drzwiach.

- Zdawało mi się, że cię słyszę. Obudzili cię?

- Kto?

- Agenci przy drzwiach.

- To byli oni?

- Tak. Odchodzą. Mam twój portfel, gotówkę i karty kredytowe. I klucze, które miałas w kieszeni.

- Jesteśmy więc wolni?

- Nie. Proszą nas, żebyśmy pozostali w mieście aż do odwołania. Na wypadek, gdyby mieli jakieś pytania. Ale wygląda na to, że wierzą we wszystko, co im powiedziałaś. A co ważniejsze, znaleźli ciężarówkę. Joselyn na czworakach zaglądała do wnętrza minibaru. Słyszac słowa Gide-ona odwróciła się i spojrzała na niego pytajaco.

- Znaleźli ją w Seattle.

- W Seattle? - zdziwiła się.

- Rozpracowują ją teraz. Agenci nie znali szczegółów, a przynajmniej nie zdradzili mi ich. Przeprowadzono badanie radioaktywności pojazdu. Odkryto wysoki poziom promieniowania gamma. Nic więcej nie wiedzieli. Wygląda na to, że się pomyliłaś.

- Masz może aspirynę? - zignorowała jego opinie.

- Nie. Ale mogę skoczyć do kiosku w lobby. Poprawiła narzutę opasującą jej ciało.

- Jeśli już jesteś taki dobry, to kup mi trochę nowych ciuchów i biustonosz. I szminkę.

222

- Na zakupy pójdziemy później - zaproponował Gideon. Był pewien, że jej umysł zajęty jest czymś innym. - Zastanawiam się, dlaczego zadali sobie tyle trudu, taszcząc ładunek aż do Seattle.

Spojrzała na niego i pokiwała głową.

- Mam tylko nadzieję, że ci tam, po drugiej stronie ulicy, też się nad tym zastanawiają.

Sala Sytuacyjna, Biały Dom

Gdy prezydent pojawił się w drzwiach sali, powitano go oklaskami. - Nie dajmy się ponieść radości - powiedział. - Mamy jeszcze wiele do

zrobienia. Jakie są wiadomości od zespołu działającego w Seattle?

- Zanotowano względnie wysoki poziom promieniowania gamma, nie przekraczający jednak limitu bezpieczeństwa dla przechodniów czy ludzi, którzy w jakiś sposób zetknęli się z ciężarówką. Panuje opinia, że ładunek jest zabezpieczony, znajduje się prawdopodobnie wewnątrz ołowianego pojemnika w cysternie.

- Czy są w stanie powiedzieć, ile czasu im zajmie rozbrojenie bomby?

- W gruncie rzeczy nie dotarto jeszcze do samej bomby. Obecnie przeprowadza się ewakuację mieszkańców dzielnicy.

- Czy ogłoszono jakiś komunikat?

- Nie! Nie! Poinformowano tylko o ulatnianiu się gazu z jednej z głównych rur. Ewakuuje się osiem kwartałów. To wymaga czasu. Zamknęliśmy skrzyżowanie z autostradą 1-5 i zakazaliśmy samolotom cywilnym latania nad tym terenem.

- W porządku! - stwierdził prezydent. - Nie potrzebujemy żadnych dokuczliwych reporterów wiszących w helikopterze nad tą ciężarówką. Prezydent nie wszedł do sali, stał tylko w drzwiach, podkreślając, że nie zatrzyma się tu na długo.

- Panie prezydencie, chciałbym z panem porozmawiać, jeśli to możliwe.

-Przez cały rano Sy Hirshberg próbował dostać się do Gabinetu Ovalnego. Prezydent przyjmował tylko pisemne komunikaty z Seattle, nic poza tym. Przygotowywał się do wygłoszenia orędzia o stanie państwa. Trwała nieustanna procesja członków rządu, zabiegających o umieszczenie w przemówieniu ich najnowszych pomysłów lub sprawdzających, czy najważniejsze problemy z ich poletka nie zostały wykreślone z tekstu.

- Czy to nie może poczekać, Sy?

- Uważam, panie prezydencie, że to bardzo ważne.
- Czy chodzi o coś związanego z bieżącą sytuacją, o czym ja nie wiem?
- Nie! - zaprzeczył Hirshberg. - Ale jest to sprawa, o której powinniśmy porozmawiać.

Prezydent spojrział na zegarek.

223

- Przykro mi, ale to będzie musiało poczekać. Mam jeszcze co najmniej dwa spotkania. Ci fanatycy mogliby poczekać ze swoją bombą jeszcze parę dni. Byłoby nam znacznie łatwiej. W tej chwili w moim gabinecie siedzą ludzie od edukacji... Asystenci czekają na ostatnie uwagi do tekstu.... A ja potrzebuję przynajmniej dwóch godzin, żeby zapoznać się z ostateczną wersją. -Znów spojrział na zegarek. - Będę miał trochę czasu około czwartej trzydzieści. Tylko pięć minut.

Hirshberg wiedział, że w najlepszym wypadku prezydent wysłuchałby go teraz tylko jednym uchem.

32

National Mail, Waszyngton

Scott Taggart siedział na ławce i patrzył, jak młodzi ludzie biegają szerokimi żuźłowymi ścieżkami otaczającymi promenadę National Mail. Za nim znajdowało się Muzeum Hirshorna, dalej, po drugiej stronie krętej ulicy, widniał zamek z czerwonego piaskowca, siedziba Smithsonian. Liczne galerie tego muzeum, jak kopie Akropolu, wznosiły się we wszystkich kierunkach. Promenadę zamykała imponująca kopuła Kapitolu. Niecałą milę stąd, na zachód, znajdował się Biały Dom. Taggart odłożył gazetę i spojrział na zegarek. Muzeum było otwarte od godziny. Podniósł się z ławki, wyjął z kieszeni grube skórzane rękawice, nałożył je, a dłonie

schował w kieszeniach ciężkiego marynarskiego płaszcza. Ruszył w kierunku Kapitolu. Przeszedł na drugą stronę Jefferson Drive na skrzyżowaniu z Siódmą Ulicą i dotarł do Alei Niepodległości, gdzie skręcił w lewo. Schodami wspiał się do wejścia do wielkiego budynku o dwupiętrowym szklanym froncie i za grupą uczniów wszedł do Muzeum Lotnictwa i Lotów Kosmicznych. Na wprost wejścia był duży punkt informacyjny, za którym widniał plakat reklamujący wystawę „Milowe kamienie lotnictwa”.

Muzeum było zatłoczone, jak zwykle w środku zimowego tygodnia. Typowe wycieczki szkolne mieszały się z rencistami i coraz większą liczbą zwiedzających, którzy korzystali z urlopu poza sezonem.

Na prawo od wejścia znajdował się Hol Kosmiczny, zamknięty dla publiczności w związku z przygotowaniem do bankietu. Ustawiono już stoły, trwały jeszcze prace przy wznoszeniu estrady.

Nad głową Taggarta zwiślał z sufitu samolot braci Wright, obok połyskiwał „Spirit of StXouis”.

Dziś jednak Taggart nie interesował się historią. Jego myśli krążyły wokół ogromnego budynku znajdującego się trzysta metrów na północ i odrobinę na

224

zachód, w strefie największego zniszczenia. Biura Izby Skarbowej znajdowały się przy promenadzie, wciśnięte między Muzeum Historii Naturalnej i siedzibę Departamentu Sprawiedliwości. W ciągu kilku godzin wszystkie one upodobnią się do wypalonych betonowych ruin Hiroszimy i Nagasaki.

Taggart wmawiał sobie, że nie ma nic przeciwko ludziom, którzy pracują

w tych gmachach. Chodzi mu o same instytucje. Z tego właśnie powodu tak bardzo ważny jest cez. Komputerowe bazy danych i dokumenty instytucji w jednej chwili staną się nuklearnymi śmieciami. Nie ma lepszego sposobu na zabicie bestii niż zniszczenie informacji, którymi się żywi.

Rząd schował się za konstytucją, której ludzie nie mogli zmienić, a której politycy używali dowolnie w celu spotęgowania swojej władzy.

Konstytucja mogła być interpretowana jedynie przez sędziów, którzy mieli swój udział w federalnym systemie podziału łupów, rozwijającym się teraz szybciej niż uniwersum. Rząd rozrastał się jak nowotwór, wchłaniając wszystko, co napotkał na swej drodze.

Zdaniem Taggarta, Ameryka osiągnęła swój kres. Zabiła Kirsten i zrodziła samowystarczalną klasę polityczną, arogancką w swych poglądach i bezczelną w korupcji - arystokrację polityczną, obojętną i pogardliwą wobec społeczeństwa. Nadszedł wreszcie czas zapłaty.

W głównym holu, za punktem informacyjnym, Taggart zatrzymał się na chwilę. Z kieszeni płaszcza wygrzebał małą fiolkę. Palcami nieporadnymi w grubych rękawicach wyjął z niej kapsułkę, którą umieścił w ustach, między policzkiem a dziąsłami. Wyrzucił fiolkę do pojemnika na śmieci, skreślił w lewo i przeszedł przez dział poświęcony historii wczesnych lotów i lotnictwu odrzutowemu.

Nie zatrzymując się, przemierzył zatłoczoną galerię, mijając duchy innej epoki, samoloty, które wyniosły Amerykę do potęgi. Były stare i bezużyteczne, jak pokolenie, które je stworzyło, jak ludzie, którzy na nich latali, symbole minionej chwały i honoru, pozbawionych dziś miejsca w Ameryce. Wszyscy oni, i on sam, nie mieli żadnego znaczenia dla

przekupnych polityków, biorących pieniądze od obcych krajów, naszych wrogów.

Myśli goniły jedna drugą. Taggart szedł do celu, z rękami wciśniętymi głęboko do kieszeni płaszcza, patrząc przez ludzi, jakby ich tam wcale nie było. Cała jego uwaga była skoncentrowana na przedmiocie znajdującym się na drugim końcu budynku, od strony promenady.

Pod lśniącymi nitowanymi blachami samolotu z wymalowanymi cyframi „82” stała tylko garść zwiedzających.

Taggart nawet na mgnienie oka nie spuszczał wzroku z cylindrycznego obiektu, podwieszonego pod olbrzymim kadłubem, tuż przy otwartym łuku bombowym.

Przez skórę rękawic wyczuł na dnie kieszeni szklaną buteleczkę, tę, którą Thorn pozostawił dla niego w skrytce bagażowej na lotnisku w Denver. Butelka zawierała zabarwiony kwas wodorochlorowy, mogący trawić metal i plamić go na krwistoczerwony kolor.

15 - Masa krytyczna

225

Taggart przepchnął się przez grupkę turystów do wzniesienia pod wielkim kadłubem. Zatrzymał się i rozejrzał, czy nikt nie ma zamiaru mu przeszkodzić. Bez wahania przekroczył metalowa barierę.

Zobaczył to jeden ze strażników, kilkanaście metrów od niego. Ruszył w jego stronę, ale było za późno.

Taggart szybko pokonał przestrzeń dzielącą go od zielonego metalowego cylindra zawieszzonego pod kadłubem i cisnął w niego butelką. Szkło rozprysnęło się, eksplodując krwistoczerwonym sprayem, który pokrył część cylindra i zaczął skapywać na podłogę. Taggart zasłonił twarz przed

oparami, jakie zaczął wydzielać trawiony kwasem metal.

- Ameryka to nuklearny morderca! - krzyknął z całych sił. Turyści odbiegli od samolotu, strażnicy wkroczyli do akcji. Patrzyli na jego dłonie, wypatrując w nich broni, ale nic nie dostrzegli. Kwas zaczął wyżerać małą dziurkę w metalu.

- Ameryka to nuklearny morderca! - krzyczał dalej Taggart. Kopał metalowy cylinder, dłońmi rozsmarowywał płyn po jego powierzchni. Chociaż w stanie hysterii, zachował przytomność umysłu na tyle, że zrzucił rękawice, zanim kwas zdążył je przeżreć. Dwaj strażnicy rzucili się na niego. Przez kilka sekund szamotali się z nim, potem skuli kajdankami jego wykręcone za plecy ręce.

Zanim zdążyli go wyprowadzić, pracownicy muzeum rozpoczęli szacowanie szkód. Błyszczący kadłub, być może najbardziej znaczący zabytek wieku lotnictwa, był nietknięty. Tylko pod nim, na metalowym cylindrze kwas nadal wydzielał niezdrowe opary. Dwaj pracownicy obsługi weszli zgięci pod kadłub i pchnęli ogon samolotu. Za pomocą kołowego podnośnika, stanowiącego część ekspozycji, wyteżając wszystkie siły, wymanewrowali cylinder spod ogromnego cielska „Enoli Gay”. Przetoczyli wózek do tylnego wejścia do muzeum i patrzyli, jak kwas trawi metal wiernej repliki „Małego Chłopca”, bomby atomowej zrzuconej na Hiroszimę.

Gabinet Owalny, Biały Dom

Prezydent podniósł głowę znad grubej sterty papierów leżących przed nim na biurku. Ołówkiem powykreślał pojedyncze słowa i całe wiersze, podpisywał nowe. Sy Hirshberg stał w otwartych drzwiach Gabinetu Owального. Dochodziła piąta po południu.

- O co chodzi, Sy? Nie mam wiele czasu. - Za cztery godziny miał wygłosić orędzie o stanie państwa i w żołądku czuł coraz mniej przyjemne sensacje. - Są nowe wieści z Seattle?

- Nie ma. Nasi ludzie zastanawiają się, jak dostać się do wnętrza cysterny, nie podgrzewając jej podczas cięcia. Próbowali prześwietlić ją rentgenem, ale nie przedostali się przez ołowianą osłonę.

226

- Nie mogą zabrać stamtąd tego cholerstwa? Zataszczyć to na statek i won, na ocean!

- Obawiają się, że cysterna może być zaminowana. Prezydent wziął głęboki oddech i spojrzał w sufit.

- Jak, do diabła, mam stanąć przed dwustoma milionami ludzi i opowiadać im o stanie państwa w tym samym czasie, gdy nasi ludzie próbują rozbroić bombę jądrową?!

- Właśnie o tym chciałem rozmawiać, panie prezydencie. Prezydent spojrzał na doradcę.

- Moim zdaniem, powinien pan odwołać wystąpienie.

- Co takiego?!

- Tylko je przełożyć, panie prezydencie. Na inny czas.

- Co, u diabła?! Nie mogę tego zrobić. Nie teraz. Już za późno.

Rozdaliśmy prasie tekst orędzia. Masz pojęcie, co powiedzą, gdy je odwołamy? Zechcą się dowiedzieć, dlaczego.

- Może powinniśmy im to powiedzieć.

- Nie! - Prezydent był zdeterminowany. Okręcił się wraz z fotelem i Hirschberg miał teraz przed sobą wysokie skórzane oparcie. - Nie ma powodów do odwoływania. Jeśli bomba zostanie bezpiecznie rozbrojona,

nie miałyby sensu niepotrzebnie niepokoić opinię publiczną! A jeśli nie...  
Odwołanie wystąpienia ani trochę nie poprawi sytuacji.

- A jeśli wybuchnie podczas przemówienia? Co wtedy, panie prezydencie?

- Przynajmniej ludzie zobaczą, że prezydent jest zaangażowany w sprawy kraju, nawet w obliczu kryzysu.

- Jest jeszcze jedna ewentualność - powiedział Hirshberg. - Znacznie poważniejsza.

- Co to takiego?

- Jest możliwe, że bomba nie znajduje się w Seattle.

Prezydent ponownie obrócił się z fotelem, tym razem, by spojrzeć w twarz Hirshbergowi.

- O czym ty mówisz?! Przecież ciężarówka została znaleziona.

- Owszem, ale nie dostaliśmy się do jej wnętrza.

- Zanotowano promieniowanie.

- To prawda. Co jednak nie znaczy, że bomba jest w środku. Proszę sobie przypomnieć, panie prezydencie, że znacznie wyższy poziom radiacji zanotowano na statkach rybackich, tych, które marynarka odholowała z Friday Harbor i posłała na dno na północnym Pacyfiku. Może to znaczyć tylko, że cysterna została użyta do transportu bomby. Wydaje się prawdopodobne, że ładunek nuklearny został usunięty z tej ciężarówki, zanim wysłano ją do Seattle.

- O czym ty mówisz?!

- Mówię, że cysterna może być tylko maskaradą, panie prezydencie.

227

- Nie mogą zabrać stamtąd tego cholerstwa? Zataszczyć to na statek i won, na ocean!

- Obawiają się, że cysterna może być zaminowana. Prezydent wziął głęboki oddech i spojrzał w sufit.
- Jak, do diabła, mam stanąć przed dwustoma milionami ludzi i opowiadać im o stanie państwa w tym samym czasie, gdy nasi ludzie próbują rozbroić bombę jądrową?!
- Właśnie o tym chciałem rozmawiać, panie prezydencie. Prezydent spojrzał na doradcę.
- Moim zdaniem, powinien pan odwołać wystąpienie.
- Co takiego?!
- Tylko je przełożyć, panie prezydencie. Na inny czas.
- Co, u diabła?! Nie mogę tego zrobić. Nie teraz. Już za późno. Rozdaliśmy prasie tekst orędzia. Masz pojęcie, co powiedzą, gdy je odwołamy? Zechcą się dowiedzieć, dlaczego.
- Może powinniśmy im to powiedzieć.
- Nie! - Prezydent był zdeterminowany. Okręcił się wraz z fotelem i Hirshberg miał teraz przed sobą wysokie skórzane oparcie. - Nie ma powodów do odwoływania. Jeśli bomba zostanie bezpiecznie rozbrojona, nie miałoby sensu niepotrzebnie niepokoić opinię publiczną! A jeśli nie... Odwołanie wystąpienia ani trochę nie poprawi sytuacji.
- A jeśli wybuchnie podczas przemówienia? Co wtedy, panie prezydencie?
- Przynajmniej ludzie zobaczą, że prezydent jest zaangażowany w sprawy kraju, nawet w obliczu kryzysu.
- Jest jeszcze jedna ewentualność - powiedział Hirshberg. - Znacznie poważniejsza.
- Co to takiego?
- Jest możliwe, że bomba nie znajduje się w Seattle.

Prezydent ponownie obrócił się z fotelem, tym razem, by spojrzeć w twarz Hirshbergowi.

- O czym ty mówisz?! Przecież ciężarówka została znaleziona.

- Owszem, ale nie dostaliśmy się do jej wnętrza.

- Zanotowano promieniowanie.

- To prawda. Co jednak nie znaczy, że bomba jest w środku. Proszę sobie przypomnieć, panie prezydencie, że znacznie wyższy poziom radiacji zanotowano na statkach rybackich, tych, które marynarka odholowała z Friday Harbor i posłała na dno na północnym Pacyfiku. Może to znaczyć tylko, że cysterna została użyta do transportu bomby. Wydaje się prawdopodobne, że ładunek nuklearny został usunięty z tej ciężarówki, zanim wysłano ją do Seattle.

- O czym ty mówisz?!

- Mówię, że cysterna może być tylko maskaradą, panie prezydencie.

227

- Gówno prawda! - zawołał prezydent. - Mamy bombę, i ty wiesz o tym. A gdyby twoi ludzie mieli trochę oleju w głowie, zabraliby ją z miasta, zanim zdarzy się wypadek.

- Wypadek?! Nie mówimy o wypadku. Mówimy o ludziach skazanych na rzeź. Jeżeli dojdzie do reakcji łańcuchowej, pięćdziesiąt tysięcy osób straci życie. Może nawet więcej.

- Myślałem, że ewakuowaliście tę dzielnicę.

- Dwanaście ulic, panie prezydencie! Jeśli bomba wybuchnie, ogień obejmie całe śródmieście Seattle. Fala uderzeniowa przekroczy cieśninę w niecałe trzy sekundy i zniszczy wschodni brzeg wyspy Bainbridge, wielkiej miejscowości rezy-dencyjnej. To będzie przerażające. Co jednak

może się zdarzyć, jeśli tam nie ma bomby?

- Jeśli jej tam nie ma, to gdzie jest?!

- Czy muszę przypominać panu prezydentowi, że za cztery godziny znajdzie się pan w jednym budynku z wszystkimi członkami Kongresu, rządu, Sądu Najwyższego, Połączonego Szefostwa Sztabów, całej administracji federalnej?!

- Rozmawiałeś z tą kobietą - rzekł prezydent. - Tą... Jak się nazywa?

- Panna Cole. Nie, nie widziałem się z nią od wczoraj, od jej wyjścia z Sali Sytuacyjnej. Ale czemu pozwolili nam tak łatwo odnaleźć tę ciężarówkę?

- Może jest łatwa do odnalezienia - powiedział prezydent. - Na pewno jednak nie jest łatwa do spenetrowania.

- Może tak to zostało zaplanowane? - powiedział Hirshberg. - Abyśmy jak najdłużej tkwili w jednym miejscu.

Prezydent długo się zastanawiał.

- Uważasz, że powinienem odwołać przemówienie?

- Tak sędzę.

- Co ja powiem Kongresowi?

- Że zostanie wygłoszone w następnym tygodniu.

- Więc co mam zrobić? Wyjechać z miasta?

- Byłoby to bardzo wskazane. Może do Camp David? - zasugerował Hirshberg. - Lub jakiejś innej bazy wojskowej.

- Nie powiedziałeś o tym Tajnej Służbie?

- Nie.

- Dzięki Bogu! Wyprowadziliby mnie stąd na smyczy.

Prezydent ciągle jeszcze trzymał ołówek w palcach. Zabębnił nim po papierach. Sytuacja była patowa. Gdyby opuścił Kapitol, nie mówiąc

niczego Kongresowi, a potem sprawa by się wydała, podcięliby mu nogi, nawet członkowie jego partii. Przeszedłby do historii jako prezydent, który zostawił swój rząd, siedzący pod kopułą Kapitolu, na atomowa zagładę, sam zaś, ratując własny tyłek, zwiął do Camp David.

- Jezu Chryste! Sy, jeśli wpadłeś na to, czemu nie byłeś tak miły i nie powiedziałeś mi o tym trochę wcześniej?

228

- Panie prezydencie, aż do wczoraj uważaliśmy, że bomba, jeśli to jest bomba, znajdowała się na tej wyspie. Dopiero teraz okazuje się, że jej tam nigdy nie było. I nie wiemy, od jak dawna krąży po kraju. Mieli czas, aby przetransportować ją tutaj.

- Może ona wcale nie istnieje? - zamyślił się prezydent. - Brałeś to pod uwagę? Prawdę mówiąc, nikt jej dotychczas nie widział, prawda?

- Prawda.

- Ani ta kobieta. Ani jej przyjaciel. Jak on się nazywa? Ten Holender...

- Van Ry - podpowiedział Hirshberg.

- Czemu z nimi nie porozmawiasz? Może coś przeoczyliśmy? Hirshberg mógłby powiedzieć, że prezydent zrobił wszystko, aby się go pozbyć i nie być zmuszony do podejmowania decyzji.

- Jest jeszcze inne wyjście - rzekł. - Mógłby pan w ostatniej chwili zachorować.

- Nie! - eksplodował prezydent. Rzucił ołówek na stół i wstał. - Tylko tego mi potrzeba! Spekulacji, że miałem wylew albo zawał. Do diabła!

Gdybym był prezydentem Rosji, mógłbym im powiedzieć po prostu, że się upiłem, albo -jeszcze lepiej - pozwolić im, aby sami do tego doszli.

- To nie musi być wylew - powiedział Hirshberg.

- Nie odwołuje się orędzia o stanie państwa z powodu przeziębienia. Nie, za późno już na odwoływanie! - wykrzyknął prezydent.

- Nie! Podjąłem decyzję. Nieodwołalną! - Spojrzał na zegarek. - Jeszcze coś?

- Nie, panie prezydencie!

- Więc jeśli pozwolisz... - rzekł prezydent. Hirshberg odwrócił się i wyszedł z gabinetu.

Spojrzenie prezydenta wróciło do szpargałów rozpostartych na biurku. Nie wróciły tam jednak jego myśli.

najdował się w powietrzu, łącznie ze startami i lądowaniami, od czterna-  
JLjsUi godzin. Zabytkowy DC-3 latał wolno i nisko, ale był niezawodny.

Thorn podkołował pod kilka małych hangarów. Nikt tu nie zwracał szczególnej uwagi na stare samoloty. Były zapewne częstszym zjawiskiem niż gdzie indziej, z wyjątkiem pokazów lotniczych w Oshkosh.

Lotnisko znajdowało się tylko kilka mil od Silver Hill, siedziby usług restauracyjnych, konserwacyjnych i magazynowych Paula E. Garbera, głównego warsztatu naprawczego i magazynu Muzeum Lotnictwa i Lotów Kosmicznych.

- Lecz...

W pobliżu Silver Hill w Marylandzie

229

Zajmująca dziesięć hektarów i gromadząca ponad czterdzieści tysięcy obiektów związanych z lotnictwem firma Garbera zatrudniała liczną płatną załogę i całą armię ochotników, miłośników lotnictwa, znawców każdego aspektu budowy oraz naprawy zarówno promów kosmicznych, jak i Kitty Hawk.

Thorn liczył na tego ducha ochotniczej służby i jej niezobowiązujące stosunki z muzeum.

Koła samolotu jeszcze się toczyły po pasie startowym, gdyżza jednego z hangarów wyjechała ciężarówka. Miała z dziesięć metrów długości i skrzynię, taką jak używane do przewozu mebli. Zatrzymała się przy luku samolotu.

Thorn wyłączył silniki. Oscar Chaney wyskoczył z ciężarówki i podstawił dwa drewniane kliny pod koła DC-3. Podeszedł do tylnego luku w chwili, gdy Thorn go otwierał. Chaney spojrzał na zegarek.

- Punktualnie.

- Dalej! - powiedział Thorn. - Mamy dużo roboty.

Thorn wykonał „brudną robotę”, zanim wystartował do długiej podróży, na małym lotnisku w Arlington w stanie Waszyngton. Wdział ochronny kombinezon i maskę i z ogromną ostrożnością umieścił małe tuby wysoce radioaktywnego materiału w gniazdach otaczających plutonowe jądro bomby. Nie przekształciło to dwukilotonowego pocisku artyleryjskiego w bombę termonuklearną, ale przygotowało paskudną niespodziankę dla tych, którzy przystąpią do sprzątnięcia ruin. Zawartość tub, po wyparowaniu w rezultacie wybuchu, mogła na trzydzieści lat przekształcić wszystko w promieniu dwóch kilometrów w radioaktywną pustynię. Komputery i dokumenty, samo jądro mózgu amerykańskiej biurokracji, staną się niedotykalne.

Chaney podstawił samochód skrzynią pod otwór luku. Obniżył hydrauliczne zawieszenie wozu, tak że bez trudu wślizgnęło się pod kadłub. Wszedł do samolotu i razem z Thornem wyrównał płaszczyznę ciężkiej drewnianej rampy, łączącej pokład samolotu z podłogą

ciężarówki. W ciągu pięciu minut wtoczyli ładunek samolotu na wóz. Thorn nałożył niebieski kombinezon i czapkę bejsbolową z napisem „Wolałbym latać”. Zeskoczył na beton i zamknął drzwi luku. Chwilę później siedział w kabinie ciężarówki, jadącej w stronę drogi biegnącej przed lotniskiem. Zatrzymali się przy bramie. Thorn wysiadł i skoczył na drugą stronę ulicy do budki telefonicznej. Rozmowa zajęła mu niecałą minutę. Kiedy wrócił, Chaney słuchał radia:

- Za niecałe trzy godziny prezydent przemówi do Kongresu i całego narodu. Jednym z problemów podjętych w orędziu będzie potrzeba dokonania znaczącego przełomu w dziedzinie krajowych standardów oświaty...

Thorn i Chaney patrzyli przed siebie, przez mgłę osiadającą na szybie. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi. Jechali za znakami prowadzącymi ich do autostrady. Wjeżdżając na nią, Chaney wysunął ramię przez okno, sygnalizując

230

zmianę pasa, potem opuścił je. Jego palce niemal dotknęły magnetyzowanej tabliczki z napisem:

PAULA E.GARBERA USŁUGI SILVER HILL, MARYLAND

Dyrektor kazał usunąć dymiącą makietę „Małego Chłopca” przed rozpoczęciem bankietu. Tłum gości składał się z osób, które nie zdobyły wejściówek na galerię nad Izbą Reprezentantów, miały jednak zagwarantowane miejsce wśród VIP-ów. Wiele z nich było wielkimi sponsorami Smithsonian Institution. Niektóre z nazwisk zaproszonych osób należały do najgrubszych ryb stolicy i znajdowały się na waszyngtońskiej liście numer jeden, tego roku jednak nie aż tak wysoko,

aby zasiadać dziś w upragnionym fotelu pod kopułą Kapitolu.

Będą dziś obserwować wystąpienie prezydenta na wielkim ekranie telewizyjnym w Holu Lotów Kosmicznych, potem pić koktajle i jeść kanapki. Pod koniec bankiet zaszczyści szef sztabu Białego Domu i kilku innych notabli, jednak sam prezydent miał inne plany na wieczór.

- Żądam, aby to paskudztwo usunięto z parkingu natychmiast! Nie obchodzi mnie, co z tym zrobicie. Zadzwońcie do wojska, niech to stąd zabiorą. - Dyrektor muzeum miał dość spraw na głowie, a tu ktoś mu jeszcze dorzucał nowe, śmierdzące kłopoty. Musiał myśleć o tysiącu gości, a pozostały mu trzy godziny na zapięcie wszystkiego na ostami guzik. Stał za barierką i przyglądał się rdza-woczerwonym plamom na cemencie.

- Czy to zejdzie?

- Nie wiemy - zmartwił go jeden z szefów od konserwacji budynku.

- Więc dopilnuj, żeby chociaż nie zrobiły się większe. Spróbujcie to czymś przykryć, choćby tylko na ten wieczór. I wyrzućcie wreszcie to paskudztwo z parkingu.

- Ale co mamy z tym zrobić?

- Nic mnie to nie obchodzi. Po prostu wyrzućcie. Nie mam najmniejszego zamiaru pokazywać tego gościom na parkingu.

- Nie możemy tego wciągnąć do magazynu. To ciągle wydziela potworne opary.

- Trujące? - spytał dyrektor.

Robotnicy popatrzyli po sobie z niepewnymi minami.

- Nie, jeśli się tego nie dotyka.

- Czy kadłub został zniszczony? - pytał dalej dyrektor.

- Nie. Mamy tylko te plamy na podłodze.

- Przykryjcie je. I otoczcie miejsce linami. Po przemówieniu goście zechcą zwiedzić muzeum. Niektórzy na pewno będą chcieli zobaczyć „Enolę”.

Dyrektor odwrócił się i poszedł w stronę swego gabinetu.

- Czym, u diabła, mamy to przykryć?! - zapytał jeden z robotników.

231

- A skąd mam wiedzieć?! Pójdę czegoś poszukać, a wy pracujcie dalej.

-Kierownik poszedł do magazynu.

Robotnicy próbowali zetrzeć plamy z podłogi, ale rdzawoczerwony kolor nie znikał. Nie wyglądały tak źle, jak krwistoczerwona farba na makiecie „Małego Chłopca”, ciągle jednak rzucały się w oczy.

- Jak myślisz, o co facetowi chodziło?

- Komu? Dyrowi?

- Nie. Temu wariatowi.

- A skąd mam wiedzieć?! Ale miał szczęście, że nie wylał tego świństwa na siebie.

- Ano!

- Hej, wy tam!

Odwrócili się i oparli na szczotkach, patrząc na wracającego z magazynu kierownika.

- Co jest grane, szefie?

- Mamy szczęście. Ktoś już powiadomił Garbera. I nigdy nie zgadlibyście! Zdaje się, że mają tam jeszcze jednego.

- Kogo? Jeszcze jednego pieprzonego czubka?

- Nie! Jeszcze jednego „Małego Chłopca”.

Dwaj faceci wsparci na szczotkach popatrzyli po sobie.

- Po cholere im dwa?

- Nie wiem. I gównu mnie to obchodzi. Wiem tylko tyle, że jest już na wozie i jedzie do nas. Jak mówi Robbie, który odebrał telefon, faceci od konserwacji dali pierwszej makiecie inny odcień zieleni, niż miał oryginał. I nie dziwota, jeśli nie mieli oryginału. W tej chwili mam w nosie jego wygląd. Najważniejsze, że przykryje te cholerne plamy na podłodze.

- Nie powinniśmy powiedzieć dyrowi?

- A po co?! Kazał nam nakryć plamy i już! I my mu to zrobimy. A poza tym facet ledwie zipie. Powie mu się później. Teraz tylko musimy wypchnąć to paskudztwo z parkingu i zrobić miejsce dla ciężarówki z nową makietą. A jak dopisze nam szczęście, to namówimy ich do zabrania stąd tego śmierdzącego drań-stwa do Garbera, zanim miejskie służby sanitarne nie uznają muzeum za trujący śmietnik.

Ciężarówka zatrzymała się przed tylną bramą muzeum, kilka kroków od sterty czegoś dymiącego pod czarną plastikową płachtą. Obok stało dwóch uśmiechniętych robotników.

Thorn spojrzał na Chaneya.

- Zdaje się, że Taggart odwalił dobrą robotę - uśmiechnął się Chaney.

-Ciekawe, gdzie jest teraz.

- Nie nasze zmartwienie - powiedział Thorn. - Facet głęboko wierzył w to, co robi.

232

Wyskoczył z wozu i uśmiechnął się do robotników.

- Jak leci? Zdaje się, że mamy coś, czego szukacie. - Kiwnął głową w stronę samochodu. Udawał, że żuje gumę. - Jak chcecie to wepchnąć do środka? -zapytał.

- Możesz podjechać pod rampę - powiedział jeden z mężczyzn. Drugi

poszedł otworzyć bramę. Chaney tyłem podprowadził wóz pod rampę.

- Jest szansa, żebyście w drodze powrotnej zabrali stąd to cuchnące gówno? Do Garbera.

Thorn i Chaney popatrzyli po sobie. Thorn się uśmiechnął.

- Jasne! Czemu nie?!

Wszyscy czterej musieli wyteńczyć siły, żeby wytoczyć makietę z samochodu.

- Ja cię...! Ta cholera waży z tonę! - stęknął kierownik. - Czemu taka ciężka?

- Pewnikiem zrobili ją z cięższego żelastwa.

- No! - potwierdził Thorn. - I wpięprzyli cementu do środka. Zaśmiali się. Znalazłszy się na betonie, makietę potoczyła się na kołach podnośnika.

- Wiecie co? - Thorn spojrzał na kierownika. - Moglibyście pomóc mojemu kumplowi? On podprowadzi wóz do tamtej makiety, a wy dwaj za pomocą podnośnika wpięprzycie mu ją na skrzynię.

Kierownik był szczęśliwy, że może się odwdzięczyć. W międzyczasie Thorn z jednym z robotników dopchał nowego „Małego Chłopca” na miejsce w holu. Muzeum powoli się zamykało, ludzie gromadnie śpieszyli ku wyjściom. Niektórzy z nich przyglądali się z zaciekawieniem, jak bomba toczyła się do błyszczącego bombowca.

- Cholera! - zaklął Thorn. - Wydajecie kupę szmalu na to wszystko, a potem jakiś idiota z poluzowanymi klepkami we łbie przychodzi i chce to zniszczyć. Ludzie jednak są różni...

- A jak?! - powiedział pomocnik. - Trza było widzieć naszego starego! Szajba mu odbiła z wściekłości. Zabiłby tego czubka, gdyby dostał go w swoje łapska.

- Hmmm - mruknął Thorn. Patrzył przed siebie i pchał wózek ku lśnjącemu brzuchowi „Enoli Gay”. Widział dwupiętrowe okna wyglądające na Mail, jedyną przeszkodę między punktem zero i Kapitołem.

Kula ogniowa przemknęła przez promenadę z szybkością błyskawicy. Zamieni w parę każdą żywą istotę w promieniu dwustu metrów, stopi jak wosk brązowe pomniki na kopule Kapitolu. Niemal w tym samym ułamku sekundy eksplozja zdmuchnie miedziane pokrycie dachu i zapali wszystko w środku. W ciągu kilku sekund temperatura przekroczy tysiąc stopni. Biały Dom zostanie zdmuchnięty z fundamentów. Nawet wnętrza podziemnych bunkrów zostaną rozgrzane do temperatury, w której wszystko zamienia się w popiół.

233

Thorn był ciekaw, czy Scott Taggart poczuje coś z tego czy też znalazł drugą rzecz, którą wrzucił mu do teczki wraz z kluczem: małą fiolką z jedną kapsułką cyjanku.

Gideon i Joselyn spędzili popołudnie, zaopatrując się w odzież, która pozwoliłaby im na powrót do domu w przyzwoitym stanie. Wczesnym wieczorem poszli do kina, szukając odprężenia w zimnej, ciemnej sali, gdzie nie musieli odpowiadać na żadne pytania ani oglądać się za agentami FBI.

Joselyn zastanawiała się, czy rząd zapłaci za jej powrót do Seattle. Byłoby to uczciwe załatwienie sprawy, zważywszy, że nie prosiła się o przetransportowanie do stolicy.

Dochodziła ósma, gdy wrócili do hotelu. Joselyn upuściła torby z zakupami na podłogę pokoju i zrzuciła z nóg nowe pantofelki. Strasznie ją

piły! Gideon zapukał do drzwi.

- Zamierzam wziąć prysznic - oznajmił. - Może wybralibyśmy się później gdzieś na kolację?

- Jestem wykończona! Wolałabym zjeść coś w pokoju. Odpocznijmy dzisiaj, połóżmy się wcześniej.

- Zamów więc coś do pokoju. Dla mnie stek, średnio wysmażony, i małą sałatkę.

- Gdzie mam to postawić? W twoim czy moim pokoju?

- Wszystko jedno! - odpowiedział i poszedł do siebie.

Przestudiowała menu i zamówiła kolację. Drzwi do pokoju Gideona zostawiła otwarte, chcąc usłyszeć pukanie kelnera do jego pokoju.

Pomyślała, że jutro rano mogłaby złapać samolot do Seattle. Rozmawiała już o tym z Gideonem. Jeden z agentów powiedział mu, że dopóki bomba w centrum miasta nie jest rozbrojona, niektóre samoloty muszą lądować gdzie indziej. Jako powód wymieniono konieczność pilnej naprawy jednego z pasów startowych.

Słyszała wodę leącą w łazience i śpiew Gideona. Miał całkiem niezły głos, chociaż wyższe rejestry sprawiały mu trochę kłopotów. Uśmiechnęła się do siebie i rzuciła na łóżko. Wzięła do ręki pilota telewizyjnego i włączyła program. Przeleciała przez płatne kanały. Nędza kompletna! Znalazła lokalne wiadomości z sąsiedzkimi porachunkami i ciężkimi kłopotami zarządu miasta ledwie wiążącego koniec z końcem. Radni próbowali kupić burmistrza, oferując mu kilkaset tysięcy rocznej pensji profesora emeryta w jednym z uniwersytetów, żeby tylko

Hotel Hay Adams, Waszyngton

Thorn był ciekaw, czy Scott Taggart poczuje coś z tego czy też znalazł drugą rzecz, którą wrzucił mu do teczki wraz z kluczem: małą fiolkę z jedną kapsułką cyjanku.

Gideon i Joselyn spędzili popołudnie, zaopatrując się w odzież, która pozwoliłaby im na powrót do domu w przyzwoitym stanie. Wczesnym wieczorem poszli do kina, szukając odprężenia w zimnej, ciemnej sali, gdzie nie musieli odpowiadać na żadne pytania ani oglądać się za agentami FBI.

Joselyn zastanawiała się, czy rząd zapłaci za jej powrót do Seattle. Byłoby to uczciwe załatwienie sprawy, zważywszy, że nie prosiła się o przetransportowanie do stolicy.

Dochodziła ósma, gdy wrócili do hotelu. Joselyn upuściła torby z zakupami na podłogę pokoju i zrzuciła z nóg nowe pantofelki. Strasznie ją piły! Gideon zapukał do drzwi.

- Zamierzam wziąć prysznic - oznajmił. - Może wybralibyśmy się później gdzieś na kolację?

- Jestem wykończona! Wolałabym zjeść coś w pokoju. Odpocznijmy dzisiaj, połóżmy się wcześniej.

- Zamów więc coś do pokoju. Dla mnie stek, średnio wysmażony, i małą sałatkę.

- Gdzie mam to postawić? W twoim czy moim pokoju?

- Wszystko jedno! - odpowiedział i poszedł do siebie.

Przestudiowała menu i zamówiła kolację. Drzwi do pokoju Gideona zostawiła otwarte, chcąc usłyszeć pukanie kelnera do jego pokoju.

Pomyślała, że jutro rano mogłaby złapać samolot do Seattle. Rozmawiała już o tym z Gideonem. Jeden z agentów powiedział mu, że dopóki bomba

w centrum miasta nie jest rozbrojona, niektóre samoloty muszą lądować gdzie indziej. Jako powód wymieniono konieczność pilnej naprawy jednego z pasów startowych.

Słyszała wodę lejącą w łazience i śpiew Gideona. Miał całkiem niezły głos, chociaż wyższe rejestry sprawiały mu trochę kłopotów. Uśmiechnęła się do siebie i rzuciła na łóżko. Wzięła do ręki pilota telewizyjnego i włączyła program. Przeleciała przez płatne kanały. Nędza kompletna! Znalazła lokalne wiadomości z sąsiedzkimi porachunkami i ciężkimi kłopotami zarządu miasta ledwie wiążącego koniec z końcem. Radni próbowali kupić burmistrza, oferując mu kilkaset tysięcy rocznej pensji profesora emeryta w jednym z uniwersytetów, żeby tylko

Hotel Hay Adams, Waszyngton

234

nie kandydował w nadchodzących wyborach. Joselyn odczuła zadowolenie, że mieszka na wyspie. Już miała wyłączyć aparat, gdy usłyszała:

- Dziś w Muzeum Lotnictwa i Lotów Kosmicznych miały miejsce ekscytujące wydarzenia. Po relację z nich zwracamy się do Charlene Williams.

Atrakcyjna kobieta z mikrofonem w jednej i notatnikiem w drugiej ręce pojawiła się na ekranie. Stała na schodach pod ścianą z wielkimi metalowymi literami:

NARODOWE MUZEUM LOTNICTWA I LOTÓW KOSMICZNYCH

- Tak jest, Charlie! Miały tu dziś miejsce bardzo interesujące wydarzenia. Policja aresztowała mężczyznę, który rzucił pojemnik ze żrącym kwasem na jeden z eksponatów.

Nikommu nic się nie stało, ale nie wycenione jeszcze szkody wyrządzono replice pierwszej bomby atomowej zrzuconej na Hiroszimę. Reprodukacja tej bomby, zwanej „Małym Chłopcem”, spoczywająca pod kadłubem słynnej „Enoli Gay”, została obdana kwasem i musiała zostać usunięta z muzeum ze względu na wydzielane trujące opary i uszkodzenia.

Pewna kobieta, zwiedzająca w tym czasie muzeum, zarejestrowała na taśmie magnetowidowej moment aresztowania tego mężczyzny przez policję i jego wyprowadzenie.

Przez chwilę ekran migotał poziomymi paskami, po chwili jednak ukazał się obraz zarejestrowany przez amatorską kamerę. Joselyn wyciągnęła się wygodnie na łóżku, ułożyła głowę na poduszkach i pozwoliła myślom krążyć swobodnie. Wtedy zobaczyła jego twarz na ekranie. Nie wierzyła własnym oczom. Usiadła.

Twarz w telewizorze zniknęła po sekundzie, gdy mężczyzna został wyprowadzony przez policjantów, ale była to twarz, która mocno zapadła w jej pamięć. Tę samą twarz widziała w domu na Padget. Należała do człowieka, który tamtego ranka stanął w drzwiach i powiedział Beldenowi, że muszą już jechać. Opisała go prezydentowi i agentom FBI, kreślącym jego komputerowy portret.

- Wkrótce tajemnica wydarzeń w muzeum okazała się jeszcze głębsza.

Policja poinformowała nas przed chwilą, że mężczyzna ów (dziennikarka zajrzała do notatek), Scott Evan Taggart, zmarł, prawdopodobnie na atak serca, wkrótce po przewiezieniu do aresztu. Policja nie udziela żadnych informacji, poza tym, że prowadzone jest śledztwo.

Kamera wróciła do studia.

- Charlene, powiedz nam, czy wiadomo coś na temat powodów, dla

których mężczyzna zrobił to, co zrobił?

235

- Jeszcze nie, Charlie! Policja metropolitarna traktuje tę sprawę jako akt wandalizmu. Na pewno pamiętacie, że trzy miesiące temu podobny wypadek miał miejsce w Narodowym Muzeum Sztuki. Policjanci próbują się dowiedzieć, czy zmarły chorował, co mogłoby wyjaśnić jego nagłą śmierć. Poza tym mówią nam jedynie, że dochodzenie trwa.

Joselyn siedziała jak ogłuszona, ciężko dysząc, próbując uporządkować myśli.

- O cholera! - powtarzała. - O mój Boże!

Wstała z łóżka i zaczęła nerwowo przemierzać pokój. Zastanawiała się, co robić. Jedynymi dźwiękami, które przedostawały się poprzez hałas telewizora, były nieustanny szum wody w łazience Gideona oraz śpiew Holendra.

Pobiegła do jego pokoju, prosto do łazienki. Nie miała głowy na pukanie, od razu otworzyła drzwi. Dwoma krokami przeszła wypełnione kłębami pary pomieszczenie i odciągnęła zasłonę.

Gideon, z głową pokrytą pianą, przerwał śpiew w pół nuty i wypuścił mydło z dłoni. Patrzył na nią wytrzeszczonymi oczami, jabłko Adama poruszało się nieprzerwanie w górę i w dół szyi.

- Wyłaź spod prysznic!

- Słucham? - wyjąkał.

- Wyłaź z łazienki, i to natychmiast! - Chwyliła ręcznik i rzuciła mu.

Złapał go, ale nie okrył się. Było już na to trochę za późno.

Joselyn wyszła z łazienki i chodziła wzdłuż łóżka. Gideon otworzył drzwi.

- Mogłabyś rzucić mi jakąś bieliznę?

Znalazła na łóżku paczuszkę z niedawno kupionymi slipami i zaniosiła mu pod drzwi.

- O co chodzi? - zapytał Gideon.

- Ten człowiek... Ten... Ten facet. Ten na ganku przy pokoju na Padget...

Właśnie zobaczyłam go w telewizorze.

- Już go złapali?

- Tak - powiedziała Joselyn. - Tutaj, w Waszyngtonie.

Drzwi rozwarły się gwałtownie i Gideon popatrzył na nią. Tym razem miał na sobie slipy i ręcznik.

- O czym ty mówisz?

- Właśnie widziałam w telewizji. Aresztowano go gdzieś tu. W Muzeum Lotnictwa i Lotów Kosmicznych.

- Co tam robił?

- Oblał kwasem replikę bomby atomowej.

Gideon znieruchomiał. Wpatrywał się w nią z niezwykłym napięciem.

- Jesteś pewna, że to on?

- Absolutnie!

236

Gideon wszedł do pokoju i założył spodnie. Nie tracąc czasu na skarpetki, włożył bose stopy w pantofle. Strumyczki wody spływały mu z włosów po szyi.

- I jeszcze coś - dodała Joselyn. - Nie żyje. Mówią, że to atak serca.

Akurat! Gdzie jest to muzeum?

- Przy promenadzie, w pobliżu Kapitolu... - Gideon przerwał w pół zdania.

W ułamku sekundy porozumieli się wzrokiem. W następnej chwili rzucił się do telefonu. Podniósł słuchawkę i spojrzał na dziewczynę. - Do kogo

mam dzwonić?

- Na policję... Nie! Stracimy godzinę, zanim im wytłumaczymy. -

Spojrzała na zegarek. Za czterdzieści minut prezydent miał rozpocząć przemówienie. -Nie mamy aż tyle czasu.

Joselyn pobiegła do swego pokoju i rozdarła jedną z toreb z zakupami.

Wewnątrz znajdował się dres FBI, który zapakowała w jednym ze sklepów, gdy przebrała się w porządne ciuchy. Przeszukała zawartość kieszeni i znalazła wizytówkę z nazwiskiem Sy Hirshberga. Dał jej ją przed wyjściem z Sali Sytuacyjnej, na wszelki wypadek, gdyby przypomniała sobie coś nowego.

Gideon już stał w drzwiach, ubrany w koszulkę polo

Wybrała numer Białego Domu. Po dwóch sygnałach ktoś odebrał telefon.

Kobięcy głos powiedział:

- TuNRB.

- Z panem Hirshbergiem proszę.

- Kto mówi?

- Joselyn Cole. Brałam wczoraj udział w spotkaniu z panem prezydentem i panem Hirshbergiem. Sprawa jest najwyższej wagi.

- Chwileczkę...

W słuchawce zapanowała głucha cisza. Joselyn znów spojrzała na zegarek.

- Nie ma go? - spytał Gideon.

- Nie wiem.

- Powiedz im, że bomba dotarła do Waszyngtonu i że, naszym zdaniem, znajduje się w Muzeum Lotnictwa i Lotów Kosmicznych.

Kobięcy głos zadzwieczał ponownie w słuchawce.

- Bardzo mi przykro, ale pan Hirshberg już wyszedł z biura.

- Muszę go złapać natychmiast. To jest sprawa najwyższej wagi.
- Jak się pani nazywa?
- Joselyn Cole. Czy jest w biurze ktoś inny, z kim mogłabym rozmawiać?
- Chwileczkę... - Słuchawka ogłuchła ponownie.
- Cholera... - zaklęła Joselyn. Miała ochotę trzasnąć słuchawką w szklaną płytę stoliczka.
- Pozwól mi...

Ustała mu miejsca przy telefonie i zaczęła zakładać pantofle. Tym razem w słuchawce rozległ się męski głos.

- Halo?
- Kto mówi? - zapytał Gideon.
- A pan kim jest?

237

Gideon wszedł do pokoju i założył spodnie. Nie tracąc czasu na skarpetki, włożył bosc stopy w pantofle. Strumyczki wody spływały mu z włosów po szyi.

- I jeszcze coś - dodała Joselyn. - Nie żyje. Mówią, że to atak serca. Akurat! Gdzie jest to muzeum?

- Przy promenadzie, w pobliżu Kapitolu... - Gideon przerwał w pół zdania. W ułamku sekundy porozumieli się wzrokiem. W następnej chwili rzucił się do telefonu. Podniósł słuchawkę i spojrzał na dziewczynę. - Do kogo mam dzwonić?

- Na policję... Nie! Stracimy godzinę, zanim im wytłumaczymy. - Spojrzała na zegarek. Za czterdzieści minut prezydent miał rozpocząć przemówienie. - Nie mamy aż tyle czasu.

Joselyn pobiegła do swego pokoju i rozdarła jedną z toreb z zakupami.

Wewnątrz znajdował się dres FBI, który zapakowała w jednym ze sklepów, gdy przebrała się w porządne ciuchy. Przeszukała zawartość kieszeni i znalazła wizytówkę z nazwiskiem Sy Hirshberga. Dał jej ją przed wyjściem z Sali Sytuacyjnej, na wszelki wypadek, gdyby przypomniała sobie coś nowego.

Gideon już stał w drzwiach, ubrany w koszulkę polo

Wybrała numer Białego Domu. Po dwóch sygnałach ktoś odebrał telefon.

Kobięcy głos powiedział:

- TuNRB.

- Z panem Hirshbergiem proszę.

- Kto mówi?

- Joselyn Cole. Brałam wczoraj udział w spotkaniu z panem prezydentem i panem Hirshbergiem. Sprawa jest najwyższej wagi.

- Chwileczkę...

W słuchawce zapanowała głucha cisza. Joselyn znów spojrzała na zegarek.

- Nie ma go? - spytał Gideon.

- Nie wiem.

- Powiedz im, że bomba dotarła do Waszyngtonu i że, naszym zdaniem, znajduje się w Muzeum Lotnictwa i Lotów Kosmicznych.

Kobięcy głos zadzwieczał ponownie w słuchawce.

- Bardzo mi przykro, ale pan Hirshberg już wyszedł z biura.

- Muszę go złapać natychmiast. To jest sprawa najwyższej wagi.

- Jak się pani nazywa?

- Joselyn Cole. Czy jest w biurze ktoś inny, z kim mogłabym rozmawiać?

- Chwileczkę... - Słuchawka ogłuchła ponownie.

- Cholera... - zaklęła Joselyn. Miała ochotę trzasnąć słuchawką w szklaną

płyte stoliczka.

- Pozwól mi...

Ustąpiła mu miejsca przy telefonie i zaczęła zakładać pantofle. Tym razem w słuchawce rozległ się męski głos.

- Halo?

- Kto mówi? - zapytał Gideon.

- A pan kim jest?

237

- Nazywam się Gideon van Ry. Jestem pracownikiem Instytutu Przeciwdziałania Rozpowszechnianiu Broni Masowej Zagłady z Kalifornii. Uczestniczyłem wczoraj w naradzie w Sali Sytuacyjnej z panem Hirshbergiem i prezydentem. Mam informację, że bomba nuklearna znajduje się w Waszyngtonie, w pobliżu Kapitolu.

- A kto mówi?

- Gdzie jest pan Hirshberg? - spytał Gideon.

- Z panem prezydentem. W drodze do Kongresu.

Za późno! Zanim dotrą do kogoś kompetentnego i wyjaśnią, co trzeba, miasto Waszyngton stanie się stertą migocącego żużla.

- Niech pan mnie uważnie słucha. Ma pan ołówek i kawałek papieru?

- Tak.

- Niech pan zanotuje - powiedział Gideon. - Nie obchodzi mnie, jak pan dotrze do Hirshberga, ale musi pan to zrobić natychmiast. Czy pan to rozumie?

W słuchawce panowało milczenie.

- Niech mu pan powie, że telefonowali Joselyn Cole i Gideon van Ry.

- Proszę przedyktować nazwiska, ale powoli. Gideon przeliterował oba

nazwiska.

- Niech mu pan powie, że jedziemy do Muzeum Lotnictwa i Lotów Kosmicznych. Niech pan słucha i zanotuje dokładnie. On wie, kim jesteśmy. Niech mu pan powie, że ładunku nuklearnego nie ma w Seattle. Uważamy, że znajduje się on w Muzeum Lotnictwa i że prezydent nie powinien dziś występować z orędziem. Zrozumiał pan?

- Tak sędzę - odparł mężczyzna.

Joselyn patrzyła w telewizor. Nadawano już program poprzedzający orędzie. Analitycy polityczni mieli okazję pokazać się na ekranie, reporterzy przeprowadzali wywiady z członkami Kongresu.

- Wszystko pan zapisał?

- Tak.

- Więc proszę wykonać - powiedział Gideon i odłożył słuchawkę.

Pociągnął Joselyn za ramię, niemal przewrócił ją na podłogę. Otworzył drzwi do jej pokoju w chwili, gdy ukazał się w nich kelner z wózkiem.

- Z drogi! - rozkazał Gideon. Odepchnął wózek i kelnera pod ścianę.

- Chwileczkę! - zawołał kelner.

Przecisnęli się między futryną drzwi a wózkiem i zatrzasnęli je za sobą.

- Niech pan zostawi to pod drzwiami - powiedział Gideon.

- Hej! A kto mi podpisze rachunek?

- Rząd! - odparła Joselyn. Gideon ciągnął ją do holu.

Dopadli windy, gdy jej drzwi były już prawie zamknięte. Gideon wcisnął w szparę rękę. Drzwi powoli się otworzyły. Starsza para ubrana jak spod igły patrzyła na nich szeroko otwartymi oczami, wyraźnie nie pochwalając dziwnego zachowania i wyglądu. Włosy Gideona sterczały we wszystkie strony, Joselyn z trudem łapała oddech, a jej oczy miały dziki wyraz.

- To świetny sposób, żeby stracić rękę - powiedział starszy mężczyzna.

- Jeśli tylko tyle stracę dziś wieczór, będę bardzo szczęśliwym człowiekiem - odpowiedział Gideon. Winda opadała powoli, a oni mogli tylko czekać. Przeczesał dłonią włosy, na próżno starając się nadać im przyzwoity wygląd. W kieszeni znalazł portfel, a w nim trzydzieści dolarów gotówki. Wystarczy na taksówkę.

Gdy drzwi się otworzyły, niemal staranował ludzi stojących przy windzie. Przetoczyli się przez hotelowe lobby między fotelami i stoliczkami, ponad taboretami. Sto spojrzeń skoncentrowało się na nich, jak dopplerowski radar na szybko poruszającym się obiekcie.

Przyjęcia odbywały się tego wieczoru w całym mieście. Hay-Adams nie mógł być wyjątkiem. Gideon i Joselyn musieli siłą przecisnąć się przez główne wejście. Ale na zewnątrz czekał na taksówki mały tłum. Gideon wyszedł do przodu.

- Będzie pan musiał poczekać na swoją kolej - Portier podniósł rękę i próbował go wepchnąć do tłumy.

- Nie mamy czasu!

- Macie kłopoty?

Gideon pomyślał przez sekundę.

- Moja żona... Zachorowała. Bardzo źle się czuje. - Objął Joselyn ramieniem i ścisnął jej rękę. - Chyba się czymś zatręła. Czymś podanym do pokoju.

Mięśnie na twarzy mężczyzny zeszywniały. Czekający zaczęli przyglądać się Joselyn. Dziewczyna przycisnęła dłoń do żołądka.

Portier wołał nie stawiać diagnozy w obecności zdenerwowanego tłumy.

Zagwizdał i wyszedł na jezdnię. W następnej chwili taksówka zatrzymała się przed nimi. Portier pomógł Joselyn wsiąść i zamknął za nią drzwi.

- Muzeum Lotnictwa - powiedział Gideon. - Będzie dodatkowa dwudziestka, jeśli znajdziemy się tam w ciągu trzech minut.

- Nie da się! Ale dojedziemy w ciągu pięciu.

- Skończcie te negocjacje! Forsa pana - powiedziała Joselyn. Taksówka wystartowała, wciskając ich w siedzenia. Popędzili dziko ulicami centrum Waszyngtonu. Gideon zaczął szukać zegarka, który zwrócono mu wraz z portfelem. Niestety, zostawił go w hotelu.

- Która godzina?

- Ósma czterdzieści - odpowiedziała Joselyn. - Dojedziemy na czas?

- Nie wiem.

- Co zrobimy, gdy dojedziemy?

- Musimy dostać się do gmachu. Jeśli będzie trzeba, rozbiję jakąś szybę.

- To zwróci uwagę glin - ostrzegła go Joselyn.

- Miejmy nadzieję, że dostaniemy się do środka, zanim przyjadą.

Przynajmniej zaprowadzimy ich do bomby. Może wezwą pomoc, gdy ją zobaczą, Jeśli nie będzie za późno.

239

- To świetny sposób, żeby stracić rękę - powiedział starszy mężczyzna.

- Jeśli tylko tyle stracę dziś wieczór, będę bardzo szczęśliwym człowiekiem - odpowiedział Gideon. Winda opadała powoli, a oni mogli tylko czekać. Przeczesał dłonią włosy, na próżno starając się nadać im przyzwoity wygląd. W kieszeni znalazł portfel, a w nim trzydzieści dolarów gotówki. Wystarczy na taksówkę.

Gdy drzwi się otworzyły, niemal staranował ludzi stojących przy windzie. Przetoczyli się przez hotelowe lobby między fotelami i stoliczkami, ponad taboretami. Sto spojrzeń skoncentrowało się na nich, jak dopplerowski radar na szybko poruszającym się obiekcie.

Przyjęcia odbywały się tego wieczoru w całym mieście. Hay-Adams nie mógł być wyjątkiem. Gideon i Joselyn musieli siłą przecisnąć się przez główne wejście. Ale na zewnątrz czekał na taksówki mały tłum. Gideon wyszedł do przodu.

- Będzie pan musiał poczekać na swoją kolej - Portier podniósł rękę i próbował go wepchnąć do tłumu.

- Nie mamy czasu!

- Macie kłopoty?

Gideon pomyślał przez sekundę.

- Moja żona... Zachorowała. Bardzo źle się czuje. - Objął Joselyn ramieniem i ścisnął jej rękę. - Chyba się czymś zatręła. Czymś podanym do pokoju.

Mięśnie na twarzy mężczyzny zeszywniały. Czekaający zaczęli przyglądać się Joselyn. Dziewczyna przycisnęła dłoń do żołądka.

Portier wołał nie stawiać diagnozy w obecności zdenerwowanego tłumu. Zagwizdał i wyszedł na jezdnię. W następnej chwili taksówka zatrzymała się przed nimi. Portier pomógł Joselyn wsiąść i zamknął za nią drzwi.

- Muzeum Lotnictwa - powiedział Gideon. - Będzie dodatkowa dwudziestka, jeśli znajdziemy się tam w ciągu trzech minut.

- Nie da się! Ale dojedziemy w ciągu pięciu.

- Skończcie te negocjacje! Forsa pana - powiedziała Joselyn. Taksówka wystartowała, wciskając ich w siedzenia. Popędzili dziko ulicami

centrum Waszyngtonu. Gideon zaczął szukać zegarka, który zwrócono mu wraz z portfelem. Niestety, zostawił go w hotelu.

- Która godzina?

- Ósma czterdzieści - odpowiedziała Joselyn. - Dojedziemy na czas?

- Nie wiem.

- Co zrobimy, gdy dojedziemy?

„ - Musimy dostać się do gmachu. Jeśli będzie trzeba, rozbiję jakąś szybę.

- To zwróci uwagę glin - ostrzegła go Joselyn.

- Miejmy nadzieję, że dostaniemy się do środka, zanim przyjadą.

Przynajmniej zaprowadzimy ich do bomby. Może wezwą pomoc, gdy ją zobaczą. Jeśli nie będzie za późno.

239

- To świetny sposób, żeby stracić rękę - powiedział starszy mężczyzna.

- Jeśli tylko tyle stracę dziś wieczór, będę bardzo szczęśliwym człowiekiem - odpowiedział Gideon. Winda opadała powoli, a oni mogli tylko czekać. Przeczesał dłonią włosy, na próżno starając się nadać im przyzwoity wygląd. W kieszeni znalazł portfel, a w nim trzydzieści dolarów gotówki. Wystarczy na taksówkę.

Gdy drzwi się otworzyły, niemal staranował ludzi stojących przy windzie. Przetoczyli się przez hotelowe lobby między fotelami i stoliczkami, ponad taboretami. Sto spojrzeń skoncentrowało się na nich, jak dopplerowski radar na szybko poruszającym się obiekcie.

Przyjęcia odbywały się tego wieczoru w całym mieście. Hay-Adams nie mógł być wyjątkiem. Gideon i Joselyn musieli siłą przecisnąć się przez główne wejście. Ale na zewnątrz czekał na taksówki mały tłum. Gideon

wyszedł do przodu.

- Będzie pan musiał poczekać na swoją kolej - Portier podniósł rękę i próbował go wepchnąć do tłumu.

- Nie mamy czasu!

- Macie kłopoty?

Gideon pomyślał przez sekundę.

- Moja żona... Zachorowała. Bardzo źle się czuje. - Objął Joselyn ramieniem i ścisnął jej rękę. - Chyba się czymś zatręła. Czymś podanym do pokoju.

Mięśnie na twarzy mężczyzny zeszywniały. Czekaający zaczęli przyglądać się Joselyn. Dziewczyna przycisnęła dłoń do żołądka.

Portier wołał nie stawiać diagnozy w obecności zdenerwowanego tłumu. Zagwizdał i wyszedł na jezdnię. W następnej chwili taksówka zatrzymała się przed nimi. Portier pomógł Joselyn wsiąść i zamknął za nią drzwi.

- Muzeum Lotnictwa - powiedział Gideon. - Będzie dodatkowa dwudziestka, jeśli znajdziemy się tam w ciągu trzech minut.

- Nie da się! Ale dojedziemy w ciągu pięciu.

- Skończcie te negocjacje! Forsa pana - powiedziała Joselyn. Taksówka wystartowała, wciskając ich w siedzenia. Popędzili dziko ulicami centrum Waszyngtonu. Gideon zaczął szukać zegarka, który zwrócono mu wraz z portfelem. Niestety, zostawił go w hotelu.

- Która godzina?

- Ósma czterdzieści - odpowiedziała Joselyn. - Dojedziemy na czas?

- Nie wiem.

- Co zrobimy, gdy dojedziemy?

- Musimy dostać się do gmachu. Jeśli będzie trzeba, rozbiję jakąś szybę.

- To zwróci uwagę glin - ostrzegła go Joselyn.

- Miejmy nadzieję, że dostaniemy się do środka, zanim przyjadą.

Przynajmniej zaprowadzimy ich do bomby. Może wezwą pomoc, gdy ją zobaczą, Jeśli nie będzie za późno.

239

- To świetny sposób, żeby stracić rękę - powiedział starszy mężczyzna.

- Jeśli tylko tyle stracę dziś wieczór, będę bardzo szczęśliwym człowiekiem - odpowiedział Gideon. Winda opadała powoli, a oni mogli tylko czekać. Przeczesał dłonią włosy, na próżno starając się nadać im przyzwoity wygląd. W kieszeni znalazł portfel, a w nim trzydzieści dolarów gotówki. Wystarczy na taksówkę.

Gdy drzwi się otworzyły, niemal staranował ludzi stojących przy windzie.

Przetoczyli się przez hotelowe lobby między fotelami i stoliczkami, ponad taboretami. Sto spojrzeń skoncentrowało się na nich, jak dopplerowski radar na szybko poruszającym się obiekcie.

Przyjęcia odbywały się tego wieczoru w całym mieście. Hay-Adams nie mógł być wyjątkiem. Gideon i Joselyn musieli siłą przecisnąć się przez główne wejście. Ale na zewnątrz czekał na taksówki mały tłum. Gideon wyszedł do przodu.

- Będzie pan musiał poczekać na swoją kolej - Portier podniósł rękę i próbował go wepchnąć do tłumu.

- Nie mamy czasu!

- Macie kłopoty?

Gideon pomyślał przez sekundę.

- Moja żona... Zachorowała. Bardzo źle się czuje. - Objął Joselyn ramieniem i ścisnął jej rękę. - Chyba się czymś zatręła. Czymś podanym

do pokoju.

Mięśnie na twarzy mężczyzny zeszywniały. Czekaający zaczęli przyglądać się Joselyn. Dziewczyna przycisnęła dłoń do żołądka.

Portier wołał nie stawiać diagnozy w obecności zdenerwowanego tłumu. Zagwizdał i wyszedł na jezdnię. W następnej chwili taksówka zatrzymała się przed nimi. Portier pomógł Joselyn wsiąść i zamknął za nią drzwi.

- Muzeum Lotnictwa - powiedział Gideon. - Będzie dodatkowa dwudziestka, jeśli znajdziemy się tam w ciągu trzech minut.

- Nie da się! Ale dojedziemy w ciągu pięciu.

- Skończcie te negocjacje! Forsa pana - powiedziała Joselyn. Taksówka wystartowała, wciskając ich w siedzenia. Popędzili dziko ulicami centrum Waszyngtonu. Gideon zaczął szukać zegarka, który zwrócono mu wraz z portfelem. Niestety, zostawił go w hotelu.

- Która godzina?

- Ósma czterdzieści - odpowiedziała Joselyn. - Dojedziemy na czas?

- Nie wiem.

- Co zrobimy, gdy dojedziemy?

- Musimy dostać się do gmachu. Jeśli będzie trzeba, rozbiję jakąś szybę.

- To zwróci uwagę glin - ostrzegła go Joselyn.

- Miejmy nadzieję, że dostaniemy się do środka, zanim przyjadą.

Przynajmniej zaprowadzimy ich do bomby. Może wezwą pomoc, gdy ją zobaczą. Jeśli nie będzie za późno.

239

Joselyn ujrzała po lewej stronie pomnik Waszyngtona. Jego czerwony reflektor rzucał snop światła w wieczorne niebo. Zrobili szeroki łuk wokół pomnika, przelecieli obok Teatru Sylvanowskiego, skręcili w Aleję

Niepodległości. Taksówka przemknęła obok galerii i muzeów, wzdłuż tylnych murów Smithsonian. Zbliżała się do Budynku Transportu na Siódmej Ulicy, gdy wjechała w korek. Jak okiem sięgnąć, wszędzie migotały czerwone światła stopowe samochodów.

- Co się dzieje? - zaniepokoił się Gideon.

- Nie wiem! Coś się stało - odpowiedział taksówkarz. Przejechali jeszcze kilkadziesiąt metrów i auto utknęło beznadziejnie. Joselyn zobaczyła ciąg wielkich, wydłużonych limuzyn i eleganckich aut, kobiety idące chodnikiem w wieczorowych sukniach i futrach, mężczyźni w smokingach. Wszyscy zmierzali w tym samym kierunku.

- Jak daleko stąd do muzeum?

- Tylko jedna przecznica.

Gideon spojrział na licznik. Osiem baksów. Wyjął trzydzieści dolarów, rzucił je na przednie siedzenie, otworzył drzwi i wysiadł. Joselyn wyskoczyła za nim. Pobiegli chodnikiem, mijając kobiety stąpające w dziesięciocentymetrowych szpilkach, pod rękę z dostojnie ubranymi panami. Niektórzy z nich mieli na sobie wojskowe mundury. Wszyscy szli ku szerokim schodom prowadzącym do muzeum.

- Przynajmniej nie będziemy musieli rozbijać okna - zażartował Gideon.

- A jak tam wejdziemy?

- Jeszcze nie wiem.

Gmach był oświetlony jak kościół w dzień Bożego Narodzenia. Na ulicy przed wejściem umieszczony był zabytkowy reflektor, który snopem światła przeczesywał niebo. Na stojącej przed nim tabliczce widniał napis: ZABYTEK Z CZASÓW BITWY O LONDYN.

Obsługa wręczała gościom programy z planem muzeum. Gideon zobaczył,

jak idąca obok dama wzięła program i nie czytając, wyrzuciła do pojemnika na śmieci. Zaczął w nim szperać, podczas gdy portier przyglądał mu się z nieukrywanym zgorszeniem.

- Co robisz? - spytała Joselyn.

- Jak już się dostaniemy do środka, nie będziemy mieli czasu na błędzenie. Ekspонат, który został oblany kwasem... Pamiętasz, jak się nazywał? Spojrzała w niebo.

- Nie - odpowiedziała po namyśle. - Nie zwróciłam uwagi.

- Myśl! - rozkazał Gideon.

- Chłopiec, chłopiec... Coś z chłopcem.

- „Mały Chłopiec” - podpowiedział.

- Tak jest!

240

„Enola Gay” i „Mały Chłopiec” byli eksponowani w pewnym oddaleniu od głównego wejścia, w północnozachodnim skrzydle, na parterze. Gideon zgrał plan z frontonem budynku, popychany przez armię gości idących schodami ku jaśniejszej szklanej fasadzie.

- Co robimy teraz? - zastanowił się Gideon. - Podchodzimy do faceta przy wejściu i mówimy mu, że w środku jest bomba jądrowa?

- Raczej nie, chyba że chcesz spędzić resztkę krótkiego życia w ambulansie z wariatkoma.

Nagle coś zobaczyła.

- Idź za mną! - Wzięła Gideona pod rękę i poprowadziła ku schodom.

Włączyli się w tłum. Gideon starał się być niewidoczny, przynajmniej o tyle, o ile dwumetrowy mężczyzna, w dodatku źle ubrany i rozczochrany, może na to liczyć. Parę osób popatrzyło na nich. Joselyn miała to w nosie.

Cała jej uwaga skupiona była na mężczyźnie, który kroczył przed nimi, ubrany w wełniany płaszcz. Z jego kieszeni wystawała duża kwadratowa koperta.

Kobieta w pięknie udrapowanym futrze z norek spojrzała na nich wzrokiem pełnym pogardy.

Gideon uśmiechnął się do niej.

- Widzę, że jest pani gorącą zwolenniczką praw zwierząt.

Kobieta odwróciła wzrok i szepnęła coś mężczyźnie, na którego ramieniu się wspierała.

Dotarli wreszcie do tarasu prowadzącego do muzeum i znaleźli się w grupie ludzi pchających się do wnętrza. Wszyscy mieli duże kwadratowe koperty z zaproszeniami, które oddawali dwóm pracownikom muzeum, stojącym po obu stronach wejścia. Małymi kroczkami posuwali się do przodu. Na trzy kroki przed drzwiami idący przed nimi mężczyzna stanął jak wryty i zaczął się obmacywać. Jego towarzyszka spoglądała na niego z rosnącym zniecierpliwieniem.

- Przysięgam, że włożyłem je do kieszeni płaszcza!

Joselyn zgrabnie go obeszła. Po dziesięciu sekundach stanęli przed dżentelmem w białych rękawiczkach, który spojrzał na nich i wziął zaproszenie z rąk Joselyn.

- Nie wiedział pan, że obowiązuje strój wieczorowy? - zapytał Gideona.

- Usiądziemy z tyłu - uśmiechnęła się Joselyn.

Zanim dżentelmen zdołał coś powiedzieć, przeszli przez drzwi i znaleźli się w lobby. Nie zatrzymywali się. Gideon rzucił ukradkowe spojrzenie za siebie i dojrzał, jak mężczyzna przy wejściu mówi coś do strażnika, który patrzył na nich wzrokiem mogącym wypalić im dziury w plecach.

- Chętnie dowiedziałbym się, jak to zrobiłaś, obawiam się jednak, że nie mamy czasu.

Mężczyzna, który zgubił zaproszenie, stał teraz przy drzwiach, dalej klepał się po kieszeniach i mówił coś żywo do dżentelmena.

241

16 - Masa krytyczna

Joselyn i Gideon prawie biegnąc przemierzyli lobby. Musieli rozpychać gości stojących z lampkami szmpana. Gideon zgarbił się, żeby nie wystawać za bardzo ponad tłum. Pędem minęli punkt informacyjny. Kobieta za biurkiem zauważyła ich, podniosła słuchawkę telefonu i nacisnęła guzik.

Joselyn próbowała dotrzymać kroku długonogiemu mężczyźnie. Jej nowe buty na skórzanych podszewkach ślizgały się na cementowej posadzce jak na lodzie. Przebiegli obok „Kamieni milowych latania” i ruchomych schodów prowadzących na piętro.

Gdy Gideon obejrzał się przez ramię, zobaczył ich. Z tłumu gości wyłonili się i szli na nich trzej uzbrojeni strażnicy. Wkrótce dołączył do nich czwarty, już trzymający dłoń na kaburze rewolweru.

Znalazłszy się poza ostatnimi grupkami przechadzających się gości, Gideon i Joselyn widnieli jak dwaj piechurzy pozostawieni na ziemi niczyjej. Gideon ruszył biegiem. Joselyn popędziła za nim. W głównym holu przesłoniły ich na sekundę eksponaty tymczasowej wystawy. Gideon na chwilę stracił strażników z oczu. Kiedy wyskoczyli z drugiej strony schodów, jeden z nich, przyciskając brodę do piersi, mówił coś do mikrofonu wpiętego w klapę munduru, a jednocześnie rozpiął olstra trzymające rewolwer. Wyjął go i ująwszy w obie dłonie, z muszką

skierowaną w podłogę, rozglądał się za intruzami.

Gideon chwycił Joselyn za rękę i pchnął ją przed siebie, zasłaniając swoim ciałem, w kierunku „Enoli Gay”. Przebiegli obok jeszcze jednych schodów, minęli ostatnią ścianę oddzielającą ekspozycje.

Z prawej strony galerii błyszczał kadłub B-29. Bez skrzydeł, które nie zmieściłyby się w murach budynku, przypominał gigantyczne srebrne cygaro. Wielkie koło dziobowe było lekko skrzyżowane, jakby samolot przed chwilą zjechał z pasa startowego. Jaskrawe światła odbijały się od pleksiglasowej kabiny bombardiera.

Pod brzuchem „Enoli Gay”, w połowie ogona, znajdował się przerażający zielony cylinder o bulwiastym dziobie i kwadratowych stabilizatorach, symbol wieku atomu, pełnowymiarowa replika „Małego Chłopca”.

Przez chwilę Joselyn i Gideon stali jak sparaliżowani. Wiedzieli, że to, na co patrzą, jest nie tylko makietą. Nie mogli wykrztusić słowa, patrzyli tylko na bombę i widzieli: dwie kilotony radioaktywnej śmierci, siła zdolna wznieść śmiertcionośny grzyb na wysokość piętnastu kilometrów ponad stolicą kraju.

Tupot butów dobiegający z głównego holu wyrwał ich z odrętwienia.

- Co robimy? - spytała Joselyn.

Gideon obejrzał się za siebie. Kroki zbliżały się.

- Szybko! Właż za barierkę, pod samolot.

Pobiegli przez pusty hol, przeskoczyli barierkę i weszli pod kadłub, uważając, aby nie potraćić bomby.

Gideon obejrzał jej powierzchnię, szukając małego panelu ze śrubami czy nitami, czegoś, co umożliwiłoby mu dostęp do ładunku.

Nie miał pojęcia, jak by się z tym uporał, nawet gdyby znalazł. Nie miał żadnych narzędzi.

Strażnicy doszli do przepierzenia dzielącego wystawy. Jeden z nich zajrzał za ściankę. Drugi wbiegł do galerii i zajął stanowisko z drugiej strony.

Obaj mieli rewolwery w dłoniach.

- Wyłaźcie stamtąd, z rękami do góry - zawołał strażnik.

- Nie jesteśmy uzbrojeni - powiedział Gideon.

- Pokażcie ręce i wyłaźcie!

Gideon usłyszał szelest w mroku sali, gdzie ogon samolotu nikł za ścianami ekspozycji. Domyślił się, że strażnicy lub policjanci otaczają ich również z tej strony. Za kilka sekund rzucą się na niego.

Z daleka usłyszeli głos spikera telewizyjnego, nagle podłączonego do systemu głośników muzeum:

- Za chwilę prezydent zostanie zapowiedziany przez mistrza ceremonii izby. Widzimy, jak wchodzi sekretarz stanu Knowland. Za nim idzie prokurator generalny...

- Słuchajcie mnie! - zawołał Gideon. - Ten człowiek, który oblał kwasem replikę „Małego Chłopca”, był członkiem grupy terrorystycznej. Odlew znajdujący się teraz pod samolotem, zawiera ładunek nuklearny.

Zatelefonujcie do Hir-shberga, doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego. Powiedzcie mu, że Gideon van Ry jest tu, w muzeum. On zaręczy za mnie.

- Trzymaj ręce tak, żebyśmy je widzieli i wyłaź!

Znów za plecami usłyszał jakieś ruchy i szepty, ponownie rozległ się głos spikera:.

- To prawda, Tom, widzimy sekretarza stanu. Ale wiesz, kogo nie

widzimy? Sy Hirshberga, doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego. Jeśli rzeczywiście go tu nie ma, znów rozejdą się pogłoski o jego odejściu z administracji. Krążyły już plotki...

Dwaj umundurowani strażnicy wypadli z mroku. W pełnym biegu rzucili się na Gideona, zbili go z nóg, aż poleciał pod kadłub samolotu. Trzeci strażnik schwycił Joselyn, przewrócił ją na podłogę i całą siłą wepchnął kolano w środek jej pleców. Wydawało się jej, że facet łamie jej kręgosłup, niemal zemdląca z bólu.

Dwaj strażnicy przewrócili Gideona na brzuch, wcisnęli jego twarz w podłogę. Następni dwaj przybiegli im z pomocą.

Leżąc na posadzce, z twarzą przekrzywioną na jedną stronę, Gideon zobaczył to, czego szukał. Mały panel, mniej więcej dziesięć na trzydzieści centymetrów, umieszczony od spodu odlewu. Zabezpieczało go sześć śrubek. Patrząc z normalnej pozycji na spoczywającą na wózku bombę, nie można go było zauważyć.

243

Gideon spróbował się uwolnić, ale strażnicy przygnietli go do podłogi jeszcze mocniej. Wykręcili mu ręce na plecy. Jeden z nich zapaśniczym chwytem niemal wyłamał mu rękę w nadgarstku. Gideon zamknął oczy z bólu. Poczul łyzy pod powiekami. Spróbował skoncentrować myśli na panelu na spodzie bomby, jakby siłą woli mógł go usunąć.

- Uwolnijcie ich! - rozległ się rozkazujący głos. - Słyszeliście? Uwolnijcie. Natychmiast!

Gideon otworzył oczy i zobaczył szczupłą sylwetkę Sy Hirshberga.

Doradca prezydenta przeskoczył barierkę i położył dłoń na ramieniu jednego ze strażników. Ci jednak nie zwracali na niego uwagi. Patrzyli na

towarzyszącego mu wysokiego mężczyznę w smokingu.

Dyrektor muzeum skinął głową i strażnicy posłuchali go. Ten, który gniótł Joselyn, natychmiast wstał, podał jej rękę i próbował podnieść. Ona jednak nie mogła złapać tchu.

Gideon podniósł się z ziemi i pokręcił ramieniem, sprawdzając, czy nie zostało złamane. Spojrzał przelotnie na Joselyn. Nie mieli czasu.

- Potrzebny mi śrubokręt. - Położył się na plecach, jakby przygotowując się do wczółgania pod wózek.

Strażnicy wahali się.

- Na co czekacie?! - zawołał Hirshberg. - Już! Dwaj strażnicy pobiegli w ciemność.

Joselyn zdołała dźwignąć się na kolana. Przyciskając rękę do brzucha, z trudem łapiąc powietrze w płuca, dopełzła do Gideona. Hirshberg uklęknął obok.

- Ile mamy czasu?

- Gdzie jest prezydent? - spytał Gideon.

- Przygotowuje się do wystąpienia.

- I to jest klucz! - zawołał Gideon. - Jeśli mam rację, bomba zostanie zdetonowana w chwili, gdy prezydent pojawi się w Kongresie.

Hirshberg odwrócił się do asystenta, który stał za barierką.

- Możemy złapać Tajną Służbę prezydenta na ich częstotliwości?

- Nie - odparł młody człowiek. - Nie sędzę.

Niektórzy z gości, przyciągnięci ruchem w tej części muzeum, podeszli do ekspozycji i przyglądali się z niesmakiem wysokiemu, szczupłemu mężczyźnie leżącemu na plecach i oglądającemu bombę.

- Jeśli nie możemy złapać ich drogą radiową, wezwij Biały Dom. Powiedz,

żeby nie pozwolono prezydentowi wejść do izby. I nie obchodzi mnie, co oni mają do roboty. Powiedz im, że w pobliżu Kapitolu ma zaraz wybuchnąć bomba.

Słowa Hirshberga wywołały dreszcz paniki w grupie zgromadzonej w galerii.

- Co on powiedział?

- Powiedział, że znaleźli bombę.

Ludzie zaczęli wycofywać się do lobby. Wiadomość rozprzestrzeniała się wraz z nimi. Po chwili strumień gości zaczął wylewać się na ulicę.

244

Asystent Hirshberga stukał palcem w przyciski telefonu komórkowego.

Jeden ze strażników wrócił ze skrzynką z narzędziami. Joselyn i Gideon pochylili się nad nią w poszukiwaniu odpowiedniego śrubokręta. Znaleźli go i Gideon, nie zważając na ból powyłamywanych przez strażnika palców, zaczął mocować się ze śrubami. Nie było czasu na finezję. Modlił się tylko, aby Belden i jego ludzie nie zastawili pułapki na wejściu.

Intuicja i doświadczenie podpowiadały mu, że z tego zrezygnowali.

Zapalnik mógłby znacznie utrudnić transport, chyba że mieli czas zainstalować go po dostarczeniu bomby do muzeum. Mimo wszystko w otoczeniu zwiedzających, pod okiem strażników, byłoby to zbyt

ryzykowne zadanie. Wstrzymał oddech i wyciągnął ostatnią śrubę. Powoli wcisnął paznokiec pod krawędź panela. Okazał się cięższy, niż na to wyglądał, i nie przytrzymały go śrubami odpadł mu w ręce. Gideon mocno zacisnął powieki. Kiedy je otworzył, był jeszcze na tym świecie.

Joselyn przycisnęła dłoń do serca, które pracowało jak lokomotywa.

Gideon upuścił metalową pokrywę na podłogę i zajrzał do środka.

Zobaczył plątaninę różnokolorowych przewodów, biegnących we wszystkich kierunkach. Ktoś podał mu małą latarkę. Skierował snop światła w głąb skorupy.

- Cholera!

- Co się stało? - spytała Joselyn.

- Nie widzę żadnego urządzenia odbiorczego. Gdzieś tu powinno się znajdować małe pudełko. Z akumulatorem. - Pobiegnął spojrzeniem wzdłuż kabli. - Nie widzę też zegarka ani wyłącznika czasowego. To musi być zdalnie sterowana eksplozja. Na pewno chcieli znaleźć się tak daleko, żeby nie odczuć skutków wybuchu. A to wymagałoby sporego odbiornika - mówił. Oddychał ciężko, pot spływał mu z czoła, nie przestawał jednak oświetlać wnętrza odlewu, szukać nerwowo czegoś, czego tam nie było. Widział kuliste jądro ładunku, umieszczone w dolnej części bomby. Jego rozmiary były wielokrotnie mniejsze od tego, jaki zastosowano w oryginale bomby, kalekie świadectwo postępu, dokonanego przez człowieka w ciągu dziesięcioleci, jakie minęły od zakończenia wojny. Kula spoczywała w styropianowym gnieździe, które podczas transportu miało ją chronić od kontaktu z licznymi detonatorami.

Coś tu się nie zgadzało. Wokół jądra przyczepiono do skorupy dziewięć niewielkich metalowych tub, nie większych od gaśnic, jakie instaluje się na małych statkach.

Pot zalewał mu oczy. Przetarł je wierzchem dłoni i dalej zaglądał przez otwór do wnętrza bomby. Przez chwilę wydawało mu się, że ma do czynienia z bombą termonuklearną, że patrzy nie na dwie kilotony, ale na pięć megaton. Gdyby tak było, w ruinę zamieniłby się cały stołeczny Dystrykt Kolumbii, część Marylandu i północne krańce Wirginii.

Nagle zrozumiał wszystko. To nie była bomba termonuklearną. Metalowe tuby wypełniał cez.

- Zabierzcie stąd wszystkich - mruknął Gideon.

245

- Jest już za późno, jeśli bomba ma wybuchnąć lada chwila.

- Może okazać się za późno, nawet jeśli nie wybuchnie. Zabierzcie stąd ludzi! Hirshberg się wyprostował.

- Wychodzić! Wszyscy wychodzą! - zawołał.

Strażnicy zaczęli wypychać garstkę ciekawskich, którzy otaczali ekspozycję, ku głównej sali.

- Pani też - rozkazał Hirshberg.

- Nigdzie się stąd nie ruszam - sprzeciwiła się Joselyn.

- Zabierzcie ją stąd! - odezwał się Gideon.

Joselyn próbowała się wyszarpnąć Hirshbergowi i strażnikom. Wywlekli ją spod „Enoli Gay” za barierki. Hirshbergowi udało się ją nieco uspokoić.

Spojrzała na Gideona leżącego pod bombą ciągle światłem latarki przeszukującego wnętrze skorupy.

- Nie pójdę stąd! - upierała się.

- Musisz! - przekonywała ją.

- Nie! - Łzy popłynęły jej z oczu.

- Panie Hirshberg! - zawołał asystent dostojnika. - Nie mogę się dodzwonić do Białego Domu. Wszystkie numery są zablokowane.

- Co to znaczy: zablokowane?

- Wszystkie są zajęte.

- Tam jest dwieście numerów - powiedział Hirshberg.

- Są zablokowane.

Spłynęło na nią nagłe olśnienie. Komórka i asystent. Zablokowane połączenia.

- To nie jest odbiornik radiowy! - zawołała i spróbowała biec do jego boku. Została jednak powstrzymana. - To jest telefon komórkowy. - Waliła pięściami w plecy strażnika. Dwóch ochroniarzy złapało ją i wyniosło za barierę. Szarpała się z nimi rozpaczliwie. Gideon rzucił spojrzenie w jej kierunku. Wpadła w histerię.

- To jest telefon komórkowy! - krzyczała do niego. - Belden jest w tym specem. Zwłaszcza w identyfikacji głosu. Szukaj komórki! - Obiema pięściami łomotała w plecy strażnika, ale bez skutku. Przewieszoną przez ramię poniósł ją w stronę głównego holu.

Niemal w tej samej chwili znalazł to. Nie telefon, tylko pojedynczy szary drucik, o owalnym przekroju, cięższy od innych. Zwyczajny przewód telefoniczny. Prowadził w stronę kuli. Jeden koniec zniknął pod jej styropianowym gniazdem, drugi przechodził przez coś w rodzaju białej osłony z jakiejś tkaniny. Gideon przyjrzał się metalowemu panelowi leżącemu na podłodze. Od wewnątrz pokryty był ołowiem. Oświetlił sam otwór i poskrobał paznokciem wewnętrzną powierzchnię skorupy. To był ołów. Cała skorupa „Małego Chłopca” została od wewnątrz pokryta ołowiem, żeby chronić konstruktorów ładunku przed śmiertelnościami promieniowaniem cezu.

246

Był teraz sam na sam z wiszącym nad nim milczącym cielskiem B-29. Słyszał tylko odległy krzyk Joselyn i głos spikera telewizyjnego.

Wziął głęboki oddech i wsunął gołą rękę do wnętrza bomby. Całe ramię. Wymacał tkaninę z przewodem telefonicznym. Pociągnął ją palcami.

Napotkał opór, ale niezbyt mocny. Uderzył w nią pięścią. Przylepiec, którym była przytwierdzona do skorupy, rozerwał się. Uderzył jeszcze mocniej i osłona wreszcie odpadła. Gdy wyciągnął rękę i zaświecił latarką do środka, zobaczył to. W środku „Małego Chłopca”, przyczepiony do ściany czarną taśmą izolacyjną znajdował się mały telefon komórkowy. Obwód zamykał telefoniczny kabel, opadający na dno skorupy. Aby sygnał mógł dotrzeć do komórki, musiała zostać umieszczona poza ołowianą osłoną.

Gideon domyślił się, że na drugim końcu kabla, pod jądrem, znajduje się komputerowy procesor z zaprogramowanym kodem werbalnym, podłączony do zasadniczego detonatora. On uruchomiłby dziewięć detonatorów umieszczonych wokół materiału wybuchowego otaczającego plutonowe jądro.

Spojrzał na pojemnik z cezem i bez wahania, jak mógł najgłębiej wsunąć rękę do wnętrza bomby. Dosięgnął! telefonu, ale nie mógł uwolnić go z taśmy. Potrzebował noża. Wolną ręką przysunął do siebie skrzynkę z narzędziami i po omacku zaczął ją przyszukiwać. Musiała zawierać coś ostrego! Wyczuł coś. Było to ostrze śrubokręta, ale nie miał wyboru. Szybko wsunął go do środka i spróbował przeciąć taśmę. Ale Belden dobrze zabezpieczył telefon.

Gideon usłyszał nagle, jak ktoś biegnie ku niemu. Była to Joselyn. Jakimś sposobem wyrwała się strażnikom. Przedostała się przez barierkę, podbiegła kilka kroków i poślizgnęła się, upadając na jego klatkę piersiową.

- Powinnaś stąd odejść. Proszę cię!

- Nie odejdę. Nie zostawię cię!

- Czy ty niczego nie rozumiesz?

- Nic mnie to nie obchodzi. Nie odejdę.

Nie mieli czasu na kłótnię. Gideon musiał wrócić od walki z taśmą. W końcu udało mu się ją poluzować. Złapał telefon i wyszarpnął go ze zwojów taśmy.

- Proszę cię, nie zbliżaj się do mnie - ostrzegł ją. - Stań z drugiej strony bomby.

Jeśli nie potrafił jej zmusić do wycofania się, mógł przynajmniej osłonić ją ołowianą skorupą bomby. Jego ciało było już mocno napromieniowane. Wiedział o tym.

Spojrzała na niego oczami, w których wyczytał, że tyle może ustąpić, ale nic więcej.

Ostrożnie wycofał ramię, aż telefon wyslizgnął się przez otwór. Nadal ciągnął za sobą kabel prowadzący do detonatora. Chciał go przeciąć, ale nie miał pewności, czy nie spowoduje to eksplozji. Nawet jeśli Belden zastosował kod werbalny do głównego detonatora, mógł zabezpieczyć się przed próbą przerwania obwodu, podłączając cez do oddzielnych detonatorów.

247

Joselyn wpatrywała się w w mały telefon jak zahipnotyzowana.

- Panie i panowie, oto prezydent Stanów Zjednoczonych - oznajmił spiker. Głośniki muzealne zdetonowały oklaskami, ale gigantyczny ekran telewizora migotał dla pustej sali. Tłum ponad tysiąca osób w smokingach i wieczorowych kreacjach wypadł na ulicę. Kobiety w wysokich szpilkach przewracały się na schodach, inne gubiły swoje cenne torebki, biegnący mężczyźni deptali po nich. W ich umysłach odtwarzała się wizja masakry

w Oklahoma City. Nie mieli pojęcia, że bomba, przed którą chcieli uciec, jest nuklearna.

Telefon w ręce Gideona ożył. Zabrzmiał dzwonek i zajaśniał ekran ciekłokrystaliczny.

34

Bethesda, stan Maryland

Oddział Szpitala Marynarki Wojennej w Bethesdzie był cichy i pusty.

Dostęp do tej części piętra miała obecnie tylko mała garstka lekarzy i specjalnie wyszkolonych pielęgniarek.

Joselyn przychodziła od trzech dni, biwakując tu całymi godzinami. Ciągłe nie pozwalano jej go zobaczyć.

- Dlaczego? - spytała.

Doktor w milczeniu potrząsnął głową.

- Dlaczego nie mogę go odwiedzić? - nalegała.

- Ponieważ jest bardzo chory - powiedział Hirshberg.

Spojrzenie, jakie wymienili dwaj mężczyźni, powiedziało jej, że jego stan był poważniejszy, niż chciała myśleć. Sądziła, że izolowano go ze względu na bezpieczeństwo, że prowadzą z nim rozmowy.

- On nie umrze, prawda?

Hirshberg i lekarz ukradkiem popatrzyli po sobie, ale żaden z nich się nie odezwał. Po dłuższej chwili Hirshberg położył dłoń na jej ramieniu.

- Dostał straszną dawkę promieniowania.

- Wszyscy tam byliśmy.

- Ręce, które włożył do wnętrza bomby, były przez bardzo długi czas poddawane radiacji.

- Musicie mieć coś, co mu pomoże! - Spojrzała na niego błagalnie. Doktor

znów potrząsnął głową a Hirshberg puścił jej ramię i odwrócił się.

248

- Muszę go zaraz zobaczyć - oznajmiła im.

- To nie jest dobry pomysł - sprzeciwił się Hirshberg.

- Idę do niego!

Odwróciła się na pięcie. Jeden ze strażników zrobił krok w jej stronę.

- Zostawcie ją! - zawołał Hirshberg i strażnik się cofnął. Spojrzał na lekarza.

- Pod warunkiem, że damy jej osłonę. I tylko na parę minut - orzekł doktor.

Joselyn czekała na korytarzu, aż do pokoju Gideona przywieziono urządzenie wyglądające jak mały parawan. Po paru sekundach z pokoju wyszedł pielęgniarz ubrany w ołowianą kamizelkę. Skinął głową.

- Może pani być u niego tylko przez dwie minuty - powiedział lekarz.

-Będę was obserwować z pokoju kontrolnego. Nie wolno pani wychodzić z za ekranu. I w żadnym wypadku nie wolno go pani dotykać.

Strażnik otworzył drzwi i Joselyn zajrzała do środka. Wewnątrz panowała ciemność. Pokój nie miał okien. Właściwie była to duża sala

rentgenologiczna. Zauważyła, że doktor wszedł do pomieszczenia kontrolnego. Dojrzała jego cień poruszający się za okienkiem z grubego

szkła, nie większym od pocztówki. Wsunęła się do pokoju, a strażnik zamknął za nią drzwi. Przez moment patrzyła na łóżko pod ścianą tuż przy

stole rentgenowskim. Słyszała chrapliwy oddech Gideona, widziała zarys jego ciała pod pojedynczym prześcieradłem.

- Proszę stanąć za ekranem - odezwał się doktor ze swojego punktu obserwacyjnego.

Podeszła za osłonę stojącą u wezglowia. Jej oczy napełniły się łzami. Na prześcieradle spoczywały ręce Gideona, krwawiące i poznaczone strupami. Pokryte były czymś podobnym do galarety. Odwróciła się do doktora.

- Nie możecie nic zrobić z jego rękami?

- Robimy, co w naszej mocy, aby mu ulżyć.

Gideon usłyszał głos dochodzący zza ekranu. Powoli zwrócił głowę w stronę Joselyn i spojrzał na jej twarz przez specjalne okienko w ekranie.

- Cześć! - Joselyn spróbowała się uśmiechnąć.

- Czołem! - Usta Gideona były spieczone i spękane, skóra na twarzy wyglądała jak poparzona.

Chciała ująć jego dłoń, wyciągnąć go z tej jaskini na jasne światło, do świata, gdzie kwitnie życie. Pochyliła się do przodu, ale jej ręka natrafiła na osłonę. Mogła tylko patrzeć.

- Jak się czujesz?

- Ech! - Zabrakło mu tchu. Spróbował się uśmiechnąć, ale zachłysnął się kaszlem. Jego pierś uniosła się pod prześcieradłem w walce o odrobinę powietrza. Krople spienionej krwi pojawiły się w kącie ust. Jego złote włosy straciły kolor, na czole tworzyły się wrzody.

Joselyn zdławiła szloch. Nie chciała, żeby widział ją we łzach. Szybko podniosła rękę i otarła oczy wierzchem dłoni.

249

- Musiałam cię zobaczyć - powiedziała. Uśmiechnął się.

- Gdyby nie ty... - wyszeptał. - Gdybyś nie powiedziała mi o telefonie, nigdy bym go nie szukał. Już by nas nie było.

- Och, Boże! - Uciekła spojrzeniem w sufit. Łzy spływały jej po

policzkach.

- Nic innego nie mogliśmy zrobić - mówił.

- Mogliśmy uciec. Mogliśmy zostawić to wszystko.

- Nie! - zaprzeczył. - Nie mogliśmy. Uśmiechnął się do niej oczami, niebieskimi i łagodnymi, które stopiły jej serce jak wosk.

- Kocham cię - powiedziała. Nie miała pojęcia, skąd wzięły się w niej te słowa. Wiedziała tylko, że nie ma nad nimi władzy.

Zdobył się na uśmiech.

Och, Boże! Co ja tracę! - Odwróciła się, żeby nie mógł widzieć jej twarzy. Pragnęła dotknąć jego dłoni, wziąć go w ramiona, utulić. Stała o krok od niego, a on był tak bardzo sam.

- Nie! - Oddychał ciężko. - Nie płacz! Proszę. - Jego płuca znów walczyły o powietrze. Wiedział, że pozostało mu niewiele czasu.

- Nie wolno ci tak myśleć - powiedział. - Zrobiliśmy coś dobrego.

Gdy odwróciła się do niego, w jego zniszczonej pęcherzami twarzy znalazła dostojeństwo, jakie daje pogodzenie się z nieuchronnym wyrokiem. Zrozumiała wtedy, że to nie jej czyny lub słowa przywiodły go w to miejsce, lecz to, w co wierzy.

- Tak - zgodziła się. - Zrobiliśmy coś dobrego.

- Wiesz... - powiedział. - Nigdy nie zdołaliśmy skorzystać z praw zagwarantowanych nam przez konstytucję.

Uśmiechnęła się, roześmiała przez łzy zalewające jej twarz.

Były to ostatnie słowa, jakie usłyszała. Monitor nad jego łóżkiem zapiszczał, a sygnał na ekranie zaczął biec równą, poziomą linią.

Do pokoju wpadli lekarze i pielęgniarce w ciężkich ołowianych kamizelkach, ciągnąc za sobą dodatkową aparaturę. Lecz zanim ją

uruchomili, doktor z salki kontrolnej przerwał ich krzątanie. Wszyscy powoli wyszli z pokoju, zostawiając tylko Joselyn, wpatrującą się w uśmiech Gideona i jego błękitne, pozbawione życia oczy.

Baza lotnicza Andrews, stan Maryland

Sy Hirshberg postarał się, by ciało Gideon odrzutowcem do Amsterdamu.

Joselyn była w bazie, kiedy nadjechał karawan.

ciało Gideona przewieziono wojskowym

250

Rząd Stanów Zjednoczonych zapłacił za specjalną trumnę i uzgodnił z rządem holenderskim sprawy pogrzebu. Ale karawan wiozł prostą drewnianą trumnę, o jaką poprosili rodzice Gideona.

Joselyn nie знаła ich dotychczas, bardzo jednak chciała się z nimi spotkać. Rozmawiała z nimi następnego dnia po śmierci Gideona i umówiła się na spotkanie w przyszłym roku. Chciała im opowiedzieć o ostatnich dniach życia ich syna. Oni mieli dla niej całe mnóstwo opowieści o jego wcześniejszych latach.

Hirshberg załatwił też specjalny samolot, którym miała wrócić do Seat-tle. Spotkali się na pasie startowym i patrzyli, jak trumna została przeniesiona z karawanu pod samolot. Zrolowano flagi, amerykańską i holenderską. Żołnierz z eskorty wręczył jej amerykański sztandar. Przyjęła go, później jednak oddała Hirshbergowi, prosząc, aby przekazano to matce Gideona. Ostatnie łzy popłynęły po jej twarzy, gdy trumna powoli zniknęła w czeluściach ładowni odrzutowca.

Hirshberg westchnął. Zakaszłał. Odezwał się z widocznym trudem:

- Przykro mi, że to musiało się zdarzyć. Spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała twardo:

- Nie musiało!

- Wiem... Jest pani zła. Rozgoryczona... Ma pani wszelkie powody ku temu.

- Nie. To on miał wszelkie powody. - Wyciągnęła rękę w stronę otwartego luku samolotu. - Jemu niech pan powie, że jest panu przykro.

Hirshberg nie wiedział, co rzec.

- Wie pan... Czytałam w gazecie, że w Muzeum Lotnictwa zdarzył się wypadek. - Odczekała chwilę, aby te słowa dotarły do jego świadomości. - Wypadek... W tej informacji nie było nic o bombie nuklearnej. Ani o Beldenie, ani o Taggarcie. Ten ostatni zmarł na zawał.

- To był cyjanek - mruknął.

Belden jeszcze dwa razy łączył się z telefonem komórkowym w muzeum, za każdym razem wypowiadając te same słowa, zanim zrozumiał, co się stało. Jak stwierdzono, ostatnia próba została podjęta z Augusty w Georgii. Lecz nim znaleźli się tam agenci, wszelki ślad po nim zaginął.

- Musi pani zrozumieć, że sprawa ma niezwykle doniosłe aspekty polityczne. Ma wręcz strategiczne uwarunkowania.

- No myślę! Ten człowiek próbował zabić kilka tysięcy ludzi w pańskim mieście. Niech to diabli..! Chciał zlikwidować cały rząd. Udało mu się zabić kilka osób na tamtej wyspie. A także... - Spojrzała na jeszcze otwarte drzwi do ładowni samolotu. - Nie rozumiem, jak mogliście go wypuścić z rąk.

- Nie wypuściliśmy - sprzeciwił się Hirshberg. - Właściwie można go już uznać za nieżywego.

- Czyżby? - Joselyn spojrzała na niego z powątpiewaniem. - Niby z jakiego powodu ma umrzeć? Ze starości?

Zimny wiatr zamiótł płytę lotniska. Silniki odrzutowca wyły na coraz wyższych obrotach.

- Czemu nie znalazłam jego nazwiska w gazetach? Ani jego zdjęcia?

Macie je przecież. Chyba że prezydent je gdzieś zapodział.

Hirshberg westchnął głęboko i uciekł wzrokiem przed jej spojrzeniem.

Joselyn czekała na odpowiedź.

- Był taki człowiek, nazywał się Dean Belden albo Thorn, albo jeszcze inaczej. Nie jesteśmy pewni, które z jego wielu nazwisk jest prawdziwe.

Ale zginął w katastrofie lotniczej w pobliżu Seattle. - Hirshberg nie miał odwagi spojrzeć jej w oczy.

Zabrakło jej tchu. Popatrzyła z niedowierzaniem na jego profil, zwrócony ku dalekim zabudowaniom, potem rzekła jedyne słowa, jakie zdołała wykrztusić.

- Nie wierzę... To okropne.

- Joselyn! Musi pani zrozumieć, co się tutaj dzieje! Ludzie z tamtej wyspy zapłacili za usługi Beldena, ale nie oni go wynajęli. W żaden sposób nie byli w stanie zebrać pieniędzy na zakup bomby nuklearnej. Może na materiały rozszczepialne, na bombę chemiczną ale nie na jądrową. Nie na ekspertów niezbędnych do zapewnienia jej prawidłowego przygotowania do eksplozji. Gideon o tym wiedział.

- Więc kto? - zapytała.

- To jest pytanie, na które nikt nie chce odpowiedzieć.

- Nie rozumiem.

- Rząd Stanów Zjednoczonych od dawna kieruje się zasadą maksymalnego odwetu - wyjaśnił Hirshberg. - Każde państwo, które użyje lub próbuje

użyć broni masowej zagłady przeciwko USA, spotka się z odwetem tego samego rodzaju. Tak więc nie jesteśmy zainteresowani znalezieniem Beldena. Na pewno nie przez oficjalne organa ścigania. Gdybyśmy to uczynili, musielibyśmy się liczyć z możliwością wykrycia powiązań Beldena z jego sponsorami. Gdyby rząd oświadczył publicznie, że wie, kto stał za tą bombą, kto za nią płacił i kto najął osobnika znanego jako Dean Belden, wtedy honor narodowy i nasza wiarygodność międzynarodowa wymagałyby, abyśmy na to zareagowali.

- A co by się stało, gdyby bomba wybuchła? - spytała Joselyn. - Czy też schowalibyście głowy w piasek?

- A to już byłby nie nasz problem.

- Mamy więc zasady, które boimy się stosować?

- Ich konsekwencje dla naszego narodu i dla całego świata byłyby zbyt okropne, aby móc je rozważać - powiedział Hirshberg. - W takiej sytuacji niewiedza jest błogosławieństwem.

- A w międzyczasie Belden po prostu zniknie - stwierdziła Joselyn.

- Nie chciałbym być w jego skórze. Ten, kto go najął, wie już, że Belden wziął pieniądze, lecz nie wykonał zadania. A co gorsza, jest on teraz bardzo nie-

252

bezpiecznym ogniwem w grze na czarnym rynku atomowym. - Zrobił minę sugerującą jednoznacznie przykre dla Beldena konsekwencje. - Jego pracodawcy nie zostawią go w spokoju. Nie, nie! Gdybym był londyńskim Lloydem, nie wystawiłbym mu polisy na życie.

EPILOG

Chiapas w Meksyku

Była to mała kawiarenka z trzema stolikami prażącymi się w słońcu, na chodniku. Z daleka docierały tu piosenki mariachi, znak, że w kościele o dwie ulice stąd zakończyła się ślubna ceremonia.

Mężczyzna miał gęstą brodę i rzadkie włosy. Na ramiona narzucił stare meksykańskie ponczo.

W ostatnim miesiącu udaremnił trzy zamachy na swoje życie, zabijając jednego z napastników nożem, drugiego gołymi rękoma. Trzeci przygotował bombę, która jednak wybuchła razem z nim, gdy znalazł ją pod fotelem własnego auta.

Nie rozstawał się z pistoletem zatknętym za pas pod swoim ponczo, a jego spojrzenie tylko przez krótką chwilę spoczywało na jednym miejscu. Miał przyjaciół, ale żaden z nich nie spał blisko niego nocą ani nie wsiadał do tego samego pojazdu.

Amerykanie byli niezmordowani. Mieli oczy i uszy wszędzie. Mogli nie utrzymywać stosunków dyplomatycznych z tym czy innym państwem na Bliskim Wschodzie, ale zawsze stać ich było na wsunięciu krótkiej notki w szparę pod właściwymi drzwiami.

Wiedział, że wkrótce będzie musiał opuścić Meksyk. Jego fundusze się wyczerpywały, miejscowi partyzanci nie mieli zamiaru ukrywać go nazbyt długo. Jego liczne konta w europejskich bankach zostały zamrożone.

Widział w tym długie ręce amerykańskiego Departamentu Stanu.

A powinien teraz wylegiwać się na własnej plaży na Bali, saczyć mleczko kokosowe i rum i cieszyć się trzydziestoma procentami zysku ze swych inwestycji! Tymczasem był ściganą zwierzyną a plany przejścia na emeryturę zostały odłożone na później, jeśli nie zniszczone w ogóle.

Rozłożył przed sobą amerykańską gazetę, położył egzemplarz „Santa

Cri-sta Herald". Nosiła na sobie tłuste plamy po dziesiątkach smażonych tortilli.

254

Kilka jej stron zginęło, kilka zostało podartych, reszta jednak pielęgnowana była jak relikwia. Rozprostował ją na stole i spojrzał na fotografię na trzeciej stronie. Towarzyszący jej artykulik nie mówił wiele. Zdjęcie ukazywało grupę osób stojących przed tablicą z brązu umieszczoną na ścianie bungalowu w hiszpańskim stylu kolonialnym. Tablicę ku czci Holendra o nazwisku Gideon van Ry wmurowała tam organizacja nazywająca się Instytut Zapobiegania Rozprzestrzenianiu Broni Masowej Zagłady.

Mężczyzna w ponczo nie interesował się tablicą czy pozbawioną szczegółów relacją lecz kobietą stojącą na krześle i zdejmującą materiał, który krył brązową tarczę. Twarz na zdjęciu była niewyraźna i nie większa od paznokcia jego małego palca. Wiatr bawił się kosmykiem blond włosów ponad ramieniem kobiety, a jej szeroko otwarte oczy spoglądały w obiektyw, jakby zaskoczone obecnością fotografa.

Nie było to udane zdjęcie, ale Thorn nie miał wątpliwości, że ukazywało Joselyn Cole. Nie miał też pojęcia, i nigdy już się nie dowie, jak wydostała się z domu na wyspie Padget. Dwa razy zostawił ją na pewną śmierć i dwa razy wróciła do niego, jak kłątwa.

Jego spojrzenie wypalało dziurę w poźółkłej fotografii. Ta kobieta kosztowała go dwadzieścia milionów i cudowne życie. Teraz musi zaczynać od nowa i wciąż rozglądać się bacznie na wszystkie strony.

WYDAWNICTWO AMBER Sp. z o.o. 00-108 Warszawa, ul. Zielna 39, lei. 620 40 13. 620 81 62 Warszawa 1998. Wydanie I Druk: Zakłady

Graficzne „ATŁXT” S.A. w Gdańsku